

ROMAN ZIMAND

MATERIAŁ  
DOWODOWY

SZKICE DRUGIE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1992

## MATERIAŁ DOWODOWY



BIBLIOTEKA «KULTURY»  
TOM 477

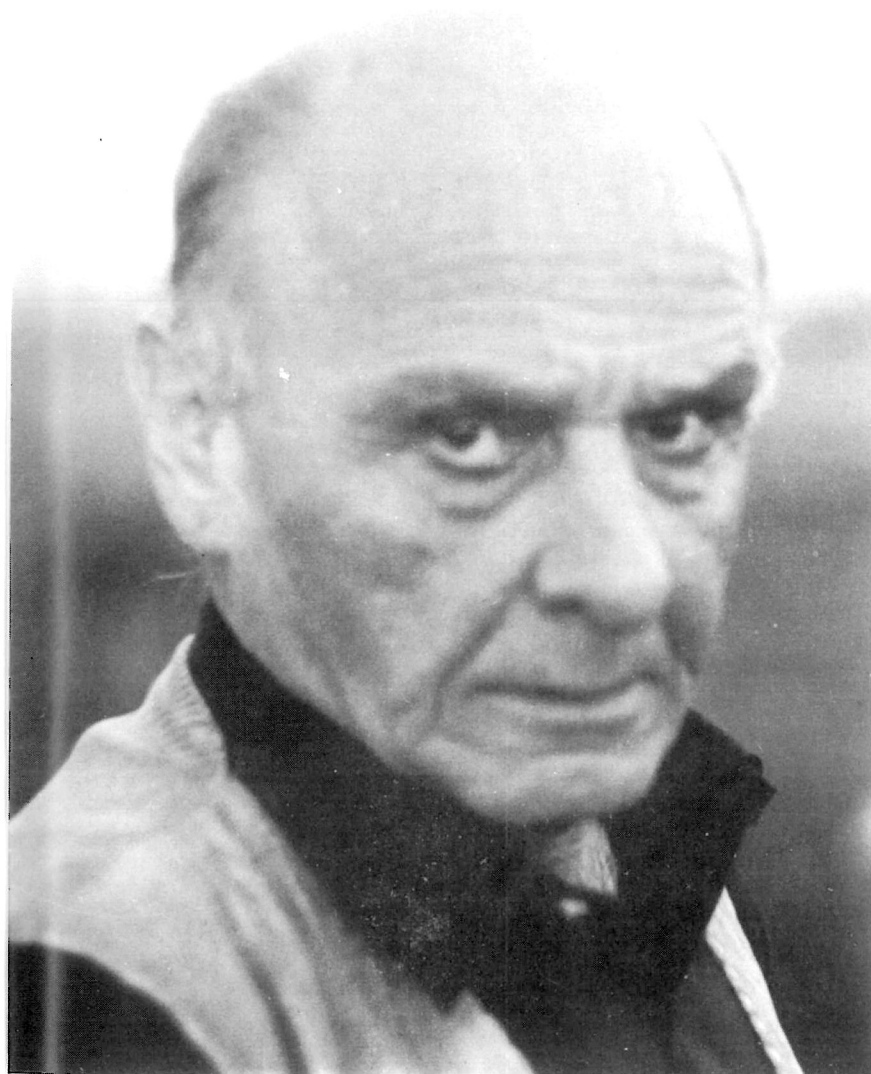
ISSN 0406-0393  
ISBN 83-85521-14-3

IMPRIMÉ EN POLOGNE

---

Editeur: INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

En coédition avec  
O. W. „POMOST” VARSOVIE 1992



ROMAN ZIMAND

MATERIAŁ  
DOWODOWY

SZKICE DRUGIE

WYBÓR I OPRACOWANIE

DOROTA SIWICKA

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1992



## PRZEDMOWA

*Materiał Dowodowy* jest donosem na siebie samego. Roman Zimand zaczął go pisać pod koniec czerwca 1969 roku, w momencie gdy okazało się, że jego 10-letnia córka oraz jej matka wyjadą z Polski. On sam wiedział, że zostaje.

Pisał jednocześnie główny tekst *Materiału* i *Noty* – dziennik mający stanowić „bardziej osobiste aspekty” tej pracy. „Bardziej osobiste – przekonam się, co to znaczy” – notował. Tak powstał fragment autobiografii, bo osobisty okazał się nie tylko dziennik, ale całość *Materiału*. I tak właśnie trzeba go czytać – jako autobiograficzne zeznanie.

Roman pochodził ze Lwowa. Kiedy wybuchła wojna miał lat trzynaście. W 1940 roku jego ojciec został aresztowany przez NKWD i zmarł w kijowskim więzieniu. Rodzina rozpadła się. (Jeden z dwóch starszych braci zginął później podczas likwidacji getta w Żółkwi.) Jego i matkę wywieziono do Kazachstanu. Nie wiele mówił o tym okresie. Opowiadał jedynie, że ujeżdżał konie. Tam też odmroził sobie ręce. A potem wyruszył spod miasta Kustanaj, gdzie mieszkali, do armii generała Andersa. Nie został przyjęty, ponieważ był Żydem.

Do Polski wrócił w roku 1945 – już jako komunista. Został członkiem PPR, a później aktywistą PZPR. Studiując socjologię we Wrocławiu i w Warszawie, działał w komunistycznych organizacjach młodzieżowych. W r. 1950, w okresie najsilniejszych nacisków stalinowskich na naukę i szkoły wyższe, był przewodniczącym Zarządu Wydziałowego ZAMP (Związku Akademickie-

go Młodzieży Polskiej) Wydziału Humanistycznego na UW. Pracował także w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych (potem INS) przy KC PZPR. Wykładał materializm na Uniwersytecie Warszawskim i estetykę marksistowską na warszawskiej ASP. Był dziennikarzem „Trybuny Ludu”, później jednym z redaktorów „Po prostu”. W 1957 roku, po zamknięciu tygodnika, został wykluczony z partii za „odejście od ideologii socjalistycznej i udział w grupowej walce z linią partii”. Odwołując się od tej decyzji, napisał wówczas w liście do Władysława Gomułki: „nie sądzę (...) aby jakkolwiek cząstka mego poglądu na świat była antysocjalistyczna”.

Pisząc *Materiał Dowodowy* Roman staje się innym człowiekiem. Przemyślenia ostatnich kilkunastu lat eksplodują w momencie, gdy zapowiedziany wyjazd córki uświadomił mu bezlitośnie pewien fakt: przynależność własnej biografii do historii polskiego narodu. Wiedział, że nie wyjeżdżając z córką utraci dziecko. Lecz wiedział również, że nie wolno mu opuścić miejsca, gdzie wraz z tym narodem „budował socjalizm”. On nie znośił słowa „tragiczny”. I użył go chyba tylko ten jeden raz, wtedy. Bo był to właśnie taki wybór.

Musiał to wszystko wyjaśnić sobie – i innym. I musiał to zrobić „tutaj”, próbując zanalizować sytuację swoją i społeczeństwa polskiego zarazem.

Wybuchające z początku myśli rozciągają się w długą drogę świadomości pokonującej powoli własne ograniczenia, dostrzegającej ciągle nowe problemy do rozstrzygnięcia i rozwijającej się w odnogi wątków. „Będę o tym jeszcze pisał” – zapowiada autor przy wielu sprawach, lecz obietnice na ogół pozostają – w tej przynajmniej pracy – nie spełnione. Jego rozważania wikłają się w bieżące spory, a wraz z rozgrywającymi się wydarzeniami – jak np. grudzień 1970 – niektóre wcześniejsze fragmenty są na nowo poprawiane.

Na tej żmudnej drodze wyłania się zarys socjalizmu – jako środka służącego radzieckiemu imperializmowi i systemu prowadzącego do totalnego ubezwłasnowolnienia człowieka. Roman nie chciał być bezsilny. Toteż toczył swój wewnętrzny spór z konformizmem społeczeństwa polskiego i rozmaitymi odmianami „mentalności niewolników”. Zmagał się ze złudzeniami rewizjonizmu i z własnym w rewizjonizmie uwikłaniem, widząc w nim tę bezbronność i bezradność, którym się przeciwstawiał.

I jeszcze ta cicha nadzieja – że pewnego dnia *Materiał*

*Dowodowy* odczytany zostanie głośno na sali sądowej, a on, autor autodonosu znajdzie się w więzieniu...

Przerwał pisanie w połowie 1971 roku. I jakkolwiek tekstu nie dokończył (wykonanie takiego gigantycznego zamiaru „opisania świata” było chyba niemożliwe) sądzić należy, iż końca dobiegł pewien proces myślowy autora. Praca nad tekstem spełniła swoją rolę i Roman odłożył go na bok. Pozostał jednak autobiograficzny zapis prywatnej historii jego myślenia i zarazem dokument do dziejów kształtowania się świadomości inteligencji polskiej w PRL, intelektualnego formowania się anty-totalitarnej opozycji. Dlatego właśnie, gdy pośród pozostawionych przez Romana rękopisów znaleźliśmy *Materiał Dowodowy*, nalegałam na jego opublikowanie.

Narzuca się tu pewne proste spostrzeżenie. Dokończeniem i rozwinięciem *Materiału* były późniejsze prace autora (także i zebrane przez nas w tej książce). Były felietony Leopoldy drukowane w „Kulturze”, w tomie *Ruch Oporu*, w serii wydawniczej PPN oraz w „Głosie”, „Kierunkach”, „Kosie”, w „Myśli Niezależnej”, „Tygodniku Mazowsze”, „Kulturze Niezależnej”, „Świecie” i w „Pulsie”, a także rozmaite działania mające stworzyć miejsce dla „literatury źle obecnej” – dla polskiej i obcej literatury emigracyjnej: Miłosza, Tyrmanda, Kundery, Zinowiewa. Dokończeniem i rozwinięciem było cztery i pół miesiąca internowania od 13 grudnia 1981 oraz redagowanie „Almanachu Humanistycznego”, kolportowanie, organizowanie, sprowadzanie sprzętu poligraficznego etc., etc. A towarzyszyła temu zawsze, widoczna tak bardzo i w *Materiale*, zasada prywatnego samostanowienia – jeśli było trzeba – nie tylko wbrew wrogom, ale i wbrew przyjaciółom.

Roman jednoznacznie i bez żadnych usprawiedliwiających „ale” oceniał swą stalinowską młodość. Mówiąc o niej, był dla siebie bezlitosny. I mówił także, iż nie uważa, by to co zrobił dla politycznej opozycji i niezależnej kultury mogło odkupić tamte winy – nie wierzył w zadośćuczynienie. Nie sądził, by jakkolwiek czyn mógł zamazać czyny przeszłe.

*Szkice drugie* to tytuł książki, której autor nie wydał.

*Szkice* Romana Zimanda ukazały się w roku 1965. Te były pierwsze i na długo – jedyne. *Szkice drugie* krążyły po wydawnictwach od 1975 r. Bezskutecznie, jakkolwiek zebrane w nich teksty drukowano wcześniej w oficjalnych czasopismach, w „Stu-



diach Filozoficznych”, „Pamiętniku Literackim”, w „Tekstach”, „Twórczości”, w „Dialogu”, a także w różnych księgach zbiorowych. Traktowały o dzienniku Czerniakowa i biografii Brzozowskiego, o książkach Wyki i socjologii literatury, o klechdach Leśmiana i indeksach osobowych, o Boyu–recenzencie.

„Przez dziesięć lat starałem się wydać tę książkę w kraju – pisał autor w r. 84, w jednej z nie opublikowanych przedmów do nie opublikowanego zbioru – często, choć bezskutecznie pomagał mi w tych staraniach Instytut Badań Literackich. Historii tych zabiegów nie chce mi się opisywać. Zachowania się kolejnych »domów wydawniczych«, a ściśle ich dyrektorów, prezesów czy redaktorów naczelnych były szmacianne, jak wszystkie »dokuczki« tej władzy. Bo znowu represją tego bym nie nazwał. Ot, wykręty, z których nie wiadomo śmiać się czy płakać, no i w miarę możliwości niczego na piśmie.” Z lat dziesięciu zrobiło się potem kilkanaście. Tymczasem pojawiła się książka „*Wojna i spokój*”. *Szkice trzecie* (Londyn 1984), następnie *Czas normalizacji. Szkice czwarte* (Londyn 1989). A *Szkiców drugich* ciągle nie było. Teraz nie ma już ich autora.

Planowana zawartość tomu zmieniała się w ciągu tych lat, a niektóre teksty wydrukował Roman gdzie indziej. Tak więc, ten wybór i układ *Szkiców drugich* jest już naszym dziełem, a wybieraliśmy samowolnie. Jedyne tekst *Uwagi o teorii narodu* pochodzi z tamtej, zamierzonej niegdyś przez autora całości.

Dorota Siwicka

Sierpień 1992

Wszystkim znajomym i przyjaciółom Romana, którzy pomogli mi w przygotowaniu tej książki, a w szczególności pani Izie Jarosińskiej, serdecznie dziękuję.

D.S.

## O NARODACH



### TRZY DYLEMATY ZASADY NARODOWEJ\*

„Marc Lalonde, minister odpowiedzialny za stosunki między rządem federalnym a prowincjami, uważa, że jednym z najstarszych straszdeł jest przeświadczenie, iż rząd federalny opanowany jest przez Francuzów, nie mających zielonego pojęcia o problemach zachodnich prowincji i nadmiernie troszczących się o sprawy Quebecu. Minister spraw zagranicznych, Nowofunlandczyk, Don Jamieson, narzeka na wciąż powtarzające się, stare pretensje. Usłyszy pan zawsze tę samą śpiewkę: krajem rządzi zbyt wielu przeklętych Francuzów; zarazem ja i moi anglo-języczni koledzy uważani jesteśmy za szmelc.”

*Myths Sharpen Canada's Great Divide*

„International Herald Tribune” 26.IX.1978

„Piotr Kiriłowicz rozkłada przede mną gazetę, w której zamieszczono fotografie wszystkich sowieckich ministrów i członków kierownictwa. Wiele zdjęć Breżniewa, przewodniczącego KGB Andropowa, ministra sprawiedliwości Tieriebitowa, generalnego prokuratora Rudenki – wymie-

---

\* Druk w: *Zeszyty Naukowe TKN „Kolokwia”*, Warszawa 1980 oraz (w wersji obecnej, poprawionej) – *Trzy szkice z lat 1978–79*, Kraków 1991; *„Wojna i spokój”. Szkice trzecie*, Londyn 1984.



niam jedynie tych, których zapamiętałem — ujętych zostało w grube, atramentowe ramki.

Popatrz — tyka palcem w twarzę. Czy jest w nich coś rosyjskiego? Nas nie oszukasz, nazwiska mogą wymyślać jakie chcą, ale mordy nie skryją. Wszystko Żydzi... Przyznaj — tu wskazał na fizys »pierwszego czekisty« Andropowa — jeśliś tylko uczciwy, czy znajdziesz w tej twarży cokolwiek rosyjskiego.»

Michaił Chajfec: *Miasto i wremia* (książka napisana w latach 1976 i 1977 w 17. i 19. obozie „Dubrowoła” w Mordowii, opublikowana we Francji w 1978 roku.)

Przez „zasadę narodową” rozumie się w tym tekście — uznanie faktu istnienia narodów jako jednego z najtrwalszych zjawisk społecznych doby nowożytnej;

— uznanie faktu, iż ze wszystkich znanych nam rodzajów społecznego zakorzenienia człowieka współczesnego, zakorzenienie w narodzie jest najtrwalsze i w ogromnej większości indywidualnych przypadków tak bardzo uwewnętrznione, że nie tylko rzadko bywa przedmiotem refleksji, lecz „nie lubi” być oglądane przedmiotowo;

— uznanie faktu, iż to, co nazywamy zasadą narodową, należy do świata wartości i jest jednym z trwałych regulatorów ludzkiego zachowania, ujawniającym się na różnych poziomach naszej egzystencji;

— uznanie faktu, iż w społeczeństwach nowożytnych ogromna większość kwestii społecznych ma swój aspekt narodowy, chociażby dlatego, że jawią się one ludziom w ramach ich narodowego dziedzictwa i artykułowane są w językach narodowych; mówiąc inaczej, przyjęty językowo podział na tzw. kwestie społeczne i kwestię narodową jest co najmniej bardzo względny, a najczęściej bywa mylący.

Otóż pragniemy tu pokazać, że w tak rozumianej zasadzie narodowej zawarte są pewne niezbywalne dylematy, z których na ogół nie zdajemy sobie sprawy.

Są to:

- a) dylemat prawa do samostanowienia;
- b) dylemat „obcego”;
- c) dylemat narodu i demokracji.

Uważa się powszechnie, że prawo do samostanowienia głosi, iż każdy naród winien mieć prawo do decydowania o własnym losie, a w szczególności do decydowania o własnym niepodległym bycie państwowym. W tym kontekście pojęcie „samostanowienia” pojawia się najczęściej w publicystyce zarówno politycznej, jak i tej o aspiracjach socjologicznych czy filozoficznych, i to równie dobrze na Zachodzie jak i na Wschodzie Europy. W tym ostatnim przypadku pojęcie samostanowienia funkcjonuje w publikacjach oficjalnych w ramach nowo-mowy i znaczenie jego jest ideologiczno-selektywne.

Przedstawione powyżej, powszechnie rozumienie prawa do samostanowienia jest o tyle mylące, że *de facto* mówiąc lub pisząc o tym prawie możemy mieć i miewamy na myśli trzy różne sprawy.

Po pierwsze, prawo do stwierdzenia, iż jest się narodem, a nie na przykład regionalnym *curiosum* lub związkiem plemion.

Po drugie, prawo do niepodległego bytu państwowego.

Po trzecie, prawo do suwerennego decydowania o własnym bycie narodowym.

Dla drugiego i trzeciego rozumienia samostanowienia to wymienione w punkcie pierwszym posiada znaczenie fundamentalne. Jest ono pierwotne zarówno w porządku „logicznym” jak i w porządku „historycznym” (przynajmniej w zakresie proklamacji). Niemniej zaczniemy tu od wyjaśnienia różnicy między niepodległością a suwerennością.

Przez niepodległość rozumie się tu stan formalno-prawny. Przez suwerenność — możliwość faktycznego decydowania o własnym losie z uwzględnieniem wszystkich ograniczeń wynikających z globalnego charakteru wzajemnych współzależności politycznych, gospodarczych i kulturowych w świecie dzisiejszym. Przy takim rozumieniu, przykładowo, Litwa jest krajem ani niepodległym, ani suwerennym, Polska jest krajem niepodległym, lecz nie suwerennym, Hiszpania jest i niepodległa i suwerenna, zaś Szkocja jest suwerenna, ale nie niepodległa.

W Europie praktycznie z d y l e m a t e m prawa do samostanowienia stykamy się nie wtedy, gdy mowa o Francuzach, Węgrach czy Ormianach, ale wtedy, gdy mowa o Korsyce, Galicji, kraju Basków. Wszystkie „możliwości” tego dylematu ujawniają się poza Europą, poczynając od Quebecu, poprzez Seszele, a na Południowych Molukach kończąc. Nie potrafimy sformuło-

wać reguły wedle której wolno by nam było powiedzieć, że Polacy, Norwegowie lub Japończycy są narodami i należy im się prawo do samostanowienia, natomiast (i tu można sobie wstawić dowolne przykłady) narodami nie są i prawo do samostanowienia im nie przysługuje.

Źródło tych kłopotów zdaje się być następujące: mowa rzecz jasna o źródłach intelektualnych, a nie doraźnie-politycznych.

Prawo do samostanowienia jest prawem moralnym. Znaczy ono tyle, iż każda społeczność, która uzna się za naród, ma prawo do niepodległości i suwerenności. Co więcej, jest to prawo wyłącznie samoprzyznawalne. Prawo do bycia narodem każda społeczność przyznaje sama sobie. Jako prawo moralne nie może ono znać wyjątków, ani ograniczeń odwołujących się np. do historii. Historia jest argumentem zawodnym i nieprecyzyjnym (przynajmniej w danym przypadku). Historyczne więzi poprzedzające ukształtowanie się współczesnego narodu włoskiego sięgają bez porównania dalej wstecz niż analogiczne więzi w przypadku Argentyny, trudno jednak powiedzieć, by więź narodu włoska była mocniejsza od argentyńskiej.

Otóż dylemat prawa do samostanowienia daje się sformułować jak następuje:

prawo to w sposób sensowny i poprawny nie daje się ująć inaczej niż jako prawa moralne, powszechne i samoprzyznawalne. Z drugiej zaś strony, jego rygorystyczne stosowanie prowadzi do jawnych absurdów. Absurdy te w każdym poszczególnym przypadku — a rzecz jasna, każdy przypadek jest sporny — nie są uznawane za rezultat pewnego nierozwiązywalnego dylematu, lecz za „pomyłkę”.

Naszym zdaniem, prawo narodów do samostanowienia zawiera w sobie ten niezbywalny dylemat. Jeżeli uznaje się to prawo — a tak należy postępować zdaniem piszącego te słowa — to trzeba sobie zdać sprawę, że nie daje się uniknąć tego, co jawi się nam jako „pomyłka”, a jest nie dającym się ominąć skutkiem samego prawa. Lepiej tedy pogodzić się z zasadniczą niezbywalnością dylematu, niż być za każdym razem zaskakiwanym jego konkretnymi przejawami.

## II

### Dylemat „obcego”.

Dziedzictwo Oświecenia i Romantyzmu — niezwykle ważny składnik naszego myślenia o narodzie — *de facto* nie uznaje

problemu „obcości”, co jest skądinąd o tyle dziwne, że romantyzm, a ściślej większość romantyzmów, wielką wagę przywiązywał do kategorii „swojskości”, która z kolei wyrwana z pary „swojski” — „obcy” traci sens. Jest to rzeczywiście uproszczenie, bowiem zarówno Oświecenie jak i Romantyzm były formacjami wystarczająco bogatymi, by znaleźć w nich przykłady na wszystkie okoliczności, w tym na okoliczność „obcego”.

Niemniej, to nasze oświeceniowo-romantyczne wyobrażenie o narodzie powoduje, że ilekroć w myśleniu o narodzie pojawia się problem „obcego” — traktowany jest natychmiast jako przejaw szowinizmu czy wręcz rasizm. Demokratyczne myślenie o narodzie traktuje pojawienie się sprawy „obcego” wyłącznie jako przypadek wynikający ze złego i naprawialnego urzędnictwa społeczeństw. Nie należy więc wedle tego rozumienia problem „obcego” do substancji narodu, a jedynie do jego historycznych przypadłości.

Doniosłość dylematu „obcego” w sferze rozważań o narodzie na tym polega, iż podział na „swoich” i „obcych” stanowi konstytutywną cechę narodu jako zjawiska społecznego. Nie jest to więc rezultat złych urzędów społecznych (te mogą owoemu podziałowi nadać kierunek, amplifikować go do rozmiarów szaleństwa), ani skutek działań szowinistów (oni korzystają z istniejącego surowca oraz z doktrynalnej ślepoty, szlachetnych skądinąd demokratów), lecz właśnie warunek, składnik i skutek samego istnienia narodu.

Wiadomo skądinąd, że podział na „swoich” i „obcych” pojawił się w dziejach ludzkości na długo przed pojawieniem się nowoczesnych narodów. Towarzyszy on całym znanym nam dziejom człowieka. Można się nawet zastanowić, czy nie jest to dziedzictwo naszej przed-ludzkiej przeszłości. Brzmi to dość prawdopodobnie, nie daje się jednak dowieść, a jedynie wyrozumować. Jeżeli by tak być miało, wówczas tym co biologiczne w istnieniu narodu nie byłyby dziedziczne rzekomo cechy wy-  
r ó ż n i a j ą c e Francuzów, Ekwadorczyków, Turków etc. (francuska, ekwadorska, turecka pula genetyczna) lecz właśnie w s p ó l n a wszystkim narodom potrzeba odróżnienia „swoich” i „obcych”.

Dylemat obcego tworzy jeden z istotnych splotów nerwowych egzystencji narodu. Nie jest przy tym tak — a potwierdza to doświadczenie — by „wyjścia” (*out-put*) z tego dylematu musiały prowadzić w stronę nienawiści, agresji, zniszczenia, choć — niestety — dość często tak się właśnie zdarzało i zdarza.



Z całego bogactwa zagadnień związanych z istnieniem dylematu „obcego” nie będziemy tu poruszali tej najniebezpieczniejszej formy przejawiania się problemu; jest ona dostatecznie dobrze znana i wystarczy przypomnieć praktykę oraz teorię nazizmu, by uświadomić sobie całą potencjalną groźbę tkwiącą w tej sprawie.

Może na zasadzie opozycji i pewnej przekory warto podkreślić inny aspekt sprawy. Otóż zapoznaje się dość często fakt, iż istnienie „obcych” odgrywa istotną rolę cementującą poczucie więzi narodowej. Może to i nieprzyjemne, wolimy bowiem wierzyć, iż nasza więź narodowa ma znacznie szlachetniejsze źródła, np. takie jak wspólne wszystkim (Francuzom, Anglikom, Polakom, Hiszpanom i Bóg wie jeszcze komu) przywiązanie do wolności, albo do ładu, albo do religii. Nie negując znaczenia takich i im podobnych, szlachetnych źródeł więzi narodowych, nie sposób — obiektywnie na sprawę patrząc — zanegować faktu, że więź ta w sposób istotny wiąże się również z podziałem na „swoich” i „obcych”.

To, co współcześnie zdaje się być najciekawsze i najmniej zbadane w dylemacie „obcego” — to przybierające na sile próby wykorzystania ksenofobii przez doktryny „lewicowe”, a w szczególności próby włączenia argumentacji typu ksenofobicznego do ideologii, a zatem nowo-mowy socjalistycznej. Do ksenofobii odwołują się przecież nie tylko politycy typu Enocha Powella, lecz — przykładowo — KPF oraz „lewica” francuskiej PS (straszak niemiecko-amerykański), „lewica” Labour Party (cała kampania „anty europejska”), nie mówiąc już o tzw. postępowych reżymach Trzeciego Świata. Skrajnym przykładem włączenia ksenofobii do nowo-mowy i praktycznej polityki jest postępowanie wietnamskich komunistów w stosunku do chińskiej mniejszości narodowej. Nie jest to przy tym wyjątek, analogiczne przykłady znaleźć można w polityce każdego kraju socjalistycznego, jeśli nie dokładnie „dziś”, to „wczoraj”. Byłoby skądinąd ciekawe, gdyby z tego punktu widzenia przeanalizować teksty perswazyjne, wygłaszane i publikowane w czasie Rewolucji Francuskiej, a w szczególności w momentach wyjątkowego zagrożenia oraz w okresie Terroru.

Konkluzja tego rozdziału podobna jest do zamknięcia rozdziału poprzedniego.

Pojęcie „obcego” jest konstytutywnym składnikiem istnienia narodu. Jest to składnik o ogromnej potencjalnej sile niszczącej, ale też i scalającej, a nawet do pewnego stopnia kulturotwórczej (wpływy, wzajemne oddziaływanie, obrona „swojskości” nie za-

wsze przecież i nie w sposób konieczny obskuranko-parafialna). Udawanie, iż sprawa „obcego” to jedynie wynik machinacji „prawicy” czy po prostu złych rządzeń społecznych jest zamykaniem oczu na faktyczny stan rzeczy. Wręcz przeciwnie — chcąc w sposób odpowiedzialny zaakceptować zasadę narodową, musimy zaakceptować również ryzyko dylematu „obcego”.

### III

#### Dylemat narodu i demokracji.

Optyka europejska podpowiada nam, że powstawanie nowoczesnych narodów związane było z kształtowaniem się społeczeństw obywatelskich, ze skomplikowanym procesem narodzin nowoczesnej demokracji. Nie wiążąc sprawy demokracji ze sprawą rewolucji (istnieją dobre racje po temu, by mniemać, że rewolucje tyleż szkodzą co pomagają demokracji) wydaje się, że najtrwalszym skutkiem wszystkich rewolucji europejskich — od amerykańskiej poczynając a na irlandzkiej kończąc — było kształtowanie się narodów amerykańskiego, francuskiego, włoskiego, niemieckiego, polskiego, węgierskiego itd. Dotyczy to nie tylko rewolucji zwycięskich, ale i przegranych, a nawet poronnych.

Rewolucje bowiem z mniejszą lub większą stanowczością, z dobrą lub niezupełnie dobrą wiarą, w różnych słowach ogłaszają to, co Patrik Pearse odczytał przed gmachem poczty w Dublinie 23 kwietnia 1916 r.: „Republika gwarantuje swobody religijne i obywatelskie, równe prawa i równe możliwości wszystkim swoim obywatelom i deklaruje, iż zdecydowana jest zmierzać ku szczęściu i powodzeniu całego narodu i każdej jego części, kochając jednakowo wszystkie dzieci narodu i puszczając w niepamięć starannie hołubione przez obcy rząd różnice, które w przeszłości oddzielały mniejszość od większości.”

Można tu wysunąć zastrzeżenie, że podane przed chwilą przykłady z różnych parafii pochodzą, bo co innego narody francuski, polski czy węgierski, a co innego naród amerykański, o którym nie bez racji dałoby się powiedzieć, że „wymyślony” został przez Ojców Założycieli.

Otóż, jeżeli uznać, iż przez „wymyślenie” narodu rozumiemy głośne proklamowanie przynajmniej tego, iż w danej społeczności wszyscy są i winni być równi wobec takiej całości jaką jest naród, to w tym sensie wszystkie nowoczesne narody zostały — wedle wiedzy piszącego te słowa — wymyślone. Co więcej,

współczesny naród tym się m.in. różni od wspólnoty plemienną czy względnie monoetnicznej monarchii feudalnej, że musi zostać proklamowany, tzn. w pewnym sensie wymyślony.

Różnice w tym zakresie rzecz jasna istnieją i mogą nawet być bardzo znaczne. Dotyczyć one będą – jak się wydaje – trzech spraw:

– historii, w tym struktury danej społeczności w okresie poprzedzającym proklamowanie nowoczesnego narodu;

– czasu trwania i charakteru procesów społecznych od (umownego oczywiście) momentu proklamacji, do (równie umownego) momentu, w którym uznajemy, że – mówiąc językiem romantycznej filozofii – naród „rozpoznał się w jestestwie swoim”, tj. stał się nowoczesnym narodem;

– kształtu, w jakim dokonała się sama proklamacja nowoczesnego narodu, jak i sposobów czy też dróg urzeczywistnienia się tej idei.

Znaczenie sprawy pierwszej, znaczenie dziejów danej społeczności w czasach poprzedzających proklamowanie i tworzenie się nowoczesnego narodu jest chyba ewidentne. Wszystko jednak, co wykracza poza to banalne uogólnienie, wymaga rzetelnej i siłą rzeczy szczegółowej analizy konkretnych przypadków. Ta szczegółowa analiza dotyczyć może spraw o znaczeniu bardzo ogólnym.

Uznaje się np. dość powszechnie, że poezja Dantego posiadała ogromne znaczenie dla pra-początków nowoczesnej świadomości narodowej Włochów. Czy oznacza to tyle jedynie, iż wprowadzenie *vernaculum* do literatury, tj. przekształcenie go w język narodowy, jest niezwykle ważnym etapem na drodze do powstania nowoczesnego narodu, czy coś więcej? A jeżeli więcej – to co? *Notabene*, w tworzeniu się nowoczesnej świadomości narodowej Irlandczyków nawrót (*de facto*, nie udany) do proklamowanego jako język narodowy gaelickiego, odegrał stosunkowo niewielką rolę – więc nawet z tym językiem narodowym sprawa nie jest tak prosta jak by się Polakowi, Francuzowi czy Czechowi wydawało.

Wspomniano tu o różnicy, jaka dotyczyć może długości okresu, który upływa od momentu proklamacji do momentu urzeczywistnienia się nowoczesnego narodu. Wbrew pozorom, czas ten nie jest zależny od tzw. historyczności czy nie-historyczności danego narodu. W ramach tego mylącego i źle zbudowanego podziału, Włosi są na pewno narodem historycznym. Otóż, jeżeli za umowny moment proklamacji nowoczesnego narodu

włoskiego uznać początek XIX w., to proces kształtowania tegoż narodu trwał trzy lub cztery pokolenia, a niektórzy twierdzą, że w związku z podziałem na Północ i Południe do dziś nie został zakończony. (Co więcej, we Francji która była scentralizowana i – zdawało się – monoetniczna, jeszcze na początku XX w. dziesiątki tysięcy dzieci po francusku mówiły jedynie w szkole podstawowej, a na co dzień dopiero w wojsku.) W gruncie rzeczy tedy, proces kształtowania się nowoczesnego narodu „historycznego” od momentu proklamacji trwał w przypadku Włoch równie długo, jeśli nie dłużej, niż w przypadku nowoczesnego narodu „niehistorycznego” jakim są Słowacy.

Powiedziano tu uprzednio, że europejska optyka skłania nas do przypuszczenia, iż związek między tworzeniem się nowoczesnego narodu a powstawaniem społeczeństwa obywatelskiego, między narodem i demokracją jest naturalny, oczywisty, ba konieczny. Jest to niestety złudzenie i to – by tak rzec – złudzenie z obu końców. Po pierwsze, znamy przypadki powstawania nowoczesnych narodów bez żadnego związku z demokracją. Wystarczający jest tu przykład Japonii, choć można znaleźć inne i bliżej. Po drugie, doświadczenie XX-wiecznej Europy, doświadczenie totalitarne, w różnych jego wersjach wskazuje, że nawet tam, gdzie początkowo nowoczesny naród i demokracja narodziły się wspólnie, może dojść do sytuacji, w której wartości narodowe w sposób drastyczny użyte zostaną do niszczenia społeczeństwa obywatelskiego.

Można oczywiście uznać – i taki jest również punkt widzenia piszącego te słowa – że najzdrowszą społecznie egzystencją widzie naród w ramach społeczeństwa obywatelskiego, i że na odwrót – tam, gdzie społeczeństwo obywatelskie zostaje zniszczone, naród widzie egzystencją kaleką a wartości narodowe zostają sfalszowane. Ale to jest norma, postulat, ocena. Faktem natomiast jest – jeśli wolno na chwilę w sposób naiwny i pozytywistyczny oddzielić fakty od norm – że istnienie narodu nierozzerwalnie związane jest z istnieniem dylematu narodu i demokracji. Mówiąc inaczej: współistnienie narodu i demokracji bywa przejściowe – dylemat narodu i demokracji jest trwały.

\* \* \*

Propozycje powyższe przedstawione gronu historyków, socjologów, filozofów i pisarzy spotkały się z wieloma uwagami. Na cztery spośród nich chciałbym odpowiedzieć.

Zwrócono mi uwagę, że z trzech przedstawionych przeze mnie dylematów, pierwszy, tj. dylemat prawa do samostanowienia należy do sfery „rozumu praktycznego”, podczas gdy pozostałe dwa (dylemat „obcego” oraz dylemat narodu i demokracji) do dziedziny „rozumu teoretycznego”. Oczywiście w luźnym, a nie ściśle Kantowskim rozumieniu tych pojęć.

Zgadzam się w pełni z takim uzupełnieniem.

Dylemat prawa do samostanowienia należy do sfery „rozumu praktycznego” wtedy i tylko wtedy, gdy uświadomimy sobie jego istnienie. Jeżeli natomiast albo nie zdajemy sobie sprawy z istnienia takiego dylematu lub jeśli negujemy jego trwały niezbywalny charakter założony w samej zasadzie narodowej, tj. jeżeli dajemy się intelektualnie zaskoczyć przez fakt, iż inni domagają się czegoś, co my sami przyznawaliśmy sobie od dawna – wówczas dylemat prawa do samostanowienia zaczyna wyprawać najdziksze harce i ze sfery „rozumu praktycznego” przechodzi do sfery „nierozumu teoretycznego” i wszelkiego innego.

Po drugie, zwrócono mi uwagę, że dla większości ludzi „bycie w narodzie” nie jest sprawą refleksji, wyborów, wartości, a po prostu naturalnym sposobem egzystencji. W naturalny sposób jest się Francuzem, Grekiem, Żydem itd.

Wspomniałem o tym na początku, mówiąc, iż w ogromnej większości indywidualnych przypadków zakorzenienie w narodzie „nie lubi” być oglądane przedmiotowo. Uważam też, iż owa „naturalna egzystencja w narodzie” winna być przedmiotem wnikliwych i wielostronnych badań. Niemniej sędzę, że „naturalne bycie w narodzie” jest bezrefleksyjne tak długo jedynie, jak długo z tych czy innych względów nie popada w konflikt z rzeczywistością. Przy czym konflikty te mogą być bardzo różne. Poczynając od niewinnej podróży do innego kraju i zetknięcia się z innym równie „naturalnym” jak nasz „byciem w narodzie”, a kończąc na granicznych sytuacjach najazdu, wynarodowienia, sowietyzacji.

Zarzucono mi po trzecie, że nie zajmowałem się procesami narodotwórczymi w Trzecim Świecie, że tekst mój jest eurocentryczny.

To prawda.

Pragnąłbym jednak zwrócić uwagę na taką okoliczność.

Jeżeli przywódcy nigeryjscy kilka lat temu, a komuniści w Etiopii dziś, dążą – i to za cenę setek tysięcy ofiar – do stowrzenia narodów nigeryjskiego czy *respective* etiopskiego, a nie do państwowego związku plemion, to europocentryczni są przede

wszystkim oni. Nie okłamujmy się: dobrze czy źle zrozumiemy wzór, ku którego realizacji zmierzają, zaczerpnęli z Europy.

Ale prawdę mówiąc nie o to głównie chodzi, lecz o przyjęcie właściwej perspektywy poznawczej.

Współcześnie na Zachodzie modna jest taka postawa heurystyczna, zgodnie z którą w badaniach, w refleksji nad problemem narodu, doświadczenie Europy nie jest ważne, samej zaś odpowiedzi na pytanie szukać wolno jedynie w Afryce, w Nowej Gwinei, ostatecznie w Południowej Ameryce.

A może warto – choćby dla odmiany – spojrzeć na sprawę od innej strony? Może warto wyjaśnić sobie najpierw, co się dokonało tam, gdzie powstała i zrealizowała się idea nowoczesnego narodu? Może ta wiedza o Europie pozwoli nam zrozumieć – po części rzecz jasna – co dzieje się w Afryce?

Po czwarte wreszcie, zwrócono uwagę, że w Ameryce, Europie, nie mówiąc już o Trzecim Świecie, proklamowanie narodu jest z reguły dziełem mniejszości, która bynajmniej nie pyta większości o pozwolenie. Czyli, że od samego początku ów związek narodu i demokracji jawi się w dość wątpliwym świetle.

Jest to stwierdzenie prawdziwe, które pomija to, co w całej sprawie zdaje się być najważniejsze i najciekawsze.

Jeżeli zgodzimy się z tym, że proklamowanie nowoczesnego narodu było najczęściej dziełem inteligencji czy też proto-inteligencji, to przecież nie była to jedyna propozycja, z jaką inteligencja – pisarze, filozofowie, kaznodzieje, politycy – występowała pod adresem „świata” czy swego społeczeństwa. Wręcz przeciwnie, od połowy XVIII wieku inteligenci występowali z mnóstwem najrozmaitszych projektów urzędzenia świata, Europy, danego kraju. Dlaczego ze wszystkich tych pomysłów najlepiej przyjmowany, najbardziej „pokupny” okazał się w końcu „pomysł” czy też różne warianty „pomysłu” nowoczesnego narodu?

Na zakończenie chciałbym wprost wypowiedzieć coś, co chyba i tak jest oczywiste.

Nie wierzę oczywiście w pozytywistyczną utopię całkowitej separacji faktów i wartości. Przedstawione tu propozycje immanentnie związane są ze światem wartości demokratycznych, tyle jedynie, że mówiąc o trudnościach i dylematach starałem się ominąć coś co nazwałbym demokratycznym zaślepieniem.

1979 r.

PIOŁUN I POPIÓŁ  
CZY POLACY I ŻYDZI WZAJEM SIĘ NIENAWIDZĄ?

*Prawdziwy wróg człowieka jest uogólnienie*  
Czesław Miłosz

*I don't believe in running away from problems*  
Justine Wise Polier

Od dawna nęka mnie pytanie: dlaczego piszę? Nie dlatego piszą inni, bo to ich sprawa. Ale dlaczego piszę ja, który uważam, iż świat zalewa mętna, powodziowa fala zadrukowanego papieru, który lubię lasy a nie lubię celulozy, który uważam pisanie za czynność bezwstydną, prawie zawsze jałową i na ogół pozbawioną sensu.

Żyjemy w nadmiarze. Nawet w krajach ubogich, jak Polska, czy wręcz nędzarskich, jak Bangladesz lub Mali, żyjemy w nadmiarze słów i ja się do tego nadmiaru przyczyniam. Dlaczego? Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Jeśli nawet pisuję mało (co jest faktem) i staram się być zwięzły (co, mam nadzieję, mi się udaje), to i tak są to półśrodki, wiadomo zaś, co sądzić o półśrodkach. Złą tedy obroną byłoby, gdybym powiedział, że każde zdanie tego eseju, a już na pewno każdy akapit, mógłby być rozwinięty, upstrzony metaforami, egzemplami, jękiem i wszelkim retorycznym kwieciem. Znaczyłoby to bowiem jedynie tyle, że zrezygnowałem ze stylistycznych skrajności. Co i jest prawdą, szukam bowiem kompromisu. Kompromisu między milczeniem a mówieniem, jak gdyby takie spotkanie w pół drogi było w ogóle możliwe.

Dla czynności pisania istnieje, być może, jedno usprawiedliwienie: to, że ma się coś ważnego do powiedzenia w sposób zrozumiały. Ale tego dowieść mogą jedynie teksty napisane, a i to po opublikowaniu. Jest więc pisanie, w najlepszym przypadku, ryzykiem podejmowanym samotnie.

Spośród ludzi, którzy w czerwcu 1986 r. włączywszy radio usłyszeliby zdanie: „Argentyńczycy są naprawdę wspaniali”, na całym świecie większość wiedziałaby natychmiast, że mowa jest o jedenastu mężczyznach. A nie, jakby z gramatycznego pozoru mogło wynikać, o 31 milionach osobników w różnym wieku i płci obojga. Wspomniani radiosłuchacze zagadnięci o to, jak się owych jedenastu mężczyzn–Argentyńczyków ma do pozostałych 30 999 989 ich współobywateli, tworzących aktualnie żyjący naród argentyński, zapewne nie zrozumieliby pytania. Jest ono w istocie mgliste. Wątpliwe jednak, czy rozumiejąc lub nie, zgodziliby się uznać jedenastu biegających po boisku mężczyzn za wcielenie wszystkich pozostałych Argentyńczyków, lub choćby tylko ich zalet.

Gdy jednak ci sami radiosłuchacze wiosną 1982 r. dowiadawali się od czytającego dziennik speakera czy dziennikarza–komentatora, że Argentyńczycy przegrali wojnę, to zapewne podświadomie uznawali, że w jakiś sposób chodzi o wszystkich Argentyńczyków, niezależnie od płci i wieku. W tym i tych nielicznych, którzy mogli sądzić, że skoro a n i jeden mieszkaniec Falklandów nie chce być obywatelem argentyńskim, wszyscy zaś chcą być poddany mi Jej Królewskiej Mości Elżbiety (drugiej tego imienia na tronie angielskim), to może nie należy ich do argentyńskości przymuszać.

Tyle o Argentyńczykach, o których słyszą przez radio – w określonej porze – Hiszpanie, Holendrzy, Haitańczycy, a także mieszkańcy Dardżylingu, Drohiczyzna, Dunkierki czy Des Moines. Z samymi Argentyńczykami rzecz miałaby się – w omawianych przypadkach – inaczej. Uznaliby oni – wolno mniemać – iż nie tylko przegrali wojnę (dzięki czemu pozbyli się dość nieprzyjemnych władców w upstrzonych orderami mundurach), lecz nadto, że wypisane tu na początku zdanie: „Argentyńczycy są naprawdę wspaniali” w jakiś sposób dotyczy ich wszystkich. Że każdy z nich partycypuje w Diego Maradonie, lub że ów konkretny i pojedynczy Diego stanowi część każdego z nich.

Tak rzecz przedstawia się z niektórymi zdaniami o Argentyńczykach.

Kiedy jednak słyszymy zdanie: „Polacy są antysemitami”, lub: „Żydzi działają na zgubę Polski”, wiemy, że chodzi o wszystkich Polaków (może z wyjątkiem Władysława Bartoszewskiego)

i wszystkich Żydów (może z wyjątkiem Artura Rubinsteina). Wynikałoby z powyższego, że przytoczone zdania o Argentyńczykach są okazjonalne, tj. takie, których rozumienie zależy od okoliczności, w jakich je słyszymy, zaś te o Żydach i Polakach, to zdania analityczne, a może nawet zdania syntetyczne *a priori*. W tym drugim przypadku mielibyśmy do czynienia z dość szczególnym wkładem przeświadczeń potocznych – wśród części Polaków i części Żydów – do filozofii kantowskiej i fenomenologii. Nie są to żarty, a jeśli, to krwawe i przerażające. Weźmy dwa zdania: „W czasie okupacji hitlerowskiej Polacy wydawali Żydów w ręce gestapo”. Oraz: „Żydzi zajmowali wysokie stanowiska w kierownictwie partii komunistycznej i Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego”. Otóż ilość Żydów, którzy zdanie pierwsze rozumieją jako obciążające wszystkich Polaków, oraz ilość Polaków rozumiejących zdanie drugie jako obciążające wszystkich Żydów jest niebezpiecznie wielka.

Podane przykłady służyć mają nie ćwiczeniu umiejętności z zakresu logiki, lecz uświadomieniu czytelnikowi, że już w wypowiedzeniu problematyki, w próbie nazwania rzeczy kryje się mnóstwo pułapek. Można by je łatwo zlikwidować zakazując używania wielkiego kwantyfikatora i dopuszczając jedynie wypowiedzi typu: „Byli i są tacy Polacy...” oraz: „Niektórzy Żydzi...”. I aczkolwiek tak sformułowane zdania mogłyby być prawdziwe, nie znam nikogo, kto wierzyłby w taki nakazowo–językowy sposób rozwikłania, uładzenia stosunków żydowsko–polskich. Znam natomiast ludzi, i to wcale niegłupich, co sądzą, że najlepiej o sprawach polsko–żydowskich w ogóle nie mówić. Cokolwiek bowiem by się powiedziało – będzie źle. Te zwłoki należy zostawić w szafie, a właściwie w pancernej kasie milczenia. I na dowód przytaczają liczne przykłady takiego manipulowania nabołałymi problemami... („Nabołałe problemy?” – można usłyszeć po jednej i po drugiej stronie – „my nie mamy żadnych problemów, to oni...”. Ładna perspektywa dialogu.) Takiego więc manipulowania nabołałymi problemami, z którego korzystali wyłącznie komuniści i antysemita (co nie musi być rozłączne) oraz żydowscy szowiniści. Z trupami w szafach tak się jednak dzieje, że nie wszystkie grzecznie schną i rozsypują się w proch. Najlepsza kasa pancerna ma szczeliny i ho, ho, co się przez nie może sączyć. Skądinąd, pragmatycznie rzecz biorąc, nadzieja na to, że kilkadziesiąt milionów ludzi złoży śluby milczenia na temat, który wielu z nich żywo obchodzi, wydaje się wyjątkowo beznadziejna. Elementarna zaś etyka podpowiada, że jeśli anty-



semityzm i polonofobia są czymś godnym nagany (lub wedle innych pochwały), to jakżeż potępiać lub chwalić milcząc?

Zaś mówić, to natykać się na pułapki słów, czy może raczej rady ukryte pod powierzchnią słów. Zdawałoby się, że można je ominąć na dwa sposoby. Albo założyć, że wszyscy doskonale rozumieją o co chodzi, albo wdać się w uściślenia. Doświadczenie poucza nas, że pierwsze nader często prowadzi ku piramidalnym nieporozumieniom, drugie zaś nierzadko kończy się tak, że po wyjaśnieniu wszystkich możliwych sensów albo zostajemy porażeni przez paraliż precyzji, albo wręcz nie pamiętamy, czego to sensy zostały ustalone.

Czy to wszystkie pułapki zamierzonej tu nawigacji? Bynajmniej: nie są to nawet najważniejsze. Zapewne nie zdają sobie sprawy z tego, ile ich czyha. O dwóch jednak chciałbym powiedzieć.

Pierwsza jest pułapką prymitywnego empiryzmu. Wyraża się ona w następujących zdaniach: „Moją babcię torturował Żyd–ubek. Wszyscy Żydzi są łajdakami, komunistami i nienawidzą Polaków”. I po drugiej stronie: „Kiedy moja babcia wróciła z obozu do Krakowa, to pierwszego dnia usłyszała na ulicy: »Co, tej Ryfki jeszcze nie dobili?« Wszyscy Polacy są antysemitami gorszymi od hitlerowców”. Nazywam takie rozumowanie prymitywnym empiryzmem, ponieważ zakładam, że w obu przypadkach pierwsze człony rozumowania są prawdziwe: babcię pana Iksa torturował ubek, który był Żydem, zaś babcia pani Ygrek to właśnie usłyszała wiosną 1945 r. po powrocie do Krakowa. Takie doświadczenie przechowujemy w naszych rodzinach; traktowane prymitywnie stają się zapleczem demagogii o niezwyklej wręcz napięciu emocjonalnym. I nie dziw – wszak patronują jej dwa najstraszniejsze doświadczenia XX–wiecznej Europy: nazizm oraz komunizm. W ten prosty sposób wszystkim Żydom, nie wyłączając urodzonych przedwcześniej w Kalifornii, przypisane zostaje współuczestnictwo w zbrodniczych poczynaniach garstki realizatorów ideologicznej utopii, dla których komunizm był u c i e c z k ą od żydostwa. Wszystkich zaś Polaków utożsamia się ze szmalcownikami.

Cztery piąte dyskusji na temat stosunku Polaków do Żydów w czasie okupacji hitlerowskiej, to rozważania całkowicie jałowe, choć bardzo namiętne, ponieważ składają się właśnie z takich prawdziwych lub niekiedy zmyślonych przykładów. Na tego doniosła do gestapo córka gospodarza, tamtą uratowała dziewczeczka. Przy takim ujęciu z reguły zapomina się, że w każdym

narodzie znajdzie się trzy procent łajdaków i tyluż bohaterów, zaś rozmowa o stosunku Polaków do „ostatecznego rozwiązania” dotyczyć powinna pozostałych 94 procent, którzy ani nie donosili, ani też nie ratowali. Liczne i gatunkowo różne świadectwa – w tym literatura piękna oraz meldunki komendanta głównego AK, gen. Grota–Roweckiego – mówią o całkowitej obojętności społeczeństwa polskiego wobec zagłady Żydów. Jest to prawda dostatecznie gorzka, bez szmalcowników, którzy zarabiali, i tych sąsiadów–donosicieli, którymi nie kierował ani strach, ani nawet chęć zysku. Jest to zresztą część składowa ogólnej a przerażającej prawdy o obojętności świata wobec zagłady. Prawdy, którą po doświadczeniach Biafry, Kambodży czy Etiopii winniśmy znać wszyscy.

W życiu piszącego te słowa tak się przypadkiem zdarzyło, że gdyby miał podsumować pełne nienawiści wypowiedzi Polaków o Żydach i Żydów o Polakach, z którymi się zetknął w ciągu ostatnich 20 lat – tj. od kiedy czasami dostaje paszport i wyjeżdża na Zachód – to prawdopodobnie tych drugich byłoby nieco więcej. Z czego nic nie wynika, bo po pierwsze, z równym powodzeniem (?) mogło być na odwrót, a po drugie, przy całym szacunku jaki żywię dla empiryzmu, nie cierpię takich jego wersji, które urągają regułom poprawnego myślenia. Mam tedy nadzieję, że śladów tego, co nazywam prymitywnym empiryzmem, w niniejszej próbie się nie odnajdzie.

Nie będzie tu również szlachetności, która każe zamykać oczy na porządek bytu i traktować to, co miłe sercu jako to, co rzeczywiste. Sądzę, że istnieją sytuacje, w których czysta szlachetność stanowić może pułapkę, a wpada się w nią tym chętniej, iż chroni nas ona przed tym, co niemiłe i duchowo niewygodne.

Nie będzie to więc próba o wspaniałych Polakach, którzy z radością powitali zwycięstwo Izraela w wojnie sześciodniowej. Ani o rozczulających Żydach, którzy ze łzami w oczach pytają o ulicę Gęsią lub o Ciechocinek. Jedni i drudzy istnieją naprawdę, tylko nie o nich tu mowa. Nie będzie to bowiem szkic o tym, że już jest dobrze, i że gdy będzie lepiej, to będzie tak dobrze, iż drzewa w raju pozielenieją z zazdrości.

Mowa będzie o tym, że jest źle, i że jeśli ma być nieco lepiej, jeśli wzajemne stosunki Żydów i Polaków mają być choćby przyzwoite – a to wcale niemało – to ci, którym na tym naprawdę zależy, winni wiedzieć nie tylko ku czemu zmierzają, lecz i z jakiego miejsca startują. A miejscem tym nie jest dobra

wola tych spośród nas, którzy chcą coś poprawić, lecz fakt, iż znaczna część Polaków (na całym świecie) i Żydów (na całym świecie, choć paradoksalnie chyba najmniej w Izraelu) żywi ku sobie na codzień uśpioną, a od czasu do czasu wybuchającą nienawiść. Jak znaczna część, jaki procent – tego nie wie nikt i nie sposób tego ustalić. Dla wielu przyczyn. W tym choćby i dla takiej, że Polacy nie-antysemici, oraz Żydzi nie polakożercy, zetknąwszy się z szowinizmem swych rodaków bardzo często milczą. Dlatego, że nienawiść paraliżuje nierzadko również i przyzwoitych ludzi, dlatego, że skłonni są oni do lekceważenia takich wypowiedzi, a to z powodu ich jawnego prymitywizmu i wołających o pomstę paralogizmów, dlatego, że w niektórych przynajmniej sytuacjach uważają, że solidarność z ziomkami obowiązuje bardziej niż nakaz potępienia zła; dlatego wreszcie, że tak jest wygodniej, że milczenie nie wymaga wysiłku. W peerelii dodatkowo rzecz ma się tak, że w obiegu oficjalnym nie istnieje coś takiego jak opinia publiczna, wolność wypowiedzi, swoboda polemiki. Rządzący Polską komuniści mają do antysemityzmu stosunek instrumentalny, o czym znakomicie świadczy kariera Tadeusza Walichowskiego nazywanego niekiedy „dr Głobke peerelu”. Na ogół zachowują się tak, jak gdyby uważali, iż antysemityzm jest przyrodzoną cechą Polaków. Przekonaniu temu dawali wyraz prowadząc w latach 1967–69 kampanię „antysjjonistyczną”, a ostatnio, w 1985 r. wyraźnie się je wyczuwało w sejmowym przemówieniu członka biura politycznego Czesława Kiszczaka, czy w szczególnych manewrach organizowanych wokół filmu *Shoah*. Z drugiej strony, z lubością sugerują Zachodowi – w tym różnym żydowskim działaczom – że tylko oni są w stanie ów antysemityzm powściągnąć. Innym aspektem tego żonglowania „żydowskim” argumentem jest natrętnie ofiarowywanie społeczeństwu polskiemu tarczy, która miałyby je chronić przed zacieklą, antypolskością żydostwa (międzynarodowego, rzecz jasna). Tymczasem jakkolwiek źle układałyby się stosunki polsko-żydowskie, to wszelkie poczynania zmierzające ku ich poprawie muszą się odbywać poza komunistami. Jest bowiem komunizm wspólnym wrogiem Polaków i Żydów, niezależnie od tego, co jedni i drudzy wzajem do siebie czują.

Na pytanie tedy, jaka część Polaków ogarnięta jest paranoiczną obsesją zwaną antysemityzmem, czy jaka część Żydów równie paranoiczną polonofobią, nie umiem udzielić innej odpowiedzi niż ta: wystarczająco duża, by uznać ją za niebezpieczną ze społecznego punktu widzenia. Ze stanowiska moralnego godny

potępienia jest każdy pojedynczy przypadek, ale jak się rzekło, próba niniejsza nie ma być szlachetna.

Innym negatywnym elementem tej sytuacji wyjściowej jest totalna niewiedza. Nie mam się za naiwnego epigona *Aufklärung*, który sądzi, że wystarczy ludzi oświecić, by stali się cnotliwi. Ale faktem jest, że ignorancja rodzi raczej zło niż dobro, a na pewno utrudnia porozumienie. Zaś wzajemna o sobie ignorancja Żydów i Polaków jest po prostu bezmierna, a jednym z jej skutków jest to, iż nie są oni w stanie przewidzieć większości reakcji drugiej strony.

W tę niewiedzę wplątane jest coś, co można nazwać nieświadomą polonofobią i nieświadomym antysemityzmem, a co przejawia się m.in. w posługiwaniu się takimi skamielinami językowymi, które nie muszą być w zamierzeniu obraźliwe, dają jednak wyraz głęboko zakorzenionym przed-sądom. Ich klasycznymi przykładami są zdania: „Żyd, ale porządny człowiek”; „Polak, ale inteligentny”.

A wszystko to przerośnięte jest urazami, kompleksami, podejrzliwością.

I jeśli wyobrażamy sobie, że jest inaczej, jeśli powołujemy się na przykłady Józefa Lichtena, Władysława Bartoszewskiego, Jana Józefa Lipskiego, Szymona Wiesenthala i wielu innych – to nie osiągniemy niczego. Bo nie oni – mimo swe zasługi – są reprezentatywni. Gdyby większość Polaków myślała i postępowała jak o. Jacek Salij, zaś większość Żydów jak Szymon Wiesenthal, mógłbym z czystym sumieniem zająć się czymś znacznie łatwiejszym niż pisanie tej oto próby. Na przykład poprawną wykładnią myśli Heraklita, interpretacją poezji Blake’a lub odnalezieniem sensu w *Samuelu Zborowskim*.

## II

Współczesne stosunki polsko-żydowskie są emocjami w stanie czystym. 95 % Polaków w życiu nie widziało na oczy żywego Żyda i jest to relacja doskonale zwrotna.

## III

Napisałem, iż nie ma to być szkic szlachetny. Co przez to rozumiem, winno się wyjaśnić samo przez całość tekstu. Trzy jednak rzeczy chciałbym powiedzieć wprost.

Nie będzie się tu dowodzić, że nienawiść jest uczuciem wyjąławiającym, ogłupiającym i wskutek tego niszczącym zawsze

tęgo, kto nienawidzi. Jest przeto zła nawet wówczas, gdy nie niszczy tego, kto jest nienawidzony. Nie będzie się też tłumaczyć, dlaczego zasada ta ma sens wtedy i tylko wtedy, gdy uznajemy jej bezwyjątkowość. Jeśli ktoś tego nie wie, lub wie, lecz nie uznaje, to może sobie spokojnie dalszą lekturę podarować, bo ja nie tłumaczę, dlaczego nienawidzenie kogokolwiek, a w szczególności innych narodów, jest niemoralne i głupie.

Druga luka w szlachetności, o której chcę powiedzieć wprost, nie należy do porządku powinności, lecz do porządku bytu. Ludziom szlachetnym zdarza się, że nie mogą sobie wyobrazić zła. Toteż zetknąwszy się z jego przejawami spychają je – w swej świadomości – na margines świata. Pisałem przed chwilą o paranoicznych obsesjach, o kompleksach, urazach, podejrzliwości. Nie jest jednak tak, bym uważał antysemitów czy polonofobów za chorych psychicznie. Wręcz przeciwnie, są to – poza nielicznymi wyjątkami – ludzie normalni, niczym szczególnym się nie odznaczający. I jeśli coś wyróżnia ich, oddziela od całości, którą nazywamy zwyczajowo kulturą europejską, nie jest to niechęć czy wręcz nienawiść do Żydów. Albowiem wybuchająca co jakiś czas nienawiścią mieszanina niechęci, strachu i pogardy dla Żydów stanowi trwałą składnik kultury europejskiej od dwóch tysięcy lat. Podobnie zresztą, włączając kulturę żydowską na obszarze Europy do wspomnianej całości – a inaczej postąpić nie sposób – powiedzieć musimy, że elementem kultury europejskiej jako *totum* jest obawa Żydów przed chrześcijanami, nieufność Żydów do chrześcijan, pogarda dla nich. Ten, kto chce działać na rzecz poprawy stosunków żydowsko-polskich, a nie jest świadom ciężaru dziedzictwa negatywnych składników całej kultury europejskiej – w tym właśnie punkcie nie raz natknie się, po obu stronach, na zdumiewające z pozoru przeszkody.

Kiedy wybitny neurolog francuski, pochodzący z rodziny Żydów polskich oświadcza, że Jan Paweł II jest antysemitą i że on tego dowiedzie, można to uznać za przypadek indywidualnej aberracji. Kiedy w 1946 r. ówczesny biskup ordynariusz diecezji lubelskiej oświadcza, iż proces Bejlisa nie rozstrzygnął ostatecznie sprawy mordów rytualnych, można tylko skamienieć. Nie chodzi mi jednak o reakcje emocjonalne, lecz o uświadomienie czytelnikowi, że obie wypowiedzi wyrastają – niestety – z wielowiekowego dziedzictwa.

Nie uważam, by ludzie byli niewolnikami własnych dziejów. Historiolatria jest poglądem głęboko deprawującym nie tylko w wersji komunistycznej. Nadto zaś tak mglistym, że wręcz

napraszającym się o intelektualną i polityczną szulerkę. Ale równie głupia byłaby ewentualna negacja istotnego wpływu na nasze postępowanie zarówno dziedzictwa – tj. czegoś nicuświadamianego, jak i tradycji – tj. tego, co jakoś tam wybieramy.

Że to banały? Oczywiście. A gdybym ich tu nie wyłożył, przypisano by mi Bóg wie jakie horrenda, których wcale nie wyznaję. Gotówem bronić tego, co głoszę, ale nudzi mnie bycie szarpanym za coś, czego nie napisałem.

Trzecia wreszcie myśl nieszlachetna, którą chciałbym wypowiedzieć wprost, dotyczy problemu zbiorowej odpowiedzialności. Sprawa jest skomplikowana i dlatego przedstawię tu tezy bez opakowania, ilustracji, argumentów za i przeciw. To wszystko można sobie dopowiedzieć. Można też przedstawiony tu pogląd – jak i cały esej – odrzucić.

Wobec prawa człowiek winien być odpowiedzialny j e d y n i e za to, co sam uczynił, lub czego poniechał. Ta sprawa jest jasna. Kiedy jednak przechodzimy do moralności, rzecz komplikuje się niepomierne. Przynajmniej w wypadku dwóch wspólnot: religijnej i narodowej. (Mam na myśli dowolną religię i dowolny naród.) W sprawie religii nie będę się wypowiadał, korzystając z tego, że nie jest ona przedmiotem niniejszej próby. Sądzę natomiast, że w płaszczyźnie moralnej narody odpowiedzialne są za własną historię. A dotyczy to przede wszystkim negatywnych aspektów tej historii, co jest banałem, czyli oczywistością, którą należało tu koniecznie zapisać. Nader bowiem często bywa tak, że gdy dochodzi do rozmowy o złych, nieprzyjemnych rozdziałach czy podrozdziałach historii danego narodu, wówczas okazuje się, że za to odpowiedzialni są i n n i i. I tylko oni.

Przyznaję, że sprawa jest skomplikowana i najeżona trudnościami. A jedna z nich to przejście od tezy ogólnej do konkretnych ludzkich zachowań. Ograniczmy się do wykluczenia dwóch skrajności, resztę pozostawiając zdrowemu rozsądkowi i poczuciu taktu. Otóż n i e m o ż e się owa odpowiedzialność realizować wówczas, gdy ludzie nie przyjmują do wiadomości niemiłych sobie faktów. N i e p o w i n n a zaś realizować się przez wieczne labidzenie na temat: jacy to byliśmy brzydki. I może dodajmy: wbrew temu, co lubi uprawiać na Zachodzie tzw. lewica, nie powinna to być odpowiedzialność „modna”; na Zachodzie do dobrego tonu należy odpowiedzialność za grzechy XIX-wiecznego kolonializmu, ale nie za Jałtę. Co prowadzi do

szczególne rodzaju moralnej ślepoty. Moralność zaś nie może być kwestią mody.

Konkluzja skrajna: naród, który nie chce być moralnie odpowiedzialny za własne dzieje, nie jest wart tego, by mieć historię.

#### IV

Czego właściwie chcę, co pragnąłbym osiągnąć, pisząc ten beznadziejny tekst? By Polacy i Żydzi w gmatwaninie wzajemnych uprzedzeń, oddzieleni przepastną o sobie niewiedzą, nagle się pokochali? Nie jestem ani taki wymagający, ani taki naiwny. Chcę, by chcieli się czegoś o sobie wzajem dowiedzieć, by miast powtarzać brednie zaczęli myśleć, by zachowywali się przyzwoicie miast konwulsyjnie płaszać.

A jeśli tak, to dlaczego piszę o emocjach a nie o faktach, tzn. wbrew mojej pozytywistycznej naturze o czymś, co ani jest wymierne, ani poddaje się racjonalnemu opisowi? Bo jestem głęboko przekonany, że w tej sprawie od wieków emocje dominują nad faktami, oświetlają je, nierzadko wręcz tworzą. Wystarczy wziąć do ręki niemal dowolną relację dotyczącą stosunku chrześcijan do Żydów (i *vice versa*), by stwierdzić, że opis wydarzeń nie jest jasny, natomiast temperatura uczuć z reguły wysoka.

Och, istnieje jeden argument na rzecz owej przyzwoitości, i to argument mocny, przemawiający zarówno do uczuć jak i do intelektu – wspólne zagrożenie, jakim jest dla Żydów i Polaków komunizm. W obliczu tego śmiertelnego dla obu kultur – dla obu, jak to nazywają niektórzy, duchowości – zagrożenia, wszelkie zaszłości rzeczywiste i urojone winny przynajmniej ulec zawieszeniu. To prawda, i można by rzecz rozwinąć, na niej osadzić całość wywodu. Tyle, że byłby to wywód z tekstu o korzyściach i stratach, który zapewne warto napisać. Tak się jednak składa, że niniejsza próba traktuje nie o tym, co korzystne, lecz o tym, co przyzwoite. I w tym właśnie punkcie jestem niemal maksymalistą. Uważam, że wzajemne stosunki polsko-żydowskie winny być przyzwoite nawet wówczas, gdyby komunizmu nie było.

Wracając do pytań. Jeśli mam rację, jeśli nie fakty, a ściślej: nie zdarzenia, lecz emocje stanowią o istocie stosunków żydowsko-polskich, to dlaczego piszę o historii, mając na myśli i tę najnowszą i tę liczącą wieki, a obejmującą całokształt relacji chrześcijan i żydów w Europie? Po części rzecz jasna dlatego, że

są to emocje od wieków przekazywane z pokolenia na pokolenie i najczęściej opowiadane jako dzieje, a nie nagie twierdzenia. Ale przede wszystkim dlatego, że współcześnie wzajemne stosunki Polaków i Żydów są zazwyczaj (i to przez obie strony) przedstawiane w całkowitym oderwaniu od zaplecza europejskiego. W oczach dzisiejszych polskich antysemitów Żydzi sprzysięgli się wyłącznie na zgubę Polski, dziwnie jakoś nie szkodząc, powiedzmy, krajom skandynawskim czy Francji. W oczach współczesnych Żydów-polonofobów w dzisiejszej Europie antysemitami są jedynie Polacy. Absurdalność tej sytuacji daje się, przynajmniej częściowo, wyjaśnić na tle poprzedzającej ją historii. Długiej i zdumiewającej.

I o niektórych spośród tych dziejowych dziwaczności będzie teraz mowa.

#### V

Jedyny naprawdę nieusuwalny zarzut, jaki żydzi mogliby postawić chrześcijanom, brzmi: jak mogliście zawierzyć fałszywemu Mesjaszowi, odrzucić Zakon, zapomnieć, że „Pan jest jeden?”

Jedyny naprawdę nieusuwalny zarzut, jaki chrześcijanie mogliby postawić żydom, brzmi: jak mogliście nie rozpoznać w Jezusie Boga żywego, jak mogliście odrzucić Jego naukę?

Z tych dwóch nieusuwalnych zarzutów daje się wyrozumować – co nie znaczy logicznie wywieść – wachlarz możliwych relacji żydowsko-chrześcijańskich czy chrześcijańsko-żydowskich. Od mieszaniny żalu, współczucia i niechęci, przez potrzebę ścisłej separacji, ku nienawiści o różnym stopniu nasilenia. *In nuce* w zarzutach tych tkwi również świadomość wspólnoty, bez której rozdarcie nie miałoby sensu, nie mogłoby się pojawić. Ale ta dochodzi do głosu dopiero w drugiej połowie XX w. A głos ten – jak na razie – bardzo jest słaby. Napisałem: w drugiej połowie XX w., a należałoby rzecz uściślić – mniej więcej w ćwierć wieku po zagładzie Żydów europejskich. I fakt ten jest znaczący. A znaczy przynajmniej tyle, że lekcja Zagłady jest trudna do przyswojenia.

Wydawałoby się, że w oglądanej *ex post*, przez doświadczenie dwóch tysiącleci, historii tych wzajemnych relacji da się wykręcić jakieś stale działające prawidłowości. Tymczasem albo prawidłowości nie występują, albo ich pogmatwanie przekracza analityczne możliwości autora tej oto próby. Ściśle rzecz biorąc



dostrzegam dwie, z których jedna wydaje się oczywista, druga zaś, przynajmniej z pozoru, zaskakująca. Oczywista głosi, że strona dysponująca siłą będzie miała większe możliwości nadawania swoim emocjom materialnego kształtu. Co znaczy, że przez ogromną większość owych dwóch tysięcy lat stroną aktywną, mogącą znacznie skuteczniej realizować emocje, byli chrześcijanie. Pewna zbieżność dążeń występowała jedynie wówczas, gdy szło o urzeczywistnienie potrzeby separacji. Tu jednak dodać należy, że we wczesnym średniowieczu żadna ze stron takiej potrzeby nie odczuwała, a w każdym razie obie zachowywały się tak, jak gdyby sama różnica spokojnie istniejących obok siebie wyznań stanowiła wystarczającą gwarancję separacji. Część kleru patrzyła na to nieprzychylnym okiem, co wynikało m.in. ze zdumiewająco trwałego, raczej błędnego, a na pewno przesadnego przeświadczenia o prozelityzmie żydów i szczególnej atrakcyjności mozaizmu.

Prawidłowość, z pozoru przynajmniej zaskakująca, głosi, że nasilenie represji wymierzonych przeciw Żydom może być rezultatem albo fanatyzmu religijnego, albo postępującego odreligijnienia konfliktu. W przypadku pierwszym, wewnątrz chrześcijaństwa mogą się znaleźć siły temperujące ów fanatyzm. Fakt, iż była to dość często Stolica Apostolska, poza względami czysto religijnymi tłumaczy się tym, że represje zazwyczaj silniejsze są na „prowincji” niż w „centrum”. W przypadku drugim, nienawiść do Żydów im bardziej odreligijniona tym bardziej staje się jadowita i niepohamowana, aż wreszcie kończy się „ostatecznym rozwiązaniem”. W skomplikowanym przejściu od religijnego, chrześcijańskiego antyjudajizmu do nowoczesnego, świeckiego i ideologicznego antysemityzmu szczególnie smutną rolę odegrali ci przedstawiciele kleru, którzy antysemityzmowi nie tylko patronowali, ale wręcz doń podszczuwali. Zjawisko, powiedzmy wprost, nierzadkie w pierwszej połowie XX w. w Polsce.

Powiedziałem – a dodam: wbrew wielu autorom – że nie potrafię wyodrębnić prawidłowości, które, zdawałoby się, powinny rządzić tymi relacjami. Co więcej, uważam, że dają się tu zaobserwować zjawiska przeczące zdroworozsądkowym supozycjom. Co świadczy jedynie o ograniczonych możliwościach wyjaśniających zdrowego rozsądku, do którego mimo to jestem przywiązany.

Mogłoby się więc wydawać, że im bliżej w porządku historycznym i „logicznym” tego, co nazwałem „nieusuwalnymi zarzutami”, tym wzajemna nienawiść winna być silniejsza. Tymczasem

z perspektywy dwóch tysięcy lat rzecz wygląda raczej na odwrót. Chciałoby się wręcz powiedzieć – i to mając w pamięci nieliczne wszak świadectwa tamtego czasu – że im dalej od „nieusuwalnych zarzutów”, tym nienawiść i jej rezultaty stają się bardziej śmiertelne. Przede wszystkim im dalej w „porządku logicznym”. Im dalej dojrzałe oraz późne średniowiecze – nie mówiąc już o czasach nowożytnych – posuwa się w ograniczeniach prawnych narzucanych żydom i w represji fizycznej, tym rzadziej mowa o tym, że nie uwierzyli – co jest faktem – i tym częściej pojawiają się zarzuty teologiczne dziś *ex cathedra* uznane za fałszywe lub zgoła fantastyczne: szerzenie zarazy, zatrucie studzien i wreszcie „mord rytualny”, z którego jeszcze w latach sześćdziesiątych korzystała w Polsce bezpłaska szerząc plotki wokół zabójstwa Bohdana Piaseckiego. To w średniowieczu pojawia się mieszanina antyjudajistycznych zarzutów mających pozór religijności z zarzutami całkowicie „świeckimi”. Mieszanina, w której – w miarę upływu czasu – przeważać zaczynają te drugie, co w XIX w. doprowadzi do powstania zupełnie niereligijnego i czysto ideologicznego antysemityzmu.

W porządku historycznym dokonało się w ciągu dwóch tysięcy lat przejście od „nieusuwalnego zarzutu teologicznego”, którego śmiertelność była w końcu ograniczona i wcale niekonieczna, do nieusuwalnego zarzutu rasowo-ideologicznego, którego śmiertelność jest konieczna i nieograniczona. Również i w tym sensie, że antysemityzm ideologiczny produkuje Żydów wedle własnych potrzeb. Toteż zapewnienia, że wrodzona Polakom rycerskość nawet ideologicznych i rasistowskich antysemitów przed czymkolwiek by wstrzymała, wolno traktować jako samooszukiwanie się. Nie chodzi tu zresztą szczególnie, czy też wyłącznie, o Polaków. Uwaga o śmiertelnym charakterze ideologicznego szowinizmu dotyczy wszystkich nacji. A trzeba powiedzieć, że nienawiść Żydów do Polaków – tam, gdzie występuje – nosi wyraźne znamiona rasizmu. Wedle tych bowiem polakożerczych wypowiedzi, Polacy są antysemitami w sposób przyrodzony i nieuleczalny.

Pojawiające się w publikacjach drugiego obiegu odróżnienie antysemityzmu „politycznego” i „patologicznego” jest dość wątpliwe. Mamy wszak do czynienia z racjonalizacją i „operacjonalizacją” emocji, tj. czynnika irracjonalnego – więc jak tu wytyczać granice między „polityką” a „patologią”. Fakt, iż pierwotną materią antyjudajizmu i antysemityzmu stanowi to, co irracjonalne, sprawia, że wbrew twierdzeniom wielu historyków

trudno powiedzieć, dlaczego tu a nie tam, dlaczego wówczas a nie kiedy indziej. Spośród wielkich ran w świadomości żydowskiej, dwie dotyczą krajów – Hiszpania i Polska – gdzie religijny i realizowany z żelazną konsekwencją przez Inkwizycję antyjudajizm, oraz ideologiczny antysemityzm pojawiły się po wiekach pokojowego współżycia.

Wydaje się, iż drogi, którymi chadza ludzka nienawiść są równie niezbadane, co drogi Opatrzności. Z tym, że ani historyk, ani socjolog tymi drugimi nie muszą i chyba nie powinni się zajmować.

## VI

To, co napisałem przed chwilą o przejściu od religijnego antyjudajizmu do ideologicznego antysemityzmu wymaga uzupełnienia.

Raul Hilberg twierdzi, że w gruncie rzeczy, jeśli chodzi o zohydzenie Żydów, nazizm nie wymyślił niczego nowego, a jedynie powtarzał to, co od wieków głosili różni chrześcijańscy teolodzy, kaznodzieje, autorzy pism ulotnych i politycy. Zwraca też uwagę na to, że setki czy też tysiące anonimowych urzędników III Rzeszy, bez których uruchomienie ogromnej maszyny *Endlösung* byłoby niemożliwe, uważało się za dobrych chrześcijan, że zapewne chodzili regularnie do zborów i kościołów, i swej urzędniczo-katowskiej pracy nie uważali za coś w jakikolwiek sposób sprzecznego z chrześcijańskim sumieniem.

Myślę, że obserwacja druga jest bez wątpienia prawdziwa. Należałoby ją umieścić w przyszłej historii stosunku kościołów chrześcijańskich do nazizmu. Być może kiedyś napisane zostanie to wielkie, dwutomowe dzieło: t. I – Indywidualne sumienie i totalitaryzm; t. II – Religie zinstytucjonalizowane i totalitaryzm. I może nawet będzie czytane.

Co się zaś tyczy tezy pierwszej Hilberga, to wydaje się, że znakomity historyk przeoczył jeden drobiazg praktyczny i jeden kapitalny problem teoretyczny.

Praktyczny drobiazg to fakt, że w ciągu wieków religijnych kampanii antyjudajistycznych, żydostwo europejskie żyło, rozwijało się i miało okresy wspaniałego rozkwitu myśli religijnej, filozofii czy autentycznej kultury ludowej. Otóż naziści zapewne przeszli od religijnych pisarzy chrześcijańskich część antyjudajistycznej argumentacji, tyle tylko, że uzupełnili ją pomysłem zwa-

nym „ostateczne rozwiązanie”. I pomysł ten w znacznej mierze udało im się zrealizować.

Problem teoretyczny sformułować można w sposób następujący: wyznania chrześcijańskie miały wbudowane dwa – nazwijmy to umownie – mechanizmy. Pierwszym z nich był ambiwalentny stosunek do judaizmu i jego wyznawców, co może najzwyczajniej oddaje XV-wieczna formuła teologiczna, wedle której bycie żydem jest przestępstwem niekaralnym. Drugi mechanizm składa się z szeregu zakazów i nakazów, które przynajmniej w teorii uniemożliwiają pojawienie się samego pomysłu masowej zagłady, nie mówiąc już o jego realizacji. Jego związki z podstawami chrześcijaństwa są oczywiste. Ale również mechanizm pierwszy, tj. dwoisty stosunek do mozaizmu, zdaje się być związany nie tylko z „genezą”, lecz i ze „strukturą” chrześcijaństwa.

Działanie obu czynników, nazwanych tu umownie mechanizmami, widać wyraźnie na przykładzie koncepcji „nieczystej krwi” żydowskiej. Koncepcja ta powstała w XVI w. w środowisku inkwizycji hiszpańskiej, tj. wśród kleru, jako próba upromocnienia praktyk tejże. Miała mianowicie uzasadnić konieczność stałego i drobiazgowego nadzoru nad marranami (tj. nawróconymi pod przymusem żydami) i to w trzecim, a niekiedy w czwartym pokoleniu, co miało być konieczne z uwagi na to, że żydowska krew, by tak rzec, nie przyjmuje chrześcijaństwa. Była to więc próba stworzenia religijnego rasizmu. Otóż mająca wcale licznych i potężnych popleczników, koncepcja ta została w końcu ze względów doktrynalnych odrzucona.

Nikt przytomny nie będzie twierdził, że „mechanizmy” te działały w sposób automatyczny i bezbłędny; średnia choćby znajomość historii Europy dostarcza licznych przykładów ich zawodności. Ale faktem jest, że działały, że ich dziwaczna czasami skuteczność uchwytana jest w ramach historii „długiego trwania”, że bez nich żydów w Europie po prostu by nie było. Jako że fizycznie zawsze, a emocjonalnie dość często, chrześcijan stać było zarówno na wytrzebienie (patrz Prusowie i Jadžwingowie), jak i na nawracanie metodą karolińską (patrz Sasi). W stosunku do żydów tej ostatniej metody w skali całego kraju próbowano dwukrotnie i oba razy (VII oraz XVI w.) na półwyspie iberyjskim.

Otóż wracając do punktu wyjścia tego fragmentu, tj. polemiki z amerykańskim historykiem, powiedzieć trzeba, że ideologiczny antysemityzm nie ma wbudowanego żadnego ze



wspomnianych mechanizmów hamujących, właściwych religijnemu antyjudajizmowi średniowiecza i początku czasów nowożytnych. Jak wiadomo, wręcz przeciwnie.

Refleksji i analizy warta jest jednak tragiczna bezkolizyjność przechodzenia religijnego antyjudajizmu w ideologiczny antysemityzm. Na to się godząc, temu nierzadko przytakując, duchowni chrześcijańscy...

Dodać tu trzeba, że również Żydzi przez długi czas nie zdawali sobie sprawy z różnicy zachodzącej między tymi dwoma zjawiskami i traktowali XX-wieczny antysemityzm jako kolejną, niczym się od poprzednich nie różniącą, falę prześladowań.

Można powiedzieć, że owo niezrozumienie odmienności ideologicznego antysemityzmu stanowi część dość powszechnego niezrozumienia istoty i odmienności totalitaryzmu. Byłoby w tym sporo racji i mało pociechy.

## VII

Czy naprawdę mam wyjaśniać, jaki jest mój stosunek do religijnego antyjudajizmu chrześcijaństwa (i zarazem do antychryścjanizmu religii moich przodków)?

## VIII

Tyle na razie o żydach i o chrześcijanach. Bowiem bez tej części dziedzictwa europejskiego to, co się działo i dzieje między Polakami i Żydami, redukuje się do tez głoszonych przez polskich antysemitów i żydowskich polonofobów. Że mianowicie Polacy tacy już są, iż nienawidzą Żydów, lub iż Żydzi tacy już są, że nic tylko by Polsce szkodzili a szkodzili. Bo taki jest porządek świata.

Zacznijmy od konstytutywnej cechy żydowskiej polonofobii. (Cała sprawa jest tak obolała, że z równym niepowodzeniem zacząć można w dowolnym miejscu, bowiem szukanie „początku” naprawdę nie ma sensu.)

Gdyby Żydzi (mam na myśli wielu spośród tych, których spotykałem we Francji, w Anglii, w Belgii i w RFN-ie) twierdzili, że w XX w. antysemityzm był szczególnie silny w Europie środkowej oraz wschodniej, byłaby to teza po prostu prawdziwa. Otóż nie mówią oni o Słowakach, Ukraińcach, Litwinach, Rosjanach czy Austriakach — zawsze wyłącznie o Polakach (oczywiście „wszystkich”). Nazwałem tę cechę konstytutywną, bowiem w istotny sposób różni ona występujące wśród Żydów polakożer-

stwo od mającej religijne zaplecze niechęci żydów do chrześcijan. Ta druga związana była z całym światem wartości zapisanych w Talmudzie, w komentarzach rabinów, w całości kultury, i przez całość hamowana oraz ograniczana. Przez wieki też służyła zachowaniu żydowskiej odrębności. Polonofobia jest areligijna i nie służy niczemu, chyba że — pośrednio — komunizmowi, co czyni ją dodatkowo szkodliwą dla samych Żydów.

Zwierciadlanosć nienawiści w stosunkach polsko-żydowskich jest zaiste zdumiewająca. Współczesny polski antysemita nie twierdzi, że Żydzi działają na szkodę Stanów Zjednoczonych lub Szwecji, że sprzyśleli się na zgubę Rumunii, Węgier czy Gruzji. Nie. Jak w oczach żydowskiego polonofoba antysemitami są wyłącznie Polacy, tak w historiozoficznej fantasmagorii polskiego antysemity jedynym przedmiotem zdradzieckich kno- wań Żydów jest Polska.

Nie będę polemizował z tymi wizjami świata. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na pewną związaną z nimi osobliwość. Otóż jeżeli możemy zasadnie powiedzieć, że niechęć do judaizmu oraz do Żydów jest w kulturze europejskiej czymś „normalnym” (w sensie statystycznym, tzn. częstotliwości występowania w długich okresach) — to gdy rozmawiamy z konkretnym żydożercą odnosimy nieodparte wrażenie, że mamy do czynienia z paranoikiem. Antysemita bowiem zachowuje się podobnie jak osobnik w stanie depresyjno-maniakalnym, przekonany, że „oni” chcą go zabić. To znaczy, jest w stanie wchłonąć wszystkie argumenty i przystosować je do własnej wizji świata. Podobnie zachowuje się przekonany Żyd-polakożerca. (Zauważmy, że jest to postawa charakterystyczna dla wyznawców wszelkich ideologii o wyraźnych cechach totalitarnych. Tzw. ideowy komunista jeśli chce utrzymać względną homeostazę musi zachowywać się jak paranoik, a ponieważ nie jest paranoikiem, musi przeto po wielokroć dokonywać operacji samoosłepienia.)

Niechaj mi wolno będzie dokonać w tym miejscu ostrego skrętu ku sprawie jednostkowej; nie zarzuci mnie przy tym — mam nadzieję — poza szeroki trakt uprawnień gatunku.

Chodzi mi o reakcję na film Claude Lanzmanna *Shoah*. Nie będę się tu zajmował ani komunistycznymi manipulacjami wokół filmu, ani wypowiedziami *ex post* samego Lanzmanna, jako że dzieło sztuki dokumentalnej, jakim niewątpliwie jest *Shoah*, istnieje na szczęście niezależnie od nich. Nie mogę natomiast pominąć — skoro już w tę stronę skręciłem — jednego indywidualnego odbioru. Mam na myśli artykuł Jerzego Turowicza pt.

*Shoah i Polacy.* Fakt, iż człowiek takiego umysłu i takiej prawości mógł do tego stopnia nie zrozumieć wymowy filmu, dowodzi, że stosunki polsko-żydowskie są obolałe w sposób zaprawdę zatrzęsający.

*Shoah* jest filmem o zagładzie Żydów i obojętności świata wobec zagłady. Pretensje o to, że Lanzmann nie mówi o ratowaniu i pomocy są równie celne, jak żale do pobudki o to, że nie usypia. Polacy w tym filmie należą nie do substancji, lecz do przypadłości. *Shoah* jest dziełem stworzonym niewątpliwie przez człowieka nawiedzonego, w tym sensie, w jakim nawiedzony był Dostojewski, czy w pewnych okresach Mickiewicz. W tym wstrząsającym dziele brak mi jednego pytania i jednej odpowiedzi: „Czy w czasie pobytu w getcie (w Treblince, w Terezynie) słyszał pan coś o Babim Jarze?” Odpowiedź musiałaby być negatywna, ale to nieważne. Ważne jest, że w filmie nie padła nazwa Babi Jar. Otóż uważam, że artyście wolno być człowiekiem nawiedzonym. Ale nawiedzonemu nie wolno być cwaniakiem.

## IX

*Pièce de résistance* polskiego antysemityzmu: Żydzi od dawna byli komunistami i nienawidzili Polaków – stąd ich masowy udział w narzucaniu Polsce władzy komunistycznej i ich skwapliwa partycypacja w kierownictwie komunistycznego aparatu represji. Należy przy tym przypomnieć, że argumentem tym posługiwali się wszyscy, którzy akurat z takich czy innych względów chcieli zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego w tę właśnie stronę. „Wszyscy” w danym przypadku odnosi się zarówno do „klasycznych” antysemitów, jak i komunistów, a także tej części kleru, która nie chciała potępić pogromu kieleckiego (i innych analogicznych, np. w Rzeszowie).

*Pièce de résistance* żydowskiej polonofobii: Polacy – jako że z przyrodzenia antysemitami – brali masowy udział w hitlerowskiej eksterminacji Żydów, która bez polskiego współdziałania byłaby niemożliwa, czego dowodzi znany fakt, iż ukrywający się na „aryjskich papierach” Żydzi znacznie bardziej bali się Polaków niż Niemców.

Ujmując rzecz zwięźle, w jednym zdaniu: obie strony oskarżają się o współpracę – na zgubę strony przeciwnej – już to z nazizmem, już to z komunizmem (i to w jego stalinowskiej fazie), tj. o kolaborację z najbardziej zbrodniczymi reżymami w dziejach świata.

W tym miejscu można by powiedzieć: no i o co chodzi? Z III Rzeszą współpracowały liczne rządy europejskie, w tym nie tylko takie, które dziś są powszechnie uznawane za zdradzieckie względem własnych narodów (Francja, Słowacja, Węgry itd.), ale również rząd Jego Królewskiej Mości (Monachium), że nie wspomnę o pakcie Ribbentrop–Mołotow. Ilość zaś niczym nie przymuszanych, całkowicie dobrowolnych popleczników, pomocników i gloryfikatorów komunizmu była i jest od lat siedemdziesięciu tak wielka, że spokojnie można by sięgnąć po siedem zer. Czy więc nie należałoby stwierdzić: o co chodzi? Skoro inni też – to odpuścić i tyle; nikt nie musi być ani lepszy, ani bardziej pamiętliwy.

Można by tak powiedzieć, ale ja nie potrafię. I to nie dlatego, że przeciw takiemu ujęciu sprawy przemawiają względy praktyczne: nie byłoby to skuteczne. Mego oporu przeciw niby-odpuszczeniu, opartemu na argumentie, że „przecież inni też” nie potrafiłbym przywozić wyartykułować. Nie chodzi mi bowiem o sprawę skądinąd oczywistą: „inni też” to argument z dziedziny statystyki, a nie przyzwoitości. Bo poza tym tkwi we mnie jakieś ograniczenie, które każe powiedzieć: nic mnie nie obchodzi inni, choćby i znacznie szczęśliwsi lotofagowie, ja chciałbym tę sprawę dopowiedzieć zapewne nie do końca, ale tak daleko, jak mnie na to stać.

Zacznę więc od stwierdzenia, że w obu obłąkanych generalizacjach zawarta jest jakaś część prawdy. I jedyna możliwość obalenia tych generalizacji o niesłychanej sile perswazyjnej prowadzić musi przez wydobycie owej prawdy, tj. oddzielenie jej od fałszu.

Czy jednak, ku temu zmierzając, nie popełniam błędu polegającego na próbie przekonania tych, których przekonać się nie da? Mam nadzieję, że nie, a to dlatego, że nie zwracam się do nich. Z góry zakładam, że w normalnych, przyzwoitych stosunkach między narodami, istnieją grupki „nieprzekupnych”, którzy zawsze będą uważali, że źródłem wszelkiego zła, są ci „inni”. Dla niektórych Gruzynów będą to jak wiadomo Ormianie i *vice versa*; w Polsce, w drugim obiegu, ten typ „nieprzejednanego” antysemityzmu prezentują publikacje Unii Nowoczesnego Humanizmu. Może złe mi to wystawia *testimonium*, ale nie zależy mi na tych „nieprzekupnych” czy też nieuleczalnych; niech się sami zbawiają – ostatecznie są ludźmi i dysponują wolną wolą. Pisząc ten esej mam na myśli tych, którzy stykając się z antysemityzmem czy jadowitą polonofobią, powiadają: no, Iks oczywiście-

cie przesadza, ale coś z tymi (Żydami, Polakami) jest nie w porządku. I tych, którzy słuchając polakożerczych czy antysemitycznych wypowiedzi, myślą tak: gdyby tu był jakiś Polak (Żyd) to bym zaprotestował, bo nie wypada obrażać innych, ale skoro jesteśmy między swoimi, to co mi tam. Innymi słowy, mam na myśli tych, którym nie przychodzi na myśl, że antysemityzm hańbi nie Żydów, lecz Polaków, polakożerstwo zaś źle świadczy nie o Polakach, lecz o Żydach.

## X

To jest raczej próba opisu i wyjaśnienia, niż oddania sprawiedliwości. Stąd pozór dążenia do symetrii: może w ten sposób uda się zrobić coś z tą chorą gmatwaniną. Skądinąd nie wydaje mi się, by sprawiedliwość polegała na symetrii. Raczej sędzę, że można — parafrazując Tuwima — powiedzieć, iż symetria jest etyką głupców.

## XI

Jak to się stało, że w niektórych krajach (Rosja, Polska, Węgry) udział Żydów w ruchu komunistycznym był znaczny? Przy czym był to udział procentowo wysoki nie w stosunku do ilości Żydów zamieszkujących dany kraj (w Polsce kilkanaście tysięcy na trzy miliony), lecz w stosunku do liczebności partii komunistycznych. Zwyczajowa odpowiedź brzmi: działa się tak ze względu na rozpowszechniony w tych krajach antysemityzm. Uważam, iż jest to odpowiedź nieprawdziwa, ale o tym za chwilę. Na razie ujmę rzecz łagodniej i powiem, że jest ona niezadowolająca zarówno w płaszczyźnie faktycznej, jak i moralnej. Jeśli chodzi o fakty, to wyjaśnienie okazuje się co najmniej niewystarczające, chociażby z uwagi na to, że w okresach, gdy komunizm bywał modny w Stanach Zjednoczonych, to zarówno w samej partii komunistycznej, jak i wokół niej było stosunkowo wielu Żydów. I aczkolwiek w Stanach istnieli antysemici, to w porównaniu z Węgrami, Polską czy Rosją, była to kaszka manna z mlekiem. Z drugiej strony, w ojczyźnie ideologicznego antysemityzmu, we Francji, udział Żydów w ruchu komunistycznym był niewielki, a we władzach partii wręcz znikomy. Tyle o stronie faktycznej, jeśliby zaś traktować owo wyjaśnienie jako u s p r a w i e d l i w i e n i e — a bywa w ten sposób traktowane — to brzmi ono tak, jak gdyby ktoś powiedział: ponieważ napastowali

mnie syfilitycy — zostałem trędowatym. (Przepraszam syfilityków i trędowatych.)

Powiedziałem, że w kwestii, którą analizujemy, antysemityzm jest wyjaśnieniem co najmniej niewystarczającym. Dopowiem: by antysemityzm mógł odegrać rolę bodźca skłaniającego w stronę komunizmu, musiały działać dodatkowo inne okoliczności. Przede wszystkim te, które sprawiają, że do partii komunistycznych wstępują Japończycy, Polacy, Egipcjanie i Włosi. Gdy ktoś powiada, że antysemityzm skłaniał Żydów (może jednak wypada dodać: niektórych) ku komunizmowi, mówi tym samym, że oprócz czynników działających powszechnie, występowało w danym przypadku coś, co pchało w tę stronę Żydów jako Żydów. Otóż uważam, iż w kulturze każdego narodu istnieją składniki umiejętnie wykorzystywane przez komunistów. Mogą to być właściwości z pozoru zupełnie obojętne lub co najwyżej z lekka irytujące — jak w przypadku Francuzów zamilowanie do czczej retoryki.

Myślę, że w kulturze żydowskiej istniały trzy składniki ułatwiające komunizmowi dostęp do niektórych Żydów właśnie dlatego, że byli Żydami. Po pierwsze, niezwykle charakterystyczny dla tej kultury legalizm, nierzadko zaprawiony zamilowaniem do kazuistyki, po drugie — szczególnie status tzw. asymilowanych Żydów, i po trzecie — rozpowszechnione, nie tylko wśród Żydów, przeświadczenie, że tzw. lewica z istoty swej nie może być antysemitka. (Uważam, iż podział na „lewicę” i „prawicę” jest na pewno mylący dla XX w. i dość często zawodny przy analizach sytuacji w wieku XIX, toteż proszę czytelników, by używane w dalszym ciągu pojęcia „prawicy” i „lewicy” traktowali zawsze jako ujęte w cudzysłów.)

Wyjaśniać powyższe hipotezy będę w innym porządku, niż je przedstawiłem. A zacznę od sprawy najprostszej. Przeświadczenie, iż lewica substancjalnie nie może być antysemitka (szereż: że nie może głosić nienawiści do innych narodów) jest fałszywe. Antysemitą był Proudhon — niewątpliwy socjalista—anarchista, a zatem człowiek lewicy. Antysemitą był Fourier. Antysemitka była część Narodnej Woli. W życiu prywatnym antysemitą był Marks. Antysemitami *avant la lettre*, i to zagorzałymi, byli Voltaire i Holbach, bez wątpienia ludzie lewicy *avant la lettre*. Z wyjątkiem prywatnego antysemityzmu Marksa, o czym wiedzą przede wszystkim ci, którzy zetknęli się z biografią jego młodszej córki Eleonory, wymienione tu fakty są dość łatwo dostępne, tyle że wstydliwie ukrywane. Historyk francuski,

Leon Poliakov, autor powołujący się raczej na Voegelina i Besançon, niż na – powiedzmy – Sartre’a, czuje się jakby zażenowany antysemityzmem Voltaire’a i wdaje się w dywagacje na temat nieszczęśliwego dzieciństwa „patriarchy z Ferney” oraz jego kompleksu kastracji. Mój Boże, a cóż my wiemy o dzieciństwie Juljusa Streichera i o tym, co chciał, czy też czego nie chciał sobie obciąć! W przedmiocie antysemityzmu nie istnieje żadna substancjalność ani lewicy, ani prawicy. Istnieje jedynie prawdopodobieństwo, że... A i to nie tak wielkie, jakby się mogło wydawać. Boć mogłoby się wydawać, że dobrzy katolicy nie powinni się godzić na ideologiczny antysemityzm, a w XIX i XX w. – np. od burmistrza Wiednia, Leugera, poczynając – roilo się od chrześcijańskich, ideologicznych i partyjnych antysemitów.

Skąd tedy wziął się fałszywy pewnik, że ludzie lewicy, a więc socjaliści, a zatem komuniści, nie mogą być antysemitami? Podejrzewam, że ze zbiegu okoliczności, czyli tzw. kaprysu historii. Na przełomie XIX i XX w. zbiegło się kilka spraw, które wcale nie musiały być współbieżne: ostateczne wykrystalizowanie się nowoczesnego antysemityzmu, narodziny syjonizmu, sprawa Dreyfusa, zaangażowanie się po stronie dreyfusardów Jaurès (którego zresztą trzeba było do tego namawiać) i wreszcie fakt, że Bebel i Wilhelm Liebknecht byli przeciwnikami antysemityzmu, co nadało kierunek najpotężniejszej wówczas partii socjal-demokratycznej.

Zrodzona na przełomie wieków pomyłka, tj. przyjęcie za pewnik czegoś, co było rezultatem przypadku, wzmocniona została przez to, co nazwałem legalizmem kultury żydowskiej. Religia Mojżeszowa jest religią Przymierza, tzn. umowy między Panem a jego Ludem (i nie tylko, wszak pierwsze Przymierze, zawarte z Noem, dotyczy całej ludzkości). Jedną z dwóch zasadniczych części myśli rabinackiej nazywa się Halacha, co wyłożyć można jako Prawo, i składa się z wykładni i komentarzy do zakonu. (Nawet wykształcony chrześcijanin jest zdumiony, gdy dowiaduje się, że Talmud zawiera jednoznaczny i bezwyjątkowy zakaz kary śmierci.) Responsy rabinów są również w znacznej mierze tekstami prawniczymi. Pogląd, iż dla judaizmu podstawowym pojęciem jest Prawo, podczas gdy dla chrześcijaństwa Łaska (ew. Miłość), w wersji radykalnej charakterystyczny jest dla marcjonizmu. Jest on nie do przyjęcia, przede wszystkim ze względu na ewidentną niezgodność z tekstem Starego i Nowego Testamentu, nadto zaś, dla wierzących, żydów i chrześcijan, ze względów religijnych. Wolno jednak – mniemam – ująć rzecz tak:

w kulturze żydowskiej dominantę stanowi pojęcie Prawa, w chrześcijańskiej – pojęcie Łaski. Otóż z kultu prawa (nie Zakonu) wynikało przeświadczenie części Żydów, że problem antysemityzmu można rozwiązać przy pomocy prawnych zakazów, i że uczyni to komunizm. Dwa tragiczne nieporozumienia. Po pierwsze, w komunizmie nie ma żadnego prawa, po drugie zaś, gdyby nawet istniało, to i tak nie byłoby w stanie rozwiązać żadnego konfliktu narodowego. Prawo może zakazywać czynków, ale nie na mocy nakazywania emocji.

Jeśli więc niektórzy Żydzi sądzili, że komunizm jest środkiem przeciw antysemityzmowi, to przede wszystkim byli głupi; mogli się wielokrotnie przekonać, że jest to środek nie tylko zawodny, ale znakomicie przyczyniający się do rozrostu tego, co miał likwidować. A jeśli się nie przekonali, to są tak beznadziejnymi głupcami, że wręcz napraszają się o wszystko, co ich spotka.

Ale tak naprawdę, to sądzę, że w przypadku większości Żydów, którzy zgłosili akces do komunizmu, chodziło nie o antysemityzm, lecz o próbę ucieczki przed własnym żydostwem. I tu docieramy do tego, co nazwałem szczególnym statusem tzw. asymilowanych Żydów.

## XII

Umówmy się, że proces przechodzenia rozrzuconych po Europie społeczności żydowskich od statusu feudalnego i bardziej religijnego niż narodowego do kultury oraz cywilizacji społeczeństwa zindustrializowanego określimy mianem emancypacji. Dokonajmy też od razu zastrzeżenia, że w przypadku, o którym mowa, wbrew etymologii, owa emancypacja wcale nie oznaczała jednoznacznego przejścia od stanu niewoli do wyzwolenia. To, co powszechnie traktowane jest jako li tylko zniewolenie, zawierało różny, zależny od kraju, a nawet miasta, zakres wolności, niekiedy dla żydów nader ważnych. To, co traktowane jest jako jednoznaczne wyzwolenie, niosło z sobą różnego rodzaju niedogodności, wcale dla pobożnych żydów istotne. A oto modelowa ilustracja: powszechne prawo wyborcze i obowiązek powszechnej służby wojskowej. Ze to drugie niesie z sobą konieczność łamania przepisów religijnych, że związane jest z gwałtem i zabójstwem, tj. zachowaniami jednoznacznie potępianymi przez tradycyjną kulturę żydowską – to było dla wierzących ży-



dów oczywiste. Natomiast korzyści płynące z udziału w wyborze posłów do parlamentu wcale nie musiały im się jawić z kartezyjską ewidencją. Emancypacja, nawet w wersji najpomyślniejszej – a wersje rzeczywiste bynajmniej nie były sielankowe – zawsze miała charakter procesu wielokolizyjnego, zawsze odbywała się na zasadzie „coś za coś”. W generaliach proces był „przesądzony” o tyle, o ile wynikał z mechanizmu powstawania społeczeństw obywatelskich, procesów uprzemysłowienia, a także laicyzacji. W Europie traktowanej jako całość, w sferze świadomości procesy te nie są zakończone do dziś, czemu daje świadectwo twórczość tak wybitnych pisarzy jak Isaac B. Singer czy Henryk Grynberg. W sferze prawno-obyczajowej rzecz trwała gdzieś do końca XVIII w. po „ostateczne rozwiązanie”. (Emancypacja Żydów rosyjskich to problem o tyle odrębny, że odbywała się poza społeczeństwem obywatelskim, którego ani w Rosji, ani tym bardziej w Kraju Zwycięskiego Socjalizmu nie było i być nie miało.)

Założmy tedy dla uproszczenia, że proces emancypacji trwał bez mała dwa wieki. Pierwsza połowa tego okresu odbywała się – światopoglądowo rzecz biorąc – pod patronatem Oświecenia w szerokim sensie terminu. I jak większość cennych pomysłów *Aufklärung* było to nadmiernie optymistyczne w założeniach oraz niezupełnie jasne w zakresie celu ostatecznego. Na przykład postulatów równości wobec prawa, kierowanemu do pracodawców, towarzyszył często postulat pod adresem żydów, by porzucili swe „zabobony”. Pierwsze było mniej więcej klarowne, drugie raczej nie.

O szczególnych warunkach, w jakich przebiegał proces emancypacji żydów w Polsce, będzie mowa w oddzielnym fragmencie. Generalnie rzecz biorąc, można ów proces porównać do karawany wozów, które wyruszają w podróż w nieznanym kierunku i nieprzetartym szlakiem. Po drodze poszczególne pojazdy zatrzymują się w różnych miejscach, skręcają, spotykają się i znów rozjeżdżają. W sferze kultury emancypacja musiała oznaczać włączenie do tradycji żydowskiej edukacji rosnących obszarów wiedzy świeckiej i „nie-żydowskiej”, a w praktyce, w trzecim lub czwartym pokoleniu, zepchnięcie jej na margines. Tak było najczęściej, choć oczywiście nie zawsze. W sferze politycznej pełny wachlarz możliwości emancypacyjnych pojawił się na przełomie XIX i XX w. wraz z powstaniem żydowskich partii politycznych (syjoniści, Bund, tzw. partie religijne).

Powysze dotyczyło przede wszystkim takiego urzeczywist-

nienia emancypacji, które zachowywało żydowską tożsamość. Istniały jednak i takie wersje, wedle których celem ostatecznym miało być już to zlikwidowanie jakichkolwiek różnic między żydami i nie-żydami, już to maksymalna redukcja tego, co uważane było za „żydowskość”. W tym przypadku mówiono o asymilacji, tj. upodobnieniu. I pewnym szczególnym aspektem asymilacji chciałbym się tu zająć.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że asymilowani Żydzi wnieśli. Nazwiskami można by sypać przez całe stronicy, co sobie i czytelnikom podaruję, jako że ten aspekt asymilacji obrabiany był do znudzenia, a właściwie do ośmieszenia. Rzadziej natomiast zwraca się uwagę na stosunek Żydów asymilowanych do ich pozostałych współziomków. Zarówno Hannah Arendt jak Izajasz Berlin pisali, iż asymilowani Żydzi – jak gdyby zdając sobie sprawę z tego, że ich uprzywilejowana pozycja związana jest m.in. z tym, że jest ich stosunkowo niewiele – wcale nie byli zainteresowani w żywiłowej asymilacji podstawowych mas ludności żydowskiej. Do tego należałoby dodać coś znacznie gorszego: wielu z nich tymi „ciemnymi masami” gardziło i bało się ich. Gdy w *Lingua Tertii Imperii* czyta się pełne obrzydzenia fragmenty o ubogich Żydach z Europy Wschodniej i człowiek uświadamia sobie, k i e d y to było pisane, ogarnia go groza.

Za to, co napisał Klemperer, odpowiedzialny jest tylko Klemperer i nikt poza nim. Wydaje się jednak, że można wspomniane fragmenty LTI potraktować jako skrajny wyraz pewnej ogólniejszej postawy.

Mówimy tu o Żydach asymilowanych, tj. takich, których językiem ojczystym był polski, niemiecki, francuski itp., którzy żyli i tworzyli w kulturze danego narodu i jeśli byli ludźmi wierzącymi, to nader często określali się jako Polacy (Francuzi, Włosi itp.) wyznania mojżeszowego. Od końca wieku XIX i do pojawienia się nazizmu była to grupa zarówno najbardziej wystawiona na różnego typu działania antyżydowskie, jak i znacznie bardziej w tym punkcie drażliwa od pobożnych mieszkańców małych miasteczek, czy takich dzielnic jak warszawskie Nalewki. Otóż c z ę ś ć tych asymilowanych Żydów miała do własnego żydostwa stosunek nader dwoisty. Niby się go nie wypierała, ale też każde napomknienie o tym, iż są Żydami uważała za przejaw antysemityzmu. Ich zachowania się mówiły: przecież dokonaliśmy takiego wysiłku, by nie być Żydami, a tu ktoś nam owo żydostwo wypomina. Przekonanie, że bycie Żydem jest czymś gorszym, stanowiło milczące zaplecze tego typu reakcji. Można

powiedzieć, że ludzie ci upodobnili się nie do Polaków, Holendrów, Austriaków itd., lecz do antysemitów polskich, holenderskich, austriackich itd. Generalnie rzecz biorąc, ludzie tacy chcieli, aby Żydzi zarazem istnieli i nie istnieli, to jest marzyli o kamieniu filozoficznym. I to właśnie pchało ich w stronę komunizmu. Komunizm bowiem jawił się im jako szlachetna ucieczka od własnego żydostwa, jako raj, w którym narody zarazem istnieją i nie istnieją.

Można mi zarzucić, iż piszę o zasymilowanych Żydach (dodajmy znów dla przypomnienia – niektórych), pomijam zaś owych słynnych żydowskich krawców, o których z takim zapalem pisywali komunistyczni poeci. I rzeczywiście – pisano o nich aż nadto, zapominając przy okazji, że większość z nich była nader pobożna i bolszewizm był w ich oczach przede wszystkim ateistyczną zarazą; inni z kolei należeli do Bundu, który od 1921 r. był w Polsce wyraźnie antykomunistyczny. Co więcej, wśród ludzi takich jak Finder, Lampe, Berman, Minc, Zambrowski czy Borejsza jakoś dziwnie nie było ani jednego krawca ze „sztetl”. Pochodzili z zamożnych i na ogół zasymilowanych rodzin; służyli zbrodniczej ideologii i popełniali straszne uczynki m.in. dlatego, że chcieli uciec od własnego żydostwa. Chyba zawsze żyli w strachu: najpierw bali się być Żydami, potem bali się Moskwy i tego, że wciąż są Żydami. Poeta mówi: „Kto doskonałość dziejów uzna / Bezbronną śmiercią niechaj skona”. Przysłowie jest bardziej dosadne: „Kto ze strachu umiera – temu bździnami dzwonią”.

### XIII

Nie wiem, czy powinienem był wymieniać akurat tych ludzi. Spośród nich jeden tylko Finder zginął z rąk gestapo, a to, w jaki sposób tam trafił, zdaje się należeć do sekretnych kart historii ruchu komunistycznego w Polsce. Po wszystkich zaś nie tylko trawa porosła, ale i Tatarzy zdążyli się przespacerować. Może więc powinienem był napisać na przykład Lobman. To by się dopiero zrobił skandal. Ale czy warto z powodu kogoś tak żałosnego urządzać skandale?

### XIV

Proces emancypacji żydów zbiega się w czasie i jest zarazem szczególnym przypadkiem powstawania w Europie nowoczesnych narodów. Emancypacja nie była po prostu przejściem od bycia żydem, tj. członkiem wspólnoty wyznaniowej, do bycia Ży-

dem, tj. członkiem narodu. Syjonizm jako polityczny wyraz woli bycia narodem „jak inne”, pojawia się z górami sto lat po rozpoczęciu procesu emancypacji, jeśli za ów początek uznać dokonanie przez Mojżesza Mendelssohna przekładu żydowskiej Biblii na niemiecki. Początek umowny i na pewno wielce dyskusyjny. W XVIII i XIX w. emancypacja była zatem siłą rzeczy wyjściem ku innej, nie-żydowskiej kulturze. Proces był w ogóle bardzo trudny, a w Polsce, w warunkach zaborów, pełen dodatkowych komplikacji.

Zacznijmy wykład owych komplikacji od skrajnego uproszczenia, od pewnej pseudo-kwantyfikacji. Proces „powinien” przebiegać względnie łagodnie tam, gdzie żydów było mało i gdzie ilość „feudalnych” wolności, którymi się cieszyli, była skromna. W powyższym założeniu symplifikacja polega na tym, że wpływ czynników ilościowych na przebieg procesów związanych z emancypacją był ograniczony. Ideologiczny antysemityzm narodził się – jak już o tym wspominałem – we Francji, gdzie Żydów było w ogóle mało, i na dodatek w tej jej części, gdzie ich prawie w ogóle nie było. Do morderczego paroksyzmu został zaś doprowadzony w Niemczech, które przez dziesięciolecia pełniły funkcję swoistego emancypacyjnego „raju”. O tyle jednak, o ile w ograniczonym zakresie nazwany przed chwilą czynnik ilościowy odgrywał rolę, Polska była „złym” krajem. A to dlatego, że Żydów było tu wielu i posiadali spory zakres „feudalnych” swobód. Tyle skrajnego uproszczenia.

We Francji, w Anglii, nawet w rozdrobnionych Niemczech owo wyjście ku, siłą rzeczy prowadzić miało ku kulturze francuskiej, angielskiej czy niemieckiej. Było też dla Żydów zgodne z podstawowym przepisem regulującym zachowywanie się w Diasporze. Orzeka on, iż o ile tylko nie zachodzi sprzeczność między fundamentalnymi założeniami mozaizmu a prawem danego kraju, to – jak powiada formuła – „prawo kraju (w którym żyjesz) – jest prawem”.

W podzielonej między zaborców Polsce wszystko wyglądało inaczej. Wyjście ku kulturze polskiej wcale nie dokonywało się „siłą rzeczy” i nie było oczywiste. Prawo, które należało uznać, nie było prawem polskim. Dodajmy, że przez wieki podstawową więzią żydów z danym krajem Rozproszenia była lojalność wobec monarchy. Ten stan rzeczy uznawany był zresztą przez chrześcijan. Akwinata ujmował to tak: żydzi są niewolnikami książąt, ale jest to niewolnictwo wyłącznie cywilne i nie dotyczy ani praw boskich, ani prawa naturalnego. Otóż w Polsce w XIX



w. zasada lojalności wobec monarchy musiała się odnosić do cara, cesarza, króla Prus.

W rezultacie nazwanych i wielu innych nienazwanych tu okoliczności rezultaty emancypacji były następujące: przez dwie trzecie XIX w. postępowała ona nader wolno i im bardziej na wschód, tym wolniej. Trwała, i po części rozwijała się, tradycyjna kultura żydowska w wersji już to ortodoksyjnej, już to chasydzkiej, i w jakimś zakresie oświeceniowej. Pod koniec wieku nastąpiło gwałtowne przyspieszenie, co w procesach takich jak emancypacja nie daje wyłącznie dobrych rezultatów. Przyspieszenie niemal zbiegło się w czasie z powstaniem nowoczesnych żydowskich ruchów politycznych (syjonizm, Bund, partie religijne), co przez znaczną część autorów polskich oraz tzw. asymilatorów uznane było za zjawisko negatywne. Nie podzielam tego poglądu. Przyspieszenie było już faktem, a pojawienie się nowoczesnych żydowskich ruchów politycznych w sumie łagodziło kulturowo szok takiej akceleracji.

Do momentu powstania żydowskich ruchów politycznych proces w wielkim uproszczeniu wyglądał jak następuje.

W zaborze pruskim było to niemal bezwyjątkowe wyjście ku kulturze niemieckiej. Na tzw. ziemiach zabranych zaboru rosyjskiego – w przeważającej mierze wyjście ku kulturze rosyjskiej. W Kongresówce – w szczególności pod napływem Żydów rosyjskich po fali pogromów w latach osiemdziesiątych – ku kulturze polskiej. W zaborze austriackim ku kulturze polskiej lub ku obu, tj. polskiej i austriackiej, lecz nigdy ku ukraińskiej. Jeśli tedy, w tak skomplikowanych warunkach, emancypacja znacznej części Żydów szła w kierunku kultury polskiej, to świadczy to o zdumiewającej atrakcyjności tej ostatniej. Bo prócz wspomnienia o swobodach, jakimi cieszyli się żydzi przed upadkiem Rzeczypospolitej, wszystko przemawiało przeciw takiemu wyborowi.

„Naturalna” polska optyka, wedle której wszyscy żydzi p o w i n n i byli dokonać wyjścia ku kulturze polskiej oparta jest na wielokrotnym nieporozumieniu. Po pierwsze, żydzi uważali Polskę – a także Węgry, Francję, Austrię itd. – nie za ojczyznę, lecz za kraj Diaspory. To prawda, że przez wieki całe kraj wyjątkowy, z czego żydzi zdawali sobie sprawę (liczne są tego świadectwa), ale zawsze kraj Rozproszenia. Pojęcie ojczyzny nie mogło tedy znaleźć się u początków emancypacji – mogło być tylko jej rezultatem. I jeśli kogoś to oburza, to powinien sobie uzmysłwić, że przez dwie trzecie XIX w. polscy chłopci, a więc mówiący po polsku chrześcijanie, nie znali pojęcia ojczyzny

w tym rozumieniu, w jakim używamy go dziś, lub w jakim używali go pisarze doby Oświecenia, romantycy czy spiskowcy. Po drugie, wyjście ku kulturze polskiej, przynajmniej w zaborach rosyjskim i pruskim, oznaczało wyjście ku mniej lub bardziej surowym represjom z tego właśnie tytułu. Miast tedy czynić Żydom zarzuty z racji tego, że część z nich wybierała inną niż polska „drogę” emancypacji, należałoby się raczej dziwić, że tak wielu dokonywało wyjścia ku kulturze narodu pobitego i prześladowanego.

## XV

Sprawdzając coś w III tomie *Histoire de l'antisemitisme* Poliakova trafiłem na fragment o Zalkindzie–Hurwitzu. Był to polski żyd, talmudysta, który po licznych perypetiach został konserwatorem działu orientalnego biblioteki Ludwika XVI. Był też autorem napisanej w 1785 r. *Apologie des Juifs...*, w której m.in. tłumaczy się ze swego „sarmacko–francuskiego stylu”. W obolałym zawikłaniu, które staram się tu jakoś uporządkować, ten XVIII–wieczny Żyd–Sarmata, talmudysta i bibliotekarz królewski był jedynym – jeśli wolno tak powiedzieć – momentem, kiedy się uśmiechnąłem.

## XVI

Nie cierpię określenia Holocaust. Znaczy ono tyle, co „całopalenie”, czyli ofiara składana Bogu (bogom). U Hebrajczyków przed zburzeniem Świątyni bezwyjątkowo, i u Greków – z wyjątkiem nieszczęsnej Ifigenii – były to ofiary ze zwierząt. Nie jestem w stanie pojąć, jak komuś mogło przyjść do głowy, że puszczanie przez komin kilku milionów Żydów było jakąkolwiek ofiarą na rzecz jakiegokolwiek boga. Z chwilą, gdy wkraczamy na semantyczne pole o f i a r y automatycznie podnosimy mordcę do godności kapłana, zaś obojętnego widza mordu do godności uczestnika rytuału.

Właśnie: obojętność. Co najmniej ćwierć wieku temu pewien historyk sporządził wypisy z podziemnej prasy polskiej okresu okupacji dotyczące „ostatecznego rozwiązania”. Sam je czytałem. Historyk ów nie zdecydował się na publikację tej antologii w przekonaniu, iż może ona zaszkodzić Polsce. Nie sądzę, by miał rację. Myślę, że antologia taka wcześniej czy później ujrzy światło dzienne i naprawdę lepiej, by wydał ją ktoś, kto nie chce Polsce zaszkodzić, w przeciwnym wypadku uczyni to bo-

wiem ktoś, kto skorzysta z okazji. A tekstów tych nie da się spalić w żadnym Ministerstwie Prawdy.

Mówimy – sam to napisałem na początku tego eseju – że obojętność znacznej części Polaków wobec zagłady Żydów jest szczególnym przypadkiem obojętności świata wobec zagłady. Dodajemy przy tym, czy też powinniśmy dodawać, że taka obojętność jest czymś złym. Jest w tym jednak jakaś bezsilność, zdajemy sobie bowiem sprawę, że choćby dziś, latem 1986 r., na świecie masowo wyniszcza się Afgańczyków, mieszkańców Etiopii, Khmerów, że nie tak dawno dotyczyło to Kurdów i mieszkańców Biafry. Organizowana świadomie zagłada stała się w XX w. czymś tak częstym, że przekracza to nasze możliwości współczucia. W krajach demokratycznych ci, co w ogóle tym się przejmują, podzielili się rolami: jedni usiłują pomóc Afgańczykom, inni świadomie skazanym na śmierć głodową plemionom Etiopii, jeszcze inni chrześcijanom z południowego Sudanu.

Gdy mówimy o stosunkach polsko-żydowskich posługujemy się najczęściej rozumowaniem wiodącym od szczególnego przypadku ku generalizacji, która głosi: świat jest obojętny wobec zagłady. Spróbujmy jednak odrzucić porządek tego rozumowania. Powiedzmy tak: zło świata polega m.in. na tym, że ludzie są obojętni wobec zagłady innych; Polacy, a ściślej znaczna ich część, była zatem obojętna względem Żydów, bo taka jest natura zła w świecie.

Ale zło świata rzadko przejawia się w postaci czystej obojętności. Zazwyczaj jest w nim jakieś tu i teraz. A dodajmy, że nie chodziło o obojętność jedynie, lecz i o wypowiedzi świadczące o poczuciu szczególnej ulgi; oto znalazł się ktoś, kto zrobił za nas coś niezbędnego, czego byśmy sami może i nie potrafili.

Jak się to stało, że normalni i skądinąd przyzwoici ludzie czuli, myśleli i mówili w ten sposób?

Otóż od śmierci Piłsudskiego większość „rdzennie” polskich ośrodków opiniotwórczych twierdziła, że Żydów należy się pozbyć, a znaczna część tych twórców opinii mówiła i pisała, że Żydzi jako Żydzi stanowią dla Polski najpoważniejsze zagrożenie. Przykładowo: całkowicie bezstronna, czysto ilościowa, leksykalna analiza „Małego Dziennika” wykazuje, że nie chodziło o komunizm (choć pismo skądinąd było antykomunistyczne), lecz o to, że Żydzi są złem jako Żydzi. Czytelnikowi „Małego Dziennika” powtarzano w kółko: Żydzi chcą opanować Polskę. Zauważmy, że dowodziłoby to raczej głupoty niż przypisywanej Żydom mądrości, ale nie bądźmy drobiazgowi.

Skoro zatem dla dobra Polski i Polaków trzeba się Żydów pozbyć...

## XVII

W 1941 r. gen. Grot-Rowecki uznał za konieczne wysłanie do Londynu depeszy (przypomnianej ostatnio przez Krystynę Kersten i kilku autorów w 41/42 numerze „Aneksu”), w której czytamy m.in.: „Proszę przyjąć jako fakt zupełnie realny, że przyniatająca większość kraju jest nastrojona antysemicko. Nawet socjaliści nie są tu wyjątkiem. Różnice dotyczą tylko taktyki postępowania. Zalecających naśladowanie metod niemieckich prawie nie ma. Nawet tajne organizacje, pozostające pod wpływem przedwojennych aktywistów Klubów Demokratycznych lub Polskiej Partii Socjalistycznej, akceptują postulat emigracji jako rozwiązanie problemu żydowskiego. Jest to dla wszystkich równie oczywiste, jak, na przykład, konieczność usunięcia z kraju Niemców... Antysemityzm jest obecnie postawą szeroko rozpozszechnioną.”

Opisany tu w kilku zdaniach stan nastrojów w praktyce oznaczał, że Żydzi w gettach ginęli z rąk Niemców i bali się Niemców, natomiast Żydzi ukrywający się „na aryjskich papierach” w piwnicach, szafach i lasach ginęli z rąk Niemców, lecz bali się Polaków.

Nie zajmuję się tu historią jako następstwem zdarzeń w czasie. Zgadzam się z Walterem Laqueur. Napisał on mianowicie, że nie jest tak, jak mniema wielu, iż wskutek polskiego antysemityzmu w Polsce uratowało się mało Żydów; biorąc pod uwagę rozpowszechnienie antysemityzmu w Polsce (szczególnie w latach trzydziestych – R.Z.) należy stwierdzić, iż uratowało się wyjątkowo wielu Żydów. Od siebie zaś dodać mogę dwie uwagi. Po pierwsze, rząd RP w Londynie był jedynym rządem alianckim, który domagał się od głównych partnerów koalicji praktycznych posunięć mających na celu powstrzymanie eksterminacji Żydów. Jak wiadomo, bezskutecznie. I nie jest prawdą – to uwaga druga – że przeciw takim posunięciom przemawiały jakiegokolwiek względy militarne czy finansowe.

Zatrzymajmy się przy pytaniu, które sformułowałem w zakończeniu poprzedniego fragmentu: czy obojętności Polaków wobec „ostatecznego rozwiązania” sprzyjało coś jeszcze, a nie tylko „ogólne zło świata?”

Spróbuję udzielić odpowiedzi, odwołując się do porządku

nie historycznego, lecz logicznego. Za punkt wyjścia przyjmę „zbiorowy protest” pewnego typu wypowiedzi publikowanych współcześnie w drugim obiegu, tj. dających wyraz przekonaniom, nie sądzę, że powszechnym, ale i na pewno nie inspirowanym przez komunistów. Są to z reguły wypowiedzi osób deklarujących się jako krytyczni kontynuatorzy myśli endeckiej, lub w każdym razie wyrażających podziw dla osoby Romana Dmowskiego. Nie polemizuję tu z konkretnymi autorami. Z dwóch względów. Po pierwsze, prezentuję sposób myślenia, typ wyводу, a nie tekst pana Ajackiego czy Bajackiego. Po drugie zaś, co do niektórych autorów jestem pewien, co do innych zaś zakładam, że nie są antysemitami. W konsekwencji tedy przyjmuję, że zarówno autorzy konkretni, jak i mój autor zbiorczy, *de facto* nie zdają sobie sprawy z tego, co piszą.

A piszą tak.

Po pierwsze, sprawa polskiego antysemityzmu należy jednoznacznie do przeszłości, jako że w Polsce nie ma Żydów.

Po drugie, trudno powiedzieć, co w niepodległej Polsce było antysemityzmem, co zrozumiałą reakcją na niewłaściwe zachowania się Żydów, a co polityczną koncepcją rozwiązania kwestii żydowskiej.

Po trzecie, w niepodległej Polsce kwestia żydowska polegała na tym, że istniała ponad trzymilionowa mniejszość narodowa, politycznie na ogół bierna, obyczajowo niepolska, gospodarczo i kulturalnie aktywna, co hamowało rozwój polskiej gospodarki, zagradzało Polakom drogę do wolnych zawodów, wprowadzało do kultury polskiej pierwiastki obce.

Po czwarte, w tym kontekście propozycje endecji zmierzały ku ochronie i promowaniu polskiego stanu posiadania zarówno w gospodarce, jak w sferze nauki i kultury. Chodziło więc o nałożenie pewnych ograniczeń na działalność Żydów we wspomnianych dziedzinach życia oraz nakłonienie ich do emigracji; to ostatnie postulowali również syjoniści.

Po piąte, w polityce partie żydowskie troszczyły się nie o dobro Polski, lecz o ochronę praw mniejszości żydowskiej. Część zaś owej mniejszości zasilala szeregi partii komunistycznej, która negowała prawo Polski do niepodległego bytu.

Po szóste, należy być może uznać, że Żydzi nie mogli się zachowywać inaczej, ale w takim razie Polacy też nie mogli inaczej postępować. Ponieważ zaś emigracja Żydów była niemożliwa, powstała przeto sytuacja bez wyjścia.

Rozumowanie powyższe cechują dwa niezwykle ważne prze-

oczenia oraz kilka założeń ukrytych tak głęboko, że – być może – ludzie w ten sposób myślący sami nie zdają sobie sprawy z ich istnienia. Choć sądzę, że ludzie na ogół mówią to, co myślą.

Przeoczenie pierwsze dotyczy sprawy następującej: spośród wszystkich mniejszości II Rzeczypospolitej, Żydzi byli j e d y n ą, która w odróżnieniu od Ukraińców, Niemców czy Litwinów nie żywiła żadnych pretensji terytorialnych i bez zastrzeżeń uznawała traktat wersalski. (Nie mówię tu, rzecz jasna, o komunistach, ale ci byli zwolennikami rozwiązania sowieckiego niezależnie od narodowości.) *In potentis* byli zatem Żydzi jedyną mniejszością zainteresowaną w istnieniu niepodległej Polski, co ze strony kolejnych gabinetów, od 1918 r. poczynając, wymagało zbornej koncepcji rządzenia państwem wielonarodowym. Czego jak wiemy, żaden z tych rządów nie posiadał. Po 1935 r. polityka grupy Rydza-Śmigłego wobec Żydów jednoznacznie antagonizowała całość żydowskiej społeczności w II Rzeczypospolitej. Na kilkanaście miesięcy przed wybuchem II wojny znaczna część kleru oraz grupa bezpośrednio rządząca krajem za jeden z poważniejszych problemów politycznych uznała zakaz uboju rytualnego! Ze zwalczaniem komunizmu nie miało to nic wspólnego – wiadomo bowiem, że komunizm likwiduje ubój rytualny wraz z mięsem.

Przedstawiona tu jako portret zbiorczy myśl postendecka zawiera cztery ukryte założenia, bez których całe rozumowanie nie mogłoby w ogóle powstać. Że więc, po pierwsze, Polska powinna być państwem monoetnicznym. Że, po drugie, Żydzi – na mocy definicji – są od Polaków zdolniejsi i to zarówno w sferze gospodarki, jak i tzw. kultury duchowej. Że, po trzecie, gospodarka i – przykładowo – opieka lekarska nie dzielą się na sprawne, fachowe, podnoszące dobrobyt kraju, zdrowotność jego mieszkańców itd., lecz na „swojskie” i „obce”. Po czwarte, w tej sytuacji wyjściem na krótką metę było p r a w n e ograniczenie tych obcych i zdolniejszych, a na dłuższą pozbycie się ich z kraju. Do tego zaś potrzebna jest nie jakaś tam zgniła demokracja, lecz zmierzający w stronę swoistego *apertheidu* interwencjonizm państwowy. I to silny.

I wreszcie drugie ze wspomnianych przeoczeń.

Otóż nie tylko skonstruowany przeze mnie zbiorczy autor, ale i autorzy realni nie dopuszczają do siebie takiej oto myśli, że gdyby Polska dysponowała nie dwoma, lecz wieloma dziesiątkami lat niepodległego bytu, to być może stosunki polsko-żydows-

kie ułożyłyby się tak jak we Włoszech lub Francji, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych.

W gruncie rzeczy nie musiałem tu przedstawiać całości postendeckiego wywodu. Wystarczy *de facto* to, co zapisałem jako punkt szósty i przeoczenie drugie. Jeśli bowiem miałyby być tak, że w roku 1939 stosunki polsko-żydowskie znalazły się w punkcie bez wyjścia, to naziści dowiedli, że to nieprawda. Znaleźli wyjście. I nagle zrozumiałem się staję, że ktoś może powiedzieć: to wprawdzie godne ubolewania, ale faktem jest, że Hitler rozwiązał za nas jedną sprawę.

Tu koniecznie trzeba dodać, że ów pisujący w drugim obiegu zbiorczy, postendecki autor n i g d y tego nie mówi. Wręcz przeciwnie – jednoznacznie potępia nazistowskie ludobójstwo. Ale zarazem, wbrew własnym zamierzeniom, pokazuje, jak to się stało, że byli Polacy, którzy tak właśnie mówili i w 1943, i w 1946, i w 1949.

## XVIII

W publikacjach drugiego obiegu spotkać można dwie sąsiadujące z sobą tezy: że analizy polityczne Romana Dmowskiego służyć mogą za wzór klarownej oceny i precyzyjnej, zimnej kalkulacji politycznej, oraz że nie był on antysemitą „patologicznym”. Przymknijmy oczy na *Przewrót* – dwukrotnie wydany przed wojną zbiór artykułów patrona neoendecji i powiedzmy, że prace politologiczne Romana Dmowskiego uczyły pewnego stylu myślenia. I że ktoś wychowany na tych tekstach mógł się w czasie okupacji zachowywać różnie. Natomiast ktoś wychowany na powieści Kazimierza Wybranowskiego pt. *Dziedzictwo* miał znacznie większe szanse, by bezinteresownie donieść na gestapo, że sąsiedzi ukrywają dziewczynkę o podejrzanym wyglądzie. I wszystko byłoby OK, gdyby nie fakt, że Kazimierz Wybranowski i Roman Dmowski, to ta sama osoba. (Tu informacja bibliograficzna: *Dziedzictwo* miało przed wojną co najmniej trzy wydania; ponadto ukazało się w 1942 r. w Londynie i w 1944 r. w Krakowie, by tak rzec – wprost z pieca.)

Osobiście nie sądzę, by okupacyjne postawy znacznej części Polaków wobec „ostatecznego rozwiązania” były rezultatem lektury „Gazety Warszawskiej” czy nawet „Falangi” i „Prosto z mostu”. Cokolwiek bym o tych pismach sądził, były one na swój sposób elitarne i zajmowały się głównie polityką, swoiście co prawda rozumianą. A polityką na codzień interesuje się niewiel-

ka część społeczeństwa. W skali masowej niechęć, wrogość, nienawiść do Żydów podsycali przede wszystkim pisma takie jak „Samoobrona Narodu” czy „Mały Dziennik” oraz książeczki w rodzaju *Królestwa Szatana*.

To autor *Królestwa Szatana* w marcu 1939 r., polemizując na łamach „Samoobrony Narodu” ze „skandaliczną” – jego zdaniem – tezą Marii Winowskiej, że nie można być jednocześnie katolikiem i antysemitą, pisał: „Biada mi, jeżeli to prawda! Nie tylko bowiem od dziesiątków lat uprawiam na całego antysemityzm, ale niedawno w artykułach wigilijnych (...) przeprowadziłem tezę, że w Osobie Dzieciątka Betlejemskiego narodził się Pierwszy Antysemita, który założył podstawy antysemityzmu Kościoła. Ale jakoś z tego powodu nie spotkałem się z żadną represją ani kościelną, ani publiczną.”

Fakt, że zarówno duchowy opiekun „Małego Dziennika”, jak i autor cytowanych przed chwilą słów zginęli w hitlerowskich obozach koncentracyjnych może być przedmiotem różnego rodzaju refleksji. Ale żadna z nich nie zmieni poglądów, a przede wszystkim emocji, jakimi wychowani przez nich czytelnicy kierowali się wobec Żydów w roku, powiedzmy, 1942.

## XIX

Ciekaw jestem, czy żyje jeszcze ten wał, który wiosną 1968 r. podniósł w izraelskim Knesecie larum z powodu usunięcia z rządu PRL Romana Zambrowskiego. To akurat wybrał sobie za koronny dowód antysemityzmu! Jeśli tak się troszczył o Żydów, to powinien był raczej podziękować Gomułce i Moczarowi. Zambrowski był nie tylko arcykomunistą; w latach czterdziestych jako przewodniczący Nadzwyczajnej Komisji do Walki ze Spekulacją, odpowiedzialny był za zniszczenie jednego żywotnego sektora polskiej gospodarki oraz za wsadzenie do więzień i obozów tysięcy niewinnych ludzi (nie troszczył się przy tym o to, czy są obrzezani czy ochrzczeni, był pod tym względem prawdziwym egalitarystą).

Ów nieznan mi z nazwiska poseł do izraelskiego parlamentu stanowi znakomity przykład entnocentrycznego zidiocenia, które prowadzi do moralnego obrzydlistwa.

## XX

Jeszcze o symetrii.

Liczenie krzywd jest zajęciem absurdalnym.



W latach 1939–1940, na terenach Rzeczypospolitej zagarniętych przez Sowiety, pewna ilość polskich oficerów była wydana w ręce NKWD przez donosicieli–Żydów. W latach hitlerowskiej okupacji ukrywający się Żydzi bywali zupełnie bezinteresownie wydawani w ręce gestapo przez denuncjatorów Polaków. Czy mamy powiedzieć, że do momentu, w którym ilość zadenuncjowanych, tj. wydanych na śmierć była po „obu stronach” równa, Żydzi i Polacy, moralnie rzecz biorąc, wychodzili na remis?

Ludzie, opamiętajcie się.

## XXI

Jeszcze o prawidłowościach.

A jednak kusi, by powiedzieć: im dłuższy i spokojniejszy czas między wygaśnięciem religijnego antyjudajizmu a narodzinami i rozkwitem ideologicznego antysemityzmu, tym większa szansa, że część duchownych chrześcijańskich nie uwikła się w gaszenie pożaru przy pomocy oliwy. I na odwrót.

## XXII

Wiosna 1986 r. Paryż. Dîner. Przy stole: pan domu – adwokat, pani domu – profesor biologii, reżyser filmowy, młody profesor socjologii, muza tegoż.

Przyszedłem pod koniec obiadu i trafiłem na gorącą dyskusję na temat... antysemityzmu filmów Wajdy. Perorował przede wszystkim socjolog wspomagany przez mużę. W momencie, gdy siadłem przy stole, mówił mniej więcej coś takiego: „No, a jak przedstawia tego Żyda – chudy, blady, z haczykowatym nosem i pejsami, przecież to karykatura!” Było to oczywiście więcej niż jedno zdanie i nie odrazu zorientowałem się, że chodzi o *Brzezinę*. We włączeniu się do sporu przeszkadzał mi przede wszystkim fakt, że socjolog był chudy, miał haczykowaty nos, pejsy zaś zastępowała mu fryzura typu afro. Miałem ochotę przynieść z przedpokoju lustro; spojrzałem na gospodarzy oraz reżysera i stwierdziłem, że podobnie jak ja, usiłują nie parsknąć śmiechem. Socjolog zatokowany do imentu ciągnął: „A ci bogaci Żydzi z *Ziemi obiecanej!* W Polsce nie było bogatych Żydów!”

„Wie pan – powiedziałem uśmiechając się – nasz gospodarz jest wnukiem zamożnego polskiego Żyda, a ja synem wręcz bogatego.” (Mieszkający w Złoczowie dziadek owego paryskiego adwokata był najstarszym z żyjących za mojej pamięci braci me-

go ojca. Odwiedzał nas czasem; matka podawała mu tylko herbatę, bo nasz dom był umiarkowanie koszerny.) „No – powiedział socjolog – może było kilku zamożnych, ale to były wyjątki.” Usiłowałem wciąż jeszcze rozmawiać normalnie: „Myli się pan, rozpiętość majątkowa wśród polskich Żydów była ogromna, ale zamożnych było sporo. Prawdę mówiąc należała do nich znaczna część przemysłu drzewnego i tekstylnego.” Ale paryski socjolog oczywiście wiedział lepiej. „Polscy Żydzi – powtórzył – poza nielicznymi wyjątkami byli nędzarzami.”

Chciałem go odesłać do książki Josepha Marcusa, ale mnie rozżłościł. Popatrzyłem nań chwilę i powiedziałem cichym, wyjętym z zamrażarki głosem: *Gentlemen don't quarrel about facts.*

Mój paryski kuzyn ucieszył się jak dziecko i kilkakrotnie powtórzył, smakując, angielskie przysłowie.

Gdy stykam się z fanatycznym szowinizmem – kogokolwiek by dotyczył – moja pierwsza reakcja wciąż daje się wyrazić słowami: przecież to chory człowiek. Ale wiem, że to nieprawda. Nie ma tak dobrze. Ów paryski socjolog – jak miliony jemu podobnych we wszystkich nacjach – jest najzupełniej normalny. Nic go nie uleczy, bo nie jest chory. Będzie chodził po świecie i bredził, że Wajda jest antysemitą. Im zaś wspanialej rozwijać się będzie jego smorgońska czy tam sorbońska kariera, tym bardziej umacniać się będzie jego odporność na argumenty.

Czy to znaczy, że uważam opisanego tu paryskiego socjologa za skamielinę żydowskiego szowinizmu? Szowinistą jest na pewno. Nikomu jednak nie wolno odmawiać prawa do zmiany poglądów i nadziei na to, że zmieni je z gorszych na lepsze. Podejrzewam wszak, że w przypadkach takich jak szowinizm, leninizm itp. ludzie zmieniają poglądy nie dlatego, że stało się coś dokoła nich, lecz dlatego, że stało się coś w nich. Nie dotyczy to, rzecz jasna, znacznej w każdym narodzie, populacji oportunistów.

## XXIII

Można powiedzieć, że tragizm stosunków polsko-żydowskich związany jest ze szczególnymi przesunięciami w czasie zjawisk, które skądinąd występowały na terenie całej Europy. I że dotyczy to przede wszystkim idei *Juderein*. Stulecia całe, od średniowiecza po koniec XVIII w. żydzi byli z różnych krajów Europy usuwani, lub nie mieli prawa osiedlenia się. Przykładem Anglia, Francja, Hiszpania, Moskwa. To w XVIII i XIX w. Ży-



dzi otrzymują prawo swobodnego osiedlenia się w całej Europie, z wyjątkiem Hiszpanii, Portugalii oraz cesarstwa rosyjskiego, w którym istniały tzw. strefy osiedlenia, głównie na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. W Polsce od Piastów i do utraty niepodległości przywilej „*de non tolerandis Iudeis*” przyznawany był poszczególnym miastom względnie rzadko i na ogół nie utrzymywał się długo. Idea wysiedlenia wszystkich Żydów pojawiła się dopiero w Królestwie Kongresowym i przez cały wiek XIX bytuje na marginesie polskiej myśli politycznej. Można powiedzieć, że jej przesunięcie z marginesu w samo centrum trósk znacznych odłamów elity politycznej i religijnej kraju w latach poprzedzających II wojnę światową sprzeczne było z całą tradycją polskiej kultury politycznej. I im hałaśliwiej owa idea reklamowała swą rdzenną polskość, tym od tej tradycji była odleglejsza. Niemniej „tak się złożyło”, że gdy nad kruchą niepodległością państwa polskiego zawisło śmiertelne zagrożenie, Polakom wmawiano, że zasadniczym warunkiem ich szczęśliwości i potęgi jest pozbycie się z Polski wszystkich Żydów. I zajmowały się tym nie byle jakie autorytety, wkładając w to ogromny wysiłek, którego — kto wie, kto wie? — może można było użyć w lepszej sprawie i z większą dla Polaków korzyścią. Nie tylko polityczną.

Z szacunkiem mówimy o tych, którzy narażając życie ratowali Żydów w czasie wojny. Ale nawet o tej sprawie nie mówimy wszystkiego. Bowiem na pytanie, czy w czasie okupacji hitlerowskiej Polacy bali się Polaków, poprawna odpowiedź brzmi: skądże... pod warunkiem, że nie pomagali Żydom. (To ostatnie nie odnosi się do klasztorów, w których ukrywano żydowskie dzieci; o ile wiem, nie znamy ani jednego przypadku „zakonnego” donosu.)

W 1938 r. marzenie o Polsce bez Żydów mogło się wydawać utopią. Tadeusz Hollender napisał nawet pogodną i zabawną powieść *Polska bez Żydów*, która kończyła się rozczulającym powrotem wygnanych do kraju. A jednak utopia ta została zrealizowana. Można powiedzieć, że marzeniu, które prezentowano jako arcy-polskie i prawdziwie katolickie przydarzyło się urzeczywistnienie.

No i...? No i właśnie.

#### XXIV

Po 1945r. sprawa żydowska włączona została do sieci ofic-

jalnych kłamstw oplatających Polskę, jak każde rządzone przez komunistów społeczeństwo. Lub ściślej, przeniesiona została z rzeczywistości w kreowaną przez nowo-mowę pseudorzeczywistość. I jakkolwiek trudna naprawdę, w komunistycznej pseudo-rzeczywistości jest nierozwiązywalna. Trzeba ją wydobyć stamtąd, a także z kokona pobożnych przemilczeń, trzeba o niej zacząć mówić normalnym językiem, nie bacząc na popiół czynów i piołun słów.

Z tej ciemni kłamstw chciałbym na biel papieru wydobyć sprawę, o której — o ile wiem — nikt dotychczas nie pisał.

Komuniści zrealizowali marzenie zasymilowanych Żydów, a w każdym razie znacznej ich części. Stworzyli sytuację, w której Żydzi zarazem istnieli i nie istnieli. Istnieli tak w ogóle o tyle, o ile istniały różne atrapy w rodzaju Społecznego Komitetu Żydów Polskich, o ile odbywały się w odpowiednim czasie odpowiednie akademie, a w prasie ukazywały się od czasu do czasu jakieś zgoła surrealistyczne notatki. Nie było natomiast konkretnych Żydów. Powiedzieć o kimś, że jest Żydem było co najmniej nietaktem, często zaś uznawane było za przejaw antysemityzmu.

I asymilowani Żydzi ochoczo wzięli udział w tym tańcu masek, do którego przygrywała orkiestra Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk Publicznych. Skwapliwie przystali na to, że dobrze jest nazywać się Jablecznikowski, a że Apfelbaum, że piękne jest imię Maria, a Miriam pełne jest ohydny, no, a od imienia Abraham, to wręcz boki rozrywa ze śmiechu. Uszyli sobie nowe życiorysy, mimowiednie dowodząc, że w tym punkcie między okupacją hitlerowską a rządami komunistów zachodzi niejaki podobieństwo. Ponieważ były to biografie „ogólnopolskie” więc brzmiały fałszywie, bowiem nic takiego jak „ogólnopolska” — czy „ogólnojapońska” — biografia nie istnieje i istnieć nie może. Zaparli się swoich dziadków i rodziców niezależnie od tego, czy ich śmierci obojętnie przyglądało się słońce Treblinki czy Karagandy. Wychowywali dzieci w fałszu, starannie przed nimi ukrywając to, co jest składnikiem każdego normalnego dorastania — przekazywane w różnych opowieściach autentyczne mity rodzinne. Wolno skądinąd zauważyć, że w obu totalitaryzmach po to, by ratować życie ludzie musieli usuwać ze swych biografii rozmaite „błędy”. Ale nie dotyczy to akurat przypadków, o których mowa w tym i w następnym akapicie.

Znałem tzw. starych komunistów, których dzieci nie wie-

działy, kim byli i jak się nazywali ich dziadkowie. Znałem takich, w których domach nie wolno było przy dzieciach i wnukach wymówić słowa „Żyd”. Znałem człowieka, który w kamuflażu posunął się do tego, że opowiadał, iż przed wojną był ONR-owcem i tylko nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało, że w I Dywizji od razu skierowano go do pracy w Informacji. Znałem też kobietę, która po śmierci matki dowiedziawszy się, iż ta była Żydówką, biła pięściami w stół i płacząc powtarzała: po co mi to powiedziano, po co mi to powiedziano...

Niezamierzoną zasługą ludzi nazywanych „narodowymi komunistami” (istnieli narodowi socjaliści, dlaczego miałoby nie być narodowych komunistów?) jest to, że w latach 1967–1969 ukazali całą kruchość tego kłamstwa. Nie wykluczone, iż Żydzi powinni postawić Moczarowi pomnik. No, może pomniczek. Wydaje mi się bowiem, że w pewnych okolicznościach można z godnością nosić żółtą łatę. Nie sądzę, by można było z godnością nosić fałszywy życiorys.

## XXV

Powiedział mi niedawno ktoś urodzony bodaj w 1938 czy 1939 r.: „Dla polskich Żydów, tuż po wojnie, jedyną możliwą do przyjęcia opcją był *de facto* komunizm.”

Błąd. Przede wszystkim błąd faktyczny. Żydzi opuszczali Polskę z różnych względów. Powiedzmy najogólniej – niewesołych. Ale między innymi dlatego, że nie chcieli przyjąć opcji komunistycznej. Zakłada się – przyjmując dużą tolerancję błędowi – że po wojnie w Polsce nie było nigdy więcej niż dwieście tysięcy Żydów jednocześnie. Jakaś część z nich uratowała się w kraju. Większość na pewno w ZSRR (300 000 aresztowanych i deportowanych głównie w 1940 r., nie licząc tych, którzy zdolali uciec przed hitlerowcami tuż po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej). Otóż w 1967 r. według bardzo drobiazgowo zbieranych danych oficjalnych zostało ich 30 000. Wynikałoby z tego, że z tym przywiązaniem Żydów do komunizmu, to coś nie za bardzo. I niby dlaczego miałoby być inaczej? Nie sądzę, by się pod tym względem różnili od Polaków, Litwinów czy Węgrów.

## XXVI

Angielskie słowo *expendable* (z akcentem na drugiej sylabie) znaczy m.in. „przeznaczony na ofiarę”, „spisany na straty”.

Przez wieki trwałym składnikiem kultury europejskiej było przeświadczenie, że Żydzi są *expendable*, spisani, czy też ściślej: spisywalni na straty. Pomijam tu teologiczne zaplecze, wedle którego zgodne to być miało z planem ekonomii bożej, ta bowiem interpretacja nigdy nie była w chrześcijaństwie powszechnie obowiązująca, a dziś – mniemam – jest całkowicie zarzucona. Tak czy owak przeświadczenie, o którym mowa, uniezależniło się i zaczęło funkcjonować samoistnie. Jeżeli tedy w jakiegokolwiek sytuacji można się było z niej wykręcić „spisując na straty” znajdujących się na podorzędziu żydów (a później Żydów), należało z takiej możliwości skorzystać. Od reguły zdarzały się chwalebne wyjątki, przykładem odmowa wydania lwowskich Żydów wojskom Chmielnickiego, za którą to cenę gotów był on odstąpić od oblężenia miasta. Generalnie rzecz biorąc, zasada działała bez pudła, a jej samoistość polegała na tym, że spisywanie na straty nie musiało się wiązać z niechęcią do spisywanych. Było po prostu wygodne i ktoś, kto w ten sposób postępował, mógł nawet nad tym ubolewać, niemniej uznawał obyczaj za naturalny.

W połowie XX wieku...

Sądzę, że zasadniczą przyczyną, dla której administracja Roosevelta udzieliła hitlerowcom milczącego przyzwolenia na wymordowanie europejskich Żydów, było właśnie przekonanie ówczesnego prezydenta USA, że ci ostatni są *expendable*. FDR był zresztą konsekwentny i w szczególny sposób sprawiedliwy. Hitlerowi w mordowaniu Żydów nie przeszkadzał – Stalinowi czynnie pomagał w wypełnianiu sowieckich obozów. Co się zaś tyczy tzw. postępowych intelektualistów amerykańskich, którzy do dziś żywią kult dla współautora Teheranu i Jałty, to powinni sobie powiedzieć: mój kult świadczy o mnie. *Congratulation...*

Nie zajmujemy się jednak sprawami amerykańskimi.

W numerze 21/22 lubelskich „Spotkań” (Wiosna – Lato 1983) opublikowano pochodzący z września 1944 r. tekst Antoniego Pilcha pt. *Powstanie i dzieje polskiego oddziału partyzanckiego w obwodzie stołpeckim*. Uważam to za inicjatywę nader cenną. Wierzę, że zarówno sam tekst, jak i komentarz edytora oraz szeroki zasięg spraw z tym związanych, stanie się kiedyś przedmiotem analiz i dyskusji. Mam też nadzieję, że przynajmniej niektóre z tych analiz będą nazywały rzeczy po imieniu. Tu z całego tekstu chciałbym zacytować jedynie pięć zdań, zaznaczając, że to, od którego zacznę, w raporcie Pilcha znajduje

się jakieś pięć stron po fragmencie, z którego pochodzą pozostałe cztery.

A więc najpierw zdanie późniejsze: „Nie wiem, jak sobie nasze władze wyobrażały, z czego można żyć i ubierać się bez rekwizycji (...)”

Teraz pozostałe cztery: „W dniu 17.XI. (1943 r. — RZ) zdarzył się dość przykry wypadek: szwadron, który był w terenie, spotkał grupę partyzantów—żydów—grabieżców, którzy w sposób bezwzględny grabili wieś Sobkowszczyznę. Dowódca szwadronu zdecydował się pojechać tam — zabrał Żydów, rozbroił ich, powiązał i kazał prowadzić do obozu odległego o 25 km. Żydzi chcieli uciekać w drodze, więc zostali zastrzeleni i dyskretnie pochowani. Błąd był ten, że dwóch Żydów zwało i zameldowało o tym w sztabie sowieckim.”

Odlóżmy reakcje emocjonalne; w płaszczyźnie sztuki słowa byłaby to łatwizna. Powiem natomiast, co uderzyło mnie w czasie lektury *Powstania i dziejów polskiego oddziału partyzanckiego w obwodzie stołpeckim*. Otóż w liczącym ok. 70 000 znaków pisarskich, tj. mniej więcej 40 stron znormalizowanego maszynopisu, raporcie Pilcha nie ma śladu niechęci do Żydów. Odnosi się wrażenie chłodnej kalkulacji, rozwiązania przykrego problemu technicznego z kilkoma danymi. W puszczy nalibockiej działają następujące formacje wojskowe: Wehrmacht, podlegające — dość luźno — nowogródzkiej komendzie oddziały AK, sowieccy partyzanci oraz jakiś oddział ocalałych z akcji likwidacyjnych Żydów — wątpliwe, czy liczący więcej niż dwadzieścia kilka osób. (Autor posłowania do raportu Pilcha posłużył się określeniem „Żydów zbiegłych z okolicznych miast i miasteczek”. Dowodziłoby to mistrzowskiego opanowania sztuki eufemizmu.) Żywności jest mało i zdobyć ją można jedynie przy pomocy rekwizycji, tj. używając gróźb lub siły, co na ogół nie budzi wśród chłopów entuzjazmu; Pilch zalicza Białorusinów, tj. miejscowych chłopów, do wrogów. Spośród konkurentów do mąki, kartofli, cieląt i świńaków najslabszym był ten żydowski. Co więcej, był jedynym, który nie posiadał żadnego zaplecza, co znaczyło tyle, że można go było fizycznie zlikwidować, nie narażając się ani na straty, ani na ewentualne przykrości. Toteż Pilch całkowicie aprubuje „akcję” swego podwładnego, łącznie ze stereotypową formułą „zabici przy próbie ucieczki” oraz dyskretnym pochówkiem, czyli zatarciem śladów. O co w puszczy nie było znów tak trudno.

Podkreślam raz jeszcze: ani jedno słowo w raporcie Pilcha nie świadczy o tym, by żywił do Żydów jakąkolwiek niechęć. Nic

również nie przemawia za tym, by miał jakiegokolwiek skrupuły. Żydzi są po prostu *expendable* — spisani na straty.

Umówmy się, że czytelnicy tego tekstu wiedzą, iż nikt nie powinien być *expendable* i że nie będzie się tego tu dowodzić. Chciałbym natomiast zwrócić ich uwagę na pewną szczególną cechę nowożytnych dziejów Polski.

Otóż w polityce europejskiej od lat dwustu funkcjonuje koncepcja, że *expendable*, spisywalna na straty, jest i niepodległość Polski i jej suwerenność. (Przypominanie o tym należy do ulubionych chwytów perswazyjnych polskich komunistów, ale to inna sprawa, którą się tu nie zajmujemy.) Spośród trzech układów regulujących stosunek sił w Europie w ciągu ostatnich lat stu siedemdziesięciu — Wiedeń, Wersal, Teheran—Jalta — jedynie traktat wersalski, mimo wszystkie swoje mankamenty, uznawał i niepodległość i suwerenność Polski. Ponieważ ludzie w Polsce są raczej przywiązani zarówno do niepodległości, jak i do suwerenności, dysponują tedy nie tylko zasadą — o której mowa była powyżej — lecz i własnym doświadczeniem, mogą więc sobie wyobrazić, że inni też nie lubią być spisywani na straty.

## XXVII

Czy nie jest tak, że skoro napisałem aż tyle, pewnie około stu tysięcy znaczków tworzących słowa i zdania, to umieszczona na samym początku próby uwaga o zwięzłości brzmi jak przechwałka bez pokrycia. A jednak nie tracę nadziei, że w stosunku do obszaru tematyki byłem lakoniczny. Choć zapewne można było ująć rzecz znacznie krócej.

Jesienią 1984 r. miałem wziąć udział w odbywającym się w Oxfordzie sympozjone poświęconym stosunkom polsko—żydowskim. Przygotowania odbywały się pisemnie w relacji ja — biuro paszportowe, oraz telefonicznie w relacji oxfordzcy organizatorzy — ja. Z pierwszych nic nie wyszło: tym razem sierotka w biurze paszportowym wyciągnęła los z napisem „odmowa”. Co do drugich, to cośmy sobie porozmawiali — tośmy sobie porozmawiali. W czasie jednej z tych rozmów telefonicznych (kiedy to założono kabel pod kanałem? — chyba jednak wcześniej niż podsłuch w moim mieszkaniu) poproszono mnie o podanie tytułu referatu. Rozbawiło mnie to, bowiem wyznając zasadę, że dopóki nie mam paszportu w rękę, żadnych referatów na zagraniczne sympozjony nie piszę. Nie chciało mi się jednak tłumaczyć

czyć oxfordzkiemu rozmówcy ani skąd się ta zasada wzięła, ani dlaczego zaoszczędziłem dzięki niej masę zbędnego wysiłku. Uznałem, że prościej będzie wymyślić na poczekaniu tytuł. Co też uczyniłem, powiedziawszy wyraźnie, choć z fatalnym akcentem: *Do the Jewish and Polish people hate each other*. I odkładając słuchawkę wymyśliłem pierwsze oraz ostatnie zdanie nie istniejącego tekstu: „*A lot of them, yes*”.

I to właściwie powinno myślącym ludziom dobrej woli wystarczyć. Ale myślenie i dobra wola nie tak często stają w jednej parze. Usiłowałem je więc połączyć.

## XXVIII

W którymś miejscu nazwałem ten tekst beznadziejnym. Dla wielu powodów. Na przykład dlatego, że jeśli mam rację, jeśli rzecz tkwi w emocjach, w przed-sądach, to staję przeciw czemuś, co nie poddaje się perswazji. Mam też niemiłe przeświadczenie, że temat tej próby nie poddaje się środkom, którymi dysponuję. Że więc napisałem coś, co musi być nieskuteczne i nie może być dobre.

Jest jednak najpewniej i tak, że skoro urodziłem się tam, gdzie się urodziłem, i w tym, a nie innym czasie, że skoro jestem człowiekiem, którego zawodem jest pisanie, to kiedyś musiałem ten beznadziejny tekst napisać.

## XXIX

Och, zbudzić się któregoś dnia z poczuciem, że mogę powiedzieć niczym Rett do Scarlett: kochanie, już mnie to nic a nic nie obchodzi...

Czerwiec – październik, 1986 r.

## UWAGI O TEORII NARODU\*

„Ci wszyscy ludzie chcą, byśmy im dostarczyli racji istnienia, byśmy wytłumaczyli im, że są oni komuś, czemuś potrzebni, aby mieli nadal prawo wisieć w tej dziwnej próżni ponad polską pracą, pod osłoną praw zabezpieczonych przez najeźdźcę; by wierzyli, że ta nasza dusza polska, ten kolec, w którym wolno nam siedzieć na jajach z gipsu, jest istotnie orlą strażnicą. Przecież o to tylko chodzi, byśmy uwierzyli, że mamy do tego prawo, bo co się z nami stanie, jeżeli stracimy tę wiarę, i my to wszystko czujemy do dna znakomicie, a przecież w dalszym ciągu chcemy, aby to trwało.”

St. Brzozowski, *Książka o starej kobiecie*

\* Pierwsza wersja niniejszego artykułu wygłoszona została na posiedzeniu seminarium historii filozofii nowożytnej Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Chciałbym podziękować wszystkim, którzy przekazali mi swoje uwagi zarówno w czasie dyskusji seminaryjnej, jak i później. Bez tych głosów krytycznych i propozycji uzupełniających, które wszystkie starałem się w ten lub inny sposób uwzględnić – były mi przydatne nawet wówczas, gdy się z nimi w pełni zgadzałem – tekst ten byłby na pewno uboższy. Druk w: „*Studia Filozoficzne*” 1967 nr 4 pod tytułem *Uwagi o teorii narodu na marginesie nacjonalistycznej teorii narodu*.



Tytuł zdaje się odpowiadać wewnętrznej dwoistości tego oto tekstu. Z jednej strony zagadnienie narodu jest zwornikiem, bez którego niemożliwe byłoby zbudowanie jakiegokolwiek poprawnego modelu kultury polskiego modernizmu; a jeśli wolno wypowiedzieć się w odniesieniu do innych formacji kulturowych, to nie tylko modernizmu, ale w ogóle kultury polskiej, przynajmniej od romantyzmu poczynając. Nie sposób jednak tej kwestii, tzn. sprawy narodowej, w owe modele kultury polskiej, czy ostrożniej, w model kultury polskiego modernizmu wbudować, jeśli się nie posiada jakiegoś własnego w tej materii mniemania, chociażby hipotezy roboczej. Stąd wyjaśnienie sobie niektórych przynajmniej kwestii z teorią narodu związanych jest nicodzownym składnikiem pracy historycznej.

Z drugiej strony, w życiu współczesnym nie brak zjawisk, które dostatecznie zrozumiane, a więc opanowane – przynajmniej intelektualnie – być nie mogą, jeśli owemu procesowi wyjaśniania współczesności zabraknie rozeznania właśnie w kwestii narodu. I to nie tylko tzw. badań empirycznych, ale właśnie refleksji teoretycznej.

Wybór części historycznej referatu padł na ideologów polskiego nacjonalizmu, na teoretyków i działaczy endecji z lat formowania się tego stronnictwa. Przez nacjonalizm czy nacjonalistyczną koncepcję narodu ma się tu zatem cały czas na myśli tę właśnie teorię i w tym właśnie czasie, tj. w fazie początkowej. Nacjonalizm analizowany jest w tym oto tekście jako doktryna historiozoficzna i pewien system wartości, uwikłane w konkretne perypetie kulturowe. Jest to więc rozprawa z dziedziny historii idei, nie historii politycznej.

W nauce i publicystyce polskiej przełomu XIX i XX wieków nie brak wypowiedzi poświęconych teoretycznym aspektom sprawy narodowej. Można powiedzieć, że jest to problem, którego zarówno polska filozofia (Brzozowski), jak i rodząca się polska socjologia (Limanowski, Gumpłowicz) poświęcają baczną uwagę<sup>1</sup>. Wydawało się jednak celowe wybranie do analizy nie poglądów socjologów o zacięciu teoretycznym, jak Gumpłowicz, czy filozoficznych *outsiderów*, jak Brzozowski, lecz właśnie ideologów, a z pewnych względów właśnie ideologów ruchu nacjonalistycznego. Starając się o zachowanie pewnej konsekwencji, pominięto pochodzącą z roku 1912 *stricte* teoretyczną pracę Z. Balickiego *Psychologia społeczna*. Przychylnie ją oceniający Bystroń, twierdził, że „...pisana stylem mętnym, rozwlekłym, przeprowadzająca rozległe kwalifikacje, jest w całości swej trudna do

czytania (...) i z natury rzeczy obchodzić może tylko bardzo szczupłe grono teoretyków”<sup>2</sup>. W niniejszej pracy ominięte analizy książki Balickiego tłumaczy się faktem, że ukazała się w okresie, w którym podstawowe założenia nacjonalistycznej koncepcji narodu były już dawno sformułowane, i po drugie tym, że jej wpływ na dalsze kształtowanie się doktryny nacjonalistycznej był żaden.

Podejmując się analizy poglądów w kwestii narodowej ideologów polskiego nacjonalizmu przełomu wieków, trzeba było przystać na pewne związane z tym niedogodności. Ideolodzy ci – jak to często ideolodzy – nie dbali o naukową precyzję swoich propozycji. Co więcej, niekiedy nawet wprost pisali, że są dalecy od naukowego traktowania kwestii<sup>3</sup>. Nie działo się tak przypadkiem. Jak o tym jeszcze będzie mowa, naukowy, to znaczy między innymi poznawczo–obiektywny, stosunek do kwestii narodowej był – i po dziś dzień jest – czymś całkowicie obcym doktrynie nacjonalistycznej.

Obok tej programowej mglistości sformułowań, publikacjom teoretyków nacjonalizmu „towarzyszą” zakłócenia spowodowane doraźnymi potrzebami taktyki politycznej, tzn. rozłożenia akcentów związane z aktualną oceną sytuacji i wyobrażeniem o odbiorcy, do którego skierowana jest ta lub inna wypowiedź.

Niedogodności te nie mogą jednak zdyskwalifikować analizowanego materiału. Nie przekreślają one jednej, dla badacza cennej, właściwości: charakterystycznego wyjaskrawienia spraw związanych z kwestią narodową. Słowem, wydaje się, że tę nad wyraz trudną problematykę, jaką jest teoria narodu, można z pożytkiem zacząć analizować właśnie od jej nacjonalistycznych wariantów.

## I

Chronologiczny porządek faktów posiada dla tych uwag znaczenie pośrednie. Ograniczyć się można do kilku danych typu podręcznikowego.

Zazwyczaj dzieli się historię endecji biorąc pod uwagę wyznaczniki organizacyjne lub polityczne; jest to zrozumiałe, jeśli zważyć, że dotychczasowe prace na ten temat zajmują się właśnie historią polityczną, na ogół rozumianą dość tradycyjnie<sup>4</sup>. Ponieważ przedmiotem niniejszej analizy nie jest stronnictwo polityczne, lecz niektóre aspekty doktryny narodowej ideologów tego stronnictwa, przeto periodyzacja musi być odmienna.



Wydaje się, że z ważnego tu punktu widzenia rozwój doktryny nacjonalistycznej można podzielić na następujące okresy:

1886–1894, wstępny okres krystalizowania się nacjonalizmu, głównie w Warszawie, ale po części we Lwowie i w Poznaniu. Ten wstępny etap „czystego” nacjonalizmu daje się zarazem ująć jako końcowa faza ideowej dezintegracji różnego rodzaju kółek socjalistyczno–patriotycznych działających w całym kraju, jak np. gmina narodowo–socjalistyczna Limanowskiego czy gimnazjalne kółko Aryeli, do którego należał Kazimierz Kelles–Krauz. Lata, o których mowa, to okres wyodrębnienia, ostatecznej separacji (ostatecznej dla tamtego okresu, lecz nie „w ogóle”) utopii narodowej od utopii socjalistycznej. Mówiąc językiem niby–hegrowskim, jest to okres, w którym absolut narodowy uświadamia sobie, że jest absolutem<sup>5</sup>. Datę graniczną – 1894 r. – wyznacza zresztą nie jakieś wydarzenie natury ideologicznej, lecz aresztowania po warszawskiej kwietniowej manifestacji w rocznicę wystąpienia Kilińskiego i spowodowana przez nie przerwa w działalności świeżo zorganizowanej Ligi Narodowej. Najbardziej charakterystyczna dla tego procesu krystalizacji jest publicystyka Popławskiego w „Głosie”. Najciekawszym dokumentem związanym z tym okresem koegzystencji ideałów socjalistycznych i narodowych jest studium Tadeusza Balickiego opublikowane już po jego rozejściu się z Ligą Narodową i sporze z Dmowskim<sup>6</sup>. Ciekawa bardzo z wielu względów praca Balickiego nie znalazła właściwie żadnego odzewu, choć np. Bystronń wyraża się o niej z uznaniem<sup>7</sup>. Wydaje się, że studium T. Balickiego jest spóźnionym, choć najbardziej dojrzałym owocem działalności różnych kółek socjalistyczno–patriotycznych i w takim kontekście powinno być analizowane.

Okres drugi, to lata 1896–1899, ukształtowanie się doktryny nacjonalistycznej, co znajduje wyraz nie tylko w programie stronnictwa (czerwiec 1897), co w publicystyce Dmowskiego i Popławskiego komentującej ten program.

Wreszcie lata 1900–1904, okres swobodnego funkcjonowania dojrzałej doktryny nacjonalistycznej, w warunkach względnej stabilizacji społecznej wszystkich trzech zaborów i znacznej swobody politycznej w zaborach pruskim i austriackim. Wtedy, w 1902 r., Z. Balicki publikuje *Egoizm narodowy*, a Dmowski pi-

szcze najbardziej zborny tekst teoretyczny nacjonalizmu polskiego – *Myśli nowoczesnego Polaka*<sup>8</sup>.

W roku 1905 ze zrozumiałych względów ideologia formułowana jako ideologia ustępuje miejsca ideologii formułowanej jako działalność polityczna. Nacjonalizm staje się podstawą kolaboracji posuniętej raczej daleko. Analiza tego swoistego paradoksu nie wchodzi w zakres niniejszych rozważań, należących do innej dziedziny wiedzy niż *political sciences*. Dla poznania „czystego” nacjonalizmu bardziej przydatne wydają się teksty z lat 1896–1904. One też stanowią podstawę niniejszych analiz; teksty publikowane po roku 1904 będą tu wykorzystywane w niewielkim stopniu. Proponowana analiza teorii polskiego nacjonalizmu programowo abstrahuje od ewentualnych osobistych skłonności tego czy innego ideologa. Cytowane teksty traktowane są w zasadzie tak, jak gdyby napisane były przez jednego człowieka. Wydaje się, że to założenie badawcze nie wymaga uzasadnienia. Niemniej wspomnieć wypada, że z głównych ideologów nacjonalizmu badanej doby Zygmunt Balicki w młodości należał do gmin socjalistycznych, a Jan Ludwik Popławski po powrocie z zesłania na Wiatce i gdzieś po roku 1894 znajdował się pod wpływem idei narodnickich. Jeden tylko Dmowski, najmłodszy z całej trójki, nigdy nie miał nic wspólnego z żadną wersją socjalizmu.

## II

W pismach ideologów nacjonalizmu nie sposób znaleźć wyraźnej definicji narodu. Nie zawiera jej nawet artykuł Bartoszewicza *Co to jest naród*, będący *notabene* w znacznej mierze zwykłym plagiatem; Bartoszewicz przepisał całe akapity ze słynnego wykładu Renana *Qu'est-ce qu'une nation?* Dlatego też trudno byłoby zacząć analizę poglądów polskich nacjonalistów od tej, późnej zresztą, pozycji.

Wspomniany brak definicji narodu tłumaczy się różnymi względami, a wśród nich i tym, że ani Dmowski, ani Popławski nie pisali artykułów dla przyszłych historyków idei. Ze swoimi odbiorcami natomiast porozumiewali się całkiem nieźle bez wyraźnej definicji. Trzeba jednak spróbować owo tak ważne dla historyka ogniwo myśli zrekonstruować.

„Świadomość nasza narodowa musi dla siebie szukać innych podstaw niż te zakłęcia tradycji, które miały ją 'zbawić od złego' i dać jej 'życie wieczne'. Rozumie ona, że musi się oprzeć na

poczuciu mas, te zaś żadnej tradycji dziejowej nie mają, bo nie miały historii. (...) Bez tradycji, nawet bez kultury, lud polski zachował swoją narodowość mocniej i pełniej, aniżeli warstwa inteligentna.(...) Świadomość jego zbiorowa opiera się na tej odrębnej naturze, której nie dały mu żadne prawa ustne czy pisane. (...) Jest to poczucie plemienne, miłość tej ziemi, na której wyrósł 'jak lasy rosną razem z tym dębem i sosną', którą krwawym potem swoim użyźnił (...)"<sup>9</sup>.

„Myślami swymi chcę się dzielić nie z tymi, dla których naród jest martwą cyfrą, zbiorowiskiem jednostek, mówiących pewnym językiem i zamieszkujących pewien obszar; rozumieją mnie tylko ci, co widzą w nim nierozdzieloną całość społeczną, organicznie spójną, łączącą jednostkę ludzką niezliczonymi więzami, z których jedne mają swój początek w zamierzchłej przeszłości – twórczyni rasy, inne w znanej nam historii – twórczyni tradycji, inne wreszcie (...) tworzą się dziś (...)"<sup>10</sup>.

„Nasi rzekomi realisci nie uwzględniają najważniejszego, najbardziej realnego czynnika działalności politycznej, jakim jest wiara w żywotność własną, a zwłaszcza świadoma wola narodu. Dla nich realnym jest tylko, co ma kształty widoczne, co można zmierzyć i obliczyć dokładnie, nie rozumieją bowiem (...), że stosunki społeczne są w pierwszym rzędzie wytworem myśli i woli ludzkiej, bezwiednej lub świadomej”<sup>11</sup>.

„Moment etniczny nie jest bynajmniej podstawą pojęcia narodu.

Narodu nie tworzy ani rasa, ani język, ani religia, ani wspólność interesów, ani jedność podstawy terytorialnej”<sup>12</sup>.

„Naród określają jako zasadę duchową, jako ideę. Z podmiotowego punktu widzenia definicja taka jest niewątpliwie trafna. Gdzie nie ma duchowej wspólności, tam niemożliwe jest organiczne skupienie, które zwiemy społeczeństwem.

Lecz dla sformułowania sobie jasnego o narodzie pojęcia nie wystarcza wiedzieć, że pewna idea jest niezbędna dla istnienia narodu. (...) Nie dość jest zdawać sobie sprawę z niezbędności tej idei i nazwać ją trafnie, jak Mancini, narodową samowiedzą, *conscienza della nazionalità* (...).

Otóż skupienie ludzkie (...) jeśli ma świadomość swego wspólnego historycznego zadania, jeśli posiada własny patriotyzm państwowy – jest narodem”<sup>13</sup>.

„My jesteśmy narodem jednym, niepodzielnym narodem, bo posiadamy poczucie swej jedności, posiadamy wspólną zbiorową świadomość, wspólną duszę narodową”<sup>14</sup>.

„Naród, który nie chce nic zdobyć (...), który żadnych pożądań nie ma, ale zażądała się tym, co posiada, musi się kurczyć i w końcu zginąć”<sup>15</sup>.

Byłoby błędem, gdyby przy tej prezentacji nacjonalistycznej teorii narodu pominąć kwestię społecznego podłoża narodu. Teoretycy nacjonalizmu, szczególnie przed rokiem 1905, wielokrotnie podkreślali, że społeczną bazę narodu stanowi chłopstwo. Wynikało to z różnych przyczyn natury politycznej, miało jednak i swoje podłoże historiozoficzne. „Nasza cywilizacja – pisał Dmowski – wskutek upadku miast w Rzeczypospolitej, przez szereg wieków pozostawiła lud nienaruszonym, nie wybierając nic prawie z niego na swój użytek(...)

Dzięki nienormalnemu biegowi naszego rozwoju polityczno-społecznego przez ostatnie stulecie (...) ten zapas sił naturalnych, tkwiący w masie ludowej (...) u nas został unieruchomiony, jak skarb zakopany w ziemi. Straciliśmy skutkiem tego siłę i upadliśmy, ale skarb zakopany pozostał”<sup>16</sup>. Stąd przewaga narodu polskiego nad tymi narodami zachodnimi, które ów potencjał siły tkwiący w chłopstwie zdążyły już w znacznej mierze zużyć”<sup>17</sup>.

Z fragmentów takich, jak przedstawione powyżej, można bez trudu ułożyć całą książkę pt. „Różne a jednolite myśli o istocie narodu”. Jak już wspomniano, poglądy głównych ideologów nacjonalizmu cechuje pewna mglistość, spoza której można jednak wydobyć zasadniczy kontur teorii. Wydaje się mianowicie, że w całkowitej zgodzie z ich intencjami można nacjonalistyczne określenie narodu przedstawić w taki oto sposób:

– naród jest to duchowa wspólnota ludzi nie dająca się zredukować do czynników takich jak historia, element etniczny czy dane statystyczne;

– istotą owej duchowej wspólnoty ludzi, jaką stanowi naród, jest zbiorowa samoświadomość narodowa, dusza narodu będąca bytem nadrzędnym w stosunku do poszczególnych indywidualów; nie jest tak, by dusza narodu składała się z cząstek indywidualnych jaźni, lecz jest tak, że każdy członek narodu partycypuje w owym bycie, jakim jest dusza narodu;

– wprawdzie dusza narodu jako byt nadrzędny obejmuje całość pokoleń obecnych, przeszłych i przyszłych, niemniej substratem społecznym owego bytu nadrzędnego jest chłopstwo jako warstwa posiadająca największy zapas sił witalnych i najmniej skażona obcymi wpływami;

— samoświadomość narodu nie może się jednak ograniczać do tego, że jesteśmy Polakami i chcemy nimi być mimo prześladowania; nieodzownym składnikiem świadomości narodowej, a w każdym razie niewykoślawionej świadomości narodowej, jest przekonanie o tym, że naród polski ma do spełnienia misję dziejową zdobycia niepodległości i ustanowienia własnej wielkości (o konkretnym sensie owej wielkości mowa będzie nieco dalej).

„Naród (...) — pisał znacznie później Wasilewski — jest istotnością duchową ponad jednostką i pokoleniami, żyją w nim w tej chwili duchy ludzi, którzy już odeszli od świata, tych, którzy teraz są na ziemi, i tych, którzy się jeszcze nie narodzili. (...)”

Naród znajduje się wicherze pędu dziejowego. Rozpala się w nim i płomienieje duchem. Naród — to nie statystyka i geografia, ale właśnie ta siła jego ruchu i płomienia duchowego. To nie tylko jego organizacja państwowa, dobrobyt, siła obrony i trwania, ale to wszystko razem w potęgde X wewnętrznego tworzenia, w ciągłej przeróbce na wartości duchowe(...)”<sup>18</sup>.

Zdaje się, że powyższa próba rekonstrukcji nacjonalistycznej teorii narodu nie usunęła wszystkich niejasności. W dalszym ciągu będzie jeszcze mowa o tym, dlaczego ani ideologom, ani ruchowi nacjonalistycznemu większa jasność w kwestii czym jest naród nie jest potrzebna. Tu poprzestać trzeba na komentarzach ubocznych, niejako oczyszczających pole z ewentualnych nieporozumień. Porządek tych komentarzy nie oznacza więc stopnia ich ważności, wszystkie dotyczą spraw drugorzędnych.

Na początek sprawa, co do której w pismach ideologów nacjonalizmu badanego okresu nie ma jednolitego stanowiska — sprawa rasy. Na ogół uważa się, że pewne elementy wiążące teorię narodu z koncepcją rasy znaleźć można u Dmowskiego, po jego powrocie z Japonii w 1904 r. i rzekomo pod wpływem japońskich doświadczeń. Wówczas to — wedle tego mniemania — w miejsce świadomości narodowej, a więc kultury, zaczął on podkreślać rolę instynktu, a więc biologii, rasy<sup>19</sup>. Ale o rasie pisze Dmowski i w cytowanym tekście z roku 1902, a nawet w 1895 r. w cyklu artykułów o szkole rosyjskiej w Polsce, twierdząc, że Polska jest odległa od Rosji „pod względem rasowym”<sup>20</sup>. Natomiast u Popławskiego trafić można na pogląd, że „nauka nie zna wcale rasy słowiańskiej ani germańskiej, są tylko grupy językowe, słowiańska i germańska, są tylko kultury rosyjska, polska, pruska, niemiecka, które można nazwać wytworem ducha narodów (...)”<sup>21</sup>.

Do kwestii teoretycznych związanych z rasizmem nacjona-

listycznej doktryny narodowej w Polsce trzeba będzie jeszcze powrócić. Tu ograniczyć się można do stwierdzenia, że przyjęcie teorii rasy miało w polskich warunkach aspekt szczególny. Związane mogło być mianowicie z uznaniem istnienia rasy słowiańskiej, a co za tym idzie z jakąś wersją wspólnoty Polaków i Rosjan. Ze względów politycznych — a w końcu te odgrywały rolę niemalą — było to dla endeków niewygodne, choć jak o tym jeszcze będzie mowa, przy swoistym ujęciu koncepcji rasy, przeszkodę tę można było przezwyciężyć.

W jednym tylko punkcie ideolodzy nacjonalizmu od początku zajmowali stanowisko, które cechuje wszystkie bodaj rasizmy na kontynencie europejskim. Od pierwszej chwili byli konsekwentnymi antysemitami, uważali Żydów za plemię szczególne, od chaldejskich początków naznaczone nieścieralnym piętnem zła<sup>22</sup>.

Warto następnie zwrócić uwagę na kwestię ewentualnych „książkowych” źródeł nacjonalistycznej teorii narodu. Ideolodzy nacjonalizmu ze zrozumiałych względów podkreślali rdzennie polski charakter swoich poglądów. Mieli jednak trudności z wyborem własnej tradycji. Polskie XIX-wieczne doktryny narodowe związane były dla nich z ideą powstańczą, a powstania Dmowski potępiał zdecydowanie; równie, a bodaj bardziej jeszcze krytycznie odnosił się do hasła „za waszą i naszą wolność”.

Wspomina się więc z rzadka Staszica, cytuje jedno lub dwa zdania Mickiewicza. Zdaje się, że nie ma ani jednej wzmianki o Brodzińskim, Mochackim czy Libelcie. Autorzy zagraniczni? Wolno wątpić, czy główni ideolodzy nacjonalizmu znali Fichtego. Jeśli chodzi o przełom XIX i XX wieku, to Kozicki twierdzi, że z publicystyką Barrèsa i Maurrasa zetknęli się późno. Balicki zna oczywiście współczesną sobie literaturę socjologiczną, ale ślady tych lektur w jego publicystyce są znikome<sup>23</sup>.

Najczęściej, wprost lub pośrednio, wspomina się dwa teksty: Renana *Qu'est-ce qu'une nation?* (polski przekład 1888 r. w dodatku do petersburskiego „Kraju”) oraz wygłoszony w 1851 r. wykład inauguracyjny Pasquale Stanislao Manciniego *La nazionalità come fonte del diritto delle genti*.

Z obu autorów polscy nacjonałiści wydobywali przede wszystkim pierwiastek woli tworzenia narodu jako składnik zasadniczy narodu<sup>24</sup>. Nadto u Renana musiała ich pociągać zarówno teza, że „naród jest duszą, zasadą duchową”, jak i podkreślanie przezeń historycznej roli przemocy w tworzeniu jednności narodowej.

Nie sposób jednak nazwać ideologów nacjonalizmu polskiego uczniami Renana czy Manciniego. Interpretowali oni teksty nader dowolnie. Manciniemu miano stale za złe wysunięcie zasady etnicznej<sup>25</sup>. O zakończeniu wykładu Renana, w którym mówił on o przemijalności narodów oraz zarysował ideę federacji europejskiej, po prostu nie wspomiano. Fakt, że odwoływano się do tych właśnie tekstów, uznać można za przypadek, nawet jeśli uwzględnić, że poglądy Manciniego odegrały ważną rolę jako teoretyczna podstawa idei zjednoczenia Włoch.

W gruncie rzeczy, można chyba przyjąć, iż stopień samorodności polskiej doktryny nacjonalistycznej był znaczny, mimo iż nietrudno tu trafić na myśli wyglądające jak żywcem przepisane z polskiej i niepolskiej literatury, poświęconej sprawom narodu, z pierwszej połowy XIX w. I jakkolwiek brzmi to niewiarygodnie, nie da się jednak wykluczyć, że np. Dmowski pisząc o narodach młodych i prężnych oraz o starzejących się i przerafinowanych dokonał tego „odkrycia” na własną rękę, a przynajmniej w stanie paramnezji. Zresztą ów problem samorodności nie wydaje się szczególnie doniosły.

Wreszcie komentarz trzeci; dotyczy on kwestii precyzji określenia narodu. Cokolwiek byśmy sądzili o tym rysie wypowiedzi Dmowskiego czy Wasilewskiego, pamiętać należy, że nikt wówczas nie dysponował i my dziś nie dysponujemy żadną zadowalającą definicją narodu. Co się tyczy dnia dzisiejszego, to wystarczy przytoczyć dwa fakty. Socjolog tej miary, co Znaniecki pisze książkę o współczesnych narodowościach nie uważając za potrzebne podania definicji narodu<sup>26</sup>. U nas zaś niedawno odbyło się zebranie historyków i socjologów, poświęcone kwestii narodowej, na którym dopracowano się dwóch wniosków: że istnieją znaczne terminologiczne trudności przy porównywaniu znaczeń takich terminów, jak *nation*, *nationalité*, naród i *narod*, oraz, że definicja Stalina jest niewystarczająca<sup>27</sup>.

Jeśli chodzi o przełom XIX i XX w., to Bystron sądząc – może nieco pochopnie – że socjologia polska sięgnęła w kwestii narodu głębiej niż uczeni zachodniej Europy, zarazem stwierdza „niemożność wywiązania zagadnienia narodu w sposób zadowalający”<sup>28</sup>. Zaś Herbut–Heybowicz, autor najobszerniejszej w literaturze polskiej pracy o pojęciu narodu, pisał: „Z tego wszystkiego, cośmy przytoczyli (...) możemy powziąć przekonanie, że pojęcie o narodzie należy do kategorii abstrakcyjnych pojęć filozoficznych, których istota usuwa się spod ciasnych, ujętych w ściśle ramy określeń”<sup>29</sup>.

Od spraw ubocznych przejść teraz można do sprawy dla owej mglistości nacjonalistycznej koncepcji narodu zasadniczej.

Ideologom endecji zdarzało się formułować swój pogląd w tej materii w tonacji spokojniejszej niż brzmiące w podanych uprzednio cytatach; formułowali również swoje mniemania w języku naukowym. W przypadku pierwszym brzmiąc to będzie: „Naród polski bez względu na podział polityczny ma świadomość swej jedności, swe interesy ogólnonarodowe odrębne od interesów innych narodów, czyli jest w całym tego słowa znaczeniu narodem zdolnym do wspólnego i niezależnego bytu politycznego”<sup>30</sup>. W przypadku drugim sformułowanie brzmi: „Czynności zapoznawcze stałej indywidualności zbiorowej, jako całość przeżytych pokoleniami, a odnoszących się do tego samego podmiotu wrażeń i doznań, przechowywane w pamięci surowej i scałkowanej z sobą, przybierają układ przedmiotowo-społeczny w formacji Narodu”<sup>31</sup>.

Należało przedstawić te określenia chociażby po to, by uniknąć zarzutu stronniczego wyboru; wydaje się jednak, że istoty sprawy nie zmieniają one – a już szczególnie wypowiedź druga – w niczym. Owa niejasność – samoświadomość jako dusza zbiorowa – pozostaje.

Inaczej zresztą być nie może i nie powinno. Albowiem w doktrynie nacjonalistycznej nie ma miejsca na poznawczy stosunek do narodu. Naród jest to pojęcie nie należące do opisu świata, lecz do hierarchii wartości, wartości zaś w ramach tego światopoglądu nie poznaje się, lecz przeżywa. Naród jest to wartość – wartość najwyższa i nie wymagająca żadnych uzasadnień. Wręcz przeciwnie, ewentualne uzasadnienia są wobec absolutu narodu profanacją, a w najlepszym wypadku kompromisem.

„Wszystkie(...) wskazania moralności autonomicznej – pisze Balicki – stanowią tylko pojedyncze tony jednego akordu, ten zaś odpowiada najwyższej indywidualności zbiorowej, jaką jest naród”. I dalej: „Zachowanie niezależności, rozwój i potęga najwyższej indywidualności społecznej, jaką jest naród, ma za podstawę samowiedny egoizm narodowy, przed którym wszelki inny egoizm, choćby sam w sobie najbardziej uprawniony (...) ustępować musi”<sup>32</sup>. A Dmowski formułuje to w następujący sposób: „przedmiotem tego patriotyzmu, albo ściślej mówiąc nacjonalizmu, nie jest pewien zbiór swobód, które dawniej ojczyzną nazywano, ale sam naród jako żywy organizm społeczny (...)”<sup>33</sup>.



Tak rozumiana zasada narodu jako absolutu, wartości najwyższej nie wymagającej żadnych uzasadnień, stanowi ośrodek nacjonalistycznej wizji świata.

Oto niektóre elementy tej wizji.

Historia. Jeżeli dla Polaka absolutem jest naród polski, dla Niemca – niemiecki, dla Francuza – francuski, to jak musi wyglądać historia, która przecież nie jest, siłą rzeczy, historią jednego narodu? Jakkolwiek bowiem ludzkość jest dla nacjonalisty nonsensowną abstrakcją, niemniej Europa składa się z iluś tam narodów-absolutów. Ściśle rzecz biorąc, absolutem może być tylko jeden naród – właśnie mój. I dlatego Popławski napisze: „Czy należy wytwarzać sztucznie wśród Białorusinów dążenie do odrębności narodowej, którego nie ma, pisać książki w ich narzeczu, kiedy oni sami żądają polskich? Odmawiać komuś zaspokojenia potrzeb, które już uświadomił sobie, byłoby niesprawiedliwością, ale wywołać sztucznie te potrzeby (...) jest karygodną lekkomyślnością, jest grzechem przeciw naturze, przeciw instynktowi samozachowawczemu”<sup>34</sup>.

Sprawa jednak nie dotyczyła jednego narodu, ma charakter generalny.

„Opierając etykę społeczną na egoizmie narodowym, poczynając ten ostatni za najpotężniejszy bodziec moralny (...) czy tym samym – pyta Balicki – nie otwieramy na oścież wrót dla wszelkiego rodzaju międzynarodowego bezprawia? Gdzie znajdziemy hamulec na rozpasane instynkty narodowego samolubstwa, żądy zaborów i panowania?” I odpowiada: „Naród duchowo wielki (...) nie poniży się do nadużyć i gwałtów, bo ceni wysoko swą godność, ma poszanowanie dla własnej kultury i cześć dla swego sztandaru, którego, jak żołnierz, mordem ani skrytobójstwem nie splami. Mają w sobie taki egoizm samowiedny niektóre narody; nawet gdy prowadzą politykę podbojów, szanują indywidualność krajów opanowanych i barbarzyństwem się nie splamią (...)”. Albowiem: „Naród jako organizm żywy ma prawo rozrastać się nie tylko kosztem żywiołów biernych, bezmyślnych i społecznie bezkształtnych, ale nawet kosztem narodów innych, byle ten rozrost był naturalny i nie opierał się na sile brutalnej, przymusie i prawach wyjątkowych”<sup>35</sup>.

Zdaje się, że Dmowski żywił w powyższej materii nieco mniej złudzeń. „Walka – pisał – jest podstawą życia (...) jak mówili starożytni. Narody, które przestają walczyć, wyrodniejają moralnie i rozkładają się”. I dalej: „Gdyby istniały jakieś prawa międzynarodowe, ochraniające każdy szczepek na zajmowanym

przezeń terytorium (...) moglibyśmy dojść do posiadania w środku Europy półbarbarzyńskich ludów, stanowiących tamę dla cywilizacji”. I ze swego stanowiska Dmowski wysuwa konsekwencje ostateczne: „Jest to filozofia walki narodowej i ucisku... Może. Ale cóż, jeżeli ta walka i ten ucisk są rzeczywistością, a powszechny pokój i powszechna wolność fikcją? (...)”

Więc Niemcy i Moskale są w prawie robienia tego, czego się względem nas dopuszczają? Więc nie jesteśmy ofiarami niesprawiedliwości i gwałtu?... I cóż z tego, że my się mamy za ofiary, jeżeli ani nasi wrogowie, ani ci, co się z boku przyglądają naszej walce, nic sobie z naszej opinii nie robią. (...)

Przyznam się, że mam wstręt do oskarżania Niemców i Moskali. Powiem więcej: jeżeli się nie łudzę, to przestałem ich nawet nienawidzić.” Nie powinno się bowiem rozprawiać o krzywdach i sprawiedliwości, jeżeli historia (Dmowskiemu chodzi tu konkretnie o historię Prus) dowodzi, „że wszelka zdobycz, bez względu na to, jaką drogą osiągnięta, może stać się podstawą pomyślności narodu i jego postępu(...), a zatem w stosunkach między narodami nie ma słuszności i krzywdy, ale jest siła i słabość(...)”<sup>36</sup>. Zresztą ucisk narodowy nie jest tylko czymś złym. Rodzi on bowiem opór. Przecież rezultatem polityki germanizacyjnej w zaborze pruskim było to, że „zaczął się przerabiać charakter narodowy: ma się rozumieć nie tyle w ten sposób, że niedołęgi przerabiają się na dzielnych ludzi, ile w ten, że niedołęgi idą w ką, a ludzie dzielni biorą przewagę, bogacą się materialnie i umysłowo (...) i prowadzą społeczeństwo”<sup>37</sup>. A skoro ucisk germanizacyjny stał się podstawą wzrostu polskiego patriotyzmu, to można przypuszczać, że zdecydowana polityka wobec Rusinów przynieść może dwa rezultaty: albo staną się oni Polakami – albo wyrosną na dzielny samoistny naród ruski, który będzie bronił swojej niezawisłości zarówno wobec Polaków, jak i wobec Moskali<sup>38</sup>.

Tyle o historii, a przy okazji o stosunku do plemion zamieszkujących wschodnie kresy Polski.

Sprawa następną: stosunek jednostki do narodu. „(...) Patriotyzm – powiada Dmowski – to nie system filozoficzny (...) to stosunek moralny jednostki do społeczeństwa”<sup>39</sup>. U Balickiego owo całkowite podporządkowanie się jednostki naczelnej całości, jaką jest naród, ma być rezultatem wyboru moralnego. U Dmowskiego obok motywacji moralnej występuje również inna. „Jak rozwój organiczny – pisze on – polega na coraz ściślejszym uzależnianiu wzajemnych tkanek(...), tak rozwój spo-



łeczeństwa prowadzi do coraz ściślejszej zależności wzajemnej poszczególnych warstw i składających je jednostek. Im społeczeństwo więcej posunięte jest w rozwoju, tym mniej jednostka w stosunku do innych członków społeczeństwa jest czym być chce, a tym więcej, czym być musi<sup>40</sup>.

Oczywiście, jeżeli najwyższym obowiązkiem jednostki jest praca dla dobra narodu, to może powstać pytanie: a kto ma wiedzieć, co jest dla narodu dobre? I dalej: jeżeli przyjąć, że potrzebna jest dla dobra narodu stała ekspansja — to i tak pozostaje pytanie o konkretne sposoby przejawiania się tej ekspansji. Odpowiedź jest prosta: o tym, co dla narodu dobre, decyduje partia, która jest duszą narodowej emanacją. „Nie ma nikogo ze stojących poza nami — pisze Popławski — kto by miał prawo żądać od nas zdawania sprawy z tej służby [dla narodu — R.Z.], nie ma takiej powagi w społeczeństwie całym, która by miała prawo nauczyć nas, jak spełniać tę powinność należy, i krytykować nas za działalność”<sup>41</sup>.

Nacjonalistyczna wizja świata nie ogranicza się, rzecz jasna, do koncepcji historii czy stosunku jednostki do narodu. Zawiera ona koncepcję narodów młodych (takim jest naród polski) oraz narodów zatrutych miazmatami wyrafinowania (to Francuzi). Zawiera też ta wizja świata elementy utopii czysto politycznej. Ta ostatnia sprowadza się do tezy, że o ile na Zachodzie istnieje potrzeba dwóch partii: konserwatywnej, dbającej o interesy całości narodu, i liberalnej, broniącej interesów jednostki, to Polsce, wskutek specyfiki jej rozwoju, całkowicie wystarczy jedna partia, która dbać będzie o obie sprawy. Nie trzeba dodawać, która partia, zdaniem Dmowskiego, jest do tej roli najbardziej powołana<sup>42</sup>.

Sprawy te jednak, jak się wydaje, można pominąć. Kaleka byłaby natomiast prezentacja nacjonalistycznej wizji świata, wywodzącej się z koncepcji narodu jako wartości naczelnej, bez omówienia sprawy patriotyzmu i niepodległości Polski. Tu jednakże prezentację zacząć należy od wyjaśnienia pewnej istotnej sprawy.

Istnieje dość rozpowszechnione przekonanie, że postulat odzyskania niepodległości wysunęła na przełomie wieków PPS. Pogląd taki może być utrzymany pod warunkiem dodania kilku uzupełnień.

Po pierwsze więc, powiedzieć trzeba, że PPS była nie w ogóle pierwszą, która postulat niepodległości wysunęła na czoło swego programu, lecz że była pierwszą nowoczesną partią poli-

tyczną o takim programie. Przedtem, jak wiadomo, hasło niepodległości wysuwały różne ugrupowania, między innymi gmina Limanowskiego.

Po drugie, nie jest tak, jak to — wskutek różnych wulgaryzacji — wyobraża sobie po dziś dzień wielu ludzi, że mianowicie od końca lat dziewięćdziesiątych wszyscy uznali upadek Polski, brak własnej państwowości, za fakt ostateczny. Oto znamieny przykład obalający to dość potoczne wyobrażenie.

W 1873 r. Włodzimierz Spasowicz, człowiek będący niejako symbolem polityki „ugody”, wydał anonimowo w Poznaniu broszurę pt. *Polityka samobójstwa*. Jest to ostra i bardzo interesująca odpowiedź polemiczna na rozprawkę Kazimierza Krzywickiego *Polska i Rosja w 1872 r.*, w której autor, były współpracownik Wielopolskiego, nawołuje do świadomego samowynarodowienia się Polaków, do roztopienia się w „słowiańszczyźnie”, w narodzie rosyjskim. Dla poruszonej tu kwestii polemika Spasowicza ważna jest przede wszystkim ze względu na dwa fragmenty, z których wynika, iż autor uważa brak niepodległości za stan, który trwać będzie długo, ale bynajmniej nie zawsze. „(...) Odbudowanie Polski — pisał Spasowicz — nie stanie się ani jutro, ani za dziesięć lat...”<sup>43</sup>. Wolno zatem domyślać się, że Spasowicz, podobnie jak przytaczająca większość, żywił nadzieję, iż jeśli nie synowie, to wnuki doczekają się „odbudowania Polski”. Nadziei tych nie podzielali — jak wiadomo — Proletariacy i SDKP-owcy.

Wreszcie, warto sobie uświadomić, że samo wysunięcie hasła odzyskania niepodległości przez PPS czy endecję nie było i nie mogło być równoznaczne z posiadaniem jakiegoś konkretnego programu zdobycia tej niepodległości. Komentarze do wszystkich programów niepodległościowych mówią o sprzyjających warunkach i właściwie sprowadzają się do założenia, że w wyniku jakiegoś konfliktu zbrojnego (dla lewicy PPS połączonego z ruchem rewolucyjnym) uda się, w oparciu o któreś z państw zaborczych, powołać do życia twór państwowy o statusie dominium lub państwa sfederowanego. Oczywiście na początek. I powiedzieć trzeba, że żaden polityk o minimalnie trzeźwym oglądzie świata nie mógł w roku 1898 myśleć o czymś więcej. Jedyni ludzie, którzy wierzyli w europejską rewolucję socjalistyczną, wierzyli zarazem, że zniesie ona i ucisk narodów, i problem narodowy, i — prawdopodobnie — państwo jako instytucję. Z powyższego nie ma wynikać neglżujący stosunek do ideologicznego, moralnego i wreszcie politycznego znaczenia hasła

odzyskania niepodległości. Wręcz przeciwnie, można powiedzieć, że im bardziej iluzoryczne zdawały się szanse wyzwolenia, tym donioślejszą funkcję pełnił postulat odzyskania niepodległości. Wszak przekonaniu o stabilności istniejącej sytuacji, czy różnym twierdzeniom o rzekomo reakcyjnych „niepodległościowych mrzonkach” towarzyszyło arcyszkodliwe zjawisko społeczne, które Żeromski trafnie określał mianem „narodowej samoniewoli”. Temu przeciwdziało hasło odzyskania niepodległości. Dlatego nie sposób wręcz przecenić moralno-społecznej doniosłości tego hasła, nawet uwzględniając fakt, iż jego realizacja bywała umieszczana w dość mglistej przyszłości.

O tych sprawach pamiętać należy, analizując endecką wersję postulatu Polski niepodległej. Z postulatem tym – jak wiadomo – nacjonałiści występowali stosunkowo rzadko, co im nieraz wytkano.

Właśnie odpowiadając na zarzut, iż obóz narodowy niezbyt często mówi o odzyskaniu niepodległości, Popławski pisał w jednym z komentarzy do programu stronnictwa: „Przyszła Polska niepodległa jest dla nas (...) koniecznym postulatem naszego istnienia narodowego, więcej nawet, artykułem wiary, niepotrzebującym uzasadnienia, wynikiem logicznego prawa przyrodzonego, pojmowanego nie w dawnym, metafizycznym, ale we współczesnym realnym ujęciu”<sup>44</sup>.

Myśl ta w różnych wariantach przewija się przez pisma Dmowskiego, Popławskiego, Balickiego i innych ideologów Ligi. Domagamy się niepodległości nie dla jakichś względów ubocznych – np. dlatego, że będzie w Polsce lepiej – ani nie dlatego, że zgodne jest to z jakimiś ideałami – a jedynie dlatego, że jesteśmy Polakami, a niepodległość naszego narodu nie wymaga żadnych uzasadnień. W sposób bodaj najbardziej godny zainteresowania wyłożył to Popławski w takim oto obszernym wywodzie:

„W najlepszym zamiarze, w celu odparcia potwarzy i fałszów historycznych, podjęto pracę wykazania, że nasza sprawa narodowa nie tylko nie stoi w sprzeczności z ogólnoludzkimi ideałami postępu etycznego i społecznego, ale przeciwnie, jest pracą dla nich i walką o nie. Były te usiłowania niewątpliwie potrzebne i pożyteczne (...) Niestety jednak, rychło (...) przekroczyły właściwy sobie zakres rozpraw publicystyczno-historycznych, stały się doktryną polityczną, ba, nawet zasadą programową. Wytworzył się i znalazł zwolenników pogląd, że nasze dzieje porozbiorowe, a nawet ostatnia doba dziejów

porozbiorowych, są w gruncie rzeczy jednym dążeniem do urzeczywistnienia ideałów postępu społecznego, że nasze spiski i powstania nie były naturalnymi odruchami organizmu narodowego, pragnącego żyć i rozwijać się, ale wcieleniami coraz to wyższymi idei humanitarno-demokratycznych. (...)

Ta humanitarno-postępowa rehabilitacja patriotyzmu jest dlatego szkodliwsza niż wszystkie kompromisy, że mąci naszą myśl polityczną i znieprawia nasze uczucia narodowe. Zahipnotyzowani tą szczególną historiozofią nie zwracają uwagi na najdonioślejsze nieraz objawy życia narodowego, jeśli nie dają się one wtłoczyć w gotowy schemat (...). Nie omylimy się z pewnością twierdząc, że w kołach demokratyczno-postępowych nie oceniono u nas należycie w czasie właściwym i dzisiaj nie pojmują olbrzymiej doniosłości ruchu ludowego, który wszczął się w zaborze pruskim pod wpływem tzw. *Kulturkampfu*. Bo i cóż miał na pozór wspólnego z postępowym społecznym ten ruch katolicko-klerykalny, któremu przewodzili księża i szlachcice? Czy i dziś wielu ludzi w naszej inteligencji zdaje sobie sprawę, że ten ruch zbudził do życia zamierającą dzielnicę, że wytworzył miliony obywateli Polaków, że nawet rozszerzył nasze dzierżawy narodowe (...).

Występujemy (...) przeciw przeinaczeniu właściwego znaczenia tego związku [między sprawą narodową a sprawą postępu społecznego – R.Z.], przeciw nadawaniu mu charakteru doktryny, uzależniającej naszą sprawę narodową od sprawy postępu społecznego. W pojmowaniu bowiem wulgarnym ta doktryna wyraża się tak: nasza sprawa jest słuszna dlatego, że jest jednocześnie walką mającą na celu triumf idei humanitarnych i demokratycznych. A gdyby tak nie było, czy sprawa nasza stałaby się mniej słuszną? (...) Chociażby nasze walki o niepodległość, nasze dążenia narodowe nie miały nic wspólnego z zasadami demokratycznymi i ideałami humanitarnymi, z postępowym społecznym, sprawa nasza byłaby równie jak dziś dobrą, prawo nasze równie świętym.

Legitymowanie tego patriotyzmu, wynajdowanie mu koligacji ideowych, poniżej jego godność”<sup>45</sup>.

Można by na tym zakończyć prezentację wybranych cech nacjonalistycznej teorii narodu. Można by, gdyby zagadnienie niepodległości Polski w momencie napisania cytowanego artykułu nie miało swojej konkretnej historii. Można by, gdyby między datą powstania cytowanej wypowiedzi Popławskiego a ostateczną utratą niepodległości nie było studwoletniego odstępu czasu.

Ponieważ jednak był, wypada przytoczony fragment uzupełnić innymi wypowiedziami.

„Cały ten dotychczasowy kierunek demokracji polskiej był drogą fałszywą; jej liberalizm polityczny był w połowie naleciałością obcą, nie wywołaną potrzebami kraju, w połowie zaś dziełstwem zбочzeń politycznych naszego rozwoju dziejowego.

Myśmy nie powinni byli przejmować stanowiska demokracji europejskiej względem idei narodowej i państwowej, bo zarówno położenie nasze, jak i charakter społeczeństwa był całkiem odmienny”<sup>46</sup>.

„Zniewieściała nasza opinia publiczna, czując jak mało umiemy zdobyć dla siebie kosztem żywiołów wrogich, szczyści się dziecinnie tym, cośmy zrobili dla innych kosztem własnym (...).

Nie zadowolając się współudziałem w walkach o niepodległość obcych narodów, zapragnęliśmy mieszać się do ich wewnętrznych ruchów rewolucyjnych, w imię altruistycznej walki o wolność innych, jak gdybyśmy u siebie w domu nie potrzebowali wszystkich sił, aby ochronę własnej wolności zabezpieczyć”<sup>47</sup>.

Z łatwością można się domyślić, że przy takim założeniu trudno wybrać jako tradycję Lelewela czy Kamieńskiego. Ale może Prądzyńskiego i Traugutta?

„Autorzy powstań nie liczyli się wcale z położeniem zewnętrznym i wybierali na wybuch najnieodpowiedniejsze momenty polityczne. Wybuchy powstań wbrew woli ogromnej większości społeczeństwa, narzucane mu przez garść, przeważnie młodzieży. Dwa główne powstania, 30 i 63 roku, przyniosły korzyść — naszym wielkim kosztem — interesom nie naszym. Pierwsze było dywersją, która ocaliła rewolucyjny zachód od zbrojnej interwencji rosyjsko-pruskiej — to przynajmniej nie służyło sprawie wrogów, drugie gorzej, bo umożliwiło Prusom oddalenie Rosji od Francji i związanie jej z sobą na naszą zgubę. Skutkiem powstań położenie polityczne ziem polskich pogarszało się olbrzymimi skokami, więzy niewoli zacieśniały się z niemożliwą w innych warunkach szybkością. Po powstaniach następował upadek sił fizycznych i moralnych narodu, przychodziła apatia i bierność ułatwiająca wrogom niszczenie polskości. W szczególności wpływ Polski na ziemiach wschodnich został skutkiem powstań w przeważnej części zniszczony. Powstania zlikwidowały sprawę polską w Europie: po 63 r. została ona wykreślona z porządku dziennego spraw międzynarodowych i pokryta całkowitym milczeniem. Wyrobili nam one wreszcie w świecie

reputację narodu, dla którego nic zrobić nie można — bo on sam dla siebie nic zrobić nie umie”<sup>48</sup>.

Teraz dopiero można skończyć cytować. Teraz można spróbować przedstawić pewne wnioski dotyczące teorii narodu w pismach ideologów polskiego nacjonalizmu przełomu XIX i XX w. Można również przedstawić pewne propozycje dotyczące teorii narodu.

#### IV

Przedstawione tu zostały cztery fragmenty doktryny nacjonalistycznej: koncepcja narodu, historiozofia, stosunek jednostki do narodu, koncepcja patriotyzmu.

Doktryna nacjonalistyczna, jak to już zauważono, nie jest tu rozpatrywana jako część składowa polityki endecji, lecz jako system historiozoficzny. Tak ujmowana, jest ta doktryna oczywiście tworem sztucznym, ponieważ w rzeczywistości historycznej była ona z działaniami politycznymi ściśle związane. Z drugiej strony, owo sztuczne wyodrębnienie systemu moralno-historiozoficznego pozwala na analizę doktryny. Tak postępując należy się jednak strzec całkowitego oderwania prezentowanych tu poglądów od wyobrażeń epoki, w której powstały. Między *Myślami nowoczesnego Polaka* a *Mein Kampf* odbyło się kilka rewolucji i nie mało wojen. Wzorem utopii politycznej Dmowskiego była wiktoriańska Anglia jako mocarstwo światowe, i bismarkowskie oraz pobismarkowskie Niemcy końca XIX w. Choć oczywiście nie jest zaskakujące, że w latach trzydziestych Dmowski bez trudu docenił rolę „rewolucji narodowych” we Włoszech i w Niemczech. Skrajny przykład owych trudności poruszania się między tym, co ogólne i teoretyczne, a tym, co konkretne, osadzone bez reszty w historii, praktyczne, jest następujący: teoretyczną podstawę likwidacji Żydów jako narodu sformułował w języku polskim pierwszy najprawdopodobniej Stanisław Pieńkowski w 1912 r.<sup>49</sup> Ale w 1912 roku w Europie nikt nie miał pojęcia o tym, że można naprawdę uśmiercić cały naród i że można to robić bezkarnie. Realizacja odmowy prawa do życia została po raz pierwszy zademonstrowana w 1916 r. na przykładzie Ormian. Fakt ten zresztą do świadomości Europejczyków docierał poprzez trzy filtry: rzecz działa się w Azji; rzezi dokonali Turcy, od wieków symbol okrucieństwa; wreszcie wszystko to działa się w czasie wojny, kiedy Europejczycy mieli dość własnych kłopotów.

Z tych historycznych okoliczności należy zdawać sobie sprawę, rozpatrując doktrynę polskiego nacjonalizmu przełomu wieków jako sztucznie wyodrębniony twór moralno-historiozoficzny.

Wydaje się, iż można tę doktrynę scharakteryzować w sposób następujący:

— była to propozycja ustalenia określonej hierarchii wartości życia społecznego i wynikająca stąd wizja historii (propozycja — o czym będzie mowa później — stworzenia hierarchii zrywającej z całą tradycją demokratycznego patriotyzmu XIX w.); punktem wyjścia doktryny było powszechne i podświadome przeżywanie świata społecznego jako podzielonego na swoich i obcych, tym ostrzejsze, że w ówczesnych warunkach obcy byli to przede wszystkim zaborcy; w świadomości ideologów to powszechne odczucie łączyło się z przekonaniem, dominującym wśród inteligencji, że najważniejszym zadaniem narodu polskiego jest świadome zachowanie własnej odrębności, a najbardziej godnym celem działania — przyczynić się do tego, by kiedyś w przyszłości Polska odzyskała niepodległość.

Ideolodzy nacjonalizmu wyciągają stąd wniosek następujący: najwyższą wartością w życiu ludzkim jest naród jako byt samoistny i nadrzędny. Jest to wartość absolutna oraz „naturalna” w tym sensie, iż nie wymaga żadnego uzasadnienia<sup>50</sup>.

W nacjonalistycznym systemie wartości, naród jako „naturalny absolut” jest właściwie wartością jedyną. Ideolodzy nacjonalizmu mają świadomość, że naród-wartość stoi w opozycji do innych wartości, które znajdowały się w polu ich społecznej obserwacji (a także w ich konkretnych biografiach ideowych), wartości takich jak jednostka, sprawiedliwość, ludzkość, klasa, równość, wolność itd. W wypowiedziach Popławskiego i Dmowskiego nader często podkreśla się fakt, że idea narodowa jest programowo antydoktrynerska. Funkcjonuje to dwojako. Po pierwsze, wskazuje się w ten sposób na emocjonalny, „naturalny” charakter idei narodowej. Po drugie zaś, prawie zawsze mówiąc o „doktrynerstwie” innych, ma się na myśli „doktrynerstwo” demokratyczne, liberalne, doktrynerstwo dawnego patriotyzmu, który raz oceniany jest jako niegdyś słuszny, lecz dziś nierealny, kiedy indziej zaś jako w ogóle i zawsze błędny. „Interes narodowy — pisał jeden z publicystów Ligi — nie podlega żadnej doktrynie, ani lojalnej, ani rewolucyjnej, ani humanitarnej”<sup>51</sup>.

Pamiętać przy tym należy, że dla doktryny nacjonalistycznej,

przynajmniej w rozpatrywanym okresie, komplementarnym dla hasła naród jest hasło lud. Ideolodzy nacjonalizmu manifestują stale demokratyczny charakter swojej doktryny. Aby jednak uniknąć nieporozumień, lepiej jest mówić o manifestacyjnie populistycznym charakterze nacjonalizmu. W ramach doktryny, populizm ów występuje w trojakim sensie: po pierwsze lud, tzn. chłopstwo, uważane jest za socjalny substrat duszy narodu; po drugie uważa się, iż idea narodowa „jest skutkiem nieuchronnym demokratyzacji ustroju politycznego i demokratyzacji kultury (...)”<sup>52</sup> po trzecie wreszcie, wypowiedzi się sąd, że właśnie lud jako społecznie najzdrowszy, najłatwiej przejmuje idee obozu narodowego, że byłoby tedy dobrze, gdyby inne warstwy, a przede wszystkim inteligencja, przejęły od ludu jego moralne zdrowie.

Zarazem już w owym czasie, w pismach teoretyków nacjonalizmu znaleźć można drobne wzmianki o tym, że naród składa się z jednostek dzielnych i niedołęgow, i że pierwsi muszą się wybić na przewodnictwo. Organizacja Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, którym kierowała tajna — w zasadzie — Liga Narodowa, była od początku elitarna<sup>53</sup>.

Ideolodzy nacjonalizmu zdają sobie oczywiście sprawę że Europa składa się z narodów, z których każdy może uznać się za najwyższe dobro. Stąd ich wersja podstawowego prawa historycznego, formułowanego niekiedy jako prawo powszechne, niekiedy zaś jako prawo społeczeństw nowożytnych. Zgodnie z tym prawem, historia jest pasmem walk między narodami, a walki te są źródłem postępu. „(...) Przez cały ciąg dziejów ludzkości — pisze Dmowski — widzimy, iż obszary, zajęte przez poszczególne ludy, ciągle się zmniejszają (...), że terytorium narodowe nigdzie nie posiada stałych granic nakreślonych przez Opatrzność, ale zależy od wewnętrznej prężności narodu, od jego zdolności do ekspansji, że (...) jedne narody rozrastają się, inne maleją i nawet giną (...)”<sup>54</sup>.

Ten opis zasadniczego rysu historii objaśniano niekiedy jako analogon walki o byt i zasady doboru silniejszych, czy też lepiej przystosowanych<sup>55</sup>. Do tłumaczenia tego jednak nie przywiązywano szczególnej wagi, albowiem naczelną tezę historiozoficzna nacjonalizmu ma postać zdroworozsądkowej konstatacji faktu oczywistego. Dmowski krytykuje to, co nazywa zacofaniem Polaków, a co polega na tym, iż „wytwarza się dla Polski jakieś wyjątkowe stanowisko: innym narodom wolno mieć najbrutalniejsze interesy, dążyć do ekspansji, uważa się za zupeł-



nie naturalne, że posiadają silną organizację państwową; dla Pol-  
ski zaś byłoby to wszystko w ich przekonaniu nieprzyzwoitym,  
niezgodne z jej duchem”.<sup>56</sup> Z tego też „antydoktrynerskiego”  
punktu widzenia krytykuje Dmowski socjalizm, bo w jego ra-  
mach „nie można uznać antagonizmu kulturalnego, ekonomicz-  
nego i politycznego między ludami, nie można mówić  
o odrębności duchowej narodu i jego spójności wewnętrznej  
(...), bo cóż by się stało z doktryną solidarności międzyarodo-  
wej proletariatu lub przewagi antagonizmów klasowych nad  
wszelkimi innymi?...”<sup>57</sup>

Koncepcja narodu-absolutu, narodu jako najwyższej war-  
tości jest nie tylko założeniem, z którego wynika nacjonalistycz-  
na wizja procesu dziejowego i stosunek do innej wartości.  
Reguluje ona również stosunek jednostki do narodu w sensie  
całkowitego podporządkowania jej dążeń i czynów idei narodo-  
wej. Ideolodzy nacjonalizmu nie wykluczali, rzecz jasna, mo-  
żliwości krytyki wad narodowych, postulowali samodzielny  
stosunek do „przyjemnych złudzeń co do własnej wartości”.  
Zarazem jednak sądzili, że w praktyce jedynie upoważnieni do  
wydawania takich sądów byli oni sami. Prawdą też jest, że wy-  
powiadali oni, w szczególności zaś Dmowski, niemało gorzkich  
uwag o sposobie zachowania się Polaków i o historii Polski.  
W tym punkcie stanowisko twórców Ligi było niekonsekwentne,  
z tym, że to niekonsekwencja konieczna. W istocie bowiem, gdy-  
by chcieli wyciągnąć wszelkie logiczne wnioski z założenia, że  
duch narodowy jest bytem samoistnym i nadrzędnym, trzeba by  
uznać całkowitą – z punktu widzenia jednostki – spontanicz-  
ność działań i niekontrolowalność skutków działań społecznych.  
Niekonsekwencja ta podobna jest – *toutes proportions gardées*  
– owej „pomyłce” Hegla, który, jak pisali twórcy marksizmu,  
uznał państwo pruskie za wcielenie ostateczne idei absolutnej.

## V

Nacjonalistyczna koncepcja narodu i jej konsekwencje  
moralno-historiozoficzne prowokują do kilku uwag-komenta-  
rzy.

Na początek trzy, dotyczące niezgodności stereotypowych  
wyobrażeń o nacjonalizmie z prezentowaną powyżej rzeczywisto-  
ścią.

Uważa się powszechnie, że nacjonalizm polski związany był  
ściśle z katolicyzmem. Otóż uderzającą cechą ideologii Ligi

Narodowej w owym okresie, jest jej absolutna świeckość. I jeśli  
się zastanowić, tak być powinno. Jest to bowiem logiczna kon-  
sekwencja uznania narodu za wartość najwyższą. Nie ma tu więc  
miejsca dla Boga, nie można bowiem, a w każdym razie trudno  
jest służyć dwóm absolutom naraz. I w tym punkcie światopogląd  
wczesnego polskiego nacjonalizmu zbliżony jest do późniejszych  
propozycji niektórych teoretyków NSDAP. Religia jest  
przez ideologów nacjonalizmu przełomu XIX i XX w. traktowa-  
na czysto instrumentalnie, uznawana jest za coś pozytywnego o  
tyle, o ile w warunkach niewoli stymuluje uczucia narodowe.  
Ideal Polaka u Dmowskiego, Popławskiego i Balickiego nie jest  
ideałem Polaka-katolika<sup>58</sup>.

Uważa się doktryny nacjonalistyczne za doktryny elitarne.  
Była tu już mowa o manifestacyjnym populizmie ideologii  
narodowej. Nosicielem wartości narodowej jest przede wszyst-  
kim chłopstwo. (Skądinąd problem związku kategorii chłopstwa  
i kategorii narodu, związku, o którym mówią bardzo różne teo-  
rie narodu, wart jest oddzielnej obszernej analizy.) Ten popu-  
lizm ideologii nacjonalistycznej ma dwojaki sens. Po pierwsze,  
proklamuje doniosłość najliczniejszej warstwy w narodzie,  
chłopstwa. Po drugie, stara się odwołać do jednego z najelemen-  
tarniejszych i najpowszechniejszych sposobów przeżywania więzi  
społecznych, do podziału na swoich i obcych. Ideologia nacjona-  
listyczna przekształca zakres tego podziału, podstawiając w miej-  
sce członu „swoi” człon „naród”, tym samym zaostrzając niechęć  
do członu „obcy”. W oczach wielu ludzi nadaje ona tej niechęci  
wyższą, bo patriotyczną rangę. Można, zdaje się, powiedzieć, że  
ostry szowinizm narodowy endecji był ściśle związany z populiz-  
mem, powszechną dostępnością tej ideologii, proponującej naj-  
prostsze ujęcie dla wszystkich schorzeń zbiorowej świadomości  
narodu.

W literaturze polskiej poświęconej kwestii narodowej pier-  
wszym bodaj autorem, który zwrócił uwagę na niebezpieczeńs-  
two tkwiące w podjęciu haseł narodowych przez – mówiąc  
językiem tamtej epoki – nieoświecony gmin, była Eliza Orzesz-  
kowa. Mimo pewien sentymentalizm i rozwlekłość cechujące  
sposób pisania pani Elizy, rozprawa *Patriotyzm i kosmopolityzm*  
nie zasługuje na zapomnienie, które stało się jej udziałem<sup>59</sup>.

Mogłoby się zdawać – i to jest trzeci stereotyp oglądu  
nacjonalizmu – że ideologia narodowa sprzyja jak najbardziej  
otwartej postawie wobec dziedzictwa przeszłości narodowej, że  
tworzy najszerszy z możliwych wachlarz tradycji aprobowanej.



W odniesieniu do przełomu XIX i XX w. jest to mniemanie całkowicie fałszywe. W naszej literaturze naukowej brak jest w ogóle prac poświęconych repertuarowi tradycji konkretnych okresów historycznych, tzn. realnie istniejącym możliwościom wyboru zespołów tradycji. Jeżeli jednak pomyśleć sobie taki repertuar tradycji ideologa polskiego badanego okresu, to okaże się, że przywódcy Ligi proponowali bardzo wąski zakres tradycji akceptowanej. Pisząc pod koniec lat trzydziestych historię Ligi, Kozicki wymienia następujących antenatów ideowych polskiego nacjonalizmu: Konarski, Staszic, Śniadeccy, Michał Wiszniewski, Fryderyk Skarbek, Supiński, Szujski<sup>60</sup>. Jest to zestaw bardzo wąski, szczególnie jeśli zważyć, że z upływem czasu ruchy polityczne i ideowe z reguły rozszerzają repertuar własnej tradycji.

Sami ideolodzy Ligi, owszem, występowali przeciw „zohydowaniu przeszłości narodu”, głównie jednak mając na myśli politykę wschodnią Rzeczypospolitej<sup>61</sup>. Ze stulecia poprzedzającego powstanie ruchu narodowo-demokratycznego aprobowali działalność obozu Konstytucji 3 Maja, Insurekcję Kościuszkowską, ale bez Uniwersału Połanieckiego, początki, ale tylko początki, ruchu pozytywistycznego, działalność Jeża-Miłkowskiego i... niewiele ponadto. Mieli arcykrytyczny stosunek do XIX-wiecznego patriotyzmu<sup>62</sup>. Można założyć – choć wymagałoby to weryfikacji – że w pismach Balickiego, Popławskiego, Dmowskiego (inaczej będzie z Wasilewskim) znajduje się znacznie mniej odwołań do trzech wieszczów niż w pochodzących z tegoż okresu wypowiedziach Daszyńskiego i innych ideologów socjalistycznych.

Wydaje się, iż wynikało to nie tyle, a w każdym razie nie tylko z istoty doktryny. Z samego charakteru idei nacjonalistycznej wpływał niechętny stosunek do XIX-wiecznego demokratyzmu działaczy i ideologów patriotycznych, demokratyzmu o silnym zabarwieniu paneuropejskim. Tendencję tę wzmacniać musiały dwie okoliczności. Po pierwsze, tworząc „nowy patriotyzm”, ideolodzy nacjonalizmu w początkowych fazach swojej działalności byli niejako skazani na podkreślanie różnic dzielących ich od dawnych patriotów. Po drugie, niewielkie „opóźnienie” w stosunku do PPS spowodowało sytuację, w której cała narodowyzwoleńcza tradycja XIX w. była już „zajęta” przez inne stronnictwo. W takim przypadku można podjąć spór o „właściwe zrozumienie” danej tradycji albo „odstąpić” ją przeciwnikowi, nie uznać jej za swoją<sup>63</sup>. Z uwagi na wspomniany grzech międzynarodowości dawnego patriotyzmu, ideolodzy Ligi Narodowej wybrali ten drugi sposób zachowania się względem całych

obszarów dziedzictwa XIX w. Z nieco podobnych przyczyn, przynajmniej w omawianym okresie, nie mogli wybrać jako tradycji margrabiego Wielopolskiego. Z jednej strony, w stosunku do zasady współpracy z rządem rosyjskim, nie mieli jeszcze do końca sprecyzowanego stanowiska<sup>64</sup>. Z drugiej zaś, Wielopolski był „zajęty” przez stronnictwo „ugody”, z którym przywódcy Ligi, w znacznej mierze wbrew własnym planom, wiedli w tamtych latach ostry spór<sup>65</sup>.

Oba zagadnienia, tj. sprawa populizmu idei narodowej i kwestia stosunku ideologii nacjonalistycznej do tradycji, stanowią część problemu zawierającego się w pytaniu: czy ideologia nacjonalistyczna, taka, jaka kształtowała się w Polsce na przełomie XIX i XX wieku, należy do gatunku konserwatywnych utopii, czy też nie mieści się w tym przedziale?<sup>66</sup>

Analiza tej kwestii mogłaby być nader interesująca, wykraczałaby ona jednak daleko poza ramy niniejszego tekstu. Niemniej, skoro pytanie takie padło, warto udzielić odpowiedzi, choćby bez dowodu. Wydaje się, że zaliczanie doktryny nacjonalistycznej do rzędu utopii konserwatywnych byłoby rażącym błędem, mimo iż zarówno ideolodzy nacjonalizmu, jak i niektórzy konserwatyści przyjmują, że naród jest wartością naczelną, daną nam w bezpośrednim, pozarefleksyjnym, „naturalnym” przeżyciu<sup>67</sup>.

## VI

O ile analiza stosunku nacjonalizmu do utopii konserwatywnych zdaje się zdecydowanie odbiegać od zasadniczego tematu tych oto uwag, o tyle nie sposób tu pominąć problemu relacji zachodzących między nacjonalistyczną teorią narodu a pozytywistycznym z jednej i modernistycznym modelem kultury z drugiej strony. Obie kwestie potraktowane tu zostaną z konieczności skrótowo i wyłącznie w odniesieniu do koncepcji narodu.

O pewnych związkach nacjonalistycznej wizji historii z socjaldarwinizmem wspomniano tu już marginesowo<sup>68</sup>. Ale socjaldarwinizm mimo swą względną popularność nie był bynajmniej nieodzownym składnikiem światopoglądu pozytywistycznego. Tymczasem wydaje się, że nacjonalistyczna teoria narodu pozostaje w ścisłym, choć dialektycznym związku z tym, co stanowi istotną komponentę pozytywizmu: z jego biologizmem.

Dla pozytywisty naród jest organizmem. Jako dobry Polak czy Francuz może on uznać działanie dla dobra swego narodu za

cel najszlachetniejszy. Jako pozytywista będzie starał się badać ten naród tak, jak inne organizmy.

„Wychodząc z zasady dziedziczności — pisał pozytywistyczny filozof i tłumacz Spencera, W. Kozłowski — utrzymują one [pozytywizm i materializm — R.Z.], że każdy rodzi się już z pewnym kapitałem doświadczenia uorganizowanego, które czyni go Polakiem, Niemcem lub Francuzem, że zatem nie jest on początkowo czczą abstrakcją, którą dopiero dalsze życie przetwarza w jednostkę konkretną, ale osobnikiem pełnym indywidualnej, jakkolwiek nierozwiniętej jeszcze treści. Zgodnie z tą zasadą twierdzą one, że jakkolwiek dobro ludzkości winno być ostatecznym celem usiłowań człowieka, cel ten jednakże nie może być inaczej osiągnięty, jak drogą pośrednią, przez pracę pojedynczych ludzi skierowaną ku dobru własnego ich narodu (...) Słowem, dla pozytywizmu i materializmu naród ma takie samo znaczenie, jakie dla zoologa i botanika mają rasy i gatunki”<sup>69</sup>.

Stwierdzenie zawarte w ostatnim zdaniu znajdujemy również, jako postulat badawczy, we wspomnianej tu rozprawce Renana. O stosunku do podejmowanej przez siebie problematyki pisał on: „... jest to prawie wiwisekcja; będziemy traktować żyjących tak, jak zazwyczaj traktuje się martwych. Podejmujemy nasz temat na zimno i z jak najbardziej absolutną bezstronnością. (*Nous y mettrons la froideur et l'impartialité les plus absolues*)”<sup>70</sup>.

Jeśli chodzi o pierwszą część wywodów Kozłowskiego, dla którego przecież bycie Polakiem czy Francuzem jest biologicznie dziedziczne — to wydaje się, że ideolodzy endecji mogliby na nią przystać. Wasilewski w swojej apologetycznej analizie programów endecji z 1897 i 1903 r. pisał: „Metoda widzenia narodowego i cały system na niej oparty (...) traktują życie narodu w jego ciągłości, jako zjawisko historyczne, w masie zaś narodowej — biologicznie, jako pewien stan samopoczucia ustrojowego, wyczuwanie w sobie siły żywotnej”<sup>71</sup>. Jest to niewątpliwa transpozycja wątku wprowadzanego przez pozytywistów (o charakterze tej transpozycji będzie jeszcze mowa).

Zadną miarą natomiast twórcy doktryny nacjonalistycznej nie mogliby się zgodzić z założeniami końcowego fragmentu podanego wyżej cytatu z Kozłowskiego. Pomijając już, że odrzucali zawarte tam *implicite* rozumienie narodu jako zbioru jednostek, to nie do pomyślenia dla nich byłoby przyjęcie postulatu,

iż naród można traktować tak, jak każdy inny przedmiot poznania, przedmiot chłodnej, badawczej analizy.

W ostatnim punkcie, w poglądach teoretyków nacjonalizmu dokonuje się zmiana podpadająca pod heglowskie pojęcie negacji. Teza zostaje przejęta, a zarazem radykalnie przekształcona. Biologiczny charakter „bycia Polakiem” uznany zostaje za wartość, której się nie poznaje, nie bada, lecz którą się przeżywa. Tym samym wywodzące się z pozytywizmu mniemanie uwikłane zostaje w całkowicie odmienną wizję świata. Taką, w której nie funkcjonuje pojęcie „ludzkość”, redukuje się doniosłość pojęcia „jednostka”, uznaje się równość narodów za ślamazarną inteligencjo-żydowską mrzonkę, ogłupiającą zdrowy „z natury” trzon narodu. Narodu nie można i nie należy badać „*avec l'impartialité la plus absolue*”. Nie można — ponieważ uczestniczenie w tej wartości naczelnej, jaką jest dla nacjonalisty naród, niejako *ex definitione* uniemożliwia poznawczy względem niej stosunek. Nie należy — dlatego, że jedynym rezultatem takich badań może być osłabienie narodu.

*Notabene*, różnica, o której tu mowa, dotyczy również statusu „duszy narodu” czy też „ducha narodu”.

„Że duch narodowy — pisał Kozłowski — nie jest żadnym duchem przedmiotowym, którego by naród był wcieleniem, ani też jakąś ideą posłanniczą przewodniczącą narodowi w jego dziejowym rozwoju — zbyt czynnym, zdaje się, byłoby dziś dowodzić (...).

Co do zagadnień naukowych, to o nich duch narodowy nie zgoła nie może stanowić. Na nich bowiem zna się on tyleż, co pierwszy Maciek od koni lub jakiś hreczkosiej, czytający tylko kalendarze i książki do nabożeństwa”<sup>72</sup>.

Dla nacjonalisty sprawa przedstawia się dokładnie na odwrót. Dusza narodu jest bytem przedmiotowym, jest *arche* i jako taka jest właśnie „wielką posłanniczą przewodniczącą narodowi w jego dziejowym rozwoju”.

Ta jaskrawa odmienność wizji świata rzuca się w oczy wyraźnie w kwestii rasy. Nie ulega wątpliwości, że ideolodzy wczesnej fazy nacjonalizmu przejęli ten termin właśnie od pozytywistów<sup>73</sup>. Co więcej, można zaryzykować twierdzenie, że owa rasa mająca pełnić w światopoglądzie nacjonalistycznym rolę naukokszałtłego spoiwa, wzięta się stąd, że przyzwyczajeni przez pozytywizm do pewnego szacunku dla nauki nacjonałiści mimowiednie potrzebowali jakiejś scjentoidalnej gwarancji. Zarazem jednak ideolodzy nacjonalizmu, w szczególności

Dmowski i Wasilewski, dokonali znamiennej ekwiwokacji. Nie mogąc uznać istnienia „rasy słowiańskiej” posługiwali się terminem rasa w dwojakim sensie. Raz, utożsamiając rasę i naród. W tym rozumieniu rasa była biologicznym substratem duszy narodu; zasadę głoszącą wyższość patriotyzmu biologicznego nad kulturowym, sformułował — jak o tym była mowa — bardzo wcześniej Popławski. Znaczenie drugie obejmowało „ariów”, tj. praktycznie wszystkich białych z wyjątkiem Żydów. W obu wypadkach rasa pełniła funkcję słowa-gwaranta, świadczącego o tym, że poglądy ideologów ruchu narodowego mają oparcie w wiedzy ścisłej. Powiedzieć jednak trzeba, że przed 1905 r. ideolodzy Ligi nie rozwijali tego aspektu doktryny narodowej.

Generalnie rzecz biorąc wydaje się, że można zbudować pewną analogię pomiędzy stosunkiem nacjonalistycznej koncepcji narodu do pozytywizmu z jednej, a stosunkiem do pozytywizmu Nietzschego z drugiej strony. Przecież przyrodniczą, biologiczną koncepcję życia zaczerpnął Nietzsche od pozytywistów. Ale raz myśl ową podjąwszy, przekształcił życie w wartość naczelną, w trzon metafizyki, w Życie, tworząc w oparciu o tę wartość światopogląd zdecydowanie pozytywizmowi wrogi. Podobnie uczynili nacjonałści z przejętą od pozytywistów biologiczną koncepcją narodu.

## VII

Przywołanie Nietzschego sytuuje zarazem problematykę nacjonalistycznej teorii narodu na terenie drugiej z wymienionych kwestii.

Czy i jakie mianowicie zachodzą relacje między nacjonalistyczną koncepcją narodu a modernistycznym modelem kultury?

Być może, w pierwszej chwili większość badaczy skłonna byłaby udzielić na pytanie o te związki odpowiedzi negatywnej. Wedle dość powszechnego mniemania nacjonalizm nie tylko nie ma nic wspólnego z kulturą modernistyczną, ale jest jej wręcz wrogi. Sąd ten w bardzo upotocznionej wersji znaleźć można i u cytowanego tu historyka endecji, Kozickiego, który powiada, że Piłsudski był romantykiem, Dmowski zaś klasykiem.

Jeśli jednak pominać tego rodzaju osady, to wydaje się, że odruchowo negatywne mniemanie na temat ewentualnych związków nacjonalizmu z kulturą modernistyczną mieć będzie następujące źródło:

— mniej lub bardziej ugruntowana wiedza o związkach

endecji z próbami odrodzenia klasycznego, które miały miejsce po roku 1907 w Polsce; dodatkowym elementem może tu być wiedza o — *notabene* znacznie ściślejszych — związkach między „odrodzeniem klasycznym” a nacjonalizmem we Francji<sup>74</sup>;

— mniej lub bardziej ugruntowana wiedza o niechęci i krytycznym stosunku ideologów endecji do modernistycznej literatury, w szczególności do tych jej kierunków, dla których reprezentatywne byłyby nazwiska Przybyszewskiego i Miriama; ogólniej rzecz biorąc, chodziłoby tu o negatywny stosunek ideologów endecji do tego, co obrazowo można nazwać modernistycznym rozchełstaniem, precyzyjniej zaś, modernistycznym indywidualizmem;

— przekonanie, że nacjonalizm był kierunkiem kolektywistycznym, kładącym duży nacisk na pełne podporządkowanie jednostki zbiorowości, a więc siłą rzeczy na dyscyplinę;

— wreszcie wiedza o niechętnym stosunku do endecji wielu wybitnych przedstawicieli literatury modernistycznej.

Przekonania te są mniej lub bardziej prawdziwe, w żadnym jednak wypadku nie zmuszają one do uznania, że między nacjonalistyczną teorią narodu, tj. między tym, co nazwać można metafizycznym jądrem nacjonalistycznej ideologii, a kulturą modernistyczną nie da się odkryć ważnych równokształtów. Bowiem wszystkie te sądy — z wyjątkiem pierwszego z wymienionych, który do wyciągania zbyt wszechstronnych wniosków siłą rzeczy się nie nadaje — nie zajmują się w ogóle takim zagadnieniem jak to, czy opozycja, o której mowa, była wewnętrzną opozycją kultury modernistycznej, czy też wynikała z całkowitej odmienności obu członów.

Otóż wydaje się, że dla spraw będących głównym przedmiotem niniejszej analizy opozycja ujmowała tak często jako opozycja między ideologią nacjonalistyczną a kulturą modernistyczną albo jest przeciwieństwem wewnątrzmodernistycznego modelu kultury, albo — a ściślej w innych przypadkach — w ogóle opozycją nie jest.

Zacząć wypada tu od elementów stanowiących o zasadniczej jednorodności nacjonalistycznej koncepcji narodu i kultury modernistycznej.

Analizowana teoria narodu miała swój wyraźny składnik metafizyczny. Miała ona však rozwiązywać kwestie ostateczne. Przedmiotem jej były pytania o istotę życia, o najwyższą wartość nadającą sens istnieniu, o prymat jednostki czy zbiorowości, o sens dziejów. Otóż ustanawiając naród jako wartość naczelną,

która przeżywa, lecz nie poznaje, tj. ustanawiając prymat przeżycia zbiorowego nad poznaniem, nacjonalistyczna koncepcja narodu jawi się jako jedna z wersji *Lebensphilosophie*. A jednorodności „filozofii życia” i modernizmu nie trzeba w tym miejscu dowodzić.

Obok tej zasadniczej zgodności nacjonalistycznej metafizyki i filozofii modernistycznej występują jednak inne cechy wyraźnie włączające nacjonalizm do kultury modernistycznej. Wspólny wszak będzie tu i negatywny stosunek do pozytywistycznego liberalizmu, i krytyka aktualnego stanu społeczeństwa, przede wszystkim zaś jego „manchesterskiej” atomizacji, wspólna tęsknota za zagubionymi wartościami i postulat stworzenia takich, które byłyby zarazem nowe i odwieczne.

Dopiero w oparciu o te fakty, a w szczególności dopiero przy uwzględnieniu tego, co nazwane zostało filozoficzną jednorodnością nacjonalizmu i kultury modernistycznej, można podjąć kwestię opozycji między nacjonalizmem a dominującą wersją kultury modernistycznej.

Wydaje się, że typologicznie rzecz biorąc – tzn. niezależnie od takich czy innych dewiacji wynikających np. z aktualnych uwikłań politycznych – to, co rysuje się nam jako opozycja między ideologią nacjonalistyczną a modernizmem jest przede wszystkim opozycją między kolektywistycznym a dominującym, indywidualistycznym skrzydłem modernizmu.

Modernizm proponował wszak przewyżczenie „manchesterskiej” atomizacji społeczeństwa w dwojaki sposób. Z jednej strony miała to być obrona jednostki przez skrajny indywidualizm, z drugiej – przez równe propozycje typu kolektywistycznego. Konkretnie historyczne losy modernizmu polskiego, i chyba nie tylko polskiego, były tego rodzaju, że indywidualistyczne jego skrzydło stanowiło wyraźną dominantę. Przewaga ta była tak jawna, że skłonni jesteśmy do uproszczenia, polegającego na zapoznawaniu kolektywistycznych propozycji kultury modernistycznej. A wśród tych właśnie, propozycja integracji na bazie narodu–wartości absolutnej, wartości, której socjalnym substytutem jest chłopstwo, ta propozycja wśród kolektywistycznych wersji modernizmu zajmowała jedno z najważniejszych miejsc. Wspólnota ta widoczna jest nader wyraźnie szczególnie w początkowej fazie modernizmu, w programie „Głosu”, w jego związkach z rodzącą się literaturą Młodej Polski. Później opozycja kolektywizm–indywidualizm przybierać zaczyna pozory walki zwolenników kolektywistycznej utopii narodowej z moder-

nizmem. Jednakże odczytywanie tego sporu jako sporu modernizmu i ideologii wobec modernizmu „zewnętrznej” jest właśnie uleganiem pozorom.

W rezultacie wydaje się, że nie tylko ściśle metafizyczne jądro doktryny nacjonalistycznej, ale też inne obszary tej ideologii noszą na sobie charakterystyczne piętno kultury modernistycznej, choć oczywiście nowoczesny nacjonalizm jest zjawiskiem bez porównania trwalszym niż był nim modernizm.

## VIII

W tej właśnie dziedzinie, tj. w sferze ideologii, można u twórców doktryny nacjonalistycznej natrafić na pewne, bardzo zresztą nikłe, ślady wewnętrznych wahań, „złego sumienia”.

Pierwsi teoretycy nacjonalizmu polskiego mieli świadomość, że ich propozycje ideowe, z których niniejsza analiza wydobyla zarys systemu moralno–filozoficznego, że te propozycje ideowe znajdują się w opozycji do istniejących i rozpowszechnionych wśród inteligencji polskiej hierarchii wartości i związanych w nimi emocji. Po pierwsze bowiem, sami chcieli sformułować taki nowy system wartości, po drugie zaś odmiennosć ta podkreślana była przez ich politycznych i ideowych przeciwników. Z punktu widzenia przywódców Ligi polemiki socjalistów przeciwko nim były o tyle nieważne, że pochodziły od „naturalnych” przeciwników. Bardzo natomiast ubodła ich niezwykle ostra i zjadliwa krytyka działalności praktycznej stronnictwa, a przede wszystkim jego podstaw ideowych, pióra Erazma Piltza<sup>75</sup>. Piltz, liberalny konserwatysta i rzecznik „ugody”, mógł być sojusznikiem, tymczasem w jego książce nacjonałiści potraktowani zostali jako hakatyści, barbarzyńcy, głosiciele kultu siły, denuncjatorzy, a na dodatek nedorajdy organizacyjne i polityczni ślepcy.

Trudno powiedzieć, ile w tym taktyki politycznej, ile zaś rzeczywistej niemożności całkowitego zerwania ze „starym” światem wartości, ale faktem jest, że w analizowanych wypowiedziach ideologów nacjonalizmu trafiają się znamienne omówienia, wyjaśnienia, zastrzeżenia. Przykładowo: kiedy Dmowski wypowiada cytowaną tu myśl o tryumfie gwałtu, przekupstwa i podstępu w historii, to w nawiasie dodaje: „nie względ tedy na dobro narodu, ale tylko czysto ludzki wstręt do pewnych środków może nas powstrzymać od ich użycia w narodowej walce”<sup>76</sup>. Ta niemożność odcięcia się od istniejących systemów wartości,



pochodzenia po części religijnego, po części oświeceniowo-demokratycznego, po części wreszcie szlachecko-rycerskiego powoduje, że system moralno-historiozoficzny ówczesnego nacjonalizmu oscyluje między prymitywnym makiawelizmem a utopijną wizją rycerskiego nacjonalizmu. Według tej ostatniej, historia byłaby wprawdzie walką na śmierć i życie między narodami, ale walką prowadzoną bez nienawiści, bez pogardy dla przeciwnika, i wyłącznie przy użyciu środków szlacheckich.

Opozycja ta przy całej swej naiwności jest dziwnym odzwierciedleniem pewnego rzeczywistego konfliktu związanego z kwestią narodową. W sposób mimowiedny konflikt ten zanotowany został w cytowanej przed chwilą wypowiedzi Dmowskiego: dla dobra narodu można by użyć każdego środka działania; jeśli coś nas wstrzymuje, to „czysto ludzki wstręt”. To, co „naturalne”-narodowe stało tu, wbrew woli autora, w opozycji do tego, co „naturalne”-ludzkie.

Odsłaniający się tu aspekt sprawy narodu wydaje się być szczególnie interesujący ze względów teoretycznych. Wydaje się, że lepiej będzie omówić problem samoistnie. I na tym zakończyć analizę nacjonalistycznej teorii narodu.

## IX

Wśród badaczy zajmujących się kwestią narodową, a zwłaszcza wśród marksistów, istnieje tendencja do takiego postępowania naukowego: należy najpierw ustalić naukową definicję narodu, a wówczas wiele spraw wyjaśni się niemal samoczynnie. Dlatego możliwa już jest swoista meta-teoria narodu, a więc m.in. analiza krążących do dziś definicji narodu, a ilość materiału pozwoliłaby na stworzenie z tego odrębnej specjalności<sup>77</sup>.

Kuszenie się tu o jeszcze jedną propozycję nie miałyby sensu. Ograniczyć się więc wypada do trzech uwag.

Po pierwsze tedy, wydaje się, iż rozpatrując sprawę narodu żadną miarą nie można pominąć tego, że konstytutywnym elementem istnienia narodu jest samoświadomość narodowa – wiedza o tym, że jestem Polakiem, Anglikiem, Ekwadorczykiem itp. Nie jest to zresztą wiedzą „czystą”, ale stan woli – chęć bycia Polakiem, Ekwadorczykiem itd.<sup>78</sup>

Po drugie, można sformułować następującą tezę natury nie metafizycznej, lecz socjologicznej: uczestnictwo w narodzie przeżywane jest zawsze jako uczestnictwo w całości nie dającej się zredukować do sumy składników tej całości. Wydaje się nadto,

że przeżywanie narodu w kategoriach czasowych dominuje nad przeżywaniem go w kategoriach przestrzeni<sup>79</sup>.

Po trzecie wreszcie, cokolwiek sądzić by można na temat związków zachodzących w swoim czasie między rozwojem kapitalizmu i ukształtowaniem się narodów zachodniej Europy, ściślej zaś francuskiego i angielskiego (a wydaje się, że związków tych zanegować nie sposób) – to w pewnym momencie istnienia tych narodów stało się wzorem. I to wzorem całkowicie niezależnym od własnej genezy. Użycie określenia „wzór” nie ma, oczywiście, oznaczać, że kształtowanie się narodów Europy środkowej czy południowej odbyło się na zasadzie sztucznej transformacji obcego wzorca. Nie trzeba wszak tłumaczyć, że głównym źródłem tego procesu była konkretna historia Polski, Niemiec czy Włoch. Wzór przyczyniał się do określonego upostaciowania tendencji i potrzeb, wywodzących się z realnych warunków historii odnośnych krajów. Kształtowanie się narodu francuskiego było wzorem dla procesu przejścia od – powiedzmy – narodu szlacheckiego do narodu w nowoczesnym rozumieniu tego słowa, od królestwa czy księstwa jako podstawy więzi społecznej do narodu jako więzi podstawowej. Nonsensem przecież byłoby twierdzić, że możliwy był tylko jeden sposób przekształcenia się społeczeństwa feudalnego i postfeudalnego w społeczeństwo narodowe. Istniało prawdopodobnie kilka ewentualności. Powstanie tego, co nazwano tu wzorem, można określić jako element wyraźnie stymulujący jedną z tych możliwości.

Od końca XVIII w. możliwość ta realizowała się w różnych bardzo, a niekiedy całkowicie odmiennych warunkach. W przypadku Polski proces kształtowania się nowoczesnego narodu przebiegał m.in. w oparciu o kilkuwiekową tradycję własnej kultury narodowej i bez mała tysiącletnią, choć bardzo specyficzną, tradycję własnej państwowości. W przypadku Włoch specyfikę stanowiło posiadanie bardzo długiej i bogatej tradycji kultury narodowej i – praktycznie rzecz biorąc – brak tradycji własnej państwowości. Wreszcie w przypadku narodów Ameryki Łacińskiej powstawanie nowoczesnych narodów – prawdopodobnie nie całkiem do dziś zakończone – realizowało się w warunkach walki o niepodległość, ale przy całkowitym braku własnej państwowości i względnie słabo rozwiniętej kulturze narodowej. Przykłady można mnożyć, a każdy będzie przypadkiem szczególnym, specyficznym, niepowtarzalnym.

Niemniej, pamiętając o tej niepowtarzalności każdego przypadku, zaryzykować można twierdzenie: historia kształtowania

się narodów Ameryki Południowej, Polski, Niemiec, Włoch i Bałkanów w pierwszej połowie XIX w., zarówno jak współczesna historia kształtowania się narodów Afryki lub Azji, daje się między innymi rozpatrywać jako historia realizacji postulatów bycia narodem według wzoru zachodnioeuropejskiego, w warunkach odmiennych od tych, które towarzyszyły powstaniu narodów francuskiego czy angielskiego, i przy tym stawiających mniej lub bardziej trudny do przewyciężenia opór tym usiłowaniaom.

W związku z tym, i chyba skutek tego, że konstytutywne dla narodu są świadomość i chęć bycia narodem, że przeżycie narodu jest przeżywaniem całości nieredukowalnej do własnych składników, i że bycie narodem odbierane jest jako wzór istnienia i zachowania się — w związku z tym sprawa narodu jest sprawą należącą do świata wartości.

I to jest punkt wyjścia dalszych uwag.

## X

Warianty tezy, że idea narodu i historiozofia narodu sformułowane zostały na przełomie XVIII i XIX w. w świadomej opozycji do światopoglądu oświeceniowego — są, zdaje się, powszechnie przyjęte we współczesnej humanistyce<sup>80</sup>. Dla tego zatem okresu zbudować można — wielce rzecz upraszczając — taką oto pozycję:

Z jednej strony:

— teza, iż wszyscy ludzie są z przyrodzenia równi i postulat, że jako tacy mają być traktowani;

— związana z tym, choć nie stosunkiem wynikania, teza, że jednostka ludzka, jej prawa i wolność stanowią wartość szczególną;

— idea wolności i postulat, że człowiek ma być wolnym, bo wolnym się rodzi (jak wiadomo, ideolodzy oświeceniowi uważali idee wolności i równości za ściśle ze sobą powiązane, a w każdym razie nie sądzili, by mogły to być wartości konfliktowe);

— idea ojczyzny jako ogółu mieszkańców kraju, którego granice wyznaczać by miały pospołu natura i rozum; człowiek wolny i rozumny będzie pracował dla szczęścia ojczyzny, pomnażając tym samym dostatek własny oraz dostatek i szczęście ludzkości;

— idea ludzkości, zawierająca m.in. przekonanie, iż w społeczności ludzkiej, skoro przewycięży ona przeszkody zabobonu

i nierówności kondycji towarzyskich, nie ma miejsca na konflikty wynikające z różnic interesów narodowych, obyczajów, języka, kultury itp.;

— idea rozumnego szczęścia, zakładająca możliwość uregulowania stosunków między ludźmi w skali całej ludzkości, w zgodzie z postulatami równości, wolności, rozumu i postępu.

Z drugiej strony:

— idea narodu jako jestestwa samoistnego i duchowego;

— idea historii i komplementarna względem niej idea tradycji;

— teza, że zarówno naród, jak historię i tradycję cechuje to, iż są całościami duchowymi nadrzędnymi w stosunku do człowieka i uroszczeń jego rozumu;

— teza, że nikt nigdy nie widział społeczeństwa ludzi równych, bo historia i tradycja nie znają idei równości;

— ... że nikt nigdy nie widział ani jednostki w sensie filozoficznym, ani tym bardziej takiej abstrakcji, jak ludzkość; w doświadczeniu naszym dane są nam narody i ludzie jako tych narodów elementy;

— ... że co się tyczy wolności, szczęścia i cnoty, to narody i ludzie są wolni, szczęśliwi i cnotliwi, gdy żyją w miejscu wyznaczonym przez całą przeszłość i w sposób zgodny z obyczajami mającymi sankcję tradycji.

Dla wygody nazwać by można człony tej uproszczonej opozycji zespołem oświeceniowo-demokratycznym i zespołem narodowo-konserwatywnym. Zdaje się, że na przełomie wieku XVIII i XIX zespoły te i charakterystyczne dla nich wartości (a więc z jednej strony, jednostka, równość, wolność, ludzkość, z drugiej zaś naród i tradycja), że zespoły te funkcjonowały jako bezwzględnie opozycyjne.

Z biegiem czasu jednak, już w pierwszej połowie XIX w. dokonuje się synteza obu członów opozycji. Powstaje zespół (i właściwy mu system wartości), który nazwać by można demokratyczno-patriotycznym.

Cechuje się on przekonaniem, że naród jest całością duchową i wartością w maksymalnym stopniu nacechowaną pozytywnie;

— wartości takie jak równość i wolność są tu traktowane jako zharmonizowane w dwojakim sensie; po pierwsze, traktuje się byty narodowe jako swego rodzaju indywidualia: wszystkie narody są równe i wszystkie mają prawo do wolności; po drugie — wolność i równość ludzi wkomponowana zostaje w byt narod-

owy; wolni i równi ludzie jako członkowie narodu — wolne i równe narody jako tworzące szczęśliwą ludzkość;

— albowiem idea ludzkości (w praktyce: Europa i obie Ameryki) zostaje zachowana i odgrywa w zespole demokratyczno-patriotycznym istotną rolę; tak jak w ramach narodu równi i wolni ludzie mają tożsame cele, tak w ramach ludzkości wspólne są cele równych i wolnych narodów; wyrazem tego są dwa znane hasła: nie może być wolnym naród uciskający inne narody, oraz „za waszą wolność i naszą”.

Konkretne perypetie kształtowania się zespołu demokratyczno-patriotycznego w Polsce zanalizował Szacki w pracy *Ojczyzna — Naród — Rewolucja*. Jest rzeczą oczywistą, że ewolucja omawianych idei inaczej wyglądała we Włoszech, inaczej na południowej słowiańszczyźnie, inaczej we Francji itd. Wydaje się jednak, że jako całość, mimo różnice narodowe, różnice stopnia radykalizmu społecznego itp., zespół demokratyczno-patriotyczny utrwalił się w kulturze europejskiej XIX w., a niektóre jego istotne elementy stanowią do dziś składnik kształtującej się współcześnie kultury światowej.

## XI

Nie jest tak, by zwycięstwo przekonań określonych tu mianem zespołu demokratyczno-patriotycznego było choćby przez chwilę całkowite. Wręcz przeciwnie, zasadność demokratyczno-patriotycznej harmonii podważana była stale i w różnoraki sposób<sup>81</sup>.

Wydaje się koniecznym wskazanie na dwie próby odrzucenia tej harmonii.

Jedna z nich — historycznie późniejsza — to właśnie nacjonalizm. Ideologia nacjonalistyczna stanowiła skrajną wersję dekompozycji owej harmonii, wprowadzała ostre przeciwieństwo między zasadą narodu a ideami pochodzenia demokratyczno-oświeceniowego. Uznawała nie tylko konfliktowość wartości demokratyczno-oświeceniowych i wartości-narodu, ale wręcz zasadniczą niemożność i zbędność jakiegokolwiek formy ich współistnienia. Na przełomie XIX i XX w. zerwanie to było tak gwałtowne, że ideolodzy nacjonalizmu, jak o tym wspomniano, czuli potrzebę zastrzeżeń, omówień, słowem dla samych siebie potrzebowali owej utopii rycerskiego nacjonalizmu, głoszącego wprawdzie prawo podboju innych, lecz zachowującego rudymen-

ty takich nakazów, jak choćby ten, że nie należy krzywdzić wdów i sierot.

Historycznie pierwszą próbą radykalnej dekompozycji zespołu demokratyczno-patriotycznego był marksizm.

Dekomponował marksizm harmonię demokratyczno-patriotyczną dwojako:

— po pierwsze, przez tezę, że podział klasowy jest decydującym elementem życia społecznego, zaś jedność narodu jest czymś wobec owej dominanty mniej istotnym; stąd teza, że międzynarodowa solidarność uświadomionego proletariatu okaże się silniejsza od podziałów narodowych, silniejsza i dla dobra narodu bardziej potrzebna; wydaje się, że w tym punkcie marksizm stanowi swoistą ostateczność niektórych składników zespołu demokratyczno-oświeceniowego;

— po drugie, przez sposób traktowania kwestii narodowej; twórcy marksizmu nie negowali wszak istnienia interesów narodowych, lecz uważali, że są one podrzędne w stosunku do interesów międzynarodowego proletariatu, dość często sprzeczne z nimi i że proletariatus może oraz powinien bronić interesów narodowych o tyle tylko, o ile służą one wartości nadrzędnej, tj. interesom proletariatus.

W związku z powyższym wydaje się, iż błędna byłaby taka interpretacja poglądów twórcy marksizmu, według której słynne sformułowanie „proletariusze nie mają ojczyzny” pomijane było milczeniem lub potraktowane by jako wynik swoistej stylistyki Manifestu. Wydaje się natomiast, iż wspomniana teza stanowi składnik Marksowskiej wizji proletariatusa, Marksowskiej filozofii, Marksowskiej hierarchii wartości.

Jest oczywiste, że omówienie miejsca narodu w Marksowskiej hierarchii wartości wymaga odrębnego studium. Niemniej wydawało się, iż omawiając historyczne perypetie idei narodu nie sposób było udać, że w historii, i we współczesności kwestii narodowej nie było czegoś takiego jak marksizm.

## XII

Powstaje pytanie: „a jak to jest naprawdę?”

Rozumieć je można wielorako. A więc:

— czy opis świata, stanowiący przesłankę harmonii demokratyczno-patriotycznej, jest prawdziwy;

— czy prawdziwa jest teza o tym, że poziome więzi społeczne

ne, wynikające z podziałów klasowych, są trwalsze i socjologicznie ważniejsze od więzi pionowych, czyli narodowych;

— czy historia, a choćby tylko historia nowożytna wyjaśnia się przez *quasi*-biologiczne prawo ekspansji narodów?

Tak sformułowane pytania abstrahują celowo od wartości i dyrektyw postępowania związanych z tymi opisami świata, a właściwie tkwiących w nich.

Wydaje się, że z różnych względów na wszystkie trzy pytania odpowiedzieć trzeba negatywnie:

— historia wykazała, że opis świata zawarty w zespole demokratyczno-patriotycznym jako całość jest utopijny;

— doświadczenie ostatnich stu lat poucza nas, że w ogromnej większości wypadków konfliktowych, i to takich, które uznalibyśmy za społecznie doniosłe, pionowe więzi społeczne okazały się silniejsze i trwalsze od poziomych i nic nie wskazuje na to, by w przewidywalnej przyszłości miało być inaczej;

— historia nie daje się wyjaśnić w sposób naukowo zadowalający przez *quasi*-biologiczne prawo ekspansji narodów.

Jednakże te pytania i odpowiedzi nie wydają się wystarczające.

Konkluzją tego, co zostało tu powiedziane, będzie sąd, że pozytywne wartości proponowane nam przez naszą kulturę nie tworzą harmonijnej całości, a niekiedy stają się względem siebie opozycyjne. W tej postaci mniemanie powyższe jawi się jako banał typu kalendarzowego. W istocie bowiem, kiedy chodzi o takie wartości, jak np. wolność i równość, czy jednostka i społeczeństwo, wszyscy wiedzą, że istnieją sytuacje, w których trzeba między nimi wybierać. Inaczej nieco przedstawia się sprawa z wartością-narodem. Jeśli pominąć sytuacje wyjątkowe, związane najczęściej z walką zbrojną w obronie ojczyzny lub o uzyskanie dla niej niepodległości, tzn. sytuacje, w których wartość-naród preferujemy w stosunku do wartości-życie ludzkie, to na ogół skłonni jesteśmy zakładać, że między wartością-narodem a takimi wartościami, jak np. równość wszystkich ludzi i wszystkich narodów, wolność i szczęście jednostki itp. — nie ma konfliktu. Nie ma, a w każdym razie nie powinno go być, jeśli zaś się pojawia, uciekamy się do wykrętów pochodzących z arsenału myślenia magicznego.

To powszechne założenie zdaje się mieć dwa źródła. Pierwszym z nich jest dziedzictwo zespołu demokratyczno-patriotycznego uzupełniane niekiedy uświęcającym przymiotnikiem

„prawdziwy”, a więc nie patriotyzm i nie internacjonalizm, lecz prawdziwy patriotyzm i prawdziwy internacjonalizm.

Drugie źródło tego rozpowszechnionego mniemania o zasadniczej zgodności wartości-narodu z innymi wartościami tkwi w samym typie więzi narodowych. Jak wiadomo, więzi narodowe odbieramy jako pierwotne w stosunku do innych, a zatem „naturalne”. Pod tym względem można je porównać z więziami rodzinnymi. Przynależność do narodu Iks uważamy na ogół za równie oczywistą jak przynależność do rodziny Iks. W obu wypadkach „naturalny” charakter więzi społecznej „ustawia” nas w ten sposób, że chętniej przyjmujemy tezę o zasadniczej zgodności wartości-narodu (szczególnie naszego narodu) i wartości-rodziny (szczególnie naszej rodziny) z innymi wartościami, które nauczono nas cenić.

Wydaje się, że zadaniem humanistów zajmujących się kwestią narodową jest, między innymi, tłumaczenie, że nie istnieje coś takiego jak przyrodzona i po wsze czasy funkcjonująca zasadnicza zgodność wartości-narodu z innymi wartościami. Że zatem w sytuacjach konfliktowych nasze bezrefleksyjne często zachowania się są *de facto* wyborem. Jest wysoce prawdopodobne, że statystycznie rzecz biorąc, w sytuacjach konfliktowych najczęściej preferuje się wartość-naród. Mogłoby się tedy wydawać, że skoro dokonując wyboru między wartościami najczęściej wybieramy jako wartość najcenniejszą — naród, przeto racja jest po stronie nacjonalistów, zaś ich ideologia stanowi coś w rodzaju afirmacji normalnej ludzkiej praktyki. Należy sądzić, iż mniemanie to byłoby całkowicie fałszywe. Po pierwsze, ideologia nacjonalistyczna nie uznaje każdorazowego wyboru między wartościami, lecz nakazuje bezwzględne podporządkowanie się jednej wartości; po drugie, nacjonalizm nie oznacza uznania za wartość jedyną narodu w ogóle, chodzi zawsze o jeden określony naród: polski, rosyjski, angielski, portugalski etc., co równoznaczne jest z nakazem przyjęcia niechętniej lub wrogiej postawy wobec innych narodów. Dlatego też nacjonalizm, mimo iż odwołuje się do różnego rodzaju „naturalnych” postaw, takich np. jak ksenofobia, nie stanowi potwierdzenia statystycznie najczęstszych ludzkich zachowań, lecz próbę przekształcenia tych zachowań w inne. Wolno mniemać, że ten inny *behavior* proponowany przez nacjonalistów daje zawsze społecznie ujemne efekty.

Skoro więc mowa o zadaniach humanistów w tym przedmiocie, wydaje się, że ująć je można w pięciu następujących punktach, których kolejność nie ma oznaczać stopnia ważności,



wszystkie są bowiem jednakowo doniosłe. Niezbywalną przesłanką wyjściową tych propozycji jest uznanie:

– iż więź narodowa stanowi najtrwalszy typ więzi społecznej, znany nam współcześnie;

– że tworzy ona najdonioślejszy typ zakorzenienia społecznego, mogąc przy tym być zarówno podstawą wielu pozytywnych rodzajów zachowań, jak i ciemnego szowinizmu;

– że w społeczeństwie współczesnym żadne konflikty wynikające z poziomych podziałów społecznych – niezależnie od stopnia ich doniosłości – nie mogą doprowadzić do rozpadu całości narodu;

– że większość naszych działań realizuje się w oparciu o tę więź i poprzez nią.

A zatem można sądzić, że godzi się:

– oponować przeciw instrumentalnemu traktowaniu wartości–narodu, jako niegodnemu sposobowi zachowania, nanażącemu świadomości zbiorowej trudno usuwalne uszczerbki. Pamiętać zaś należy, iż jednym z najczęstszych chwytów takiego instrumentalnego podejścia do wartości–narodu jest posługiwanie się *pars pro toto*, przedstawianie interesów części narodu, niekiedy arcyznikomej, jako interesów całości;

– sprzeciwiać się uznaniu wartości–narodu za wartość naczelną w każdej sytuacji, to bowiem niesie w sobie nieuchronną groźbę zarzucenia takich wartości jak wolność, sprawiedliwość, jednostka itp. Postulat ten daje się zresztą sformułować w postaci ogólniejszej: uznanie jakiegokolwiek wartości za naczelną w każdej sytuacji prowadzi do szkodliwej deprecjacji innych wartości;

– starać się osiągnąć zrozumienie, iż konflikty między wartościami nie wynikają li tylko z niedoskonałości myślenia czy języka, lecz są odzwierciedleniem ludzkiej kondycji. Konfliktowość wartości obok negatywów zawiera ten doniosły skutek dodatni, że tworzy z zespołu przyjmowanych wartości istotny regulator ludzkich zachowań;

– sprzeciwiać się traktowaniu narodu jako wartości aprobowanej bezrefleksyjnie. Uznanie praw mego narodu wydaje mi się oczywiste i nie wymaga żadnych uzasadnień, żadnego sprawdzianu. Czy wobec tego, jako oczywistość nie wymagającą uzasadnień i kontroli, przyjmuję (lub odrzucam) prawa innych narodów? Bezrefleksyjne traktowanie wartości–narodu zgodne jest ze wspomnianym uprzednio sposobem przeżywania więzi narodowej jako „naturalnej”. Dlatego też na takim stosunku do

wartości–narodu jest szczególnie łatwo budować światopoglądy i instytucje typu całościowo–stronniczego, tj. światopoglądy i instytucje podporządkowujące sobie w sposób stronniczy całość życia danego społeczeństwa;

– dążyć do takiego typu kultury, w którym w sytuacjach konfliktowych wybory między wartościami dodatnimi – w tym między wartością–narodem a innymi – dokonywane byłyby w sposób możliwie świadomy, tj. z wiedzą, iż wybór taki musi mieć pewne negatywne konsekwencje, których nie wolno przedstawiać jako pozytywów, ale które należy w miarę możliwości ograniczać;

– dążyć do takiego stanu kultury, w którym żadna grupa jednostek nie może wybrać dla siebie roli jedynej, niekontrolowanej emanacji wartości–narodu.

1967

## PRZYPISY

1 Por. J.S. Bystron, *Pojęcie narodu w socjologii polskiej*, „Rok polski”, 1916, nr 4; tenże, *Rozwój problemu socjologicznego w nauce polskiej*, „Archiwum Komisji do Badania Historii Filozofii w Polsce”, T. I.

2 J.S. Bystron, *Pojęcie narodu...*, op. cit., s. 42.

3 Por. R. Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, Lwów 1904, wyd. II, s. XV.

4 Por. dla przykładu: W. Pobóg-Malinowski, *Narodowa Demokracja 1887–1918. Fakty i dokumenty*, Warszawa 1933; A. Micewski, *Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej*, Kraków 1964; St. Kozicki, *Historia Ligi Narodowej 1886–1907*, Londyn 1964, w dalszym ciągu cytowane jako Kozicki HLN; odmienną pozycją jest *Relacja Romana Dmowskiego o Lidze Narodowej*, ed. A. Garlicki, „Przegląd Historyczny”, 1966 nr 3.

5 W 1912 r. w organie endecji „Głos Warszawski” ukazał się sześciocyfrowy artykuł redakcyjny pt. *Stronnictwa polityczne w naszym kraju*. Pierwsze dwa odcinki (z 16 i 18 stycznia) poświęcone były endecji i stanowiły próbę zarysowania ideologicznej historii stronnictwa. Redakcji zależało m.in. na wyjaśnieniu przyczyn „frondy” nurtującej podówczas partię nacjonalistyczną. Czytamy tam m.in.: „W miarę tego, jak ten nowy prąd [tj. ruch nacjonalistyczny – R.Z.] rósł (...) stało się coraz bardziej widocznym, że osłabienie tężni narodowego (...) ma swoje źródło nie tyle w ogólnej depresji (...) w okresie powstaniowym, ile we wpływie na nasze życie żywiołów obcych,

w szczególności inteligencji żydowskiej (...) Stąd kierunek narodowy zmuszony był coraz bardziej zwracać się frontem przeciw obozom najsilniej ulegającym wpływowi żydowskiemu (...) stąd ewolucja jego w duchu, który mu pozyskał miano polskiego nacjonalizmu.

Ten pierwszy etap sprawił też pierwszy rozdźwięk w formującym się szybko stronnictwie narodowym. Zarysowały się w nim dwa odłamy: jeden, który główne niebezpieczeństwo (...) widział w rozroście i wpływie żywiołów radykalno-żydowskich, drugi – który całym frontem zwracał się przeciw tzw. ugodzie (...)

Pierwszy odłamek pragnął widzieć transformację ugodowców na stronnictwo konserwatywne polskie (...), z którym możliwe były porozumienia w celu obrony kraju przed zalewem prądów antynarodowych, drugi skłonny był do szukania kontaktu z żywiołami radykalnymi (...) Ten drugi odłamek demokracji narodowej (...) stojący na gruncie dawnego liberalno-rewolucyjnego patriotyzmu (...) z dużą przymieszką politycznego romantyzmu – z początku wcale liczny, topniał szybko pod wpływem ducha czasu(...).”

Jest to, oczywiście, „wewnątrzpartyjny” opis sytuacji. Pomija się tu więc na przykład fakt, że wprawdzie lewe skrzydło kształtującej się endecji zostało wyeliminowane, niemniej skrzydło skrajnie nacjonalistyczne nie osiągnęło tego, co w cytowanym artykule wymienione jest jako zadanie podstawowe. Nie udało się mianowicie nawiązać współpracy z konserwatystami. Dla niniejszych rozważań ważne jest jednak, że sami endecy zdawali sobie sprawę z tego, iż osiadać w tzw. obozie narodowym była właśnie krystalizacja idei nacjonalistycznej. Nie ma to, rzecz jasna, znaczyć, że w endecji brakło sporów taktycznych, personalnych etc. Te jednak nie są – z przyjętego punktu widzenia – interesujące.

N.b. zbliżone do cytowanego powyżej stanowisko zajmował znacznie wcześniej Z. Balicki (por. B. Ostojka, *Charakter demokracji narodowej jako stronnictwa*, „Przegląd Wszechpolski” 1903, nr 57), a później Dmowski (por. *Upadek myśli konserwatywnej w Polsce*, w: *Pisma*, Częstochowa 1938, T. IV, prwdr. 1913/14).

6 Por. B.A. Licki, *Narodowość nowoczesna. Studium socjologiczne*, Petersburg 1896. Drugie wydanie, bez rozdziału IV, ukazało się w 1898 r. w Warszawie pt. *Szkice o narodowości*. Balicki – i to łączy go z ideologami nacjonalizmu – kładzie znaczny nacisk na świadomościowy, psychiczny aspekt narodu, na fakt, że w konstytuowaniu się narodu znaczną rolę odgrywa chęć

bycia narodem. Zarazem wyklada on klasyczny marksistowski pogląd na rolę produkcji kapitalistycznej i rynku narodowego jako przyczyn powstania narodu. Z tym, że zdaniem Balickiego klasą, która jest najbardziej zainteresowana w istnieniu narodowości nowożytnej, jest właśnie proletariat. Na tle ówczesnych poglądów polskich socjalistów tezy III i IV rozdziału *Narodowości nowoczesnej* uznać można bez przesady za arcyśmiślne i godne uwagi.

7 Por. cytowane powyżej dwie rozprawki Bystronia. Podaje on, że książka Balickiego miała jedną recenzję w czasopiśmie etnograficznym „Lud”, t.II. Sumienny zazwyczaj Feldman cytuje nazwisko Balickiego raz jeden, wspominając, że wraz ze swym młodszym bratem Zygmuntem, późniejszym czołowym działaczem Ligi, należał do gminy narodowo-socjalistycznej Limanowskiego. Por. *Dzieje polskiej myśli politycznej w okresie porozbiorowym. Próba zarysu*, Warszawa 1920, t.III.

8 Z. Balicki, *Egoizm narodowy wobec etyki*, Lwów, 1908, wyd. III. R. Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, op. cit.

9 J. L. Popławski, *Demokratyzacja zasad*, „Prawda” 1886, nr 42 i 43, cytat w całości z artykułu w nr 43. Ten bardzo wczesny artykuł, *nota bene* jedyny, jaki Popławski pracując trzy lata w „Prawdzie” podpisał pełnym nazwiskiem, wyprzedza o kilka miesięcy ukazanie się pierwszego numeru „Głosu”. Artykuł prezentuje tezy wielokrotnie potem przez Popławskiego powtarzane w „Głosie”. W roku 1886 nie można jeszcze mówić o ideologii nacjonalistycznej, niemniej jest to chyba pierwsza w języku polskim manifestacja zasady głoszącej wyższość patriotyzmu biologicznego nad kulturowym, a więc pierwsze sformułowanie jednej z naczelných tez ideologii nacjonalistycznej.

10 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 1.

11 J. L. Popławski, *Realizm polityczny i przyszła Polska* (w:) *Pisma polityczne*, Kraków 1910, t. I, s. 89, prwdr. 1900.

12 J. Bartoszewicz, *Co to jest naród*, „Ateneum Polskie” 1908, t. III, s. 131.

13 Tamże, s. 136–138.

14 Skr. (Dmowski), *Jedność narodowa*, „Przegląd Wszechpolski” 1895, nr 6, 7 i 8, s. 82. Tę wypowiedź za znamienne dla ideologii Ligi Narodowej uważa St. Kozicki, por. HLN, s. 455.

15 Program Demokracji Narodowej z 1903 r.; cyt. wg. Z. Wasilewski, *Demokracja Narodowa. 1897–1917. Aneks*, Piotrogród 1917.

16 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit. s. 120.

17 Por. tamże, s. 119.

18 Z. Wasilewski, *O życiu i katastrofie cywilizacji narodowej*, Warszawa 1921, s. 49. Kozicki uważa ten tekst za reprezentatywny dla ideologii Ligi. Por. HLN, s. 493.

19 Por. Kozicki, HLN, s. 458 i A. Micewski, *Z geografii...*, op. cit., s. 18.

20 R. Skrzycki, *Ze studiów nad szkołą rosyjską w Polsce*. „Przegląd Wszechpolski” 1895, nr 19.

21 J. L. Popławski, *Pisma polityczne*, op. cit., t. I, s. 166, prwdr. 1897 r. N.b. wydaje się, że w poglądzie tym znajdujemy wyraźny pogłos lektury Renana. Por. *Qu'est-ce qu'une nation?* Paris 1882, s. 2.

22 Por. dla przykładu *Pochodzenie i istota syjonizmu*. J. L. Popławski, *Pisma*, op. cit., t. I, s. 245–263, prwdr. 1902.

23 W okresie pobytu Dmowskiego w Anglii pod koniec lat dziewięćdziesiątych niezwykłą popularnością – dziewiętnaście wydań w ciągu czterech lat – cieszyła się tam rozprawka Beniamina Kidda, *Social Evolution*, tłumaczona zresztą na wiele języków, w tym w 1897 r. na rosyjski. Książeczka ta prezentuje poglądy charakterystyczne dla tego etapu postpozytywistycznego socjaldarwinizmu, w którym ideologia ta staje się wręcz naukokształtną podstawą doktryn imperialistycznych. Aczkolwiek sam Kidd był liberałem, czego o nacjonalistach nie da się powiedzieć, wolno przypuszczać, że Dmowski zapoznał się z jego poglądami.

Kwestia analogii zachodzących pomiędzy różnymi doktrynami nacjonalistycznymi wymagałaby odrębnego studium. Na prawach przypisu wolno sformułować, bez dowodu, następującą tezę: jednym z paradoksów nacjonalizmu jest to, że doktryna, której kamieniem węgielnym jest zasada nieredukowalności i niepowtarzalności „duszy narodu” jako bytu nadrzędnego wobec historii, z nużącą jednostajnością powtarza się we wszystkich swoich narodowych wariantach. Jeżeli „dusze” narodów niemieckiego, francuskiego, polskiego itd. różnią się od siebie całkowicie, to niemiecka, francuska czy polska ideologia nacjonalistyczna, mimo że stanowią kulminacyjne emanacje tych niepowtarzalnych bytów, są do siebie łudząco podobne.

24 Renan formułował to m.in. w następujących słowach: „Istnienie narodu jest (...) stałym plebiscytem”. *Qu'est-ce qu'une nation?*, op. cit., s. 27.

25 Polemika z „zasadą etniczną” odgrywa w publicystyce endeckiej ważną rolę. Chodzi oczywiście nie o poglądy niezżytego już wówczas prawnika włoskiego, lecz o koncepcję „wiel-

kości narodu”. Dla Dmowskiego każdy, kto by chciał ograniczyć Polskę do terytorium o etnicznej przewadze Polaków, był zdrajcą sprawy narodowej. „Zasada etniczna” głosiła, że wszystkie narody mają równe prawa do posiadania własnej ojczyzny. Była to więc zasada całkowicie obca doktrynie nacjonalistycznej. Ci, którzy sądzą, że utrata kolonii może być dla Hiszpanii korzystna, są w najlepszym wypadku głupcami – twierdził np. Dmowski w *Myślach nowoczesnego Polaka*.

26 Por. F. Znaniński, *Modern Nationalities*, University of Illinois Press 1952.

27 Por. *Ewolucja myśli marksistowskiej w kwestii narodu i państwa. Stenogram dyskusji*, „Z Pola Walki”, 1966, nr 3.

28 J. St. Bystron, Pojęcie narodu w socjologii polskiej, op.cit., s. 47.

29 I. Snitko (J.H.Herbut–Heybowicz), *Zarys pojęć o narodzie*, Lwów 1901, s. 435. Praca Herbuta stanowi próbę rekonstrukcji historycznej pojęcia narodu w literaturze europejskiej od starożytności poczynając. Mimo całą naiwność jest to w polskiej literaturze przedmiotu praca, niestety, fundamentalna i taką będzie, póki ktoś nie napisze lepszej. Obszerną polemiczną recenzję z *Zarysu* napisał w 1902 r. W. Spasowicz; por. *Pisma*, Petersburg 1903, t. VIII, s. 317–344.

30 *Program Stronnictwa Demokratyczno–Narodowego w zarborze rosyjskim*, „Przegląd Wszechpolski” 1897, nr 11.

31 Z. Balicki, *Psychologia społeczna. Czynności poznania*. Warszawa 1912, s. 130.

32 Z. Balicki, *Egoizm narodowy*, op. cit., s. 56 i 58.

33 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 160. Krytyczny stosunek do ojczyzny jako zbioru swobód ma zarazem ostrze antyliberalne i antyszlacheckie. Dmowski uważał liberałów polskich za ludzi, którzy nie wyciągali żadnych wniosków z warcholstwa Targowicy.

34 J. L. Popławski, *Pisma*, op. cit., t. I, s. 113. Prwdr. 1990 r. Jeszcze w 1895 r. anonimowy publicysta Ligi, prawdopodobnie Dmowski, pisał, że gdyby nie upadek Rzeczypospolitej „nikomu nie przyszłoby do głowy zająć się stwarzaniem narodu litewskiego, odrębnego całkiem, nie mającego nic wspólnego z polskim. Taka myśl mogła się zrodzić tylko w głowach wrogów Polski i Litwy”. Por. *Kwestia litewska*, „Przegląd Wszechpolski” 1895, nr 19.

35 Z. Balicki, *Egoizm narodowy*, op. cit., s. 78, 80, 82.

36 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 173, 201, 202–203, 20.

37 Tamże, s. 77–78.

38 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 97–99. Można by powiedzieć, że przy całkowicie odmiennej hierarchii wartości, sam opis sytuacji przypomina głośną tezę Sartre’a, że antysemita tworzą Żydów. (Por. J.P. Sartre, *Rozważania o kwestii żydowskiej*, tłum. J. Lisowski, Warszawa 1957, s. 68). Pogląd ten wydaje się słuszny tylko do pewnego stopnia. Należałoby powiedzieć, że hakatyści tworzyli Polaków z...Polaków, a antysemita tworzą Żydów z...Żydów. Wbrew pozorom nie jest to paradoks.

39 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 7. Tak sformułowana teza wymierzona jest przeciw wszelkim racjonalistycznym próbom ujmowania problemu narodu, a w szczególności przeciw oświeceniowej wersji patriotyzmu. Tam był on właśnie „systemem filozoficznym”.

40 Tamże, s. 49. O programowym antyindywidualizmie ideologii narodowej pisze Kozicki. Por. HLN, s. 442–443.

41 J. L. Popławski, *Pisma*, op. cit., t. I, s. 70, prwdr. 1899.

42 Por. R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 176–191.

43 W. Spasowicz, *Polityka samobójstwa*, (w:) *Pisma*, t. IX, Warszawa 1908, s. 26; w innym fragmencie, na s. 21–22, Spasowicz mówi o polskich tradycjach cywilizacyjnych, które należy koniecznie przechować do czasu gdy znajdą „właściwe zastosowanie i użytek”.

44 J. L. Popławski, *Pisma*, op. cit., t. I, s. 62, prwdr. 1897.

45 Tamże, s. 66–68, prwdr. 1897.

46 R. Dmowski, *Myśli...*, op.cit., s.186

47 Z. Balicki, *Egoizm narodowy...*, op. cit., s.70–71.

48 R. Dmowski, cyt. za Kozickim, HLN, s. 232. W swojej pierwszej pracy politycznej, napisanej w 1893 r., programowej broszurze Ligi Polskiej, Dmowski przyznawał, że socjaliści pierwsi wysunęli hasło odbudowy niepodległego państwa polskiego (Por. *Nasz patriotyzm; Pisma*, op. cit., t. III, s. 17). W kwestii oceny przeszłości Popławski niekiedy różnił się od Dmowskiego. Sądził np., że w czasie wojny krymskiej należało wywołać powstanie, co zmusiłoby Anglię i Francję do konsekwentnej walki z Rosją. (Por. *Życie i czyny pułkownika Zygmunta Miłkowskiego*, Lwów, 1902, s. 17). W poglądzie tym znaleźć można echa – niezbyt zresztą sławnego – udziału Popławskiego w spisku Szymańskiego, który to spisek związany był z zabiegami Anglii o zorganizowanie polskiej dywersji w czasie wojny rosyjsko-tureckiej. Analizę stosunku endecji do hasła powstania zbrojnego na przełomie XIX i XX w. znajdujemy m.in. u Poboga–Mali-



nowskiego w *Narodowej Demokracji*, op. cit., oraz u L. Wasilewskiego w artykule *Po drodze do czynu zbrojnego*, „Droga” 1924, nr 8. Obaj autorzy uwikłani są w spór „piłsudczycy – endecja”.

49 „(...) każda arja spolszczyć się może w drugim już pokoleniu i krwią z nami niemal bez reszty pomieszać, ale (...) tak daleka krew, jak semicka, ciągle odzywać się będzie i nawet w małym procencie już pewne dla nas przedstawia niebezpieczeństwo (...). Nie może być mowy o żadnych prawach życia w znaczeniu praw do życia. To jest ideologia rozumu w rodzaju umowy społecznej J. J. Rousseau – adwokacki punkt widzenia wysoce śmieszny w zastosowaniu do podstawowych zjawisk życia. Prawo do życia mają również laseczniki tyfusu. Żydzi chcieliby nam tę ideologię narzucić, ażeby tym łatwiej żyć zahamowawszy nią „w nas wszystkie naturalne życia krynice”. St. Pieńkowski, *Pod maską* „Głos Warszawski” 21.I.1912 r.

50 W tym punkcie ideolodzy nacjonalizmu skazani byli na chroniczną niekonsekwencję. Logicznie rzecz biorąc, jeśli naród jest, by tak rzec, naturalnym absolutem, to ludzie dzielą się na tych, którzy w tym absolutnie partycypują, i pozostałych. Do tych drugich nie ma się po co zwracać, ponieważ nie można nikogo nauczyć być Polakiem lub Anglikiem. Polakiem się jest – albo się nim nie jest. Tej konsekwencji ideologia nacjonalistyczna nie może przyjąć, stawia ona bowiem pod znakiem zapytania jej byt jako ideologii. Niemniej, zdarza się ideologom nacjonalistycznym polemizować według takiego schematu: socjaliści nie mają w sobie głosu krwi polskiej – wobec czego, choćby nie wiadomo jak się starali, nie mogą być partią polską. (Por. J. L. Popławski, *Pisma*, op. cit., t. I, s. 124).

51 B. Lutomski, *Dwudziestolecie Jana Popławskiego*, „Przegląd Narodowy” 1908, nr 2, s.70–71. Por. też artykuł Dmowskiego *Ojczyzna i doktryna*. *Pisma*, op. cit., t. III, prwdr. 1902.

52 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 152.

53 Dmowski uważał, że ujawnienie Ligi pod koniec XIX w. było błędem, toteż Liga później nie występowała na zewnątrz jako Liga. (Por. *Relacja Romana Dmowskiego...*, op. cit., s. 429).

54 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 21.

55 Kiedy w 1897 r. Max Weber w wykładzie inauguracyjnym we Fryburgu wyraził się o Polakach – delikatnie mówiąc – nie-pochlebnie, wywołało to szereg protestów ze strony polskiej. Jeden Dmowski w „Przeglądzie Wszechpolskim” napisał: „owszem jesteśmy, a raczej nasz chłop jest bardziej prymitywny, skutkiem tego może on żyć w warunkach, w jakich żaden prawie inny wyt-

rzymać nie może”. Dmowski uważał, że są rasy „wyższe” i „niższe”, ale zarazem uważał, że lud polski nie jest „niższy rasowo” od niemieckiego. W rezultacie dowodził, iż niższość kulturalna chłopów polskiego zapewnia mu lepsze zdolności adaptacyjne, a zatem zwycięstwo w walce z Niemcami. Por. I. Żagiewski, *Z całej Polski*, „Przegląd Wszechpolski” 1895, nr 16.

56 Por. R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 10.

57 Tamże, s. 170.

58 Historycznie rzecz biorąc było tak, że pierwszy słowa pojednania między nacjonalizmem a katolicyzmem wypowiedział przedstawiciel katolicyzmu. Por. ks. Pawelski, *Etyka Wszechpolska*, „Przegląd Powszechny” 1903.

59 Por. E. Orzeszkowa, *Patriotyzm i kosmopolityzm. Studium społeczne*. Wilno 1880, s. 124–125 i 152.

60 Kozicki, HLN, s. 453.

61 Por. J. L. Popławski, *Pisma*, op. cit., t. I, s. 112.

62 Piękną anegdotę o Popławskim przekazał Adam Szlągowski, historyk, członek Ligi Narodowej: w 1905 r. na jednym ze zwołań przez endecję wieców, któryś z mówców domagał się autonomii włącznie do własnej armii; Popławski przyjął ten zapal zimną uwagą, skierowaną do stojącego obok uczestnika obrad: „Teraz rozumiem, dlaczego wasi przodkowie zdezonizowali Mikołaja I”. (Wiktor G., *Jan Ludwik Popławski w latach 1887–1894*, „Ateneum Polskie” 1908, t. II, z. 1, s. 66–67).

63 W sprawie mechanizmu funkcjonowania tradycji por. R. Zimand, *Problem tradycji (w:) Proces historyczny w literaturze i sztuce. Materiały konferencji naukowej, maj 1965*. Warszawa 1967, s. 360–379.

64 Por. J. L. Popławski, *Stosunek do rządu w polityce narodowej (w:) Pisma*, op. cit., T. I, s. 40–49.

65 W latach trzydziestych Dmowski uważał program Wielopolskiego za robotę żydo-masonerii. Por. *Relacja Romana Dmowskiego...*, op. cit., s. 417.

66 Krytyczny stosunek Dmowskiego do polskiego konserwatyzmu miał swoje nie tajone zresztą źródło w negacji „antypaństwa” charakteru dawnego konserwatyzmu szlacheckiego oraz w fakcie, że stronnictwa „ugody”, stańczycy (z wyjątkiem tzw. podolaków) oraz grupa petersburskiego „Kraju” nie tylko nie chciały współpracować z endecją – na co ta ostatnia miała wyraźną ochotę – ale na początku XX w. atakowały ją bardzo ostro. Por. *Upadek myśli konserwatywnej w Polsce (w:) Dzieła*, op. cit., t.IV.

67 Pamiętać koniecznie należy, że izomorfizm ten wysledzić się daje tylko w przypadku niektórych konserwatystów. Rzecz w tym, że dla pewnych teoretyków konserwatyzmu wartością naczelną będzie nie naród, lecz naturalny ład społeczny, dla innych zaś tradycja. Można sobie tedy wyobrazić konserwatystę, który zmuszony do wyboru między wartością–narodem a wartością–tradycją – wybierze tę drugą. *Notabene* Wasilewski uważał, iż jeśli chodzi o „prawa człowieka”, endecja jest „zachowawcza”, albowiem nie przywiązuje do takowych wagi. Por. *Demokracja narodowa 1897–1917*, op.cit., s. 27.

68 O związkach endecji z pozytywistami wspomina Kozicki. Por. HLN, rozdz. *Ideologia Ligi Narodowej*.

69 W.Kozłowski, *Czy pozytywizm jest kierunkiem antinarodowym?*, „Prawda” 1885, nr 9, 10; cytaty z nr 9.

70 E. Renan, *Qu'est-ce qu'une nation?*, op.cit., s. 2.

71 Z. Wasilewski, *Demokracja Narodowa*, op.cit., s. 14.

72 W. Kozłowski, *Czy pozytywizm jest kierunkiem antinarodowym?*, op.cit.

73 Nie należy zapominać, że pozytywizm był dominującym kierunkiem, pod którego znakiem musiała upływać młodość Popławskiego, Balickiego i Dmowskiego.

74 Sprawa związku pisarzy głoszących formułę odrodzenia klasycznego z endecją nie przedstawia się tak jasno jak we Francji. Część zwolenników tego kierunku grawitowała raczej ku krakowskiemu konserwatystom i była wobec endecji obojętna, jeśli nie wroga. Faktem jednak jest, że pierwsze propozycje zmierzające do stworzenia programu neoklasycystycznego sformułowane zostały na łamach pisma związanego z endecją. Por. E. Porębowicz, *Sztuka dla sztuki*, „Ateneum Polskie” 1908, z. 2; tegoż: *Romantyzm francuski*, tamże, z. 1.

75 Por. Scriptor, *Nasza młodzież. Nasze stronnictwo skrajne*. Kraków 1903, wyd. II.

76 R. Dmowski, *Myśli...*, op. cit., s. 20.

77 Nb. analiza różnic w podejściu do teorii narodu między Kautskim a Stalinem mogłaby być nader ciekawa, tkwi bowiem w tych odmiennościach różnica dwóch etapów ewolucji marksizmu.

78 Nie tylko chęć bycia Polakiem, ale również akceptacja mnie jako Polaka przez innych Polaków. Ten aspekt wyjaśnia takie procesy jak tworzenie narodu amerykańskiego czy znane z historii, np. Europy, przypadki asymilacji nieprzyjmowanych, które można określić jako asymilację tragiczną.

79 Teza o przewadze kategorii czasowych nad przestrzennymi w przeżywaniu narodu wymaga kilku uzupełnień.

Po pierwsze pamiętać należy, iż jest to tylko dominanta, że więc nie wyklucza ona przeżywania narodu w kategoriach przestrzeni.

Po drugie, w odniesieniu do ideologii nacjonalistycznej sprawa ma się nieco odmiennie. Przede wszystkim nacjonałisci, jak później faszyci, przywiązywali ogromną wagę do „związku z ziemią”. Mitologia ziemi, chtoniczne przeżywanie narodu odgrywa w ramach tej ideologii wielką rolę. Nadto, dla nacjonalisty czas ważny jest przede wszystkim nie jako element dziejów biegnących „od–do”, lecz jako zmitologizowane praźródło mocy narodowej. Mówiąc obrazowo, dla nacjonalisty okresu międzywojennego Piast i Rzepicha byli ważniejszymi postaciami niż na przykład Kazimierz Wielki czy Kościuszko. Dlatego też można powiedzieć, że ideologia nacjonalistyczna, mitologizując zarówno kategorie czasu jak i przestrzeni, większą wagę przywiązuje do tych ostatnich. Związane to jest z biologiczną, a nie kulturową koncepcją narodu.

Odnosząc tę problematykę do modernistycznej kultury, a ściślej, literatury, można powiedzieć, że nacjonalizmowi bliższa była chtoniczna i skrajnie biologiczna koncepcja narodu współtworząca świat literacki Reymonta, niż historyczna i kulturowa wizja sprawy narodowej będąca istotnym składnikiem twórczości Żeromskiego.

Na nie pozbawiony sprzeczności charakter wzajemnych stosunków endecji i Reymonta zwrócił mi uwagę Kazimierz Wyka.

80 Ostatnie publikacje obszernie analizujące tę problematykę, to J. Szacki, *Ojczyzna – Naród – Rewolucja*, Warszawa 1962; A. Walicki, *W kręgu konserwatywnej utopii*, Warszawa 1965; *Polskie spory wokół Hegla*, Warszawa 1966.

81 Czy przekonanie o zasadniczej zgodności wartości narodowych i oświeceniowo–demokratycznych było w praktyce realizowane przez wyznawców tego, co nazwano tu harmonią demokratyczno–patriotyczną; przykładowo, czy było realizowane przez działaczy Wiosny Ludów – to zupełnie inna sprawa. Wydaje się, że w praktyce zachowywali się oni tak, jak gdyby harmonia ta nie była całkowita. Jaskrawym przykładem będzie tu stosunek przywódców powstania węgierskiego z r. 1848 do Słowaków i Chorwatów.

PODRÓŻ I O PODRÓŻY

## „ZAPROSZENIE” – POŻEGNANIE\*

Dawno, dawno temu (to znaczy może przedwczoraj, a może pojutrze), za siedmioma górami, za siedmioma lasami (czyli zapewne tuż obok, a może nawet jeszcze bliżej) istniało sobie państwo pt. ZSRR. Istniało nie tylko sobie (a byłoby tego aż nadto), ale co gorsza innym...

W połowie sierpnia 1991 r., w tydzień po zakończeniu przeze mnie szkicu o książce Claude Simona *L'Invitation* rozpadł mi się Związek Sowiecki. Nie żeby tak zupełnie, ale jednak. Mogłoby się zatem wydawać, że i temat *Zaproszenia*, i to co mam do powiedzenia na temat tego tematu, przestało być aktualne. Nie sądzę, by tak było. Co więcej, nie sądzę, by należało wyjaśniać, dlaczego książka Simona jest nie tylko znakomicie, wspaniale napisana, ale zarazem niesie z sobą przesłanie, j e s t ważnym przesłaniem. W literaturze zaś, inaczej niż w nauce, to, co naprawdę ważne, ważne jest jeśli nie zawsze, to w każdym razie długo...

I jeśli nawet uznać, że uogólnienia takie jak powyższe czynione są ponad stan, to i tak czytelnik domniemany tego oto eseju to ktoś, dla kogo trwała aktualność *Zaproszenia* jest oczywista.

Październik, 1991

---

\* Tekst nie drukowany.



Wyjątkowo silne poczucie (przeświadczenie, przekonanie), że najlepszą interpretacją dzieła jest samo dzieło.

### Zaplecze (dedukcja)

Dedukujemy z pewnych danych arbitralnie przyjętych za wyjściowe. Zaliczamy do nich wiedzę o funkcjonowaniu systemu oraz następujące fakty: w 1986 r. odbyły się co najmniej trzy wielkie imprezy poświęcone Obronie Pokoju; w styczniu, w Warszawie – Kongres Intelektualistów w Obronie Pokojowej Przyszłości Świata; na początku października, w Kopenhadze – Światowy Kongres Pokoju, 2500 (!) delegatów (?); w tymże miesiącu, w drugiej jego dekadzie, w Kirgizji – Issyk-Kulskie Forum, piętnastu zaproszonych prywatnie (!) intelektualistów z czterech części świata – Australię i Antarktydę organizatorzy pominęli; co do Grenlandii sprawa, jak wiadomo nie jest jasna, bo chociaż od Australii mniejsza, ale jednak nosi tytuł największej wyspy świata. W każdym razie Grenlandia jakoś się nie załapała. A właściwie była blisko, bo wciąż w tymże październiku-miesiącu, ściśle 11-go – 12-go, w Reykjavíku, niby tuż obok, miało miejsce drugie z kolei (po genewskim) spotkanie Reagan – Gorbaczow.

Z ogólnej wiedzy o... bez trudu można wydedukować, że rok 1986 pomyślany był jako kolejny rok „pokojowej ofensywy”, z takim powodzeniem i wedle utartego schematu prowadzonej od iluż to dziesięcioleci. Zarazem był to rok, w którym nowe tupało wyraźnie. Łatwo tedy można sobie wyobrazić, a poprawniej – bez trudu można wywnioskować, że ze względów politycznych nie wcześniej niż w maju 1985 r., a ze względów organizacyjnych (uzgodnić, ustalić, zamówić, przekonać, wykopać przy okazji), nie później niż wiosną 1986 r., ktoś w samej centrali wpadł na pomysł, że ów ograny, wypróbowany i niezawodny numer pt. Intelektualiści Zachodu (Świata, Kosmosu) dają głos w sprawie (obrony, przyjaźni między, a także przyszłości naszych dzieci) można by jakoś spróbować odnowić. W jednym tedy z wymienionych przed chwilą przypadków wprowadzono innowację. Przede wszystkim jako inicjator i zapraszający wystąpił nie komitet, nie urząd i w ogóle nie żadne ciało zbiorowe, lecz pojedynczy pisarz jako niemal prywatna osoba. I to pisarz balansujący na pograniczu drukowalności, cieszący się opinią dobrego prozaika. A ponieważ był on piszącym po rosyjsku Kirgizem, skorzystano z okazji i sympozjon (?), spotkanie

(?), konferencję (?) – nie Forum (!) urządzono wbrew tradycji nie w Białokamiennej i nie w Wenecji Północy, lecz właśnie w Kirgizji. Formalnie, w samej nazwie Forum, nad jeziorem Issyk-Kul. *De facto*, gdzieś na przedmieściach czy przedpolach stolicy republiki, tj. bez mała dwieście kilometrów od jeziora, i sądząc z mapy fizycznej ze dwa tysiące metrów niżej (lub też na odwrót: jezioro „było położone dwa tysiące metrów wyżej”, 58). Co do reszty, schematu nie naruszono, a nawet wybrano jego wariant bogaty: kawior, indywidualni tłumacze i spotkanie z Samym. Wiadomo bowiem co najmniej od półwiecza, że nic tak nie oczarowuje jajogłowych, jak obficie kawiozem posmarowany sekretarz generalny. (Z czego w odróżnieniu od Bóg wie ilu mendli czy też kop „pielgrzymów” i „honorowych gości” świetnie sobie zdawał sprawę Claude Simon: „chodziło o to, by wyczuć, jak jego [genseka – R.Z.] osobę odbiera piętnastu zaproszonych, przygotowanych przy pomocy kawioru, łososia i wędzonego ozora, by nie wspomnieć o biskupie i primabalerinie, do tej wielkiej chwili, kiedy zasiądą do stołu, na którego krańcu siedział i mówił do nich miłym głosem jeden z dwóch władców świata”, 49.)

Dlaczego pisarz, konkretnie Czyngis Ajtmatow podjął się roli inicjatora i zaproszeniodawcy można z kolei wydedukować z ogólnej wiedzy o „życiu literackim” w Kraju Rad... W każdym razie, w czasie gdy to właśnie pisać został na mianowany ambasadorem. Aż w Luksemburgu... Tym wszystkim jednak niech się kłopotą jego przyszli biografowie.

O ile powyższe wydedukować łatwo, o tyle niejasna pozostaje jedna sprawa: dlaczego całej imprezie (a jesienią 1986 r. można było sądzić, iż udała się ona ze wszech miar), prasa komunistyczna poświęciła tak mało uwagi. W „Polityce” na przykład ani słowa; w „Trybunie Ludu” na siódmej (!) stronie informacja, w której podano jedno nazwisko – Ajtmatowa; najwięcej dowiedzieć się można z „Litieraturnoj Gaziety”, a i to nie tyle o samym Forum, co o spotkaniu z Gorbaczowem<sup>1</sup>.

Coś widocznie od początku nie wypaliło. A może po prostu „zwyciężyło stare” i uznano, że nie warto takim nowalijkom poświęcać zbyt wiele uwagi.

Nie wiadomo wówczas, że organizatorzy popełnili istotny błąd „kadrowy”. Polegał on na wciągnięciu na listę zaproszonych laureata literackiej nagrody Nobla za rok 1985<sup>2</sup>. Organizatorzy trafnie zakładali, że obecność najświeższego noblisty uświetni imprezę. Pomylili się natomiast sądząc, że siedemdziesięcioletni-

letni podówczas pisarz, poświęcający całą uwagę formalnym – w ich rozumieniu – aspektom literatury zauważy cokolwiek z tego, co wprawdzie widziało wielu zwykłych ludzi, ale czego uparczywie nie chciała dostrzegać „większa połowa” zachodnich polito–kremlo–sowieologów. Nie miejmy jednak do nich zbyt wielu pretensji, ostatecznie w US Constitution Bicentennial Commemorative Edition Encyclopedia Americana (vol. 24, 1987 r.) nie ma hasła *Simon Claude* choć jest hasło *Simonow Konstanty*.

Okazało się, że noblista nie tylko zobaczył, ale, co gorsza, napisał. Któremu to faktowi zawdzięczamy małe arcydzieło sztuki słowa pt. *Zaproszenie*.

### Gatunek

*Zaproszenie* jednoznacznie należy do gatunku *podróż*<sup>3</sup>. (Ściśle, do bardzo szczególnej odmiany tego gatunku, mianowicie relacji z podróży do ZSRR, ale o tym oddzielnie i we właściwym miejscu.) Jednoznacznie, albowiem realizuje podstawowe wymogi *podróży*: jest prozą niefabularną lecz mimo to narracyjną, sprawozdaniem z podróży spełniającym postulat referencjalności. Prawda tekstu jest nie tylko prawdą artystyczną – cokolwiek przy pomocy tego przymiotnika usiłowano od wieków wyjaśnić lub choćby nazwać – ale odnosi się do rzeczywistych wydarzeń. Podróż miała miejsce, *itinerarium* było takie, a nie inne, zaś jej uczestnikami ci właśnie rzeczywiście ludzie, o których mówi na swój sposób tekst *Zaproszenia*. Sam Simon nazywa siebie (trzecia osoba l.p., ale o zaimkach za chwilę) „podróżnym”, i to dwukrotnie w jednym zdaniu; oryg. 37.

Zarazem *Zaproszenie* – i jest to istotny składnik mistrzostwa tej *podróży* – zbudowane jest wedle zasady: zagrać zgodnie z regułami gatunku w sposób stanowiący ich zaprzeczenie<sup>4</sup>. W „normalnej” *podróży* istotną rolę, a w każdym razie rolę rusztowania, szkieletu odgrywają nazwy geograficzne, nazwiska (lub imiona, lub przydomki) współpodróżników i „tubylców”, wreszcie daty. W *podróży* Simona większość nazw geograficznych (w tym ulic) dotyczy innych krajów. I to nie dlatego, że Piętnastkę organizatorzy pobierali z całego świata, lecz z uwagi na sposób w jaki *peregrynacja* Simona opisuje kraj, w którym dzieje się „akcja” *podróży*. Kraj ten nazwany jest jedynie dwa razy i oba razy mówi się o nim *Związek*; 45, 52. Nazwane wprost są jedynie trzy miejsca: sala św. Jerzego, Brama Zbawiciela oraz „nazwa

klasztoru jak złota błyskawica na czarnym tle przeszywa ciemności: *Zagorsk*”; 62, oryg. 86. (Moim zdaniem powinno być: *- sama nazwa klasztoru – niczym przecinający ciemności rozbłysk czerni i złota: Zagorsk.*) I ani jednej nazwy miasta, pasma gór, stepu, jeziora.

To świadome poniechanie stanowi realizację *ukrycia* – jednego z głównych składników poetyki *Zaproszenia*, chwytu, o którym obszerniej w rozdziale *Dzieło*. Zarazem jest to złośliwa realizacja obyczajów gospodarzy: „a nazwa? w kieszeniach za fotelami nie było map, na których pasażerowie zwykle mogą śledzić trasę lotu zaznaczoną czerwoną linią; nic poza folderami pełnymi dziewcząt w ludowych strojach na tle pół bawełny, tonących w kwiatach parków, lawy topionej stali, teatrów z żelazobetonu” 20.

Jak nie ma map – to nie ma nazw.

Nie pada też ani jedna data, choć z tekstu można dość dokładnie wyliczyć, kiedy opisana w *podróży* Simona podróż miała miejsce. Wspominam o tym teraz, bo chodzi o odstępstwo od reguł gry gatunku. Wyjaśnienie „zagadki” *kiedy?* odłożyć wypada do części zasadniczej i najtrudniejszej, do próby analizy tego, jak zrobione jest arcydzieło gatunku (...)

### Dzieło

Zacznijmy od rzeczy najprostszych, które każdy może zobaczyć. Niektóre z nich dostrzega, choć zapewne niedokładnie, zwykły czytelnik kontentujący się jednorazową lekturą.

*Zaproszenie* składa się z sekwencji oddzielonych od siebie tym, co w przedkomputerowym języku poligrafii nazywało się światłem. Niektóre sekwencje rozbite są na akapity. W nierówny, choć bynajmniej nie przypadkowy sposób, składa się z czterech akapitów. Natomiast sekwencja przed- i przed-przedostatnia razem zajmują pół stronicy i każda jest jednozdaniowa. Co w graficzny sposób wskazuje na zmianę tempa i charakteru narracji. Ku końcowi, trzy sekwencje (*Kirgizja I*, 62, *Kirgizja II*, 64, *Primabalerina*, 66 – skąd te tytuły o tym za chwilę) zbudowane są jako bezosobowy, choć wyraźnie liryczny, rozbłysk obrazu–wspomnienia. I wszystkie dotyczą tego, co ludzkie w nie-ludzkim kraju: pięknych zwierząt, dawnego obyczaju, starości artystki.

Sekwencji jest dziewiętnaście. Można je umownie i naśladowo

jąc Sterne'a – mimo, iż *podróż* Simona jest antysentymentalna – zatytułować: *Gensek*, 7–10, *W operze. Primabalerina*, 10–17, *Lot do. Przybycie*, 17–27, *Gensek*, 27–35, *Sympozjon*, 35–48, *Gensek*, 48–51, *Klasztor*, 52–56, *Gensek*, 57, *Święte Jezioro*, 57–61, *Gensek*, 61, *Klasztor II*, 61–62, *Kirgizja I*, 62–63, *Gensek*, 63, *Kirgizja II*, 64, *Kirgizja III*, 65, *Kirgizja IV*, 65, *Gieorgijewski zał*, 66, *Primabalerina*, 66, *Plac*, 66–68.

Pierwsza konstatacja: na dziewiętnaście sekwencji, sześć poświęconych jest w taki czy inny sposób spotkaniu z gensekiem. Konstatacja druga: sekwencje dłuższe składają się z długich zdań–akapitów. Np. sekwencja czwarta (27–35) składa się z dwóch zdań–akapitów. Pierwsze mówi o tym, za kogo chciałby uchodzić sekretarz generalny, i przedstawia historię „familii” od śmierci „bandyty–seminarzysty”. Tu mieści się opis owego „żałosnego pisku Historii” (31) jakim była likwidacja (określenie całkowicie spoza dykcjonarza *Zaproszenia*) przez następców „seminarzysty” człowieka, od którego śmiechu reszta „familii” drżała z przerażenia. Drugie zdanie–akapit (nieco krótsze) mówi o pogrzebie ostatniego z szeregu „zdzieciniałych starców” oraz instauracji nowego sekretarza generalnego, tego, z którym w *podróży* Piętnastka zasiada do stołu „w sali o pustych ścianach, gdzie nie było portretów jego poprzednika ani jego własnego wizerunku”, 35.

Jakkolwiek pedantyczna i staroświecko–gimnazjalna może się wydać ta dłubanina, należy mieć na uwadze, że informuje ona – w sposób powierzchowny, to prawda – o porządku narracji. Z tym, że informacja dotyczy takiej odmiany sztuki słowa, która opowiada o wydarzeniach rzeczywistych. Że więc rozbieżność między kolejnością opowiadania, a tym, co opowiadane nie jest – jak to ma miejsce w prozie fabularnej – chwytem wewnątrz zmyślenia, lecz „zakłóca” następstwo w czasie rzeczywistych wydarzeń. Zatem pytanie, czy kolejność etapów podróży Piętnastki była taka jak ją opowiada *peregrynacja* Simona czy nie, jest siłą rzeczy, siłą referencjalności gatunku, nacechowane silniej niż w przypadku opowieści zmyślonej.

Konkretnie. Nie było przecież tak, że Piętnastka najpierw została przyjęta przez sekretarza generalnego, następnie oglądała balet, a potem udała się „na miejsce”, którą to kolejność sugeruje układ sekwencji *Zaproszenia*. Najpierw był lot, potem pobyt i „obrady”, potem wycieczka nad Święte Jezioro i dopiero na zakończenie spotkanie z sekretarzem generalnym. Poprzedzała je wizyta za kulisami i pobyt w klasztorze. Tego możemy być

pewni. Nie wiemy natomiast, czy zwiedzanie sali Św. Jerzego oraz Placu miało miejsce przed czy po wejściu do innej sali, której to czynności (tj. wejścia) częściowy opis rozpoczyna całość *podróży*.

Wiemy o tym wszystkim z tekstu samego *Zaproszenia*. Jest to bowiem opowieść zbudowana z „poprzestawianych” etapów podróży i zarazem – w sposób ukryty – informująca o tym „zakłóceniu porządku”.

O ukryciu będzie tu mowa jeszcze nie raz. Pokażmy zatem po raz pierwszy, na czym rzecz polega. Informacja o faktycznej kolejności etapów podróży zawarta jest w dwóch odległych od siebie sekwencjach:

– „(...) od chwili przyjazdu do tego kraju, dziesięć dni wcześniej...”, 7.

– „(...) dla tej to chwili klient krawca z Saville Road nie wahał się mimo zmęczenia (zrezygnował jednak z widoku biskupa i starej tancerki) (...) odbyć karkołomnego lotu z głębi Azji Środkowej do swojej ojczyzny z wyboru(...), by lotem ptaka powrócić, a wszystko to w ciągu czterdziestu ośmiu godzin (...) i wraz z resztą gości usiąść do zastawionego butelkami z wodą mineralną stołu (...)”, 49–50.

Oba cytaty odnoszą się do audyencji, jakiej sekretarz generalny udzielił Piętnastce, i wynika z nich, że miała ona miejsce w dziesięć dni po przyjeździe do Związku i że w międzyczasie, tzn. przed audyencją, Piętnastka była w Azji Środkowej, a następnie odwiedziła za kulisami „starą tancerkę” i asystowała w klasztorze przy dyspucie „Tołstoja Azji Środkowej” z biskupem.

W sekwencji, z której pochodzi cytat drugi, znajduje się również informacja pozwalająca rozwiązać „zagadkę” *kiedy?*, o czym wspominałem w rozdziale *Gatunek*. „(...) Cztery dni wcześniej wyłożył [gensek – R.Z.] cały swój arsenał na karciany stół, przy którym siedział wraz z kowbojem o olśniewająco białych zębach (...)”, 50. Jeśli dodać do tego, że rzecz dzieje się jesienią, co wiemy z licznych wzmianek rozsianych po tekście, to wynika stąd, że audyencja u sekretarza generalnego miała miejsce w cztery dni po spotkaniu w Reykjavíku, które odbyło się – to już wiemy skądinąd – 11–12 października 1986 r. Można by oczywiście wszystko posprawdzać z gazetami i kalendarzem w rękę. Myślę jednak, że nie warto, że autorowi *podróży* nie zależało na tej precyzji dat i godzin, którą operował w niektórych swoich powieściach Jules Verne. Powiedzmy, że chodziło

mu raczej o to, by w sposób *ukryty* poinformować czytelnika, iż akcja *Zaproszenia* odbywa się mniej więcej między 10 a 20 października.

Skoro zatem wszystkiego dowiadujemy się z tekstu *Zaproszenia*, to skąd pomysł, by określić te informacje — a także wiele innych — mianem *ukrytych*? Ano stąd, że „żywym” owocem pracy pisarza jest to, co powstaje na styku tekstu i jego lektury. *Zaproszenie* posiada *de facto* dwóch odbiorców domniemanych: tego, który *peregrynację* Simona przeczyta bardzo uważnie, najpewniej więcej niż raz i w rezultacie o d n a j d z i e tak podane informacje, i tego, dla którego z uwagi na sposób w jaki czyta pozostaną one ukryte. *Zaproszenie* pisane jest zapewne z myślą o pierwszym — tekst robiony jest tak, by z m u s i ć czytelnika do wysiłku. Można jednak z prawdopodobieństwem bliskim pewności założyć, że większość czytelników rzeczywistych uprawia lekturę drugiego typu.

Mówiąc o ukryciu informacji trafiamy — w moim przekonaniu — w jeden z podstawowych składników poetyki *Zaproszenia*. Zacznijmy więc od uporządkowania

W porządku „technicznym”:

— *ukrycie* (można też mówić o skrajnym przypadku tego, co rosyjscy formalści nazywali *ostranienije*);

— opis quasi-behaviorystyczny;

— groteska.

W porządku „emocjonalnym”:

— ironia, nader często złośliwa, a więc wyraźnie nacechowana uczuciowo;

— poczucie grozy i obcości.

Podział na „technikę” i „emocje” może budzić zastrzeżenia, a na pewno nie jest rozłączny. W słownikach terminów literackich hasło „ironia” zajmuje poczesne miejsce, zaś „poczucia obcości” nie ma w ogóle. Ale „ironia” nie jest takim samym terminem jak „oktostych” czy „perypetia”. Ironia mówi o stosunku do, stosunku emocjonalnym, analogicznym do zachwyty czy uczucia grozy<sup>5</sup>. Powiedzmy tedy, że skoro zaproponowany tu podział nie jest zakazany, to wolno poprzestać na praktycznym wykazaniu jego — w pewnych przypadkach — przydatności. I przejść do konkretów.

Mianem *ukrycia* określam kilka typowych dla *podróży* Simona chwytów, które polegają albo na niemówieniu wprost, albo na mówieniu wprost tak rozproszonym, że uchwycenie owego wprost wymaga nader uważnej lektury, do czego tekst *Zaprosze-*

*nia* zmusza, a w każdym razie skłania. *Ukrycie przez rozproszenie*, w pewnym sensie kluczowe dla poetyki Simona, dotyczy w pierwszym rzędzie budowy zdania. Możemy tedy i *de facto* mamy w *Zaproszeniu* do czynienia z *ukryciem przez rozproszenie* w różnych częściach tekstu, oraz *ukryciem przez rozproszenie syntaktyczne*, czyli budowę zdania. Zacznijmy od przypadku pierwszego.

„(...) stadion lub lotnisko, jak to, na które przyłecieli i gdzie pewnego dnia pokazano im ciemnozielone i szare wojskowe helikoptery wzbijające się w niebo jak szerszenie”, 42.

„(...) przez szeroko otwarte okno strażnicy widać było idealnie gołą ścianę (...) oraz nieosłoniętą żarówkę, zawieszoną na drucie; pozostały w strażnicy milicjant, zobaczywszy, że pasażer pierwszego samochodu zerka do środka [tak użyta trzecia osoba l. poj. podpowiada, że owym pasażerem był autor podróży — R.Z.], szybko zgasił światło”, (43–44).

Oba nie mające ze sobą nic wspólnego wydarzenia znajdują zwieńczenie w innej sekwencji, poświęconej innemu etapowi podróży.

„(...) nie miał [sekretarz generalny — R.Z.] zbyt dużo czasu, mógł przecież zniszczyć spory kawał globu, a ponadto kazać kapralowi zgasić światło na posterunku milicji, gdzie nie było nic prócz pomalowanej na żółto ściany, mógł też wysłać helikoptery, żeby z broni pokładowej strzelały do uzbrojonych w skałkowe strzelby górali”, 48.

Inny przykład *ukrycia przez rozproszenie*, tym razem powieźdźmy, *filologiczne*. Kiedy Simon pisze, iż ogrodzenie otaczające rezydencję, w której przebywała Piętnastka było „l'infranchissable” (oryg. 49) można to rozumieć różnie — np. wysokie, gęste, nie dające się przekroczyć itd. Kiedy jednak w tym samym akapicie, poświęconym szumowi niewidzialnego potoku, pisze „d'après son bruit (...) on pouvait l'imaginer”, oryg. 49, tj. *śluchając tego szumu można było sobie wyobrazić*, to informuje nas, iż „l'infranchissable” oznacza, że Piętnastka nie mogła wyjść poza teren luksusowego parku, była po prostu zamknięta, i to inaczej niż np. Nora w domu lalek.

Jednak głównym, najczęściej stosowanym sposobem *ukrycia, niemówienia wprost* jest niemówienie wprost. Peryfraza w szerokim sensie tego terminu.

Rzuca się to w oczy w przypadku „drugiego męża najpiękniejszej kobiety świata”, tj. Arthura Millera, oraz „aktora, który grał w filmie rolę Nerona”<sup>6</sup>, zwanego też „klientem krawca z Saville Road” — Petera Ustinova. Można by powiedzieć, że



nie jest to żadne ukrycie, lecz wyraz niechęci narratora do jedy-nych dwóch członków Piętnastki znanych jego europejskim czy-elnikom, i to może bardziej znanych niż autor *Zaproszenia*. W istocie narrator pokpiwa sobie z Ustinova, zaś Millera trak-tuje jeszcze gorzej. Sposób, w jaki ten ostatni w relacji Simona, streszcza *Rublowa* Tarkowskiego, 56, dyskwalifikuje go jako pisarza.

Ale...

Ale zarazem błazenada Ustinova ("Tylko spokojnie! Zachowujemy się jak gdyby nigdy nic. Żadnych gwałtownych gestów!... W tym kraju nigdy nic nie wiadomo... Bardzo tu dbają o wari-atów, wiecie?") 59) jest nie tylko błazenadą. Zaś „drugi mąż naj-piękniejszej kobiety świata” wypowiada (a właściwie pisze na karteluszkę do sąsiada, którym mógł być albo on, tj. narrator, albo po prostu Claude Simon) dwa zdania niezwykle ważne dla całości *Zaproszenia*: „Oni nami gardzą”, 47 oraz: „I pomyśleć tyl-ko, że to ma być nieformalne spotkanie!”, 55.

Ale (i to *ale* ważniejsze jest od poprzedniego), w całym tek-ście — poza jednym wyjątkiem, o czym później — nazwiska, jeśli w ogóle padają, to *en passant* bez żadnego nacisku. Dostojewski, Szekspir, Tołstoj, Dżyngis Chan (ściśle „potomkowie Dżyngis Chana”) wspomniani są mimochodem, i z wyjątkiem Tołstoja, 62, jako ozdobniki oficjalnego bełkotu. Gospodarze, łącznie z poprzednikami rządzących obecnie, oraz goście, są bezimienni albo ukryci w paryfracie, albo zredukowani do opisu wyglądu i szczątków *behavioru*.

Dzięki *ukryciu* Simon osiąga trzy znakomite efekty. I chwyt ten zawodzi go tylko raz, od której to pomyłki zacznę.

Czytając olśniewającą drugą sekwencję, którą samowolnie zatytułowałem *W operze. Primabalerina* zadajemy sobie — mamy sobie zadać, żąda tego tekst — pytanie: jaki balet w wykonaniu Plisieckiej oglądała Piętnastka? (Nazwisko Plisieckiej, rzecz jas-na, nie pada w tekście *Zaproszenia*, ale to *ukrycie* jest łatwe do rozwiązania.) Simon udziela nam takiej informacji: „baśniowe widowisko [powinno być *feeria* — R.Z.], hałaśliwy balet, noszący na afiszach koloru absyntu, napisany cyrylicą ten sam tytuł, co sztuka stworzona jakieś sto lat wcześniej przez łagodnego krót-kowidza, obnoszącego swą chuderławą postać, melancholię, bródkę, Iorgnon i chore płuca pod palmami i w cienistych ale-jach uzdrowisk i kąpielisk całej, równie jak on chorej Europy, niestrudzenie modyfikującego repliki a nawet zawieszenia głosu,

pozostawiając aktorom decyzje wyłącznie w kwestiach west-chnień i szeptów...”, 15–16.

Moja mała przygoda z rozwiązaniem tego *ukrycia* trwała dość długo i obfitowała w tzw. chwile ciężkich wahań<sup>7</sup>. W pew-nym momencie dotarła do mnie, drogą dość pośrednią, infor-macja, że rosyjska tłumaczka *L'Invitation* zapytała Simona i ten miał jej powiedzieć, że była to *Dama z pieskiem*. (Muzykę do te-go baletu, podobnie jak do *Czajki* napisał mąż Plisieckiej, Ro-dion Szchedrin.) Wydawałoby się, że zagadka rozwiązana. Ale w cytowanym fragmencie mowa jest o sztuce napisanej przed laty, ale ja nie mogłem uwierzyć, by Simon nie wiedział, że *Dama z pieskiem* jest o p o w i a d a n i e m. Mógł się pomylić w sprawie Iorgnon (Czechow nosił cwikiery), mógł przesadzić z tymi c z ę s t y m i pobydami w Europie, ale co to, to nie...

W końcu (a trzeba było od razu) zjrzałem do oryginału. Otóż w akapicie poprzedzającym cytowany przed chwilą frag-ment opisany jest finał zakończenia poszukiwanego przeze mnie baletu: *znikała wreszcie w burzy oklasków, wśród grzmotu kottów podkreślającego strzał z pistoletu, który wyrzuciło ciało jej partnera ku przodowi sceny tak, że obracało się wokół własnej osi wielok-rotnie, aż do chwili, gdy zatrzymało się w rozkrzyżowanymi ramionami dotykając odrzuconą głową światła rampy*. Tak więc mamy wystrzał z pistoletu i samobójstwo — a gdy chodzi o naszą zagadkę, to samobójstwo popełnia tylko Treplew w *Czajce*. Simon tedy *ukrył* na jakim był balecie, ale tak, by moż-na było, przy uważnej lekturze, odgadnąć. Tylko tłumaczka niczego nie zrozumiała i wobec tego zlikwidowała strzał z pisto-letu, ukrywając rzecz głębiej, niż życzył sobie tego autor.

Przejdźmy do omówienia skutków osiągniętych przy pomocy *ukrycia*. Będą to: dystans, skupienie uwagi odbiorcy na tym, co ukryte, tło kontrastowe dla tego, co powiedziane wprost.

Efekt dystansu (wielorakiego zresztą) zilustrować można na trzech przykładach: opisu czynności podróży, „opisu” sek-retarza generalnego, oraz na przykładzie stosunku narratora do Piętnastki.

Oto pierwszy akapit sekwencji trzeciej (według narzuconej przeze mnie tytułatury *Lot do. Przybycie.*).

Do sekwencji tej jeszcze wrócę przy analizie roli „geografii” i „historii” w *Zaproszeniu*. Tu chciałbym zwrócić uwagę na „zew-nętrność” opisu: *oni wiedzieli, pod nimi przesuwali się* (o roli trzeciej osoby liczby mnogiej była już mowa), oraz szczególnym *ukryciu* przejścia Europy w Azję: „dwa światy (...) przylepione do

siebie niczym (...) bracia syjamscy, których pokazuje się w szopach na jarmarkach” (17–18).

W „opisie” sekretarza generalnego Simon wykorzystuje znaną przecież analogię komuniści–gangsterzy (oburzają się na nią komuniści, choć powinni raczej gangsterzy). Ale jak wykorzystuje! „(...) o wyglądzie (...) ostatniego potomka rodziny gangsterów, wysłanego do szkół w Szwajcarii (...) – z tą różnicą, że nigdy nie studiował w Szwajcarii (...) – który pobrawszy nauki w renomowanej szkole kantonu Vau, wrócił do kraju i postanowił zainwestować kapitał rodzinny w uczciwy interes(...)” (28); „(...) musiał przekonać nie tylko przedmiot swoich zabiegów – a w pierwszym rzędzie samego siebie – że jest normalnym człowiekiem (...) że żadna podejrzana wypukłość nie wypycha jego marynarki w miejscu gdzie się nosi pistolet (...)” (28 i 30).

Anonimowa, należąca do folkloru analogia staje się autorską metaforą stwarzającą ironiczny dystans. To zaś, co ukryte w metaforze, zarazem ujawnia prawdę, której nie chciały widzieć dziesiątki rozentuzjzmowanych zachodnich dziennikarzy, ekspertów, polityków. A także niektóre wiele admiirowane postacie polskiej opozycji, czy też ex-opozycji, które naprawdę powinny wiedzieć, że gensek nie uczęszczał do szkół w kantonie Vau.

Wreszcie dystans do Piętnastki.

Z piętnastu znakomitości – „groteskowa zbieranina” napisze Simon (50) – zaproszonych przez Tolstoja Azji Środkowej, w ten czy inny sposób nazwanych jest dziewięć. Wspomniani tu już: „drugi mąż najpiękniejszej kobiety świata”, „autor grający rolę Nerona”, dwaj metodyści z Harlemu. A nadto: generał-malarz o twarzy nubijskiego gladiatora (zapewne z Etiopii lub Zimbabwe; o jego kraju wiemy to jedynie, że na znaczkach pocztowych ma stylizowany sierp i młot, 22), dwóch ekonomistów, śródziemnomorski dyplomata oraz Indianin, *skromnie jednak ubrany po europejsku*, 50, 69 oryg. (Tłumaczka zgubiła owo *toutefois* zarazem ironiczne i przeciwstawiające Indianina „nubijskiemu gladiatorowi”, który paraduje w barwnych szatach lub generalskim mundurze.) Dziesiątym „nazwanym” członkiem grupy jest opisujący podróż *on* („Nie przypuszczał, że jest tak stara”, 13). O którym nie wiemy nic, nigdzie bowiem i w żaden sposób nie jest powiedziane, że to właśnie *on*, „otrzymał cenioną w świecie nagrodę” (29), lub że do niego, być może, odnosi się „jeden z nich podpierał się przy chodzeniu laską” (8). Piętnastu niemal anonimowych mężczyzn, wybranych, mogłoby się wydawać, na podstawie losowania. Ale uważnemu czytelnikowi

wiadomo, że nie było żadnego losowania. Sekretarzowi generalnemu *doradcy powiedzieli (lub też powiedziano jego doradcom)*, że *każdy z nich jest w swoim kraju kimś ważnym (lub pozyskanym zawczasu – lub uległym – lub czułym na pochlebstwa*, 67 oryg.). Toteż sekretarz generalny zwracał się do nich „grzecznie i miło, z ową bezgraniczną pogardą, jaką każdy człowiek czynu odczuwa wobec tych, co mając po temu powody lub nie zawodowo trudnią się myśleniem” (29).

Jest to niezwykle trafne i odnosi się nie tylko do tych właśnie Piętnastu, lecz do setek ich poprzedników, absolutnym majstersztykiem jest tu owo „mając po temu powody lub nie”.

To, że *ukrycie* skupia na sobie uwagę, a w każdym razie w zamierzeniu ma zmusić do rozwiązywania „zagadek”, zilustruje na przykładzie jednego, jednozdaniowego fragmentu:

„srebrzysty posąg aroganckiego, łysego człowieczka w znoszonym garniturze, lśniący w słońcu, mikroskopijna drobina na tle lśniących gór, fotografowany ukradkiem z podskakującego na wybojach nierównej, przedpotopowej drogi autobusu, coraz bardziej wtopiony w skwer, w bielone wapnem domy o szarych dachach, coraz mniej widoczne, szybko uciekające do tyłu” (65).

Czytelnika francuskiego zastanowi, dlaczego zdjęcie było robione ukradkiem i – jeśli jest uważny oraz ciekawy – chwilę pomyśli nad tym, kto tu jest nazywany aroganckim, łysym człowieczkiem (z *niewielką bródką – à barbiche*, co tłumaczka ze zwykłego chyba niechlujstwa opuściła, 91 oryg.). Dla czytelnika polskiego (węgierskiego, łotewskiego itp.) i pierwsze i drugie jest oczywiste. Wie, że tam nie należy niczego fotografować bez zgody przewodnika, wie też, czyje to pomniki stoją na brudnych skwerach każdej Chandry Unyńskiej. Od razu tedy zachwyci go całość migawki oraz pomysł nazwania twórcy pierwszego – i niestety, nie ostatniego – „państwa robotników i chłopów” aroganckim człowiekiem z bródką.

Odmiennym sposobem *innomówienia* jest opis mauzoleum tegoż człowieczka: behaviorystyczny opis zmiany warty przed jak i mś mauzoleum – półtorej strony, prawie dwa pełne akapity, 66–67. Simon uzyskuje w ten sposób dwa efekty. Po pierwsze, inaczej mówi o miejscu opisywanym po tysiącokroć. Po drugie zaś, redukuje komunistyczne niby-sacrum do pustego militarnego mechanizmu. Szczególnego znaczenia temu u *innomówieniu* nadaje fakt, że owe dwa akapity, to ostatnia sekwencja *peregrynacji* Simona. Przyjdzie do nich wrócić.

Wreszcie *ukrycie*, *innomówienie* siłą rzeczy stanowi kontras-

towe tło dlatego, co nazwane wprost. Na przykład dla takiego fragmentu: „(...) Cały ten czas towarzyszyły im, prześladowały ich płaczące, zmęczone głosy tłumaczek [Nathalie Gilberta Bécaud, quelle merde! – R.Z.], które w tej samej tonacji przekładały uroczyste przemówienia i recytowały plan zajęć na następny dzień, patetyczne w swoim uporze, dobrej woli, niezłomnym przekonaniu i prymitywnym [no nie, uproszczonym – R.Z.] sposobie mówienia, w jaki przemawia się do półgłówków, czteroletnich dzieci albo kiedy chce się oswoić zwierzę” 47.

Opis niby behaviorystyczny.

Jest to chwyt *czysto* artystyczny (jeśli na chwilę założyć, że coś takiego istnieje), pozwalający opisać coś, co w literaturze, filmie, a przede wszystkim w dziennikarstwie opisane było tyle razy, że – wydawało by się – nie sposób napisać inaczej, niż np. „wreszcie wylądowali”. W *Zaproszeniu* opis lądowania znajduje się w sekwencji trzeciej, liczącej stron dziesięć, i składającej się z trzech zdań–akapitów. Otóż w najdłuższym, ponad siedmiostronicowym zdaniu–akapicie, ułamek frazy dotyczący lądowania brzmi: *następnie* [to *następnie* mówi o kolejnych, wkróplonych w cały akapit fazach tego, co widać za oknem lecącego samolotu – R.Z.] *wiele wysepek światła dryfujących niczym archipelag zdawało się powoli unosić w górę, na spotkanie samolotu, po czym chwielejąc się zniknęła i pojawiały na nowo, tym razem bliżej (...) wreszcie światła nader szybko przedelfilowały na tym samym poziomie, co samoloty i umknęły*, oryg. 31.

Częściej jednak ów niby-behaviorizm służy oddaniu/stworzeniu atmosfery, np. w opisie baletu, kulis teatru czy samego spotkania ze „starą tancerką” (trzydzieści lat młodsza od Simona, miała wówczas 61 lat), lub stworzeniu ironicznego dystansu do całej imprezy: „(...) przez pewien czas słyhać było tylko szuranie butów o podłogę, podczas, gdy piętnastu mężczyzn, prowadzonych przez woźnych, odbywało trasę wzdłuż stołu raz, potem drugi w przeciwnym kierunku; ci, co byli na przodzie obeszlili drugi koniec stołu i przebyli powtórnie przestrzeń między drzwiami a gospodarzem, ustawili się obok siebie, sztywno, każdy przed swoim krzesłem, czekając aż ostatni zajmą z kolei miejsca po przeciwnej stronie, by wreszcie na znak gospodarza i za jego przykładem usiąść; ledwo przygasł szmer [chyba jednak: ucichł szurgot – R.Z.] przesuwanych krzesel (stłumiony gumowymi podkładkami), a człowiek, który mógł zniszczyć połowę globu, mówił już łagodnym, miłym, niemal wesołym głosem (...)”, 10.

Podobnie behaviorystyczno–groteskowy jest istotny dla charakterystyki „kissyk–kulskich” obrad opis przemówienia etiopskiego generała–malarza, a ściślej – zachowań w czasie tego *speechu* prowadzącego obrady, anonimowego mężczyzny o ciężkiej głowie *góralska*, oryg. 56.

Wreszcie służy ów typ opisu podkreśleniu grozy tego, co opisywane. Tak wykorzystany jest na s. 32 we wspomnianej już scenie zabójstwa. (Simon buduje swą relację w oparciu o jedną z wersji tego wydarzenia; pojawiła się ona bodajże tuż przed lub tuż po oficjalnym komunikacie o procesie człowieka noszącego – mógłby napisać Simon – imię najbardziej znanego władcy–mecenasa włoskiego Renesansu. W wersję oficjalną, opatrzoną bodaj literkami TASS nie wierzył nikt.) W *podróży* Simona wygląda to tak: „(...) W końcu kiedy przestał się bronić, podnieśli się zdyszani, drżącymi jeszcze dłońmi zaczęli poprawiać ubrania, szukać na ziemi okularów, poprawiać węzły krawatów, odstawiać meble na miejsca, otrzepywać się z kurzu, cichym głosem wymieniali uwagi, po raz ostatni upewniając się, że naprawdę nie żyje, może któryś kopnął go na pożegnanie, potem otworzyli na oścież drzwi i jakby nigdy nic wskazali strażnikom trupa... (powinno być: w końcu jeden z nich zdecydował się, podszedł do drzwi, otworzył je na oścież i tylko wskazał wartownikom trupa, oryg. 44).”

### Prześlanie

Pogląd (przeświadczenie, przeczucie) zapisany na samym początku tego szkicu wyrażało wielu badaczy i przy bardzo różnych okazjach. By podać przykład z antypodów – Hugh Sacker w przedmowie do swojej książki o *Parzivalu* Wolframa von Eschenbach pisze: „udane dzieło sztuki jest na mocy definicji najbardziej zwięzłym sposobem wypowiedzenia danego sądu (*a particular statement*)”, i uogólnia tę myśl mówiąc o błędnym przeswiadczeniu (*fallacy*), iż „dzieło sztuki posiada jakieś »znaczenie« dające się wyrazić innymi słowami. To nieprawda; dzieła sztuki nie daje się sparafrazować”<sup>8</sup>.

Jeśli by tak było, jeśli rzeczywiście – jak sądzę – najpełniejszą interpretacją dzieła jest samo dzieło, to powstaje kilka pytań (żywi się nimi od stuleci filozofia sztuki, czy teoria literatury), z których jedno pozwolę sobie tu sformułować po raz x–ty w dziejach:

– dlaczego od wieków ludzie zawodowo zajmują się czymś



z góry skazanym na niepowodzenie, tj. możliwie całościową interpretacją dzieł?

Można by na to odpowiedzieć, że interpretacjami dzieł literackich (i w ogóle sztuk przedstawiających) zajmuje się zawodowo zbyt wielu ludzi, a ci po prostu gotowi są bronić swego kawałka chleba, swojej rodziny, biblioteki, swojej pozycji w hierarchii prestiżu. Byłaby to odpowiedź poprawna (choć nie wyczerpująca) gdyby to pytanie brzmiało: dlaczego ogromna większość ludzi piszących o powieściach, poematach, rzeźbach czy filmach udaje – lub naprawdę żywi błędne przekonanie – że mówi i jest w stanie powiedzieć o tych dziełach więcej, niż to w sposób przecież dostępny mówią te właśnie dzieła.

Pytanie jednak brzmi inaczej: dlaczego interpretujemy, skoro dzieło jest zarazem autointerpretacją, samowykładnią najlepszą z możliwych i nie dającą się zastąpić? Czy nie jest aby tak, że interpretujemy, ponieważ chcemy wyjaśnić innym przyczyny naszego zachwytu, lub skłonić innych, by sami się zachwycili, już to dlatego, że ich to wzbogaci, już to dlatego, że owego zachwytu wymaga kultura, w której żyją?

Zapewne wielu interpretatorów tym się w swej pracy kieruje, choć ja bym się do nich nie zaliczył. Choćby dlatego, iż *to the best of my knowledge* działa ta reguła ujęta w angielskim przysłowiu: można konia doprowadzić do rzeki, ale nie można go zmusić do picia. Nadto zaś uczucia zachwytu doznajemy wobec przesłania pochodzą od nas. Natura bywa piękna, ale w sferze uczuć komunikuje nam to, co myśmy jej powiedzieli. Trafnie i zwięźle mówi o tym w *Zaproszeniu* Simon, we fragmencie dotyczącym szumu potoku: *głos jakiegoś monstrum, proroka–prześmiewcy, obojętnego nosiciela jakiegoś sekretu bez tajemnicy* (35, oryg. 39).

Powyższe jest oczywiście czymś w rodzaju filozoficznego wyznania wiary i świadom jestem, iż choćby na terenie kultury europejskiej istnieje wiele kierunków (także wiele postaci: proroków, kabalistów, świętych, poetów romantycznych), dla których natura (świat, Kosmos) jest księgą znaków, wymagających właściwego odczytania, to jest interpretacji. Ewentualny spór z nimi – jeśli założyć, że mógłby do czegokolwiek prowadzić – na pewno nie mieści się w ramach tego szkicu. Zajmujemy się problemem interpretacji w znacznie skromniejszym zakresie. Na pytanie, dlaczego interpretujemy, a więc wydobywamy przesłanie z czegoś, co jest samointerpretowalne, odpowiedziałbym tak:

sądę, iż dlatego, że dzieła są między innymi składnikami komunikacji międzyludzkiej. Obrazami Vermeera, kronikami historycznymi Szekspira, powieściami Flauberta, Berenta czy Faulknera nie tylko się zachwycamy, ale też porozumiewamy się przy ich pomocy. W przypadku uznanych arcydzieł współdziała przy tym zasada autorytetu. Mówimy komuś (mogą to być biśiadnicy przy stole ambitnego władcy, ukochana lub ukochany człowiek, klasa szkolna, a nawet współtowarzysze celi więziennej), że... i dodajemy, iż coś takiego powiedział Memling, Kochanowski lub Borges. Tak postępując zakładamy, że dzieło zawiera dające się wyodrębnić i wyrazić „własnymi słowami” przesłanie. Tego uczy nas szkoła i postępuje słusznie, ponieważ nie jesteśmy w stanie porozumiewać się bezpośrednio przy pomocy dzieł, lecz jedynie przy pomocy parafraz, tj. wydobycia tego, co nazywamy *przesłaniem*, to zaś jest interpretacją ułamkową, a więc w sposób konieczny ułomną. Na jeden aspekt tego kalectwa interpretacji chciałbym zwrócić uwagę, dotyczy bowiem mojej lekcji przesłania książki Simona.

Zdarza się tak, iż akceptując, ba, podziwiając dzieło jako całość, nie godzimy się na pewne fragmenty jego przesłania. Złudzeniem byłoby mniemać, że można owe składniki usunąć, lub choćby lekko zmienić nie zmieniając całości. (Na przykład wizję „geografii–historii”, lub niektóre cechy arystokratyzmu w *Zaproszeniu*.) Trzeba przystać, że ważne jest to, co istnieje realnie, tj. dzieło–całość, a zastrzeżenia dotyczące wypreparowanych przez nas składników mogą być w najlepszym przypadku uwagami na marginesach.

Co tedy w ułomny sposób wydobyć można z *podróży* Simona jako jej przesłanie?

René Jacquelin kończy swoją recenzję (notę, felieton) z *L'Invitation* w taki oto sposób: „(...) jego [tj. Simona – R.Z.] umiejętność nadawania charakteru lirycznego temu co bezosobowe, szczegółowemu opisowi cech epopei, a w tej opowieści przekształcania pamfletu w coś na kształt (*une sorte*) poematu heroicznego, ukazującego w jaki sposób wyposażona jedynie we własną broń – w tym przypadku niezwykłą – literatura z całą pompą ustawiona w Sztokholmie na piedestale nadal zdolna jest do tego, by w Moskwie odnieść radosne (*réjouissante*) zwycięstwo nad tym, co chciałoby ją zanegować.”<sup>9</sup>

Nie jest dla mnie zupełnie jasne, co autor tych słów chciał powiedzieć. Podejrzewam, że przede wszystkim chodziło mu o naśladowanie frazy Simona (recenzja jest jednym, na Simo-



nowski sposób zbudowanym, zdaniem). Jednak przy pewnej dozie dobrej woli można ów fragment zrozumieć tak: dzieło żywe jest tryumfem nad martwością przez samo istnienie. Tu jednak dodać trzeba, że to, co Simonowi zaprezentowali gospodarze (a wiemy o tym z *Zaproszenia*) daje się również określić jako próba zagadania na śmierć pustki, martwoty, starzyzny. Ale to jest moja interpretacja, moja lektura przesłania. Mówi sekretarz generalny, mówi przewodniczący obradom „mężczyzna (...) o sztywnych obciętych na jeża włosach, który ich powitał na lotnisku”, 37, mówi europejczyk–burmistrz azjatyckiego miasta, mówi biskup czy też *starec*: „dysputa prowadzona była w języku przypominającym miód zmieszany z kolorową kredą”, 54, „nie tyle kwilenie Historii, co jej jęklivy bełkot”, 55. I może najtrafniejsze: „bacząc, by niczym nie zakłócić chwiejnej równowagi między brutalną siłą a filozoficznym bełkotem”, 33. Bełkotem, którego nie sposób opisać, powstają bowiem z tego „nic nie mówiące zdania, pozbawione sensu ozdobniki, puste akapity, zastępowane innymi, równie ubogimi w treść”, 65. Przywoływany w *podróży* kilkakrotnie szum niewidzialnego potoku, mierzony zwykłą ludzką miarą jest ożywczy – wprawdzie nie zawiera w sobie żadnej tajemnicy, ale też nie jest bełkotem.

Czy mamy tedy cenić przesłanie *podróży* Simona za to, że jest demaskatorskie, lub – mówiąc językiem gazetowym – antysowieckie?

No nie! Gdyby rzecz się do tego sprowadzała, nie byłoby o czym mówić. Ze Związku – jak nazywa ów kraj Simon – nie trzeba zdejmować maski, bo jakoś sama się odlepiła. Jeśli już Simon coś zdemaskował, pokazał coś dotychczas nieopisywanego – to rzeczywisty wygląd klasycznego, sowieckiego spędu jajogłowych okcydensów, bułgarskich polihistoryków czy hinduskich pisarzy, którzy przez sam fakt „zaproszenia” automatycznie otrzymywali nominację na wybitnych. (Prawdę mówiąc „w przeciwną stronę” podobny proceder uprawiała opozycja wspomagana przez RWE.) Ale jakkolwiek odkrywczo i znakomicie pokazane – nie to jest przesłaniem *podróży*. A ściśle: nie tylko i nie przede wszystkim to.

Cytowany na okładce polskiego wydania historyk i publicysta „Kultury”, Adam Kruczek, pisze, iż krótki pobyt wystarczył Simonowi do „zrozumienia tego, czego nie potrafią (nie chcą?) zrozumieć ci, którzy całe życie trawią na badaniu ZSRR”<sup>10</sup>.

To prawda, ale gdy zastanawiamy się nad przesłaniem *L'Invitation*, to powstaje pytanie c o rozumiał Simon? Otóż nie

to, że reżym sowiecki jest „gangsterski”, bo to wiemy nie czytając *Zaproszenia*. I nie to, a w każdym razie nie tylko to, że cały pobyt Piętnastki to nudna, męcząca i demaskująca samą siebie pokazucha – „(...) do tego również się przyzwyczaili; czekać, czekać na odjazd, na zebranie, na uroczystość...” (36). To, co Simon zrozumiał i co stanowi istotny składnik jego przekazu – to martwica tego kraju.

I nie chodzi mu jedynie o martwicę wywołaną przez rządy „rodziny”, choć i tę autor *Zaproszenia* rozumie głębiej, niż ci, którzy redukuje tę sprawę wyłącznie do kaźni. Martwica bowiem zawarta była w samym pomysle, którego rezultatem jest np. „absurdalna orgia budowlu z betonu i marmuru, wzniesionych na krańcach stepu wyłącznie po to, by figurować na kolorowych zdjęciach w folderach obok zbioru bawełny, artystycznego rzemiosła i spawaczy z palnikami” (43).

Ale i to nie wystarczy. Etiologia martwicy sięga dalej poza pomysł „aroganckiego, łysiego człowieczka w zniszczonym garniturze” i jego – nie wspomnianych zresztą – nauczycieli. Ku geografii, ku historii – tak jak funkcjonują one w tekście *Zaproszenia*.

A funkcjonują splecione z sobą, o czym wprost mówi zastanawiające motto *Zaproszenia*: *jedynym trwałym czynnikiem Historii jest geografia*.

Spróbujmy je tedy „rozpleść” (w końcu na tym polega wszelka *analiza*).

## Geografia

Krajobraz widziany z samolotu w dzień: „(...) bez początku i końca, stwardniała skorupa, martwy bezmiar, pusty i jałowy, definitywnie pusty, jałowy, na zawsze znieruchomiały” (18).

Krajobraz widziany z samolotu nocą – a ściśle o przedświacie: światło „(...) jakby martwe [powinno być *nieruchome* – R.Z.] nie mieniące się, nie migocące, bez rozbłysków cechujących widziane nocą z lotu ptaka miasta; nieruchome, zastygłe pośrodku, a raczej na skraju ciemności...” (20).

## Geografia i historia

Mapa Związku „cała wyłożona diamentami”: „rozległe, masywne terytorium o poszarpanych brzegach, ogromna płaszczyna stepów, lodowych pustkowi, rozżarzonych pustyń i niebiosyżnych łańcuchów górskich, wpełzających dzięki nowym

podbojom na pół Europy, a dzięki starym prawie na połowę Azji (...) tak, jakby fantastyczna powierzchnia ziemi, zastygła, szczelnie pokryta i nieruchoma w łusce diamentów, bez reszty podlegała zjawisku zlodowacenia (...)", 52–53.

### Historia

Jak historia owego miasta, na którego obrzeżu Piętnastka radziła czy też wysłuchiwała rad i wezwań do „pokojuowego współistnienia”, miasta, które wyrosło z oazy czy też osiedla, gdzie ongi panował język chiński, a krzyżowały się przeróżne dialekty czy też języki i należące do grupy turańskich, i gdzie wszystko to przerobiono na cyrylicę<sup>11</sup>. Miasto będące „czymś nagle wyłoniłym z niebytu lub z przeszłości (...) zlikwidowanej przy pomocy buldożerów”, 42. Miasto, które jakiś dyplomowany architekt państwowy „megaloman i orientalista zaplanował z odległości trzech tysięcy kilometrów” – a nie mil, jak nie wiadomo dlaczego pisze tłumaczka – na cześć „brązowego jeźdźca, którego pomnik wznosi się na głównym placu”. To jest na cześć poskromiciela Środkowej Azji, komandarma Frunze<sup>12</sup>.

### Historia i geografia

To historia wiecznych podbojów.

„(...) ogromna sala św. Jerzego, szaleństwo marmurów i złota (...) na tablicach wyryte złotymi literami nazwiska zwycięzców Tatarów, Szwedów, Turków, Polaków, Litwinów, Ukraińców, Francuzów, Mongołów, Prusaków, krzyże Świętego Jerzego: Potiomkin, Suworow, Bagration, Jermołow, Kutuzow, Benigsen, Tomaszow...”, 66. I to jest ono jedyne miejsce w *podróży* Simona, gdzie nazwiska odgrywają ważną rolę.

Historia ze swym niezmiennym czynnikiem – geografiami tworzy to, co mówiąc o poetyce *Zaproszenia* nazwałem porządkiem emocji: uczucie obcości i grozy. W kraju, gdzie góry są przerażające – *terrifiantes*, oryg. 34 – a władcy rządzą przy pomocy brutalnej siły i bełkotu, piękne są jedynie „wytworne ręce konie o wdzięcznie wygiętych szyjach...”, 62. Niemal jak u Swifta.

Z tym, że owa obcość jest nierozzerwalnie połączona ze swojskością, tj. z Europą. Zacytujmy raz jeszcze fragment pierwszego akapitu trzeciej sekwencji: (...) *dwa światy leżące naprzeciw siebie po dwóch stronach morza czy falującego oceanu, tylko zlepięte niczym dwugłowe stwory, bracia syjamscy, których pokazuje*

*się w jarmarcznych budach, zrosnięci plecami, nigdy nie mogący się zobaczyć, a mimo to oddychający i trawiący przy pomocy tego samego nie dającego się rozciąć, cierpiącego na hipertrofię, stonowanego organu...*, oryg. 24.

I jeszcze dwa składniki przesłania tej *podróży*. Zupełnie różne, zdawałoby się nie do pogodzenia, choć w tym arcydziele kunsztu słowa zupełnie sobie nie wadzące.

*Zaproszenie* cechuje coś, co nazwać można arystokratyzmem artysty czy artystowskim. Zasada (?), sposób widzenia świata (?), analizowane w setkach jeśli nie tysiącach rozpraw<sup>13</sup>, których nie będziemy tu rozważali, ograniczając się jedynie do banalnego stwierdzenia, że czasami bywają one płodne, a czasami nie. *Zaproszenie* jest dziełem dowodzącym płodności owej zasady, jako że bez tego arystokratyzmu najzwyczajniej nie byłoby *Zaproszenia*.

Przejawia się on na różnych poziomach tekstu. Kiedy np. Simon używa określenia *jakiegoś architekta z dyplomem państwowym* (35 oryg., w polskim przekładzie zgubione) to chodzi mu o to, że żaden wielki budowniczy, tj. prawdziwy artysta, nie miał *diplôme d'Etat*. (Dodajmy dla ścisłości: do końca XIX w.) Tu ironia jest ukryta podobnie jak w odniesieniu do „nubijskiego gladiatora”: jest malarzem to znaczy artystą... „wyglądało na to, że namalował wszystko, co w jego ojczyźnie było do namalowania” (30), lub w stwierdzeniu, że autor grający rolę Nerona był wspaniale brytyjski, który to szczyt „osiągnąć może tylko naturalizowany Rosjanin”, 37.

Autor *podróży* gardzi fałszywymi artystami (nie jest nią stara primabalerina), „królami” samochodów, mielonych kotletów czy wieprzowych konserw. Zaś autoironiczna uwaga „o ile można założyć, że świat w ogóle potrzebuje czegoś więcej niż samochodów, hamburgerów i wieprzowej konserwy” (30) jest dwuinterpretowalna: albo sytuujemy ją *du côté de chez Swift*, albo lądujemy w samym środku banału à la Przybyszewski.

Nie lubi też autor polityków i nie sądzi, by można im było ufać, w czym nie sposób odmówić mu racji. Żałować jedynie wypada, iż ta zdrowa niechęć jest tak niepomiarkowana. Kiedy bowiem o ówczesnym (1987 r.) prezydencie Stanów pisze, że „do najwyższego stanowiska w kraju doszedł nie za sprawą wyjątkowych zdolności, czy cech charakteru, ale dlatego, że świetnie trzymał się w siodle i potrafił szczyrzyć zęby spod kowbojskiego kapelusza w trzeciorzędnych filmach” (10), to, ku naszej zgrozie

– tym większej, im bardziej podziwiamy *Zaproszenie* – tym razem lądujemy na łamach „Krokodyla”.

A co z centralnym dla *podróży* wydarzeniem – audiencją u sekretarza generalnego? Ta rozbita na sześć sekwencji scena do sztucznie wyodrębnionego z całości *prześlania* w sensie bezpośrednim nie należy. Należy natomiast w sensie, jeśli wolno tak powiedzieć, *meta*.

Autor *Zaproszenia* nie dał się nabrać ani na swobodny sposób bycia, ani na słynny *charme*, któremu uległo tylu czystej krwi polityków, „żelaznej damy” nie wyłączając. Dla niego jest to ostatni potomek dynastii (*une lignée*) gangsterów, udający, iż odebrał staranne wychowanie. Tym bardziej wymagające namysłu jest, że za gładko płynącym *exposé* Simon usłyszał (lub zdawało mu się, że usłyszał) coś zagadkowego, coś, co w swej relacji stara się przekazać dwukrotnie.

„(...)Wyglądał w tej chwili jak ktoś, kto rozgarniając łokciami tłum przepchnął się do pierwszego rzędu i ujrzał nagle przed sobą coś, co sprawiło, że zahamował, wrósł w ziemię z rozpostartymi ramionami, w pozycji człowieka, który ma za plecami poręczany mur, próbując zatrzymać się, albo przynajmniej zwolnić, powstrzymać, skierować w bok przepotężne ciśnienie ruchomej masy (o ile w ogóle można mówić o ruchu, kiedy się tkwi nieruchomo w środku kłębowiska)”, 51.

„(...) Może chciał tylko zyskać na czasie, powstrzymać bezwładną, ślepią masę, którą ze wszystkich sił starał się zablokować plecami i rozkrzyżowanymi ramionami – a może po prostu chciał słowami wypełnić czas, jaki był mu potrzebny, żeby wymienić pod stołem swój rewolwer na inny, większego kalibru, próbując jednocześnie ochronić ten ślepy tłum przed czymś, co nagle zobaczył, co go przeraziło tak bardzo, że gdyby był koniem, zaryłby w ziemię czterema kopytami, a że nim nie był, mógł hamować tylko obcasami, zelówki jego eleganckich starannie wypastowanych butów ślizgały się w kurzu, bezwolny tłum pchany siłą inercji [no nie, *amorficzną wielość poruszana samą siłą bezwładności* – R.Z.] napierał, w każdej chwili mógł go powalić, przejść po nim, zdeptać nawet nie spostrzegłszy, siłą bezwładności [ciężenia – R.Z.], bez pośpiechu i złości, wolno, lecz nieubłagannie...”, 57.

Nie wiemy i nigdy nie będziemy wiedzieli, czy Claude Simon usłyszał (wyczuł) to naprawdę, czy może podpowiedziała mu to wiedza (skądinąd zdumiewająca u francuskiego pisarza) o *rosyjskim buncie*. To, co nazwałem tu metaprześlaniem zawiera

się jednak w czymś innym: jeśli literatura ma być *wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu*, to do licznych obowiązków pisarza należy uważne przysłuchiwanie się temu, co mówi ktoś całkowicie mu obcy i nie zasługujący na zaufanie.

Banalne? W tym samym stopniu, co podstawowe prawdy, czy też raczej nakazy i zakazy, których z trudem i nie zawsze przestrzegamy. Jak dobrze pójdzie.

### Nowa podróż

Literatura (tj. dany tekst) odnoszona być może albo do nie-literatury, czyli tzw. życia (które w takim przypadku obejmować będzie inne rodzaje sztuk), albo do samej siebie. To znaczy, do innych konkretnych tekstów. W tym drugim przypadku *Zaproszenie* możemy umieścić już to w kontekście całej twórczości Claude Simona, już to odnieść do tzw. nowej powieści francuskiej (Nathalie Sarraute, Alain Robbe-Grillet, Michel Butor). Simon uważany jest za najwybitniejszego przedstawiciela „nowej powieści”, choć zarazem stojącego nieco na uboczu, tyleż należącego do „szkoły”, co chodzącego własnymi drogami<sup>14</sup>.

Tymi relacjami, czy – mówiąc modnie – tymi aspektami intertekstualności *Zaproszenia* nie będę się tu zajmował. Przede wszystkim dlatego, że ze względów pozaliterackich, ale kulturowo niezwykle ważnych, interesuje mnie inny aspekt problemu *podróży*. Poświęcony jest mu następny rozdział.

Dla porządku jednak, powiedzmy z poczucia profesjonalnego obowiązku – kilka uwag dotyczących literackich odniesień *Zaproszenia*.

Zakłada się tu, że pewna część czytelników niniejszej próby wie coś o „nowej powieści” dlatego, że czytali którąkolwiek z nich, lub/i dlatego, że znają choćby wymienione w przypisie szkice Głowińskiego. Ci czytelnicy bez trudu dostrzegą, iż to, co w moim esesju określam mianem pseudo-behaviorystycznego opisu, związane jest z obsesyjnym dla autorów „nowej powieści” opisywaniem rzeczy. Jeśli owi czytelnicy znają, choćby z polskich omówień, spory o „antyhumanizm” filozoficznych założeń „nowej powieści”, to wiedzą, że przynajmniej w przypadku *peregrynacji* Simona nie użyłbym tego określenia w żadnym z nadawanych mu sensów. Jeśli z kolei nic o tych sporach nie wiedzą – w końcu działo się to ćwierć wieku temu i dawniej – to mogę ich jedynie odesłać do wymienionych w przypisie 16 pozycji; ewentualne dodanie następnych dziesięciu nie wydaje się

celowe. Wykładać tu istoty owych kłótni sięgających czasów, gdy obecnych młodych doktorów humanistyki nie było jeszcze na świecie, ze względów kompozycyjnych nie zamierzam.

Tak w ogóle — dla *Le Palace* i *Dróg Flandrii* Simona oraz *Domu schadzek* Robbe-Grilleta czyniąc wyjątek — nigdy nie przepadałem za „nową powieścią”. Jej kariera wydawała mi się wynikiem tyleż zbiegu okoliczności, co umiejętnej, typowo paryskiej reklamy. Fakt, iż dziś *Gum* czy *Portretu nieznanego* nikt nie czyta, być może potwierdza moje odczucia z początku lat sześćdziesiątych. Toteż nie bez pewnej przyjemności napisałbym coś takiego: a jeśli za następną ćwierć wieku okaże się, że po całej „nowej powieści” ostała się jedna pozycja i to bynajmniej nie powieść lecz *podróż* Claude Simona? Oczywiście wiadomo, ile warte są takie wróżby, stąd szczególny tryb wypowiedzi; oczywiście przesadzam (chyba trochę) — ale gdyby przypadkiem okazało się, że moja prognoza jest trafna (czego i tak się nie dowiem)? Już dziś mogę odpowiedzieć: uważam, że „ludzkości” się to opłaciło. Co jest niemądrą odpowiedzią na źle postawione pytanie, a zarazem miarą mego uznania dla „nowej podróży” Simona.

Niesprawiedliwe to, a co gorsza sprzeczne z elementarnymi nakazami rzemiosła. Związki bowiem *Zaproszenia* z powieściami Claude Simona są oczywiste. Podam tu dwa przykłady, dwa zestawienia cytatów z *Le Palace* i *L'Invitation*, od razu zaznaczając, iż na pierwszy rzut oka zestawienie drugie dotyczy jedynie drobnego szczegółu świadczącego nie tyle o niezmienności „charakteru pisma”, co raczej o pewnej obsesji. Nie jest to zarzut, wiadomo bowiem, że wybitni pisarze nader często mają — jako pisarze — różne obsesje. Zresztą źli pisarze też.

*Le Palace*, 1962, s. 9–10.

„I oto w pewnej chwili, w nagłym trzepocie powietrza, które natychmiast zamarło (tak, iż znalazł się on tu doskonale nieruchomy, ze skrzydłami już złożonymi — oni zaś nie dostrzegli jego przybycia, zupełnie jak gdyby nie przyleciał na balkon, lecz pojawił się nagle, zmaterializowany przy pomocy pałeczki prestidigitatora) jeden z nich spadł na kamienną podstawę, ogromny (zapewne dlatego, że zazwyczaj widziano je z oddali), zdumiewająco ciężki (niczym porcelanowy, pomyślał, zastanawiając się nad tym, jak udaje się im tak obrastać w tłuszcz w mieście, w którym wszyscy zajęci byli zdobywaniem pożywienia i jak to się dzieje, że ich jeszcze nie wyłapano celem usmażenia) w plamistym, cie-

mnoszarym, jedwabnym upierzeniu ze szmaragdowymi przebłyskami na łebku i miedzianymi na piersiach, koralowymi łapkami, dziobem w kształcie przecinka i wybrzuszonym gardłem: kilka chwil pozostawał tam z okiem głupim i okrągłym, kręcąc bez sensu głową to w prawo, to w lewo, zmieniając pozycję przy pomocy serii nieznacznych, krótkich ruchów, po czym (zapewne dlatego, że ktoś ze znajdujących się w pokoju zaszurgotał czy też wykonał jakiś gest) odleciał równie nagle jak się pojawił.”

*Zaproszenie*, oryg. s. 11.

„(...) pozostali dwaj (dwaj bracia) podobni do kaznodziei ze wspólnot ewangelicznych lub raczej do występujących w duecie murzyńskich aktorów, mogących z równym powodzeniem śpiewać, co grać na trąbce lub stepować w reflektorach w music-hallu, ubrani na ciemno poczynając od podbitych blaszkami lakierków po trykotowe golfy, na których zdawały się spoczywać ich jak gdyby odcięte, hebanowe głowy, odchylone nieco do tyłu, niczym podtrzymywane przez podbródek przyłbicy lub owe protezy nazywane minerwami i mimo to obracające się żywo, czy też może z raptownością, którą zaobserwować można u ptaków, właśnie zwrócone w lewo, podczas gdy oni, podążając gęсіego wraz z pozostałymi uczestnikami, jeden po drugim, obrócili się w prawo natychmiast po przekroczeniu progu bocznych, i usytuowanych w głębi sali, średnich rozmiarów drzwi...”

Ponieważ cytat z *Le Palace* jest zarazem pierwszym zdaniem-akapitem, otwierającym tę powieść, przeto początkowo miałem ochotę zestawić je z pierwszym zdaniem-akapitem *Zaproszenia*. Gdybym tak postąpił, zwróciłbym uwagę czytelnika na funkcje zaimków trzeciej osoby (l. poj. oraz l. mn.) tak ważne zarówno w twórczości Simona, jak i w ogóle „antypowieściowej” koncepcji powieści. Pisał zresztą o tym Michel Butor (zob. przypis 14). Tak cytaty zestawiając, można by pokazać związki narracji w *podróży* Simona z jego wcześniejszymi powieściami, właśnie porównując niewątpliwe podobieństwa w sposobie wejścia *in medias res* zarówno w prozie fabularnej jak i w gatunku, w którym narracja ma charakter referencjalny.

W sumie jednak bardziej pouczające i dostarczające bogatszego materiału porównawczego wydało mi się zestawienie zaproponowane przed chwilą.

Porównanie można by rozwinąć do rozmiarów odrębnego artykułu, tu jednak, dla przyczyn oczywistych, ograniczę się do wypunktowania kilku spraw.



1. Pokrętny (*tordu*) charakter narracji. Najprostsze czynności — przylot i odlot gołębia, przejście kilkunastu osób przez korytarz są „obudowane” w sposób albo ukrywający normalny kształt i sens danej czynności, albo uwypuklający jej czysto behawioralny aspekt.

2. „Obudowywanie” dokonuje się na co najmniej trzech poziomach:

— dykcjonarza — przykładem *mentonière* z cytatu drugiego, która może oznaczać dolną część przyłbicy, ale także tasiemkę przytrzymującą kaptur;

— metaforyki — w cytacie drugim ruchy ludzkie opisuje się przy pomocy odwołania do ruchów ptasich, zaś w pierwszym gołąb ma „głupie oko”, co go wyraźnie antropomorfizuje;

— budowy zdania — gramatycznie rzecz biorąc, zdanie główne w cytacie z *Le Palace* opisuje nagły przylot oraz nagły odlot gołębia, wszystko, co ponadto — a co jest zarówno informacyjnie, jak i perswazyjnie (tzw. atmosfera, klimat) najważniejsze — mieści się, „ukryte” jest w zdaniach obocznych.

Budowa zdania stanowi — o czym już wspominałem — niezwykle istotny składnik prozy Simona, zarówno fabularnej jak i nie. Również w sferze perswazyjnej. Perswazja z płaszczyzny bezpośredniego powiadomienia (Balzac, Tolstoj) lub słownictwa (przymiotnikowa *elephantiasis* Młodej Polski) przeniesiona zostaje „do wewnątrz”, tj. ukryta w samej konstrukcji zdania. No i dodatkowo przesłonięta trzecią osobą l. poj., która w tym samym zdaniu odnosi się zarówno do gołębia, jak i do tego, kto o gołębiu myśli.

3. Gra z czytelnikiem (i z konieczności gra o czytelnika) odbywa się na warunkach ustalonych przez autora. Co jest normalne, z tym, że tu warunki umowy są twarde: albo ci się znudzi i odrzucisz tekst po przebrnięciu przez trzy stronicę, albo dasz się w to wciągnąć i wówczas będziesz miał pyszną zabawę, pouczenie i cokolwiek tylko, czytelniku, odnajdziesz.

*Le Palace*, s. 15.

„(...) po czwarte wielka kanapa (prawdopodobnie przeniesiona nie z klasztoru, lecz z luksusowego burdelu, jeśli nie z pałacu biskupa) z poślaczanego (nie cienkimi blaszkami, lecz przy pomocy żółtej farby sporządzonej na podkładzie jakichś brązów, co przemawiałoby na rzecz burdelu) drzewa, pokryta wyblakłym czerwonym, lub raczej różowym jedwabiem.”

*Zaproszenie*, s. 13.

„(...) honorowa łoża pośrodku drugiego balkonu, z przepasnymi, złożonymi fotelami, obitymi tym samym czerwonym aksamitem, co ściany, fotelami (pochodziły prawdopodobnie z połowy ubiegłego wieku, a pozłożono je na nowo nie przez nałożenie mikroskopijnych płytek, tylko przy pomocy taniej, imitującej złoto farby), które ongiś zajmowali władcy (...)”.

Poza tym, co w drugim zestawie rzuca się w oczy i co pozwoliłem sobie nazwać obsesją, mamy w obu cytatach do czynienia z przeciwstawieniem z jednej strony sztuki (jako rzemiosła: w obu przypadkach mówi się o złoceniu *à la feuille*) i taniocy, falsyfikatu z drugiej strony. Pierwsze, tj. obsesja na temat złota i czerwieni, może być nieistotne, drugie, tj. opozycja sztuka — falsyfikat jest czymś ważnym. Niezależnie od tego, czy chodzi o prozę fabularną czy o *podróż*. W pewnym sensie powiedzieć można, że *Zaproszenie* opisuje Sowiety jako jeden wielki falsyfikat.

### Zaplecze (empiria)

Napisałem w poprzednim rozdziale, że ze względów pozaliterackich, choć kulturowo niezwykle ważnych, chciałbym umieścić *Zaproszenie* w innym ciągu porównań niż ten, zajmujący się związkami *podróży* Simona czy to z jego twórczością powieściową, czy z „antypowieścią” jako taką. Jest w tym pewna niecisłość, bowiem odniesienia, o których będzie mowa w tym rozdziale, mają również charakter wewnątrzliteracki, choćby dlatego, że tekst Simona porównywany będzie z tekstami innych pisarzy, z innymi *podróżami*, tyle że opisującymi wyłącznie pobyt w państwie Sowietów.

Było takich opisów wiele, a wśród nich książki-peany na cześć sowieckiego systemu penitencjarnego. Gdyby nawet ktoś sporządził ich bibliografię, to i tak ogromna większość tych dawno i słusznie zapomnianych książek jest w Polsce niedostępna. Skądinąd zdziwiłbym się, gdyby taka bibliografia istniała — chyba, że w archiwach KGB. Historycy Związku, nawet ci przytomni, nie mają na ogół wycucia dla specyfiki gatunkowej źródeł<sup>15</sup>.

Siłą rzeczy tedy *Zaproszenie* sytuuje się wobec innych *podróży* opisujących pobyt w ZSRR. Ponieważ tło, zaplecze, układ odniesienia byłby tu zbyt szeroki, nałożymy ograniczenia. Powiadamy, iż *Zaproszenie* sytuuje się wobec innych opisów podróży (wycieczki, pielgrzymki) do Sowietów, ale tylko takich, których

autorami są postacie znane z innych względów niż ten, że opisali swój pobyt w „Kraju Rad”, a także nie byli nigdy członkami kompartii<sup>16</sup>. No i oczywiście, nie będą do owego zaplecza należały teksty licznych autorów, opisujących podróże niechciane<sup>17</sup>.

Pracując nad tym szkicem, a w szczególności nad niniejszym rozdziałem, przeczytałam na świeżo książki siedmiorga autorów: Céline’a, Gide’a, Russella, Słonimskiego, Wańkowicza, małżeństwa Webbów oraz Wellsa<sup>18</sup>.

Ewentualny spór o wybór tych właśnie pozycji jako „empirii gatunku”, tj. opisów podróży do ZSRR poprzedzających *podróż* Simona nie wydaje mi się szczególnie istotny. Na wszelki wypadek przedstawię racje za tą opcją. Zacząć zaś muszę od tego, że z wymienionych książek od razu usuwam jedną – *Soviet communism* Beatrice i Sidneya Webbów. Wśród wymienionych przed chwilą, byli to jedyni politycy, co jak się za chwilę okaże nie jest bez znaczenia. Usuwam zaś ich książkę z prostej przyczyny – nie jest to żadną miarą *podróż*, mimo iż autorzy byli kilkakrotnie, w tym raz nieco dłużej, w Sowietach. Dla mnie osobiście, jako autora tego oto eseju, lektura tej książki była nader pouczająca. *Soviet communism*, gruba, ponad tysiącstronicowa makulatura, jest niby–uczoną, niewiarygodnie apologetyczną próbą opisu systemu sowieckiego. Opisu przyjmującego za prawdę to, co głosiła nowo–mowa, to jest, że komunistyczne rady są samorządem, komunistyczne sądy sądami, komunistyczne planowanie gospodarką itd. itp. Męcząca skądinąd lektura książki Webbów była, powtarzam, dla mnie pożyteczna. Jej autorzy nie byli komunistami, nic też nie wskazuje na to, że gloryfikacja systemu sowieckiego przynosiła im jakiegokolwiek zyski. Toteż wspomniany buch jest po prostu pomnikiem ludzkiej głupoty oraz samoosłepienia, dowodzącym po raz któryż to – że i jedno i drugie może być bezgraniczne.

Co do pozostałych pozycji, to łączą je cechy następujące. Należą nie tylko do gatunku *podróż*, ale właśnie do owej specyficznej odmiany *peregrynacja do Sovietów*. Autorami wszystkich byli zawodowi pisarze, tj. ludzie, dla których k s z t a ł t wypowiedzi powinien być mieć istotne znaczenie. (Russell był wszak nie tylko filozofem, ale świetnym esseistą; przynależność „zawodowa” pozostałych jest chyba oczywista.) Relacje przez nich spisane były owocem krótkiego pobytu w „Kraju Rad” – od kilku do kilkunastu dni. Z wyjątkiem Gide’a – w owym czasie uważanego za jednego z największych pisarzy żyjących – żadnego z wymienionych nie można określić jako *sympatyka* w sensie

*fellow traveler* czy też *poputczyk*. Natomiast trzej, tj. Russell, Słonimski oraz Wells deklarują się jako zwolennicy bardzo różnie i mgliście rozumianego socjalizmu, właściwie nie–politycznego.

Rozrzut w czasie tych pobytów i relacji wygląda jak następuje: Russell – maj 1920, Wells – wrzesień–październik 1920, Słonimski – 1931, Wańkowicz 1933, Céline oraz Gide – 1936.

Krytykując mój dobór „empirii” wskazał można na fakt, iż między pierwszym wydaniem *Powrotu z ZSRR* Gide’a, a *Zaproszeniem* upłynęło bez mała pół wieku i że w tym czasie napisano i wydano niemało innych *podróży*. Tak. I co z tego? *Zaproszenie* ukazało się na początku niemal wszechogarniającego „gorbazu”. Bez trudu mógłbym wybrać kilka relacji z pobytu w Związku od, powiedzmy, śmierci Breżniewa do miodowych miesięcy Gorby’ego. Relacja Claude Simona na pewno by na tym nie straciła. Po prostu uznałem, że nie warto. Wskazałem na istnienie takiego pod–gatunku jakim są relacje z pobytu w Sowietach, ale nie piszę tu jego – tj. owego typu *podróży* – dziejów. Wybrałem kilka przykładów, które wydają mi się ciekawe, pouczające i na różne sposoby ważne dla możliwie pełnej prezentacji *Zaproszenia*.

Można by zresztą postąpić inaczej. Do wymienionych sześciu peregrynacji dodać *Lieto moskowskoje 1964* Michajło Michajłowa<sup>19</sup>. Jest to niewątpliwie *podróż*, co więcej jednoznacznie krytyczna w swym obrazie po–stalinowskiej, sowieckiej rzeczywistości. Różnica jest tylko ta, że Michajłow – urodzony w Serbii Rosjanin, doktorant–stypendysta, był w Moskwie na zupełnie innych „zasadach” niż którykolwiek z wymienionej szóstki. Był też kimś zupełnie innym. Jego głos, cokolwiek dobrego czy krytycznego o *Moskiewskim lecie* powiedzieć, był głosem kogoś, kto stał się znany dlatego, że za próbę publikacji swej *podróży* został skazany przez jugosłowiański sąd. (Najpierw „łagodnie”, tj. z zawieszeniem, ale ponieważ upierał się przy swoich poglądach, to w końcu wlepiono mu cztery i pół roku odsiadki.) Prawdę mówiąc Michajłow, mimo różne późniejsze, emigracyjne publikacje dotyczące historii literatury rosyjskiej oraz mimo komentarze w radiu Swoboda jest – jeśli jest – znany jako autor jednej książki: tej właśnie *podróży*. A ponieważ sądzę, że przy pewnym typie pytań, takim właśnie jakie zadają w tym fragmencie, nazwisko i osoba autora stanowi ważną część dzieła, i co ważniejsze recepcji dzieła, uznałem tedy, że w tak rozumianej empirii gatunku *Lieto moskowskoje* nie mieści się.

Jak tedy podzielić owych sześć *peregrynacji*, z których naj-

krótsza – *Mea culpa* – liczy dwadzieścia trzy strony druku, najdłuższa zaś – *Opierzona rewolucja* – dwieście osiem? Co z owej empirii gatunku (podgatunku) *podróż do ZSRR* uznać za ważne zaplecze *Zaproszenia*?

Zacznijmy od spraw najprostszych.

Żaden z autorów, o których tu mowa, nie był w w Sowie- tach „tak po prostu”, ponieważ do Sowie- tów nie jeździło się „tak po prostu”. Najskromniejszy status miał Wańkowicz, który jako uczestnik wycieczki Instytutu Propagandy Sztuki był „gościem” Inturistu. Gościem tegoż Inturistu był chyba również Céline, ale był też witany jako autor właśnie przełożonej na rosyjski i chwalonej *Podróży do kresu nocy*. Jak się wydaje, nieco wyżej w tej swoistej hierarchii znalazł się Słonimski – przez przypadek: jako indywidualny turysta, który zjawiał się zamiast całej wycieczki literatów, był „podopiecznym” Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą (WOSK). Nieporównanie wyżej sytuował się zaproszony osobiście przez Kamieniewa Wells oraz towarzyszący jako osoba prywatna delegacji Labour Party Russell. I Russell i Wells odbyli dłuższe rozmowy z Leninem, w obu przypadkach po angielsku, tj. albo w ogóle bez tłumacza, albo przy jego niewielkiej pomocy. Pod tym względem bili na głowę nawet Gide’a. Autor *Falszerzy* mógł się jedynie tym pochwalić, że w czasie pogrzebu Gorkiego publicznie przemawiał na Placu Czerwonym. (Simon, jak pamiętamy, był wraz z całą Piętnastką przyjęty przez gensę i wysłuchał dłuższego, tłumaczonego przez świętych tym razem tłumaczy *exposé*, trudno to jednak nazwać rozmową.)

W porównaniu z Gidem, Wellsem czy Russellem, Simon sytuował się gdzieś „między”. Był gościem uhonorowanym, ale nie indywidualnie. Podobnie jak Gide (a także, jak się wydaje Céline) nie miał żadnej swobody poruszania się, podczas gdy pozostała czwórka, jak na Sowiety, nie była specjalnie surowo pilnowana. Słonimski oraz Wańkowicz, korzystając ze znajomości rosyjskiego urywali się – a w każdym razie sądzili, że się urywali – swoim guide’om, opiekunom, czy jak tam nazwać tych aniołów stróżów.

Te drobiazgi z badaniem literatury zdawało by się nie mają nic wspólnego. Ale gatunek *podróż do ZSRR*, to coś bardzo szczególnego i żadną miarą takich szczegółów jak powyższe nie lekceważyłbym.

A skoro o drobiazgach mowa – to wspomnę o dwu dla zabawy, uporczywie bowiem powtarzam, że humanistyka, której brak elementu ludycznego, nie może być dobra.

Cytowałem tu kilkakrotnie i dla różnych powodów wspaniałą sekwencję drugą *Zaproszenia*, którą pozwoliłem sobie zatytułować *W operze. Primabalerina*. A oto fragment *podróży* Russella:

„Moje jedyne spotkanie z Trockim miało miejsce w moskiewskiej operze. Delegacja labourzystowska zajmowała dawną lożę carską. Po rozmowie z nami w przyległym salonie przeszedł on na przód loży, gdzie stanął, skrzyżowawszy ramiona, podczas gdy sala powitała go burzą oklasków. Następnie wypowiedział kilka krótkich i po wojskowemu wyrąbanych słów, po czym wezwał zebranych do trzykrotnego hurra na cześć naszych dzielnych żołnierzy na froncie, na co obecni zareagowali tak samo [tj. entuzjastycznie – R.Z.] jak reagowało londyńskie audytorium jesienią 1914 r.”<sup>20</sup>

Zabawny zbieg okoliczności i miejsca? Do pewnego stopnia tak. Ale przede wszystkim zabawny dowód na to, że od pewnego szczebla „ważności” w górę i niezależnie od tego, czy rzecz dzieje się w 1920 czy 1986 r. – goście odbywają rytualny pobyt w Teatrze Wielkim, zasiadają w dawnej carskiej loży, odwiedzają przyległy salonik. W gruncie rzeczy należało by (można by) napisać dwa różne teksty: *Retoryka sowieckiego podejmowania zagranicznych gości* oraz *Retoryka gatunku podróż do ZSRR*. Przy czym w przypadku pierwszym pojęcie retoryka użyte byłoby w sensie szerokim czy też wręcz metaforycznym, w drugim zaś chodziłoby o retorykę tak, jak ją rozumiał Isokrates, a przede wszystkim Arystoteles.

Drobiazg drugi dotyczy takiej oto „opozycji”.

W *Opierzonej rewolucji* Wańkowicza liczący sześć stron opis Placu Czerwonego „ustawiony” jest na przeszłość Rosji, jest to święte miejsce jej okrutnych i bolesnych dziejów. Dziejów, do których bolszewicy zostali włączeni: „Czy Komsomoł to nie jest płomienny patriotyzm nowego państwa?” I cały fragment kończy długa inwokacja do cerkwi Wasilija Błażennego, jeden z najlepszych fragmentów książki, kończący się zdaniem „Wasilij Błażennyj (...) to jedyny chrám, jaki znam, w którym zastygła straszna męka ludzka i łamanie się ludzkiego ducha”<sup>21</sup>.

W *Zaproszeniu*, w ostatniej jego sekwencji, jesteśmy w tym samym miejscu (s. 66–68). Nie pada nazwa placu. Mowa jest jedynie o Spasskiej Bramie, o murze z czerwonej cegły „z florenckimi wykuszami w kształcie gołębic skrzydeł, o mauzoleum, pustych trybunach i sosenkach zasadzonych po trzy wzdłuż obronnych murów”. W tym pustym pejzażu wykonywany jest

absurdalny, mechaniczny taniec zmiany warty, o którym pisałem w związku z *innomówieniem*.

Czy zasadne jest zestawianie, porównywanie tych dwóch fragmentów na tej tylko zasadzie, że oba dotyczą tego samego miejsca? W końcu każdemu wolno opisać dany kawałek kuli ziemskiej jak mu się żywnie podoba. I każdy, od ucznia szkoły powszechnej poczynając a Bóg wie na jakich laureatach kończąc, uczyni to inaczej. Wydaje się też, że w przypadku *peregrynacji* jedynym warunkiem, jaki możemy sformułować – w przypadku gdy chodzi o miejsce „powszechnie” znane! – jest to, by miejsce owo było nazwane i/lub opisane w sposób kulturowo rozpoznawalny.<sup>22</sup>

Otóż sędzę, iż zestawienie to jest zasadne. Dlatego, że chodzi o to samo, bardzo silnie nacechowane kulturowo miejsce.

W dwóch tak różnych sposobach potraktowania Placu Czerwonego zawarte są dwie różne wizje historii i Rosji i Związku.

U Wańkowicza jest ona patetyczna i wywodzi się bodaj czy nie od Dostojewskiego. Wizja Simona – niezależnie od tego, czy on o tym wie, czy nie – spokojniejsza jest z opisaną przez Czaadajewa i Mickiewicza *p u s t k ą*. Jest to uderzające szczególnie gdy porównać quasi-behavioralny opis zmiany warty u Simona z opisem Wańkowicza „(...) natchnione twarzy młodych chłopaków–krasnoarmiejców, którzy (...) zdają się płynąć w ekstatycznym przeżywaniu swojej największej chwili życia”<sup>23</sup>.

Przejdźmy teraz od drobiazgow do spraw poważnych, tj. do wydziału wizowego.

Czy wiemy po co wspomniani autorzy pojechali do Związku, a ściślej, czy mówią o tym wprost w swoich *podróżach*?

W trzech przypadkach tak. Russell chciał na własne oczy przyjrzeć się bolszewizmowi, którego największym osiągnięciem było jego zdaniem „stworzenie nadziei”<sup>24</sup>. Słonimski chciał się przekonać: „Czy oblepieni jesteśmy kłamstwami prasy burżuazyjnej, czy też może okłamani przez propagandę sowiecką?”<sup>25</sup>. Wańkowicza fascynowały losy Rosji, jeśli wolno tak powiedzieć „jego Rosji”: „Po domach naszych kresowych wisiały portrety przodków archimandrytów i ihumenów, gramoty przez naszych królów polskich po białorusku pisane (...) wywodziliśmy się od protoplastów Wańków–Wołodźków, Hrehorów, Fiedorów”<sup>26</sup>.

(Jeśli wierzyć amerykańskiemu romaniście G. I. Brachfeldowi, Gide’owska fascynacja komunizmem zawsze miała charakter „wyjątkowo nie–ortodoksyjny”, sam zaś pisarz udał się do ZSRR

pełen rozterek i po to, by owe rozterki samemu sobie wyjaśnić<sup>27</sup>. Gide, ani w *Powrocie*, ani w *Poprawkach do Powrotu z ZSRR* nie wypowiada się na ten temat wprost; ale o tym będzie jeszcze mowa obszerniej.

Wells pisze po prostu, że natychmiast skorzystał z sugestii Kamieniewa, nie wyjaśnia jednak, w jakich okolicznościach do owej propozycji doszło.)

Generalnie zatem rzecz biorąc, można powiedzieć, iż mimo znaczne różnice motywacja przynajmniej czterech spośród wymienionych pisarzy była w szerokim sensie poznawcza. Każdy też z nich na swój sposób mówi o ambiwalentnym stosunku do rewolucji i rządów bolszewików, co dziwić może u Wańkowicza. Mogło by się bowiem zdawać, że autor *Szpitala w Cichnicach* wiedział czym pachnie bolszewicka rewolucja.

To ostatnie wymaga, jak sędzę, pewnego wyjaśnienia.

Jakkolwiek rzecz wygląda na paradoks, to bolszewicy są autorami koncepcji, według której cały świat „burżuazyjny”, socjalistycznych „renegatów” nie wyłączając, żywił do rewolucji i „budowy socjalizmu” prawdziwą nienawiść, zaś przedstawiciele tego świata zajmowali się niemal wyłącznie pisaniem kłamliwych oszczerstw na temat pierwszego w dziejach... itd. Rzeczywistość była o wiele bardziej skomplikowana. Dość powiedzieć, że gdyby nie systematyczna pomoc „krajów kapitalistycznych” – co najmniej od Rapallo i po dziś dzień – wątpliwe, by Sowiety mogły się utrzymać przy życiu. Bez ryzyka przesady można wysunąć hipotezę, że od początku lat dwudziestych Związek istnieje „za kapitalistyczne pieniądze”. Dowiedzenie tego wymagałoby obliczeń skądinąd niezbyt skomplikowanych, na które żadną miarą nie ma miejsca w tym szkicu. Nie sposób natomiast pominąć tego oto faktu – zapewne niezrozumiałego dla większości ewentualnych młodych czytelników – że spora część opinii europejskiej oraz amerykańskiej przyglądała się sowieckiemu „eksperymentowi” z mniej lub bardziej przychylnym zaciekawieniem. Świadczy o tym nader często powtarzające się słowo „eksperyment”, a więc coś, co może się udać.<sup>28</sup> (O przenikliwości Russella świadczy m.in. to, że mimo wszystkie swoje ideologiczne dziwactwa dostrzegł, iż doświadczenie się nie udało i nie mogło udać.)

W sposób może najbardziej obrazowy o tej przychylniej choć ostrożnej ciekawości pisze na początku swej książki Słonimski: „Jest nas trzech. Po mojej prawej stronie zasiadł Sceptyk o bacznych i przenikliwym spojrzeniu. Pan ten ma w sobie coś nieprzy-



jemnego, ale nie można mu odmówić inteligentnego wyrazu twarzy. Po lewej stronie siedzi Entuzjasta. Już teraz przyłgnął do szyby i wygląda z niecierpliwością nocy, za którą przyjdzie nowy dzień za granicą świata przeszłości<sup>29</sup>.

W tej atmosferze ambiwalencji, przychylnego zainteresowania, ale także zastrzeżeń, negatywnych opinii to, czym jest dana *podróż* nazwać można rezultatem testu na spostrzegawczość, przenikliwość myśli i – nazwijmy rzecz po imieniu – uczciwość.

Ta ostatnia kategoria rzadko kiedy pojawia się w instrumentarium, którym posługują się badacze literatury. Choć na zdrowy rozum rzecz biorąc sztuka polemiki niewątpliwie należy do retoryki, zaś polemika może być uczciwa lub nieuczciwa i jako taka dość często bywa oceniana<sup>30</sup>. No, ale polemika to – powiedzieć można – dość szczególny przypadek, my zaś zajmujemy się gatunkiem narracyjnym, bo takim ponad wszelką wątpliwość jest *peregrynacja*. I tu w grę wchodzi pewien składnik *podróży*, o którym była już mowa – mianowicie jej referencjalność. Pewne sądy w danej *podróży* uznamy za prawdziwe, inne zaś za nieprawdziwe. Na to chyba przystaną wszyscy, co chyba nie znaczy, iż tym samym każdy automatycznie uzna zasadność wprowadzenia pojęcia uczciwości. I słusznie. Uczciwość bowiem nie musi się odnosić do prawdziwości poszczególnych sądów, lecz np. do sposobu wnioskowania, do typu perswazji, do konkluzji. A w niektórych przypadkach do tego, co autor danej *podróży* pominął.

Może najłatwiej będzie zilustrować o co mi chodzi na przykładzie trzech *peregrynacji*, w „trójkącie” Russell, Wells, Gide.

Przyjrzyjmy się tedy na początek analogicznemu „strukturalnie” typowi argumentacji.

Russell, 1920: „Zachodni socjaliści, którzy odwiedzili Rosję uznali, że lepiej będzie, gdy pominą zbyt brutalne cechy obecnego reżymu, i wśród swoich zwolenników propagują ideę, że gdyby nie wojna [domowa, wraz z pomocą udzielaną „białym” – R.Z.] oraz blokada, millenium urzeczywistniłoby się nader szybko. Nawet socjaliści, nie pragnący zaprowadzenia bolszewizmu w ich własnych krajach, w większości przypadków uczynili bardzo niewiele by ich rodacy mogli poprawnie ocenić na czym polegają zalety i wady (*merits and demerits*) bolszewickich metod. Ten brak odwagi sprawia, iż narażają oni zachodni socjalizm na to, że stanie się bolszewickim wskutek zwykłej ignorancji; ludzie nie wiedzą ani o tym, jaką cenę trzeba zapła-

cić, ani tego, że osiągnięcie pożądanego celu jest wielce niepewne.”<sup>31</sup>

Gide, 1936: „Otóż umysł mój zbudowany jest tak, że najsurowiej oceniam tych, których chciałbym apróbować zawsze. Żle świadczy o miłości, gdy ogranicza się jedynie do pochwał i myśli, że największą przysługę ZSRR oraz sprawie, której jest on dla nas ucieleśnieniem, wyświadczamy mówiąc bez ogródek. To właśnie mój podziw dla ZSRR i jego wspaniałych (*prodiges*) osiągnięć, a także to, czego oczekujemy po tym kraju i czego pozwala się on spodziewać, stanowi główną przesłankę moich krytycznych uwag.”<sup>32</sup>

Powiedziałem, że argumenty Russella i Gide’a są „strukturalnie” podobne. Można ową „strukturę” wyrazić w takich oto słowach: istnieją ważne powody, dla których opisując to, co widzieliśmy w Związku należy pisać prawdę, tj. nie ukrywać tzw. ciemnych stron, i są to powody polityczne. W przypadku Russella i Gide’a akurat przeciwstawne sobie i „za to cenimy Russella”, ale dla samej budowy argumentacji nie jest to ważne. Ważne natomiast z punktu widzenia tego oto eseju jest to, że *peregrynacja do ZSRR* była gatunkiem *explicite* politycznym. A więc, być może, takim, w którym kategoria „uczciwości” zahaczała właśnie o politykę. Skądinąd bowiem sam fakt, że zarówno filozof jak i pisarz u z a s a d n i a ją d l a c z e g o n a l e ż y m ó w i ć (pisać) prawdę może raczej zdumiewać.

Nie znaczy to jednak, iż – *poputczików* wyłączając – relacje są tu proste. W każdym razie nie we wszystkich przypadkach. Jako mało skomplikowana jawi się nam – przynajmniej dziś – sprawa Wellsa, bowiem w jego książce cel polityczny wyraźnie dominuje nad całością. W *Russia in the shadows* nie brak uwag krytycznych zarówno pod adresem doktryny Marksa jak i rządów bolszewików. Nie brak też dramatycznych obrazów ubóstwa Piotrogradu i Moskwy. Nad wszystkim jednak dominuje pewien szczególny typ argumentacji.

„To nie komunizm zbudował monstualne miasta, w których życie, zawsze zagrożone, może się w każdej chwili, wskutek dowolnego kryzysu, stać nie do zniesienia. Te miasta [tj. przede wszystkim Piotrogród i Moskwę – R.Z.] wznosił kapitalizm.

Nie komunizm pogrążył to ogromne imperium (...) w trwającej sześć lat wojnie. Tę wojnę zrodził europejski imperializm.

To również nie komunizm – mimo iż wojna się skończyła – nęka cierpiącą i być może umierającą Rosję opłacając incy-

denty graniczne (*raides*), inwazje, powstania i zamykając kraj w kleszczach okrutnej blokady.

Mściwy francuski lichwiarz, angielski dziennikarz–kretyn są w o wiele większym stopniu odpowiedzialni za chaos i cierpienia Rosji niż najbardziej zacięty komunistą.”<sup>33</sup>

I dalej:

„W człowieku doprowadzonym do rozpacz rozkielznane zostały najgorsze cechy.

Jednak oskarżać bolszewików o większość tych groź budzących czynów – popełnionych w takich okolicznościach – można niemal równie zasadnie, co oskarżać rząd australijski.”<sup>34</sup>

„Uciekinierzy rosyjscy, których spotkać można w Anglii, politycznie zasługują na pogardę.”<sup>35</sup>

„(...) Jeśli Europa utrzyma ścisłą blokadę, uniemożliwiając rekonstrukcję przemysłu, to (...) oczyści miejsce dla przypominającego do złudzenia koczownika z nożami za pasem dżentelmena z Turkiestanu”.<sup>36</sup>

Zamiatin określił książkę Wellsa jako powierzchowną (*liegkowsnyj, iz okna wagona material*) i wątpliwą, by mógł w 1922 roku w Sowietach napisać coś więcej.<sup>37</sup> Dziś z łatwością wydać można wyrok znacznie surowszy. Skoro jednak zajmujemy się tu gatunkiem *peregrynacja*, to może właściwsza od miążdzących gromów będzie uwaga innego typu. *Podróż do ZSRR* jako gatunek czy też podgatunek, siłą rzeczy zahaczała o podstawowe problemy retoryki w tym rozumieniu, w jakim używali tego terminu Grecy. Otóż wydaje się, że specjalista bez trudu mógłby pokazać, jak choćby przytoczone przykłady realizują najgorsze wzory retoryki sofistów. Sposób wnioskowania został tu jak gdyby skonstruowany na zamówienie już nie Isokratesa czy Arystotelesa, lecz wręcz nienawidzącego sofistów Platona<sup>38</sup>. Nie chcę przez to powiedzieć, że jako źródło informacji *podróż* Wellsa jest całkowicie bezwartościowa, lecz to jedynie, że całość jego tekstu poddana jest jednej zasadzie strategicznej: przekonać Zachód, iż bolszewikom należy pomóc, bowiem, cokolwiek krytycznego można o nich powiedzieć, nikt inny nie jest w stanie zagwarantować spokoju i porządku w umęczonej z winy kapitalistów Rosji. I w tym sensie retoryka *peregrynacji* Wellsa jest względnie nieskomplikowana i w zasadniczy sposób nieuczciwa.

O wiele bardziej powikłane – choć z zupełnie innych względów – są analogiczne problemy w *podróżach* Russella i Gide’a.

Z wymienionych tu autorów Russell jest w sposób najbar-

dziej skrajny antykapitalistyczny. (W pewnym sensie jest bardziej skrajny od Gide’a, który na ogół sprawami przyziemnymi się nie zajmował.) Mogło by się tedy wydawać, że jego sprawozdanie z podróży do państwa zwycięskiej rewolucji powinno być dla komunistów najkorzystniejsze. Tu jednak interweniuje coś, co nazwać można uczciwością poznawczą. Ona chyba sprawia, że Russell widzi (bo chce zobaczyć) wiele z tego, na co Wells przymykał oczy. Pewną rolę odgrywać mogła umiejętność porządkowania materiału. Wolno założyć, że Russell miał nad Wellsem „zawodową” przewagę, ale nie sądzę, by była to kwestia zasadnicza. Jest to przede wszystkim sprawa odmiennej retoryki. Rzuca się to w oczy zarówno przy opisie spotkania z Leninem (u Wellsa rozdział temu poświęcony nosi tytuł *Kremłowski marzyciel*), jak i w zestawieniu argumentacji.

Russell: „Zważywszy, że bolszewicy chcieliby spowodować rewolucję światową, nikt nie powinien być liczyć na to – a bolszewicy na pewno nie liczyli – że rządy kapitalistyczne zajmą przyjazną postawę.”<sup>39</sup> Co w tym samym przedmiocie pisał Wells, cytowałem przed chwilą.

Russell niemal od początku relacji z pięcioletniego pobytu w Sowietach wyklada swoje credo:

„Istniejący system kapitalistyczny musi zniknąć (*is doomed*), (...) Nie wiem, czy to, co powstanie na jego miejsce, to będzie bolszewizm, czy coś innego; nie wiem, czy będzie od kapitalizmu lepsze czy gorsze. Nie wątpię jednak ani przez chwilę, że musi powstać całkowicie nowy system społeczny. Jestem również pewien, że będzie to albo jakaś forma socjalizmu, albo powrót do stanu dzikości i wojen podobnych tym, które towarzyszyły najazdom barbarzyńców. Jeśli bolszewizm pozostanie jedyną żywotną i skuteczną siłą przeciwstawiającą się kapitalizmowi, to nie da się zrealizować żadnej wersji socjalizmu – czeka nas jedynie chaos i zniszczenie. To przeświadczenie (...) sprawia, iż jestem przeciwny bolszewizmowi”<sup>40</sup>.

To właśnie założenie – jakkolwiek dziwacznym może się dziś wydawać – sprawiło, że Russell dostrzegł tak wiele cech nowego systemu, których nie chciano w Europie i w Ameryce widzieć przez dziesięciolecie. Zarówno to, że okrucieństwo systemu w znacznej mierze wynika z jego założeń teoretycznych, jak i to, że w pojęciu dyktatura proletariatu ważna jest *d y k t a t u r a*, a proletariatus to bajki opowiadane przez socjalistów zakłamanym socjalistom naiwnym, także to, że system ten zawie-

ra w sobie permanentną pokusę przekupstwa, które musi się rozplenić. W czasie rozmowy z Leninem, który jawił mu się jako „całkowicie bezsensowna, wcielona teoria” zauważył, że Lenina rozbawiło to, iż, jak sam stwierdził, „chłopi zostali zmuszeni do wymiany żywności na papier; bezwartościowość rosyjskich banknotów uznał za coś zabawnego”<sup>41</sup>

Niejako wbrew własnej przenikliwości, a także wbrew logice Russell doszedł do takiej między innymi konkluzji:

„(...) Mimo iż uznaję nieuchronność a nawet użyteczność bolszewizmu w Rosji, nie chciałbym, by się rozprzestrzenił i nie mam zamiaru zachęcać do adopcji tej doktryny przez postępowe partie Zachodu.”<sup>42</sup>

Błąd zdumiewający u pisarza, który w pełni był świadom tego, iż dążenie do rozprzestrzeniania się należy do istoty bolszewizmu.

Z zupełnie innym rodzajem komplikacji mamy do czynienia analizując podróż Gide'a.

Kołakowski w swojej historii marksizmu pisze, że Gide „nie widział (...) niczego z okropności systemu” jednak „wyczuł dobrze uniwersalne kłamstwo poza fasadą, jaką zobaczył”<sup>43</sup>. Nie sposób się zgodzić z tym wypowiedzianym mimochodem oraz irrelevantnym dla przedmiotu książki poglądem.

Gide napisał najpierw niewielki opis swego pobytu w ZSRR. (Siedemdziesiąt trzy strony tekstu głównego plus dwudziestostronicowy Appendix.) Ostatnie zdanie tekstu głównego brzmi: „ZSRR wciąż nas wychowuje i zadziwia” (*L'U.R.S.S. n'a pas fini de nous instruire et de nous étonner*)<sup>44</sup>.

W *peregrynacji* tej – obok zachwyty – nie brak krytycznych uwag. Na przykład: autor *Lochów Watykanu*, odbywając tradycyjną już wówczas pielgrzymkę do miejsca, w którym urodził się Stalin, zapragnął wysłać stamtąd depezę z podziękowaniem za wspaniałe przyjęcie w Kraju Rad. Tłumacz wymógł na nim, by dodać zwroty w rodzaju „przywódco mas pracujących” lub „nauczycielu ludów”, co Gide uznał za niesmaczne<sup>45</sup>. Zastanawiał się też nad tym, czy wspaniała giętkość, z jaką Stalin realizował pierwszy i drugi plan pięcioletni, nie świadczy aby o odejściu od leninizmu. W szczególności niepokoiła go „odbudowa rodziny, własności prywatnej, dziedziczenia”. Uznał jednak, że istnieją racje uzasadniające owo przejście od tego co „mityczne” do tego co „polityczne”<sup>46</sup>. „Co gorsza” napisał, iż nie ma w Sowietach dyktatury proletariatu, lecz że jest to dyktatura jednego człowieka, „to nie to, czego chciano. Jeszcze jeden krok da-

lej i trzeba będzie powiedzieć: to dokładnie to, czego nie chciano.”<sup>47</sup> Przy tym wszystkim głęboko wzruszył go stosunek milicjanta do bodaj ośmioletniego bezprizornego; wpadł w taki zachwyty, że scenka, którą zaobserwował w Sewastopolu od razu przywydła mu na myśl Dostojewskiego<sup>48</sup>.

Wszystko to pisane jest w owej właściwej Gide'owi manierze, która sprawia, że jest on dziś pisarzem niemal martwym. Zaatakowany jednak został nie za sposób pisania, bo ten wówczas był jak najbardziej w modzie. Zwołano przeciw niemu pospolite ruszenie ponieważ komuniści i posłuszna im część „kół postępowych” nie uznawali innego niż bałwochwalczy sposobu pisania o Sowietach. Minął czas kalkulacji takiej, na jakiej oparta była akceptacja *podróży* Wellsa: a niech tam sobie źle pisze o Marksie, byle poparł nas w sprawie najważniejszej, tj. zniesienia blokady i udzielenia pomocy finansowej. Nadszedł czas retoryki jednoznacznie pochwalnej i próżno zastanawiać się nad tym, kto był lepszym retorem – Gide czy ówczesny kierownik wydziału propagandy III Międzynarodówki.

Dotknięty do żywego pisarz (przecież chciał dobrze!) napisał *Poprawki do Powrotu z ZSRR*, tj. tekst, z którego jednoznacznie wynika, iż w pierwszej broszurze nie napisał ani ćwierci tego, co naprawdę zobaczył. Innymi słowy, że *Powrót* jest *podróżą* załganą, głęboko nieuczciwą. Ostatnie dwa akapity tekstu głównego *Poprawek*:

„ZSRR nie jest tym, czym wedle naszych nadziei miał być, tym, czym obiecywał być, tym, za co stara się nadal uchodzić: zdradził nasze nadzieje. [Ach, jaki brzydki! – R.Z.] Jeżeli nie chcemy się z nimi rozstać, musimy je przenieść gdzie indziej.

Nie odwrócimy jednak naszych oczu od ciebie, wspaniała i cierpiąca Rosjo. Jeśli przedtem służyłaś nam za wzór, to teraz – niestety! – pokazujesz w jakich piaskach ugrzęznąć może rewolucja.”<sup>49</sup>

A może jednak coś było na rzeczy? Może Russell miał rację pisząc, iż największym osiągnięciem bolszewików jest obudzenie wielkiej nadziei. Złudnej, pamiętajmy jego zdaniem.

Słonimski: „Późnym wieczorem jestem w Warszawie. (...) Tragarz niesie mi walizkę i gdy przystajemy przed dworcem (...) mam jakąś niewytłumaczoną chęć powiedzenia mu, że wracam z Rosji.

– No, jak tam jest?

(...)

Wiem, pewien jestem, że gdybym mu powiedział: »Dobrze jest towarzyszu«, poniósłby moją walizkę lekko i szybko do tak-sówki i uśmiechnąłby się na pożegnanie. Wreszcie powiadam:

– Trudno tak powiedzieć w paru słowach. I źle i dobrze.

Teraz wiem, co myśli o mnie tragarz niosący moją walizkę. Myśli o mnie jak o wrogu. Nie ma stanowisk pośrednich. Kto nie z nami, ten jest przeciw nam. Z uczuciem dławiącej samotności jadę przez miasto.”<sup>50</sup>

Wańkowicz: „Po powrocie moim z Rosji, każdy spotykany w tramwaju znajomy rozsiadał się z pytaniem: »No, i cóż tam w Rosji słychać?« Nie znoszę tego pytania. Jest to przerzucanie kosztu intelektualnego rozmowy na rachunek pytanego”<sup>51</sup>.

I w samym zakończeniu:

„Po zburzeniu dawnych form, wraz z polepszeniem się warunków życia, maszerują ludzie z tamtej strony barykady ku wyrównaniu proletariackich błędów paralaktycznych.

Czy bez zburzenia tych form, wraz z pogarszaniem się warunków życia »u nas«, my idiemy ku korektywie naszych błędów paralaktycznych?”<sup>52</sup>

Gide: „I już [tzn. jeszcze w czasie pobytu w Sowietach – R.Z.] zaczyna mnie dziwić nieznaną dotychczas niepokój: co mam powiedzieć po powrocie do Paryża? Jak odpowiadać na pytania, które przeczuwam? Oczekują po mnie jednolitego sądu. Jak wyjaśnić, że w ZSRR odczuwałem na przemian (moralne) ciepło i mróz?”<sup>53</sup>

W moim przekonaniu źródłem tej ambiwalencji (bo w końcu i Russell jest ambiwalentny i u Wellsa znaleźć można sporo krytycznych obserwacji) jest nie tyle, a w każdym razie nie tylko dążenie do obiektywizmu, lecz autentyczna – indywidualna u każdego autora – niemożność sformułowania jednoznacznej opinii. Liczne przykłady podawane przez Roberta Conquesta w jego *The Great Terror*, a dotyczące nie mieszczącej się dziś w głowie reakcji „burżuazji”<sup>54</sup> na tzw. procesy moskiewskie, mogą służyć za jeden z wielu przykładów dowodzących, jak atmosfera lat trzydziestych – i po części dwudziestych – utrudniała krystalizację jednoznacznego spojrzenia na Sowiety. Utrudniała – nie znaczy jednak uniemożliwiała. Nie będziemy się tu zajmowali tą skądinąd pasjonującą – dla historyka mentalności – problematyką. Tu zredukujemy sprawę do uproszczonego pytania: czy wśród wybranych przez nas jako przykłady empirycz-

nego zaplecza gatunku *peregrynacja do ZSRR* nie ma ani jednego świadectwa takiej jednoznaczności osądu? (Wszak w *Zaproszeniu* jednoznaczność ową chwytną bez żadnej wątpliwości.)

Jest taki tekst i jest nim pamflet (określenie opisowe z zakresu poetyki) Céline’a *Mea culpa*. Czytelnicy mogli zauważyć, że do tekstu tego prawie w ogóle się nie odwoływałem. I nie działo się tak ze względów „czysto” kompozycyjnych, choć i te odgrywały w owym milczeniu pewną rolę. Główną jednak przyczyną były cztery trudności związane z inkorporacją *Mea culpa* do całości tej analizy. Dwie z nich, jako że z tematem eseju związane jedynie przez osobę autora, tj. Céline’a, odsyłam do odsyłaczy<sup>55</sup>. Pozostają i tak dwie, z którymi jakoś trzeba sobie poradzić. Zresztą... i tu już wchodzi w grę problem kompozycji...

Dotychczas, mówiąc o wybranych jako zaplecze pięciu *podróżach*, nie wspominałem w ogóle o ich ewentualnych wartościach artystycznych i to mimo, iż analizując *podróż* stanowiącą główny przedmiot moich zainteresowań, temu właśnie poświęciłem *gros* uwagi. Ale bo też i sytuacja jest dość dziwna. Każdy ze wspomnianych tu pięciu autorów był zawodowym pisarzem, co więcej każdy z nich był na swój sposób pisarzem z prawdziwego zdarzenia. I oto każdy pisze swoją *podróż* tak, jak gdyby napisanie *peregrynacji* nie stanowiło żadnego problemu, żadnego wyzwania artystycznego. Po prostu jedziemy, a potem opisujemy. I jeśli mamy problemy, to właśnie z dotarciem do prawdy i wydaniem jednoznacznego sądu. (Russell jako zawodowy filozof formułuje nawet konieczne zasady postępowania: „By dotrzeć do tego, co jest specyficznym bolszewickim należy najpierw odrzucić wszystkie cechy właściwe dowolnemu krajowi, który poniósł klęskę militarną. Następnie należy wyodrębnić to, co specyficznie rosyjskie, co łączy bolszewików z innymi Rosjanami, różni zaś od komunistów innych krajów”<sup>56</sup>.) W rezultacie której to operacji dochodzi m.in. do wniosku, że: „Znaczna część despotyzmu bolszewickiego ma swe źródło w tym, co stanowi istotę ich filozofii społecznej i będzie się musiało powtarzać – może w postaci nieco złagodzonej – wszędzie tam, gdzie filozofia ta zdobędzie pozycję dominującą”<sup>57</sup>.

Nie jest tak, by książki te były źle napisane. Każdy z wymienionej piątki miał tak opanowany warsztat, że po prostu musiałby się wysilić, by źle pisać. Toteż u każdego z nich znajdziemy coś „smakowitego”. U Wellsa historyjka o spotkaniu z pisarzami w Piotrogradzie, czy opis bezsensownie zgromadzonych dzieł sztuki<sup>58</sup>; u Słonimskiego słynny później dowcip na temat Szeks-



pira i Dostojewskiego w inscenizacji Wachtangowa<sup>59</sup>; u Wańkowicza świetny opis Wasilija Błażennego, czy reportaż o nocy spędzonej w „Arbatskom podwalczikiem” z dorabiającą prostytutką posługaczką<sup>60</sup> itd. itp. Każdemu też – może z wyjątkiem Russella – zdarzają się pisać fragmenty zenujące, których nie warto może dziś wspominać. Dla żadnego jednak w samym pisaniu *podróży* jako sztuki słowa nie było problemu. Można „na usprawiedliwienie” powiedzieć, że mieli dość kłopotów z dotarciem do prawdy (co nie zawsze im się udawało) i „nie mieli głowy” do artyzmu. Zważywszy jednak, że mamy do czynienia z pisarzami, byłoby to wytłumaczenie kiepskie, jeśli nie zawstydzające. Raczej można by w tym dostrzec „ducha czasów”, czy też owo „się”, które do pewnego stopnia rządzi sposobami pisania. A „duch” ten sprawiał, że w prozie fabularnej już podważono to, co dla XIX w. było „naturalnym” sposobem mówienia, a w gatunku *podróż* jeszcze nie.

Jednak nawet przyjmując to wyjaśnienie pamiętać należy, iż sztuce słowa rządu owego „się” nie mogą być bezwzględne i bezwyjątkowe. Czego w jakimś stopniu dowodzi *Mea culpa*. Jest to bowiem wspaniale napisany pamflet. Można tej poetyki krzyku nie lubić, można ją w całości odrzucać, nie sposób jednak zaprzeczyć, że została ona zrealizowana w sposób znakomity. Tak się przypadkiem złożyło, że w pracach poświęconych Céline’owi, które przeczytałem przygotowując niniejszy szkic, *Mea culpa* wspomiana bywa wyłącznie z tego tytułu, iż jest pierwszym jego pamfletem, genologicznie rzecz biorąc zwiastunem następnych – *Bagatelles pour un massacre*, *École des cadavres*, *Les Beaux draps* – stanowiących w pewnym sensie oś „sprawy Céline’a”<sup>61</sup>. Można to oczywiście zrozumieć. Choć wydaje się, że z różnych względów jest to spojrzenie krzywdzące *Mea culpa*. Jakkolwiek jednak by o tej sprawie sądzić, to z punktu widzenia zainteresowań tego oto eseju o *Zaproszeniu* Simona rzecz przedstawia się dokładnie na odwrót. Tj. Céline mógłby tych dużych, grubych pamfletów nie pisać, co skądinąd jego imieniu wyszłoby na dobre.

Powiedziałem, że *Mea culpa* realizuje w sposób znakomity poetykę krzyku. Tekst rozpięty jest na osi przeciwieństw między całkowicie zrealizowaną jednolitością krzyku (a więc jednego krzyku, w tym sensie *Mea culpa* napisana jest na jednym wydechu), a mnogością wykrzykników, siłą rzeczy rozbijającą ową całość na poszczególne okrzyki. Stąd też cytowanie fragmentów

nie ma się z celem, zaś cytowanie całości, nawet tak objętościowo niewielkiej, nie jest możliwe.

Poprzestańmy przeto na gołosłownym twierdzeniu, że ze wszystkich wymienionych tu jako empiria gatunku pozycji jedynie *Mea culpa* jest – podobnie jak *Zaproszenie* – tekstem, który odbieramy jako dzieło sztuki słowa.<sup>62</sup>

(Przypominam, że teoretycznie rzecz biorąc, Simon mógł znać wszystkie wymienione tu podróże z wyjątkiem *Opierzonej rewolucji* Wańkowicza. Jakkolwiek jednak rzecz miała się w rzeczywistości, to w płaszczyźnie „teoretycznej”, przynajmniej w kulturze francuskiej, układem odniesienia dla *podróży* Simona musi być *podróż* Gide’a, i to nawet gdyby się okazało, że autor *Zaproszenia* nigdy nie miał w ręku *Powrotu z ZSRR* wraz z *Poprawkami do Powrotu z ZSRR*, którą to ewentualność możemy wykluczyć. Wynikało by zatem z tego, że w płaszczyźnie czysto literackiej to, co nazwałem empirią gatunku ma dla analizy *Zaproszenia* znaczenie niewielkie. Ale też mówiłem, iż wybrany przeze mnie trop analizy – *podróż do Sowietów* jako szczególna odmiana gatunku *podróż* – ważny jest ze względów kulturowych. I to czyni moje porównania całkowicie zasadnymi.)

Wróćmy do Céline’a. Oczywiście, że jako dzieła sztuki słowa porównywać warto jedynie te dwa teksty. I mogło by to być porównanie pod wieloma względami pouczające, trudno bowiem wyobrazić sobie dwie bardziej odmienne retoryki, dwa tak różne porządki jak ten, który rządzi erupcją Céline’a, a chłodem i pogmatwaną przejrzystością tekstu Simona.

Różnice zaczynają się na poziomie graficzno–interpunkcyjnym, a więc najłatwiejszym do uchwycenia przy pomocy tzw. pierwszego rzutu okiem, a kończą na wyraziście odmiennym stosunku do świata.

A więc od różnicy między tekstem, w którym nie ma ani jednego wykrzyknika, jest za to wiele długich zdań (wewnątrz których tkwią inne zdania ujęte w nawias), a tekstem, w którym większość zdań (wedle tego, co uczy nas nauka o zdaniu, czyli składnia) kończy się wykrzyknikiem. (W drugim i trzecim akapicie *Mea culpa* wszystkie zdania z wyjątkiem dwóch są wykrzyknikowe, zaś owe dwa wyjątki kończy znak zapytania.) Można by to określić jako różnicę między informacją a ekspresją, gdyby nie to, że ekspresja jest również informacją, tyle że o czym innym. Ścisłej: przy takim podziale zakłada się, że informacja mówi o świecie i przez to, pośrednio, o mówiącym, podczas gdy ekspresja „działa” w odwrotnym kierunku – przede wszystkim informuje o stanie mówiącego i pośrednio o świecie.

Wspomniany tu w przypisie 61 Jean– Pierre Richard, który w ogóle nie wspomina o *Mea culpa*, tak oto określa świat Céline'a i zdaje się to świetnie pasować do wspaniałego pamfletu, o którym mówimy: „(...) Céline'owska noc opisuje stan ostateczny i zarazem początkowy, w którym nic nie istnieje oddzielnie, wszystko się ciągle stacza (*retombe*), dławi się, tonie”. I nieco dalej używa określenia „najprawdziwsza trwoga bebechów” (*une véritable angosse de l'intestinale*)<sup>63</sup>.

Tyle p a t r z ą c na tekst.

Czytając i analizując, można te różnice w pojmowaniu świata i tej jego części, którą nazywamy literaturą, ukazywać piętrowo, od dykcjonarza i składni poczynając, a na światopoglądzie kończąc (lub też w odwrotnej kolejności). Będzie to na przykład różnica między anarchistycznym nihilizmem z jednej (Céline) i arystokratyzmem (Simon) z drugiej strony. Ten tak różny stosunek do świata ma – w danym przypadku *przynajmniej* – jedno wspólne miejsce: negatywny stosunek do mieszczaństwa i mieszczaucha (prawdę mówiąc: naftalina).

Słowem, mogło by to być niezwykle ciekawe porównanie. Gdyby nie jeden drobiazg: *Mea culpa* n i e j e s t *podróżą!* To prawda, że Céline napisał swój pamflet, swoje pożegnanie z komunizmem. (z sympatiami do, ze złudzeniami<sup>64</sup> po pobycie w Sowietach, ale o samym pobycie nie napisał ani słowa. Olśniewający, ale też groźny tekst *Mea culpa* mógł być napisany przez człowieka, którego stopa nie stanęła na sowieckiej ziemi. Można, i zapewne warto, zając się opisem oraz analizą różnych tekstów typu „bóg, który zawiódł”, tj. zając się retoryką pożegnania, rozejścia się z komunizmem. W takim tekście analiza *Mea culpa* znalazłaby poczesne miejsce. My jednak zajmujemy się gatunkiem *podróż*, dokładnie zaś *peregrynacją do ZSRR* i nie ma tu, niestety, miejsca na uważny rozbiór tekstu Céline'a, na porównanie *Zaproszenia* z *Mea culpa*.

Skoro zaś najwybitniejsza z wymienionych w tym rozdziale *podróż* nie jest *podróżą*, to czy warto było zajmować się empirią gatunku *podróż do ZSRR*. Sądzę, że tak. Z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że te *peregrynacje do ZSRR* istnieją, a część z nich pisali ludzie zajmujący poczesne miejsca w kulturze europejskiej. Po drugie dlatego, że *Zaproszenie* można lepiej, pełniej zrozumieć odnosząc je do tego zaplecza. Po trzecie wreszcie dlatego, że jeśli chcemy ocenić, do jakiego stopnia *peregrynacja* Simona jest *nową podróżą* musimy ją porównać z innymi, dawnymi *podróżami*. Nowość *podróż* Simona nie jawi się tylko przez odniesienie do *peregrynacji do ZSRR*; *Zaproszenie* jest

odnowieniem, ukazaniem nieznanych możliwości gatunku. Zarazem jednak jest opisem pobytu w Sowietach, zaś *podróż do Sowietów periegezy*. I w tym sensie *Zaproszenie* jest pożegnaniem czegoś, co w literaturze, w gatunku *podróż* już się (miejmy nadzieję) nie odrodzi.

### Wariacje na temat Placu

Wróćmy jeszcze na chwilę do tego miejsca oznaczonego w *Zaproszeniu* przez nazwę Brama Zbawiciela; jakieś sosenki, jakieś mauzoleum, jakieś mury obronne... Ściany „gdzie pod rzędami marmurowych płyt leżą obok siebie zabalsamowane mumie dawnych buntowników o czołach profesorów, w niedbale zawiązanych krawatach, z oczami zamkniętymi za binoklami, z wreszcie spokojnymi, pogodnymi twarzami, z ustami zamkniętymi już na zawsze” (67).

Mniejsza o to, że w kremlofskim murze pochowane są urny z prochami. Nie bądźmy drobiazgowi. Simon doskonale wie, co robi: jemu potrzebne są usta zamknięte na zawsze. Prochy zaś nie mają ust.

Zaczęła się więc *podróż* pod znakiem nadziei. Bo miał Russell, siedemdziesiąt lat temu, rację twierdząc, że podstawową rzeczą, której dokonali bolszewicy, było stworzenie nadziei. Dowiódł też niemałej przenikliwości pokazując, że jest to nadzieja złudna, że niesie z sobą chaos i zniszczenie.

Zakończyła się zaś *podróż* na pustym, nie nazwanym placu ozdobionym jakimś sosenkami, na którym pochowane są zamknięte na zawsze usta rewolucji.

Rewolucja jest niema. Nie ma świata nic do powiedzenia.

\* \* \*

Wyjątkowo silne poczucie (przeświadczenie, przekonanie), że najpełniejszą interpretacją dzieła jest samo dzieło.

Iwonicz–Warszawa  
11 maja – 7 sierpnia 1991

## PRZYPISY

\* Claude Simon, *Zaproszenie*, przełożyła Hanna Igalson. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990; *L'Invitation*, Les Editions de Minuit, Paris 1987. Liczby po cytacie oznaczają stronie polskiego wydania, lub, w przypadku, gdy poprzedza je skrót oryg. odsyłają do oryginału. Cytaty podane kursywą tłumaczone są przeze mnie.

1 Zob. „Litieraturnaja Gazieta” 1986, nr 43 (z 22.X). W głównej informacji dotyczącej audiencji u Gorbaczowa podane są nazwiska uczestników Forum – grażdanką i w zapisie fonetycznym. A. Martynowa, która obsługiwała Forum dla „Litieraturnoj Gaziety”, pisze w tymże numerze, iż bardziej niż wizje Töfflera (w „sympozjonie” brało udział dwóch Töfflerów, chodziło jej zapewne o tego od *future shock*) „imponuje [jej] *Miasto Słońca Campanelli*”. Tyż piknie.

Zob. „Trybuna Ludu” 1986, nr 246. Podobnie jak w „L.G.” chodzi głównie o spotkanie z Gorbaczowem. Milczenie „Polityki” jest o tyle znaczące, że tygodnik ten z reguły wiele miejsca poświęcał przejawom sow-liberalizmu. Nie omieszkała też „Polityka” opisać i warszawskiego i kopenhaskiego „kongresu pokoju”. Zob. 1986 nr 4 i 43. Zabawnym zbiegiem okoliczności jest to, że na początku roku w tejsze „Polityce” (zob. nr 5) ukazał się obszerny wywiad z Mają Plisiecką.

2 Prawdę mówiąc, eksperci w danym przypadku byli leniuszkami. Wystarczyło przeczytać powieść Simona *Le Palace* (Les Editions de Minuit, Paris 1962) i przy tej lekturze zwrócić uwa-

gę na fakt, iż w czasie wojny domowej w Hiszpanii Simon był w Barcelonie, by dojść do wniosku, że zaproszenie późniejszego autora *Zaproszenia* jest ryzykowne.

3 Dla potrzeb niniejszej próby przyjmuję wąską definicję gatunku *podróż* (znacznie węższą niż np. w haśle *Podróż* w *Słowniku terminów literackich* Michała Głowińskiego, Teresy Kostkiewiczowej, Aleksandry Okopień-Sławińskiej i Janusza Sławińskiego, wydanie drugie, Wrocław 1988). Przez *podróż* (pisaną kursywą) rozumie się tu relację prozatorską z rzeczywistej podróży autora, przezeń spisaną lub podyktowaną (jak np. pochodząca z VIII w. relacja Willibalda – później kanonizowanego – z pielgrzymki do Ziemi Świętej, podyktowana saksońskiej zakonnicy). Tak rozumiana *podróż* jest siłą rzeczy autobiograficzna w najprostszym sensie tego słowa, tj. nawet wówczas, gdy autor usuwa w cień własną osobą: ja „podróżujące” oraz ja „opisujące” są fizycznie tożsame, choćby o tym drugim pisano w każdej innej osobie niż pierwsza l. poj. Oba działają wewnątrz dostępnych im horyzontów kulturowych, oba poddane są naciskom tych samych konwencji (światopoglądowych, obyczajowych, literackich). Z tym, że ja „podróżujące” widzi świat przez te konwencje, zaś ja „opisujące” wedle nich opisuje. Powyższe nie wyklucza możliwości buntu przeciw konwencji, a nawet ją zakłada. Czytelnik, rzecz jasna, dysponuje tym, co mu ofiarowało ja „opisujące”. W *podróży* strategię tekstu są z reguły przemieszane i nierównoważne. Niemniej wyróżnić się dają: dydaktyczna, rozrywkowa, artystyczna i sprawozdawcza. Dominować może jedna z nich, nigdy jednak nie jest tak, by mogła całkowicie wyrugować pozostałe. Ponieważ rzeczywistość podróży, to, iż odbyła się naprawdę, w tym a nie innym czasie, i obejmowała te właśnie miejsca, stanowi niezbywalny element *peregrynacji*, przeto do gatunku stosuje się wymóg referencjalności. Z tym, że nie może on być wymogiem jedynym i musi brać pod uwagę „prawdziwościowe wyobrażenia” epoki. (Prawda jest zawsze ta sama, natomiast zakres i rodzaj „dopuszczalnych” odkształceń są kulturowe, a więc historycznie różne.) Nie wolno nam jednak wyrzekać się wymogu referencjalności. Pomijając bowiem powieści-podróż, istnieją *podróż*e zełgane i *podróż*e załgane. W pierwsze obfitował wiek osiemnasty (zob. Percy G. Adams, *Travelers and Travel Liars, 1660-1800*, University of California Press, Berkeley 1962). O drugich mowa będzie w rozdziale **Zaplecze (empiria)**. Przy takim, wąskim rozumieniu gatunku *podróż* arbitralnie usuwa się wszystkie przypadki, w któ-

rych pojęcie to użyte jest w sensie metaforycznym, co często zdarza się w autobiografiach: życie jako podróż lub droga, życie jako pielgrzymka ku zbawieniu, czy wreszcie lektura jako podróż po świecie danego autora, na którą to możliwość wskazuje ładny tytuł szkicu Michela Butora *Mała podróż wstępna dla rozpoznania archipelagu Joyce'a*.

4 Na literaturę podróżniczą (*travel literature*) — pisze amerykański badacz P. G. Adams — podobnie jak na inne gatunki prozy „składa się nieprzeliczalna ilość podgatunków zbliżających się ku sobie, rozdzielających się, przemieszanych i uporczywie nie poddających się klasyfikacji”. Percy G. Adams, *Travel literature and the evolution of the novel*, University Press of Kentucky, Lexington (Ky) 1983, s. 38. Trudności związane z „uporządkowaniem” gatunku *podróż* pojawiają się nie tylko na poziomie „teorii”, ale również w płaszczyźnie „czysto” historycznej, mimo, a może właśnie dlatego, że jest to gatunek bardzo stary; w kulturze europejskiej za jego „twórcę” czy też „ojca” uważany jest powszechnie Herodot (co zapewne jest kolejnym dowodem na rzecz tezy o fallokracji dotychczasowej wiedzy o literaturze). Cytowany powyżej badacz uważa, iż „Historia *podróży* (*travel literature*) jest wciąż nie napisana” (op. cit., s. 45 oraz przypis 27, s. 300). Badacze zajmują się na ogół poszczególnymi okresami: grecką periegezą, problemem wczesnośredniowiecznych pielgrzymek, literaturą dotyczącą odkryć geograficznych np. w XIV w., *podróżą* oświeceniową lub romantyczną. Niektórzy zdają sobie sprawę z tego, że badają różne rodzaje konwencji, inni traktują pospołu przewodniki z powieściami, *podróżowanie* z opisem *podróży*, gatunek *podróż* z motywem *podróży* itp. Najbardziej zborną ze znanych mi prób uporządkowania problematyki czytelnik znajdzie w pracy słowackiego badacza Zlatko Klatika - *Vyvin slovenskeho cestopisu*, Bratislava 1968. Pierwszy rozdział tej pracy *Problemy poetiki cestopisu*, a ściślej jego wersja niemiecka *Ueber der Poetik der Reisenbeschreibung* opublikowany był w „Zagadnieniach Rodzajów Literackich” t. XI, 1968, z. 1. Z prac badaczy polskich wymienić należy przede wszystkim obszerny szkic Janiny Abramowskiej *Peregrynacja* (w:) *Przestrzeń w literaturze*, pod red. Michała Głowińskiego i Aleksandry Okopień-Sławińskiej, Wrocław 1978; zob. również Czesław Niedzielski, *O teoretycznoliterackich tradycjach prozy dokumentalnej*. (*Podróż — powieść — reportaż*), Toruń 1966; w szczególności rozdz. I s. 11 — 76.

5 O możliwości i potrzebie słownika terminów emocjona-

nych, którymi *de facto* posługujemy się mówiąc o literaturze, pisałem w szkicu *Literatura i okrucieństwo*. Zob. „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej”, t. 34, 1989.

6 Chodzi o film Mervina le Roya *Quo vadis*. Zważywszy, iż film był wyprodukowany w 1951 r., „szyfr” Simona rozwiązać mogą, prócz specjalistów, a) ludzie urodzeni przed 1940/41 r.; b) kinomani uczęszczający do różnego rodzaju Iluzjonów; c) polscy telewidzowie, którzy oglądali ów koszmarny kicz 1 VI 1991 r. Ustinov ma jednak na koncie kilka znakomitych ról w dobrych filmach — np. kapitana Vere w reżyserowanym przez siebie w 1962 r. filmie *Billy Bud*.

7 Najprostszy sposób, czyli sprawdzenie repertuaru Teatru Bolszoi z października 1986 nie daje się w Warszawie zrealizować. Skądinąd byłoby to ustalenie pozatekstowe i wątplię, czy taki tryb postępowania byłby zgodny z zamierzeniami autora tej *podróży*. Czechow zmarł na Riwierze i stąd, być może, owa wizja *uzdrowisk i kąpielisk całej Europy*. Dla miłośników Czechowa myląca, bo dla nas mieszkał głównie na Krymie, w Zachodniej Europie był cztery albo pięć razy, a najsłynniejszym (m. in. dzięki niemu) miejscem, do którego dotarł, był nie Meran i nie Mentona, lecz Sachalin.

8 Hugh Sacker, *An Introduction to Wolfram's „Parziwal”*, Cambridge University Press, 1963, s. XII i XIX.

9 René Jacquelin, *Claude Simon: L'Invitation (Minuit)*, „Nouvelle Revue Française”, nr 424, Mai 1988, s. 99.

10 Adam Kruczek, *W sowieckiej prasie*, „Kultura” 1988, nr 5 (maj).

11 Tak naprawdę, w XIX w. była to twierdza czy też fort należący do chanatu Kokandy i do 1926 r. nazywała się Piszpek, co dla przesłania *podróży* Simona nie jest istotne.

12 Wieść niesie, że komandarm był jedną z pierwszych należących do „familii” ofiar ubogiego seminarzysty.

13 Literatura przedmiotu jest tu zaiste ogromna. Toteż na zasadzie przekornego żartu pozwolę sobie odesłać czytelnika do jednej książki, a i to z pozoru traktującej o czym innym. Domna C. Stanton, *The Aristocrat as Art. A Study of the Honnete Home and the Dandy in Seventeenth and Nineteenth Century French Literature*, Columbia University Press, New York 1980. Nie jest to wyłącznie żart, choćby dlatego, że książka zawiera ogromną — — ponad pięćset pozycji — bibliografię, w znacznej mierze dotyczącą poruszanej tu problematyki arystokracji.

14 Mimo upływ czasu, w teoretyczną problematykę „nowej



powieści” świetnie wprowadzają szkice Michała Głowińskiego z tomu *Porządek – chaos – znaczenie*, Warszawa 1968. Znającego język francuski czytelnika można odesłać do dwutomowej publikacji *Nouveau roman: hier, aujourd’hui*, ed. Jean Ricardu, Françoise Rossum-Guyou, seria 10/18, Paris 1972, vol. I-II. Są to materiały sesji, w której brali udział zarówno autorzy „nowych powieści”, jak i badacze. Wypowiedź Claude Simona *La fiction mot par mot*, w której analizuje on własne powieści, *Les corps conducteurs, Le vent* oraz *Drogi Flandrii* znajduje się w tomie drugim. Zainteresowanych poruszonym tu problemem funkcji zaimków osobowych w „nowej powieści” można odejść do szkicu Michela Butora *Użycie zaimków osobowych w powieści* (w tegoż: *Powieść jako poszukiwanie*, tłumaczyła Joanna Guze, Warszawa 1971).

15 Na przykład powołując się na książki agentów komunistycznego wywiadu, którym udało się zostać na Zachodzie i przeżyć – a jest tych książek niemało – rozważają, kiedy dany autor mówi prawdę, a kiedy kłamie. Nie biorą przy tym pod uwagę, iż może on być tak zaplątany w sieć zmyśleń, prawdziwych dezinformacji i fałszywych informacji, że sam, jako autor książki, nie wie, co jest prawdą, a co fałszem. Nie mówiąc o tym, że większość z nich – w końcu ludzkie to i zrozumiałe – jakoś tam stara się siebie wybielić. Po angielsku ludzie ci nazywani są *defectors*. Nie istnieje polski odpowiednik tego słowa. Często „defector” tłumaczy się jako dezertner, co zważywszy na jednoznacznie negatywną aurę skojarzeniową wydaje się nietrafne.

16 Z tego powodu nie biorę pod uwagę pozycji takich, jak *Fragments wspomnień* Artura Koestlera (Instytut Literacki, Paryż 1965), czy bardzo ciekawy opis Moskwy anno 1935 we wspomnieniach Elizabeth K. Poretzky (*Our own people. A memoir of „Ignace Reiss” and his friends*, London 1969).

17 Tak właśnie – *Niezłannoje putieszestwije w Sybir’* – zatytułował swoją *peregrynację* Andriej Amalrik (Harcourt Brace Iovanovitch, New York 1970).

18 Louis-Ferdinand Céline, *Mea culpa*, tłumaczył Oskar Hedemann, „Literatura na świecie” 1990, nr 12, prwdr. Denoël et Steele, Paris 1937; – André Gide, *Retour de l’U.R.S.S. suivi de Retouches à mon Retour de l’U.R.S.S.*, Gallimard, Paris 1937 i 1938. Polski przekład J. E. Skińskiego ktoś sobie ode mnie przed wielu bardzo laty pożyczył. Wszystko wskazuje na to, że z bibliotek publicznych był on usuwany lub/i wykradany tak, iż nie mogłem doń trafić; – Bertrand Russell *The Practice and*

*Theory of Bolshevism*, George Allen, London 1949, prwdr. 1920; – Antoni Słonimski, *Moja podróż do Rosji*, „Rój”, Warszawa 1932; istnieje francuski przekład pod nader znamienitym „prześnięciem” w tytule *Misère et grandeur de la Russie rouge*, trad. Marie Rakowska, NRF, Paris 1933; – Melchior Wańkowicz, *Opierzona rewolucja*, „Rój”, Warszawa 1934; – Beatrice i Sidney Webb, *Soviet communism: a nev civilizations?*, New York 1936, prwdr. London 1935; – Herbert George Wells, *Russia in the Shadows*, Hodder and Stoughton, London b.d. (1920). Pozytuje te w dalszym ciągu cytowane jako Céline, stronica, Wańkowicz, stronica itd.

19 Michajło Michajłow, *Lieto moskowskoje 1964. Miortwyj dom Dostojewskiego i Sołżenicyna*, tłumaczył z serbochorwackiego J. Truszynowicz, Posiew, Frankfurt n/M 1967. *Lieto moskowskoje 1964* jest najwcześniejszym znanym, a napisanym w „obozie” tekstem, w którym użyto określenia *homo sovieticus*, co, jak wiadomo znaczy coś zupełnie innego niż *człowiek radziecki*. O ile wiem, po raz pierwszy użył tego określenia amerykański dziennikarz i eseista Eugene Lyons w książce *Our secret allies. People of Russia*, London, 1954. Lyons, ex archiwista, ex komunista, był w latach 1928–1934 korespondentem United Press w Moskwie. Swój pobyt w Sowietach opisał w ciekawej i prawdziwej książce *Assignment in Utopia*, London, 1938.

20 Russell, 31–32. Porównanie entuzjazmu audytorium moskiewskiego (1920) i londyńskiego (1914) nie jest pod piórem Russella komplementem, a wręcz przeciwnie. Russell był w czasie pierwszej wojny światowej skrajnym pacyfistą i za działanie zgodne z tymi przekonaniami skazany był na pół roku więzienia. O przenikliwości Russella świadczy również taka uwaga dotycząca Trockiego: „Wydawało mi się, być może niesłusznie, iż jego próżność przerasta nawet jego żądzę (*love*) władzy”; tamże, 38.

21 Wańkowicz, 56–60.

22 Charles L. Batter jr. zwraca uwagę, iż „podstawowy problem literatury opisującej polega na tym, jak autor ma opisać góry ludzi, którzy ich nigdy przedtem nie widzieli”. Zob. *Pleasurable instruction: form and convention in eighteenth century travel literature*, University of California Press, Berkley 1978, s. 16. Kulturowo rozpoznawalny odnosi się nie tyle do „widzieli” choć i tu kino „zmienia” rozpoznawalność +/- co do „czytali o”.

23 Wańkowicz, 62.

24 Russell, 17.

25 Słonimski, 5.

26 Wańkowicz, 33.

27 Por. Georges I. Brachweld, *André Gide and the Communist Temptation*, Librairie E. Droz, Genève 1959, w szczególności rozdz. V *The Nightmare Reality*.

28 Znakomity amerykański badacz dziejów Rosji i Sowietów, Martin Malia, relację ze swego pobytu w ZSRR w 1990 r. zaczyna w taki oto sposób: „Sowiecki socjalistyczny eksperyment stanowił wielką utopijną przygodę naszego wieku. Przez ponad siedemdziesiąt lat dla milionów znaczył on tyle, co nadzieja, dla innych milionów równoznaczny był z horrorem; dla wszystkich jednak był czymś fascynującym (*for all it has spelled fascination*)”. Z., *To the Stalin Mausoleum*, „Dedalus”, Winter 1990. Kryptonim Z. rozwiązany w „The New York Review of Books” 1991, July 18. Polskiemu czytelnikowi warto może dopowiedzieć, że Malia jest badaczem o bardzo konserwatywnych poglądach i nigdy nie należał do „ukąszonych”.

29 Słonimski, 6.

30 Zob. Arystoteles, *Retoryka. Poetyka*. Przełożył, wstępem i komentarzem opatrzył Henryk Podbielski, Warszawa 1988. W szczególności *Retoryka*, rozdziały 1 i 2 Księgi I.

31 Russell, 20–21.

32 Gide, 17–18.

33 Wells, 33–34.

34 Tamże.

35 Tamże, 80.

36 Tamże, 83.

37 Zob. Jewgienij Zamiatin, *Gierbiert Uells* (w teżej:) *Lica*, Inter-Language Literary Associates, New York 1967, s. 136, prwdr. Epocha, 1922.

38 Skoro padło, przypadkiem, imię Platona, to niewielki cytat z Russella (28–29): „Zaden precedens dziejowy nie przypomina systemu bolszewickiego w tym stopniu, co Rzeczpospolita Platona. (...) Nie sądzę bym się mylił twierdząc, iż ci wszyscy, którzy nauczają platońskiej filozofii nienawidzą bolszewizmu i że wszyscy bolszewicy uważają Platona za antycznego bourgeois. Niemniej paralela między platońską rzeczpospolitą a tym, co starają się stworzyć najlepsi spośród bolszewików jest uderzająca. (...) Komunistom żyje się o wiele, wiele lepiej niż pozostałym członkom społeczności. Przede wszystkim dlatego, że w mniejszym stopniu są wystawieni na niezbyt przyjemną docieklivość policji i CzeKa”.

39 Russell, 119–120.

40 Tamże, 19.

41 Tamże, 35.

42 Tamże, 113. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych Leszek Kołakowski zauważył: „(...) Stosunek konserwatystów do problemów Wschodu (...) można streścić krótko: »byłoby to coś okropnego w naszym kraju, ale dla tych plemion jest to w sam raz«. Zob. Leszek Kołakowski, *Moje słuszne poglądy na wszystko*, „Aneks” 1978, nr 18. Tekst zamieszczony w „Aneksie” to mój przekład z angielskiego oryginału *Listu do Edwarda Thompsona*, którego maszynopis otrzymałem od Autora w 1974 r. Kilkakrotnie wysyłałem ów przekład z kraju, ale niefortunnie. Jednocześnie obdarowałem kilku znajomych trzema lub czterema kopiami maszynopisu. Do redakcji „Aneksu” przekład dotarł jako anonimowo krążący po kraju. Co do *meritum*, wypada dodać, iż zacytowany tu pogląd Russella w niewielkim stopniu odbiega od mniemań, które Kołakowski przypisuje konserwatystom. Z tym, że Russell na pewno nie był konserwatystą.

43 Leszek Kołakowski, *Główne nurty marksizmu. Powstanie – Rozwój – Rozkład*, „Aneks”, Londyn 1988, s. 860.

44 Gide, 91.

45 Tamże, 58.

46 Tamże, 60.

47 Tamże, 61.

48 Tamże, 91.

49 Tamże, 148. Pod jednym względem Gide okazał się proroczy. W 1917/18 r. utopia komunistyczna przestała być utopią czasu, a stała się utopią miejsca. Od 1956 r., od tzw. tajnego referatu Chruszczowa i zdławienia kontrrewolucji (a cóż automatycznie złego w tym słowie?) węgierskiej, część zachodnich intelektualistów zaczęła poszukiwać innego miejsca, gdzie zrealizowano ich tęsknoty, miejsca, które pragnęli podziwiać, choć nie do tego stopnia, by w nim żyć. Kolejno były to Chiny, Kuba, Kambodża (ale tylko pod rządami Pol Pota!).

50 Słonimski, 195–196.

51 Wańkowicz, 174.

52 Tamże, 208–209.

53 Gide, 73.

54 Zob. Robert Conquest, *The Great Terror Stalin's Purge of the Thirties*, Revised Edition, podrozdział *Foreign Misapprehensions*, Macmillan, London 1973, s. 665–684.

Powyższe dotyczy lat trzydziestych, a można by owe zachod-

nie „mizaprehencje” znaleźć i wcześniej, i właściwie po dziś dzień. Zarazem zdaniem niektórych autorów – przykładowo Czesława Miłosza oraz zmarłej niedawno na emigracji rosyjskiej esseistki Wiktorii Czalikowej – właśnie w tychże latach trzydziestych pojawiły się pierwsze trzeźwe próby opisanie sowieckiego totalitaryzmu. Miłosz wymienia przy tym takich autorów, jak Victor Serge, Artur Koestler, Ignazio Silone, George Orwell oraz Nicola Chiaromonte; Czalikowa – Franza Brokenaua, Artura Koestlera, Malraux (?), Orwella oraz Silone. Zob. Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*, Instytut Literacki, Paryż 1990, s. 147; Wiktoria Czalikowa, *Suszczestwujet li totalitarnoje myszlenije*, „Russkaja Mysl”, 28 lipca 1991. By tezę powyższą – wypowiedzianą przecież w „luźnej” poetyce szkicu czy dziennika – uznać za prawdziwą, należałoby na nią nałożyć kilka ograniczeń. Tu jedynie cztery uwagi:

– wszyscy wymienieni przez Miłosza i Czalikową byli tzw. ludźmi lewicy, ściślej zaś, wszyscy, z wyjątkiem Orwella i Chiaromonte, odbyli „staż” w partii komunistycznej;

– wszyscy, z wyjątkiem Borkenaua, byli prozaikami i to dobrymi;

– dla wszystkich, z wyjątkiem Silone i po części Koestlera, podstawowym „antysowieckim doświadczeniem” była Hiszpania lat 1936–1939;

– za pewne uznać można, iż Claude Simon czytał wymienionych przed chwilą autorów (w przypadku Brokenaua przynajmniej jego książkę o wojnie domowej w Hiszpanii).

Ciekawe, choć naprawdę mało ważne jest, czy Simon znał zdumiewającą *podróż* Georges Duhamela *Voyage de Moscou* (Mercure de France, Paris 1927). Zdumiewającą w każdym razie dla tych, którzy sądzą, że bzdury o Sowietach pisali jedynie socjaliści i „sympatycy”, i nie wiedzą, że wydawnictwa Mercure de France żadną miarą nie da się nazwać lewicowym. By nie być gołosłownym – jeden cytat: „Jeśli ekscesy propagandy bolszewickiej mogą niekiedy zniechęcić (*decourager*) najszczerzych sympatyków (*amis*) rewolucji rosyjskiej, to nadużycia i chywy (*stratagèmes*) propagandy anty-bolszewickiej muszą rozeźlić najspokojniejszego nawet obserwatora” (op. cit. s. 203). Ach, to wycieniowanie. Poznać, iż tekst wyszedł spod pióra członka Akademii Francuskiej.

55 Trudności najzwęższej należałoby ująć w ten sposób:

a) jak można być zarazem wielkim pisarzem i patologicznym rasistą (przede wszystkim antysemitą, ale nie tylko)? Nie czy

można, bo wiadomo, że jest to możliwe, lecz *jak* – odpowiedź daleko wykraczająca poza ramy tego szkicu równoznaczna być musi z uważną analizą pisarstwa Céline’a;

b) proces przebywającego w Danii pisarza i wydany wyrok. Zgadzam się w pełni z Camusem, który uważał, iż przede wszystkim procesowi nie należało wytaczać, a skoro już się wytoczyło, to nie należało wydawać tak żalosego wyroku (rok więzienia, 50 tysięcy franków grzywny i utrata praw obywatelskich). Taka bagatelka za tyle masakry – miał powiedzieć autor *Dżumy*, czyniąc aluzję do głośnej antysemitkiej książki Céline’a *Bagatelles pour un massacre*.

56 Russell, 21.

57 Tamże, 22.

58 Wells, 23–24 i 51–53.

59 Słonimski, 96.

60 Wańkiewicz, 58–60 i 150–157.

61 Zob. Albert Chesneau, *Essai de psychocririque de Louis –Ferdinand Céline*. „Archives des Lettres Modernes”, 1971, nr 129. Tegoż, *La Langue sauvage de Louis–Ferdinand Céline. Essai de stylistique thematique*, Service de Reproduction des Thèses, Université de Lille III, 1974; Jacqueline Morand, *Les idées politiques de Louis–Ferdinand Céline*, Bibliothèque Constitutionnelle et de Science Politique, t. XLVI, Paris 1972; Jean–Pierre Richard, *Nausée de Céline*, Fata Morgana, Paris 1973.

62 A jednak wieloletni trening zawodowy nie pozwala mi na czystą gołosłowność. Więc z nieczystym sumieniem rzemieślnika podaję trzy obszerne cytaty z *Mea culpa* w przekładzie Oskara Hedemanna. Bez komentarza.

„Z chwilą, gdy się go mile polechta, Prol przyjmie wszystko! Przełknie każde gówno! W swej pysze i samo–uwielbieniu staje się coraz szkaradniejszy w miarę, jak coraz bardziej się go izoluje, kiedy stacza się na samo dno! Przejmujące zjawisko. Im bardziej czyni się go nieszczęśliwym, tym bardziej staje się on dumny i wyniosły!” (s. 120).

„Praktyczna wyższość wielkich religii polegała na tym, że nie osładzały gorzkiej pigułki. Nie usiłowały tumanić, zagłuszać, nie szukały łapczywie wyborców, nie starały się przymilać, nie kręciły bezustannie dupą. Wczepiały się w Człowieka jeszcze przy kołysce, pożerały go ciupasem. Informowały gościa prosto z mostu: »Ty zbuku bezkształtny, nigdy nie będziesz niczym więcej jak zwykłym śmieciem... Od narodzin swych jesteś tylko marnym gównem... Słyszysz?... Tak ma być i na tym opiera się

wszystko! Jednakże, kto wie... może... może... jeśli przyjrzeć się temu z bliska... może masz jeszcze małą szansę, aby ci choć trochę wybaczone, że jesteś tak niemożliwie obleśną istotą, czymś tak obrzydliwym, przegniłym do głębi... Zachowaj tylko dobrą minę, kiedy przechodzić będziesz wszystkie klęski, mękę, nędzę, tortury twej krótkiej czy długiej egzystencji. A bądź przy tym pokorny... To kurewskie życie jest tylko gorzką chwilą! Nie złap zadyszki! Nie staraj się dokonać rzeczy niemożliwych, i tak cię przerastają! Ratuj swoją duszę, to już będzie coś! Być może wówczas, u kresu twej kalwarii, jeśli rzecz jasna zachowywać się będziesz poprawnie, kiedy już staniesz się bohaterem 'mordy w kubeł', zdechniesz w rozkosznych objęciach zasad... Ale to nie jest całkiem pewne... będziesz może o ćwierć włosa mniej przegniły niż w chwili narodzin... przejdziesz w mrok nocy odrobinę mniej cuchnący niż byłeś o świecie... Ale żadnych złudzeń! Na tym koniec! I pamiętaj! Nie medytuj zanadto nad wielkimi sprawami! Dla takiego gówna to wszystko, co można zrobić!...«

No, taka gadka była przynajmniej szczerą! I to w wykonaniu prawdziwych Ojców Kościoła! Wiedzieli dobrze, jak się do tego zabrać! Nie tumanili mirażami!

Dążenie do szczęścia — oto apokaliptyczne szalbierstwo! To ono właśnie czyni nasze życie nieznośnym! To przez nie ludzie stają się tak wielkimi łajdakami, są tak niestrawni, jadowici.” (s. 120–121).

„Tak! Zastąpili już wyzyskiwaczy! Wytępiłi ich przemoc, głupotę, wybiegi, całe to reklamowane barachio! Ale ich następcy także sprzedają tandetne buble! Niewiele się zmieniło! Nowi sutenerzy pojawili się na estradzie! Spójrzcie tylko na tych nowych apostołów... wypasieni, ze śpiewem na ustach!... Złotouści... Wielka Rewolucja! Wielka Batalia! Tylko zdobycz marniutka! Pazerniaci przeciwko zachłannikom! A więc po to jedynie odbyła się cała ta bijatyka! W kulisach zmieniła się tylko firma... Nowe, nieoszlifowane jeszcze kamienie, neokremle, neodziwki, neoleniny, neojezusy!... Na samym początku byli nawet uczciwi... Ale teraz wszyscy już zrozumieli! (Ci, którzy do tej pory nie mogli niczego pojąć — na rozwałkę.) Oni nawet nie są winni, ale stali się znowu niewolnikami... Kiedy odchodzą jedni, zaraz pojawiają się następni... korzystają z doświadczeń... Czekają przyczajeni, jak nigdy... Za duszę robi teraz czerwona legitymacja... Ale ta karta, chociaż czerwona, przegrywa! Znają oni dobrze wszystkie triki, wszystkie plugawe zagrywki brzydkiego Proła...

Niech pompuje! Niech zasuwa! Niech defiluje! Niech się puszy! Niech denuncjuje wszystkich! Taka jego natura!... I nie zmienisz jej!... Prolu! Gdy siedzisz w domu, czytaj moją gazetę! No! Czytaj te brednie, ale tylko te! Nie waż się wziąć do ręki czegoś innego! Wgryzaj się łapczywie w potęgę moich przemówień! Ale ani kroku dalej, bydłaku! Albo skróć cię o głowę! Na to tylko zasługujesz! Za kraty!... Gdy w domu zjawia się policja, żeby cię zabrać, z góry wiadomo, czego się spodziewać!... Nie koniec na tym! Wszystko robią, żeby mieć czyste ręce! Zatkają dokładnie wszystkie wyjścia. Staniemy się »totalitarni!« Z Żydami czy bez Żydów. To bez znaczenia!... Najważniejsze to móc bezkarnie zabijać!... Iluż upartych wyznawców najprzeróżniejszych religii skończyło na stosie w zamierzonych czasach? Ilu w paszczach lwów... Na galerach... Którym Inkwizycja dobrała się do szpiku kości... A ilu zdechło na Niepokalane Poczęcie? Albo za trzy wersety z Biblii? Nie da się ich nawet zliczyć! Powody? Drobnostka!... Nie warto o nich wspominać! Czasy nie zmieniły się zanadto w tym względzie! Wcale nie jesteśmy bardziej wymagający! Zawsze potrafimy zdechnąć na coś, co i tak nie istnieje! Komunizm w konwulsjach!... W naszej sytuacji i tak jest już po ptakach!” (s. 130–131).

63 Jean Pierre Richard, *Nausée de Céline*, op. cit., s. 26 i 70.

64 Śladem tych złudzeń jest np. zdanie „Tak właśnie wygląda s k a ż e n i e tego systemu”, Céline, 130.

## WYKAZ PUBLIKACJI NIE CYTOWANYCH

The inevitable books about Russia.

· Harry M. Geduld

O kraju Ze-Ka nie mówi żadna sowiecka mapa, ani też żaden atlas. To jedyny kraj na świecie, w którym nie toczą się spory na temat Związku Sowieckiego, tu nikt się nie myli, nikt nie żywi złudzeń.

Juliusz Margolin

Wykaz publikacji nie cytowanych? Pewnie to i żart. Zrozumiały dla tych jedynie, co posiadli tajemnice aparatu. Edytorskiego, rzecz jasna. Jeśli jednak wychylić się z ram żartu, to łatwo stwierdzić, że w każdej z naszych prac odnaleźć można ślady lektur nie nazwanych. Z różnych powodów.



Po pierwsze, są to ślady lektur tych kilku książek lub rozpraw, lub esejów, które każdy z nas przeczytał choćby i wiele lat temu, i które – o ile tylko nie jest modnisiem – uczyniły zeń humanistę.

Po drugie, chodzić może o literaturę przedmiotu zahaczającą o temat naszej pracy, która to literatura jest tak ogromna, iż wymienienie jednej lub trzech pozycji w gruncie rzeczy mija się z celem i służyć by mogło jedynie biciu erudycyjnej piany. Nie ulega np. wątpliwości, że bez lektury iluś tam książek traktujących o stosunku inteligencji czy intelektualistów do dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych utopii, mój szkic o *Zaproszeniu i podróży do Sowietów* wyglądałby inaczej; jeśli w ogóle mógłby zostać napisany. Dlaczegoż tedy miałbym wymieniać akurat książkę Krishana Kumara *Utopia and Anti-Utopia in Modern Times*, Blackwell, Oxford 1987 (zawiera obszerną bibliografię!) – a nie siedem czy dziewięć innych? Siedem czy dziewięć spośród ani chybi siedmiu tysięcy ośmiuset czterdziestu trzech napisanych o s t a t n i o na ten temat.

Po trzecie, ów ciąg prac nie cytowanych powstaje jako rezultat selekcji, która – biorąc pod uwagę stan naszych bibliotek – bywa o tyle antyselekcją, o ile przypadek musi być przeciwieństwem wyboru. Podam dwa przykłady takiej selekcji-antyselekcji, dotyczące mego eseju. Nie wspomina ani Malcolm Muggeridge'a, ani Antona Ciligi. A przecież zarówno lektura *Winter in Moscow* (Londyn 1934), jak i *Au pays du grand mensonge* (Prais 1938) uświadomiły mi różne problemy podróży, którą się zajmuję. Jedyne, co mogę uczynić, to umieścić oba tytuły w wykazie pozycji nie cytowanych. Ale dlaczego tylko te? Dlaczego nie ową zdumiewającą mieszaninę bredni i wcale przenikliwego cynizmu, jakie znaleźć można w wypowiedziach Shawa z lat trzydziestych, licząc w to jego nieukończoną i wydaną dopiero w 1964 r. książkę *The rationalisation of Russia*. Taki wykaz można by ciągnąć stronicami.

Czytelnik jednak zapewne zauważył, że głównym przedmiotem mego zainteresowania jest j e d n a książka, j e d n a p o d r ó ż y i że całość problematyki ważna jest dla mnie o tyle, o ile przydatna być może dla wiedzy o literaturze przede wszystkim. Interesuje mnie tedy *Zaproszenie* Claude simona i – jako tło- pod-gatunek literacki, który nazwałem *podróże do Sowietów*. O ile wiem, z tego punktu widzenia nikt się ani *L'Invitation*, ani innymi relacjami z podróży do ZSRR nie zajmował.

Najlepiej to widać na przykładzie książki Paula Hollandera

*The Political Pilgrims: travels of Western intellectuals to the Soviet Union, China and Cuba 1928–1978*, Oxford University Press, Oxford 1981. Zanim powiem o niej kilka słów, wymienić mi jeszcze wypada dwie inne pozycje.

David Caute, *Communism and the French intellectuals 1914–1960*, London 1964

oraz tegoż: *The Fellow-travellers: intellectual friends of communism*, Yale University Press, New Haven 1988, wydanie uzupełnione i przejrzone.

Nie cytuję tych książek, ponieważ należą do elementarnego wyposażenia informacyjnego ludzi w jakikolwiek sposób zajmujących się tematem *intelektualiści a komunizm*. Jeśli ktoś pisze o „ukaszonych”, a książek Caute'a nie czytał, to najpewniej albo się potknie, albo wpadnie w pułapkę „odkrywania Ameryki”. Mam nadzieję, że przynajmniej tego drugiego udało mi się uniknąć.

O ile mi wiadomo, książka Hollandera jest w Polsce niedostępna, co nie tłumaczy faktu, że jest nieznaną. W końcu od dziesięciu lat można ją przeczytać w czasie jakiegoś pobytu za granicą. Niemniej, z uwagi na ową niedostępność, a także chcąc wyjaśnić, dlaczego *Political Pilgrims* znajdują się w wykazie pozycji nie cytowanych winienem przekazać czytelnikowi kilka informacji.

*Political Pilgrims* (ss. 524, z przypisami i bibliografią) to obfitująca w informacje książka o tym, co w latach 1928–1978 pisali zachodni jajogłowi po powrocie z Sowietów, Chin czy Kuby. Mimo pewne potknięcia – w szczególności ewidentna niewiedza o pamflecie Céline'a – Hollander opiera swój wywód na ogromnej ilości książek, o których istnieniu ja, na przykład, nie miałbym pojęcia, gdybym nie znał sporządzonej przezeń wybranej bibliografii. Na szczęście, pisząc mój esej, nie miałem pod ręką książki Hollandera, bo by mi to jedynie przeszkadzało. Operowałem wspomnieniem z przypadkowej literatury sprzed lat, wiedząc przy tym, że w gruncie rzeczy interesują nas różne sprawy i że włączanie do mego szkicu cytatów czy odwołań do książki Hollandera miałyoby się z celem, nie mówiąc już o tym, iż było technicznie niemożliwe. Wiedziałem też, że w jakiś sposób muszę istnienie *Political Pilgrims* „pokwitować”. Ponowna lektura tej książki jesienią 1991 r. podczas pobytu w Anglii dzięki stypendium British Academy, utwierdziła mnie w tym przekonaniu. Nadal tedy sądzę, że ewentualne cytowanie książki Hollandera informacyjnie byłoby nieistotne, a tylko rozbijałoby

poetykę mego tekstu. Choćby dlatego, że mimo ogrom materiału dowodowego, jakim posługuje się Hollander, piszemy – z jednym wyjątkiem – o różnych książkach. Tym wyjątkiem są dwa – *de facto* – teksty Gide'a: *Retour* i *Retouche à Retour*. Hollander odwołuje się do przekładu angielskiego (*Afterthoughts on the U.S.R.R.*), traktując go jako jeden tekst, który – inaczej niż ja – ocenia pozytywnie.

Nie to jednak stanowi główną przyczynę, dla której ewentualne porównywanie mego szkicu z rozprawą Hollandera byłoby sensowne w bardzo ograniczonym zakresie. O ile wolno mi jako zainteresowanemu zabrać głos w tej sprawie, to sądzę, że naprawdę ważne, ograniczające zasadność porównywania są dwie sprawy.

Po pierwsze tedy, mnie interesuje gatunek *podróż* – problem nie istniejący w świadomości badawczej Paula Hollandera. Wspominałem już (zob. przypis 15), że historycy rzadko kiedy zwracają uwagę na relację poetyka przekazu – treść przekazu. Przykład książki Hollandera jest uderzający. Wszak w tytule rozprawy umieścił on słowo „pielgrzymi” i słowo „podróż” (w sensie czynność podróżowania). I nie robi kroku dla badacza literatury oczywistego – w stronę gatunku *podróż*.

Po drugie, przedmiotem mojej analizy jest jedna *podróż*, która ukazała się po 1978 r., tj. po granicznej dacie badań Hollandera i po ukazaniu się pierwszej edycji *Political Pilgrims*. (Jeżeli w wydaniu trzecim – *Everyman's Book*, New York 1991, które do Anglii w czasie mego pobytu jeszcze nie dotarło – mowa jest o *L'Invitation*, to przepraszam.) Pozostałe *podróże*, o których piszę, traktuję jako gatunkowe zaplecze książki Simona. Hollander natomiast stara się opisać możliwie największą liczbę relacji z pobytu w ZSRR.

Różnic, ograniczających sensowność porównywania mego szkicu z książką Hollandera, jest oczywiście więcej. Choćby ta, że są to teksty realizujące różne poetyki. I jeśli przyjąć, że istnieje coś takiego, jak inteligencja danej poetyki, to można oczywiście wybierać (czego dokonałem) i oceniać (co na pewno nie do mnie należy).

Na czym, szczerze zachęcając zainteresowanych tematyką do lektury *Political Pilgrims*, ten oto wykaz prac nie cytowanych kończę.

Cambridge, październik 1991

## WYKAZ PRAC CYTOWANYCH

- Abramowska Janina: *Peregrynacja*, w: *Przestrzeń w literaturze*, pod red. M. Głowińskiego i A. Okopień-Sławińskiej, Wrocław 1978.
- Adams Percy G.: *Travel literature and the evolution of the novel*, University Press of Kentucky, Lexington (Ky) 1983.
- Adams Percy G.: *Travelers and Travel Liars, 1660–1800*, University of California Press, Berkeley 1962.
- Amalrik Andriej: *Nieżełannoje putieszestwije w Sybir'*. New York 1970.
- Arystoteles: *Retoryka. Poetyka*, przeł., wstępem i komentarzem opatrzył H. Podbielski, Warszawa 1988.
- Batter Charles L. jr: *Pleasurable instruction: form and convention in eighteenth century travel literature*, University of California Press, Berkeley 1978.
- Brachfeld Georges I.: *André Gide and the Communist Temptation*, Librairie E. Droz, Genève 1959.
- Butor Michel: *Powieść jako poszukiwanie*, przeł. J. Guze, Warszawa 1971.
- Cauter David: *Communism and the French intellectuals 1914–1960*, London 1964.
- Cauter David: *The Fellow-travellers: intellectual friends of communism*, Yale University Press, New Haven 1988.
- Céline Louis-Ferdinand: *Mea culpa*, przeł. O. Hede-mann, „Literatura na świecie” 1990 nr 12; prwdr. Denoël et Stelele, Paris 1937.
- Chesneau Albert: *Essai de psychocritique de Louis-Ferdinand Céline*, „Archives des Lettres Modernes” 1971 nr 129.
- Chesneau Albert: *La langue sauvage de Louis-Ferdinand Céline. Essai de stylistique thématique*, Université de Lille III, 1974.
- Ciliga Anton: *Au pays du grand mensonge*, Paris 1938.
- Conquest Robert: *The Great Terror. Stalin's Purge of the Thirties*, rev. ed., Macmillan, London 1973.
- Czalikowa Wiktoria: *Suszczestwujet li totalitarnoje mysz-lenije*, „Russkaja Mysl”, 28 lipca 1991.
- Duhamel Georges: *Voyage de Moscou*, Mercure de France, Paris 1927.
- Gedlud Harry M.: *Introduction to G. B. Shaw The Rationalisation of Russia*, Indiana University Press, Bloomington 1964.

- Gide André: *Retour de l'U.R.S.S. suivi de Retouches à mon Retour de l'U.R.S.S.*, Gallimard, Paris 1937 i 1938.
- Głowiński Michał: *Porządek – chaos – znaczenie*, Warszawa 1968.
- Hollander Paul: *The Political Pilgrims: travels of Western intellectuals to the Soviet Union, China and Cuba 1928–1978*, Oxford University Press, Oxford 1981.
- Jacquelin René: *Claude Simon: L'Invitation (Minuit)*, „Nouvelle Revue Française”, nr 424, maj 1988.
- Klatik Zlatko: *Vyvin slovenskoho cestopisu*, Bratislava 1968: wersja niem. *Ueber der Poetik der Reisenbeschreibung*, „Zagadnienia Rodzajów Literackich”, t. IX, 1968, z. 1.
- Koestler Artur: *Fragmenty wspomnień*, Instytut Literacki, Paryż 1965.
- Kołakowski Leszek: *Główne nurty marksizmu. Powstanie – Rozwój – Rozkład*, „Aneks”, Londyn 1988.
- Kołakowski Leszek: *Moje słuszne poglądy na wszystko*, „Aneks” 1978 nr 18.
- Kruczek Adam: *W sowieckiej prasie*, „Kultura” 1988, nr 5 (maj).
- Kumar Krishan: *Utopia and Anti-Utopia in Modern Times*, Blackwell, Oxford 1987.
- Lyons Eugene: *Assignment in Utopia*, London 1938.
- Lyons Eugene: *Our secret allies. People of Russia*, London 1954.
- Michajłow Michajło: *Lieto moskowskoje 1964. Miortwyj dom Dostojewskiego i Sołżenicyna*, przeł. z serbochorwackiego J. Truszyłowicz, Posiew, Frankfurt/M 1967.
- Miłosz Czesław: *Rok myśliwego*, Instytut Literacki, Paryż 1990.
- Morand Jacqueline: *Les idées politiques de Louis-Ferdinand Céline*, Bibliothèque Constitutionnelle et de Science Politique, t. XLVI, Paris 1972.
- Muggeridge Malcolm: *Winter in Moscow*, London 1934
- Niedzielski Czesław: *O teoretycznoliterackich tradycjach prozy dokumentarnej. (Podróż – powieść – reportaż)*, Toruń 1966.
- *Nouveau roman: hier, aujourd'hui*, ed. J. Ricardou, F. Rossum-Guyou, vol. I–II, Paris 1972.
- Poretzky Elizabeth K.: *Our own people. A memoir of „Ignace Reiss” and his friends*, London 1969.

- Richard Jean-Pierre: *Nausée de Céline*, Fata Morgana, Paris 1973.
- Russell Bertrand: *The Practice and Theory of Bolshevism*, George Allen, London 1949; prwdr. 1920.
- Sacker Hugh: *An Introduction to Wolfram's „Parzival”*, Cambridge University Press, 1963.
- Shaw George Bernard: *The rationalisation of Russia*, Indiana University Press, Bloomington 1964.
- Simon Claude: *La fiction mot par mot*, w: *Nouveau roman...*, Paris 1972.
- Simon Claude: *Le Palace*, Les Editions de Minuit, Paris 1962.
- Simon Claude: *Zaproszenie*, przeł. H. Igalson, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990; *L'Invitation*, Les Editions de Minuit, Paris 1987.
- Słonimski Antoni: *Moja podróż do Rosji, „Rój”*, Warszawa 1932.
- *Słownik terminów literackich*, pod redakcją Janusza Sławińskiego, Warszawa 1988.
- Stanton Domna C.: *The Aristocrat as Art. A Study of the Honnete Homme and the Dandy in Seventeenth and Nineteenth Century French Literature*, Columbia University Press, New York 1980.
- Encyclopedia Americana US Constitution Bicentennial Commemorative Edition (vol. 24), 1987.
- Wańkowicz Melchior: *Opierzona rewolucja, „Rój”*, Warszawa 1934.
- Webb Beatrice, Webb Sidney: *Soviet communism: a new civilisation?*, New York 1936; prwdr. London 1935.
- Wells Herbert George: *Russia in the Shadows*, Hodder and Stoughton, London (1920).
- Z. (Malia Martin): *To the Stalin Mausoleum*, „Dedalus”, Winter 1990.
- Zamiatin Jewgienij: *Gierbiert Uells*, w: *Lica*, Inter Language Literary Associates, New York 1967; prwdr. Epocha, 1922.
- Zimand Roman: *Literatura i okrucieństwo*, „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej”, t. 34, 1989.

## GATUNEK: PODRÓŻ\*

Słońce miało się ku czerwieni. Płaty śniegu, rozmazana czerń gleby, drgająca czerń cieni, zieleń oziminy. Sarny pasły się spokojnie, nie zważając ani na fukanie lokomotywy, ani na bliskość chałup–nie–chałup, domów–nie–domów. Pociąg pospieszny włókł się niczym czas w poczekalni u dentysty. Wiadomo było tylko, że do Przemyśla dotrzemy z kilkugodzinnym opóźnieniem.

Tam zaraz, na sąsiednim peronie – poinformował mnie Guccio Syberyjski, który w Przemyśle zna jedynie dworzec – stoi barak. Niby komora celna. Może jednak zdążymy na nasz pociąg. Ale ja byłem zdania, że czeka nas upojna noc listopadowa. W Przemyśle. I że najlepiej byłoby... Po raz n–ty w życiu pomyślałem, że należało zrobić coś innego niż zrobiłem. Prawdę mówiąc, tym razem niczego innego nie mogłem zrobić. Najwyżej nie pojechać, a przecież pojechać chciałem.

W pewnym momencie Guccio zaczął mnie egzaminować: jak mam iść z Dworca Głównego na Kochanowskiego. Powiedziałem, że przez Focha, Gródecką, Legionów... Guccio twierdził, że przez Sapiehy ku Pełczyńskiej, a potem przez Zyblikiewicza... Jak już będę na Pełczyńskiej, obruszyłem się, to krócej będzie przez Jabłonowskich.

Z ulicą Sapiehy, to miał rację. Ale za to wyliczając ulice świętych, zapomniał o św. Zofii i św. Jacka. Więc wyszliśmy na remis.

---

\* Druk w: „Kultura” (Paryż) 1983, nr 10–11; „Krytyka” 1983, t. XV; „Znak” 1989, nr 10–12.



Właściwie powinienem powiedzieć coś więcej o Guciu Syberyjskim i o tym, w jaki sposób znaleźliśmy się obaj tej właśnie środy w tym cholernym szlepcugu co miał być sznelcugiem. No, ale o Guciu nie da rady bez Michała. A skoro o Michale, to o Maurze (Gucio bardzo się martwił, że Maura za nim tęskni), o Maurze to o Szachu, o Szachu to o Barbarze. I robi się kompletny tristramszendy, na co nie mam najmniejszej ochoty.

## I

W czwartek około dziesiątej wieczorem – czasu obowiązującego – znalazłem się wreszcie w pokoju hotelowym. Tam, gdzie kiedyś rozciągała się zgiełkliwa gmatwanina straganów, czyli na Krakiedałach. Hotel jest nowy, nowoczesny i żeby wszystko się zgadzało kontakty wypadają ze ścian. Sposób na otrzymanie miejsca w tym hotelu opisał mi zawczasu kolega, można więc nazwać to, jak w tatarnictwie, wariantem Romana L.

Wariant oparty jest na trafnym założeniu, że człowiek dociera do Dworca późnym wieczorem i że nikt na niego nie czeka. (Spóźnić może się pociąg, albo telegram, albo jedno i drugie.) W tej sytuacji należy iść do hotelu na Krakiedałach i tak długo wymachiwać służbowym paszportem, aż się wreszcie otrzyma przepustkę, na podstawie której klucznica wyda klucz od numeru; za dobę kosztuje ta przyjemność 20 do 25 karbowańców, zależnie od tego, jaki pokój jest wolny. I płaci się to z własnej kieszeni następnego dnia, tj. po podjęciu diet, które skądinąd nie obejmują opłat hotelowych. Potem można spróbować wytoczyć proces: instytucji macierzystej, PKP, ministerstwu łączności... Możliwości wyboru są znaczne, włączając w to Historię, ale wariant Romana L. nie przewiduje wytaczania procesu.

Ja spóźniłem się o całą dobę. Albo o dwie. Albo o trzy. Bo to zależy jak liczyć, a tajemnica tego rachunku spoczywała na dnie szklanek po herbacie pracowników wydziału zagranicznego Polskiej Akademii Nauk i została, wraz z fusami, wylana przez sprzątaczkę. Tak spóźniony usiłowałem ominąć wariant Romana L. i *dirētissimā* dotrzeć do hotelu George'a. Co też, przy pomocy Gucia, który zapłacił za taksówkę, uczyniłem. Na nic się to nie zdało. Odprawiono mnie z kwitkiem, jako że nikt nie wiedział o tym, że mam tu zaistnieć. Stałem sobie tedy w hallu i zastanawiałem się usilnie nad tym, gdzie by tu można w spokoju ducha zapalić papierosa, bo to wydawało mi się sprawą niecierpiącą zwłoki. (Następnego dnia dowiedziałem się, że palić

wolno na ulicy, w parkach, w klozetach, w prywatnych mieszkaniach, w swoim numerze w hotelu. I na tym koniec.) Stałem tedy i marzyłem o papierosie, Gucio poleciał do automatu telefonicznego szukać noclegu dla mnie, a przez hall przewalał się tłum Węgrów. I wtedy podeszła do mnie panienska, która była odprawiła mnie z kwitkiem i zapytała, czy mam na pewno paszport służbowy. Co też jej natychmiast dowiodłem naocznie, dokładając jeszcze kilka papierków, z których wynikało, że Akademia, że Biblioteka, że służba, a nie drużba. To sobie obejrzawszy, panienska skierowała mnie na Krakiedały, czyli za jedyne możliwe uznała przejście wariantem Romana L. Co nie znaczy, że wiedziała co to są Krakiedały i jakie są założenia wariantu opracowane przez mego kolegę.

Mimo śnieg z deszczem, wierny Gucio pomaszerował ze mną przez plac Mariacki i całą Legionów. I dopiero kiedy upewnił się, że dostanę pokój – ruszył do któregoś ze swoich kolegów gimnazjalnych, co mieszka tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, czyli tuż pod Skniłowem.

## II

Tak więc w czwartek około 22,00 zacząłem się zastanawiać czy zażyć środki nasenne, czy też wyjść do miasta. W końcu uznałem, że jeśli połknę reladorm i megadon oraz zamówię budzenia na pół do ósmej, to mogę wyjść na trzy kwadransy. Akurat tyle, by dojechać na Akademicką i popatrzeć na dom, w którym mieszkała Irka Z.

Kilka lat temu z „Zeszytów Historycznych” dowiedziałem się, że Irka mieszka w Kalifornii. Ale nie zdobyłem się na napisanie listu. *Szanowna Pani, pozwalam sobie skreślić do Niej słów tych nieśmiały parę. Wiosną 1939 r. całowaliśmy się w szkolnym ogrodzie i jest pani pierwszą dziewczyną, którą całowałem „naprawdę”. Wywarło to na mnie wówczas ogromne wrażenie. Większe niż moment, kiedy na Pani imieninach pojawił się Pani ojciec w całej okazałości swego generalskiego munduru i przywitał się z każdym z nas jak gdybyśmy byli dorośli. A mieliśmy dwanaście do piętnastu. Najbardziej dumny byłem jednak ze szczególnego wyróżnienia: byłem jedynym chłopcem z naszej klasy, którego chciała Pani zaprosić...* Nie, no list bez sensu. Irko, Irko zostańmy tam, na ścieżkach ogrodu szkoły im. Zofii Strzałkowskiej, albo na spacerze: przez Chorążczyzny, obok Ossolineum w górę ku Cytadeli. Mieszkała tam Twoja przyjaciółka, Danka, którą

my, chłopcy, nazywaliśmy „adiutant trzy kroki z tyłu”. Czy wiesz, że nasza szkoła była założona w 1895 r. — jako pierwsze w Galicji żeńskie gimnazjum? Nie pensja, lecz właśnie normalne gimnazjum.)

Trochę mnie w planie tego spaceru niepokoił fakt, że paszport zostawiłem w recepcji pod zastaw jutrzejszej zapłaty, ale uznałem, że przepustka do hotelu może ująć za dokument.

### III

Iks Siostra twierdzi, że jestem sentymentalny. I że sentymentalni są wszyscy mężczyźni. Czego ona nie lubi.

Wybacz — odpowiadałem — ale wolałbym, o ile to tylko możliwe, byś w stosunku do mnie używała taksonomii innej niż „wszyscy mężczyźni”. Nie przemawia przede mną pycha, ale kategoria „wszyscy mężczyźni” pasuje do dekretu o powszechnej mobilizacji.

Skądinąd część mężczyzn to zapewne ludzie sentymentalni. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, czy należę do nich. Wedle mego rozumienia sentymentalizm nie jest sprawą płacziwej uczuciowości — co trudno byłoby mi przypisać — lecz sposobem widzenia i opisywania świata. Nie wydaje mi się, bym był sentymentalny w tym rozumieniu, ale nie mnie o tym wyrokować.

Dawno temu Ronsarda powiedziała mi: dlaczego tyłu uroczych cyników w łóżku zmienia się w płacziwych werterów, a na odwrót nigdy?

Zapytałem, czy mam powiedzieć coś cynicznego, ale odpowiedziała, że nie i dodała:

– To jedna z twoich nielicznych zalet.

– Co?

– To, że tak naprawdę wcale nie jesteś cyniczny. Co gorsza, masz zasady, a to bywa zupełnie nie do zniesienia.

– Och, tak niewiele — odpowiedziałem.

No, bo po pierwsze, co niby miałem odrzec, a po drugie, całość jej wypowiedzi wydawała mi się trochę niezborna.

### IV

Więc wyszedłem z hotelu. Wciąż wiało i padał śnieg z deszczem. Robiło się nieco cieplej.

Ale nie poszedłem na Akademicką, gdzie mieszkała Irka, a na przeciw, na tym samym piętrze Zdzisiek E. z dziesiątej budy, który zginął w 1942 albo 1943 roku. Raczej nie w Europie.

Przez Wały Hetmańskie doszedłem do placu Mariackiego i skręciłem w Sobieskiego. Tak mi nagle wyszło, że nasamprzód powinienem poszukać choćby śladów bóżnicy Złotej Róży (Szoszana Zachawa). Chyba się to wszystkim należy. Ojcu. Matce. Nawet mnie. Ostatecznie tu rozwinęto przede mną zwój Pisma, tu srebrną rączką wskazano mi fragment, który mam odczytać na głos. Tu zostałem — w każdym razie przed obliczem Pana — uznany za dorosłego, to znaczy odpowiadającego za swoje czyny. Był rok 1939, pochmurny dzień listopadowy.

I tylko nikt nie wiedział, że według ludzkich rachunków jest już po herbacie. Wszyscy myśleli, że to mała, nieprzyjemna przerwa, która skończy się na wiosnę. No, może latem.

Trochę błędziłem, bo na Blacharskiej stoi jakiś parkan, którego sobie nie przypominam, a brama obok zamknięta jest na głucho. Ale po chwili, idąc ku Podwalu, zobaczyłem puste miejsce i tylko jedną wznoszącą się wysoko ścianę z zamurowanymi wykuszami okiennymi. Na jednym gotycko-renesansowym wykuszu ktoś napisał grażdanką: *haraż*. Na drugim — serce przebite strzałą i łacinką: *Love hippy*. U stóp ściany zdążyły wyrosnąć dwa drzewa. Więc tyle osiągnęli do spółki: austriacki ideolog, postuluszny mu naród poetów i myślicieli oraz anonimowi miłośnicy samochodów i hippiesów...

Postałem chwilę i powiedziałem: Panie, w którego nie jest mi dane wierzyć, Ty wiesz, że to jest moja prywatna Ściana Zachodnia. Tu mógłbym stać i płakać. Ale nie płakałem. Postałem niemy w sobie. Potem odmówiłem *Szema: Słuchaj Izraelu, Bóg Twój jest Bogiem jedynym*. I przez Serbską, Rynek, plac Katedralny, przez Ruską i Wały Hetmańskie wróciłem do hotelu.

Padał deszcz ze śniegiem.

Środki nasenne zaczęły działać i po przeczytaniu kilku stron Musila zasnąłem.

Następnego dnia poszedłem jeszcze raz w to miejsce, by w świetle dziennym sprawdzić, czy się nie pomyliłem. Tym razem od placu Bernardyńskiego i Wałowej, tak jak chodziliśmy z ojcem, więc trafiłem od razu. Ściana stała równie wysoka jak minionej nocy, jak na początku XVI wieku.

### V

W piątek po południu zasypiałem nad szkicem Wiktora Hahna o *Samuelu Zborowskim*. Dziwaczna to lektura, ale jeszcze dziwniejszy jest powód, dla którego po nią sięgnąłem.

Okazało się mianowicie, że bardzo nie lubię, gdy się mnie nie dopuszcza do katalogów. Nie, żeby ze względów zasadniczych, choć i te można nazwać bez trudu, ale przede wszystkim dlatego, że bobrowanie po katalogach uważam za jedną z nielicznych przyjemności związanych z tym zespołem zachowań, za które na całym świecie humaniści otrzymują co miesiąc, lub co rok określoną – dla danego kraju i danej kategorii służbowej – sumę pieniędzy. Kiedy więc miła, uprzejma i przystojna paniienka powiedziała mi, bym dał jej spis tytułów, o które mi chodzi i po chwili przydzwigała trzy szuflady, poczułem się jak mały chłopiec, któremu miast spodziewanej kolejki na szynach wręczono jeden odcinek szyn i węglarkę. (Później zrozumiiałem, że wręczając mi całe szuflady, paniienka i tak przekroczyła swoje kompetencje.)

No, to już z samej złości nie przepuściłem ani jednej fiszce. A kiedy okazało się, że książeczkę Hahna można dostać szybciej, niż czasopisma i że część czasopism jest gdzie indziej, to zacząłem od tego nieszczęsnego *Samuela Zborowskiego*, który jest nudny w wykonaniu Wiktora Hahna, nudny w wykonaniu Hanuszkiewicza i – podejrzewam – nudny w wykonaniu samego Słowackiego.

Ale przedtem jeszcze załatwiłem wszystkie sprawy, które można określić mianem akredytacji i, około południa, tryumfalnie wylądowałem u George'a, którego to tryumfu oprócz mnie jakoś nikt nie zauważył.

I tym razem zacząłem swoją pielgrzymkę na dobre. Raz jeszcze, jak wspominałem, na Błacharską. Potem Akademicka, Romanowicza, przeciąć Zyblikiewicza i przez Kącik na Jabłonowskich. (Jabłonowskich w tym miejscu poszerzono, a kawałek dalej, na Zielonej przebito przedłużenie Konopnickiej wychodzące wprost na halę sportową i krytą pływalnię.) Potem w górę Zieloną obok sklepu Mincerki, za którym zaczynały się ogrody i boiska szkoły. Sklepu Mincerki, rzecz jasna, nie ma, szkolnych boisk i ogrodów też nie, ale szkoła stoi. Potem przez Zamoyskiego na Kochanowskiego, w dół do Batorego, obok Kasy Chorych na Fredry i obiad w Romie. W Romie mieści się dietetyczny bar samoobsługowy. Jest zresztą rzeczywiście samoobsługowy. A w Szkockiej prawdziwa – i chyba jedna z nielicznych – prawie-kawiarnia.

Ja bym jednak na murach Szkockiej przybił tablicę z napisem: Tu w latach... powstawała przy stoliku kawiarnianym słynna

„Księga Szkocka”, żartobliwe zwierciadło problemów, rozwiązań i wielkości polskiej szkoły matematycznej.

Regina opowiadała mi, że w 1941 r. okazało się, iż właściciel Romy od dawna był agentem hitlerowskiego wywiadu. A ja pamiętam, że w Romie były wspaniałe lody kawowe i że od ojca najłatwiej można było wyciągnąć 50 groszy (suma niebagatelna) gdy w bocznej salce grał w karty.

## VI

Ogromne przestrzenie dla wyrwijącego się spod opieki dziesięcio–dwunastoletniego chłopca. Obszary między Pohulaną, Zniesiem, Wysokim Zamkiem, basenem na Zamarstynowskiej, cmentarzem Janowskim, między Keiserwaldem a Żelazną Wodą, między cmentarzem Łyczakowskim i cmentarzem Orłąt a Dworcem Głównym są *de facto* niewielkim miastem.

Cała moja pierwsza wędrownia nie trwała chyba godziny. A zatrzymywałem się. Na Romanowicza pod 11–tym, na Kochanowskiego pod 27–ym. I tu i tam wszedłem na drugie piętro, a na Romanowicza wszedłem również na podwórze, by zobaczyć powyginane resztki ręcznej windy, przy pomocy której Miła lub jej narzeczony Miśku wciągali węgiel. Kręcenie korbą imponowało mi o wiele bardziej, niż naciskanie guzika na dostojnej powolnej windzie dla „państwa”. Z Romanowicza na Kochanowskiego przeprowadziliśmy się kiedy miałem siedem lat.

Mógłbym więc podzielić moją pamięć. Na przykład: ogród botaniczny, Ruta, pokój śniadaniowy na rogu św. Mikołaja i... (Dulębianki?), służąca Miła, matura Heli, córki ciotki Rózi z Delatyna – to wszystko należy do Romanowicza. Potem jest ulica Kochanowskiego. A potem miejsce zmienia się w czas. Mobilizacja, oblężenie Lwowa; z Jurkiem Mannheimem, który mieszkał na Zamoyskiego pod 10–ym, postanowiliśmy przedostać się do Gródka Jagiellońskiego, gdzie toczyła się bitwa z Niemcami, ale już na Batorego złapała nas jego matka i nieświadoma naszych planów zapędziła do kolejki po mięso. Budowanie barykad. Milczenie radia. 19 września.

I dwa ostatnie wspomnienia.

10 kwietnia. Jedziemy – matka, Zygmunt, mój najstarszy brat i mecenas Kaufmann – do prokuratury Żelieznodorożnego Rejonu przy ul. Brajerowskiej by wyjaśnić, dlaczego aresztowano ojca.

Mamo, nie gniewaj się, ja wiem, że to było tragiczne, ale

cały ten pomysł, a już w szczególności ten adwokat (czy zdawał sobie sprawę, że dokonuje bohaterskiego wyczynu, czy też uważał, że nadal normalnie wykonuje swój zawód?), cały ten pomysł był z innego świata. A pierwszym rezultatem naszej interwencji było to, że obywatelka prokurator tegoż wieczora wprowadziła się do naszego mieszkania.

Potem świt nad Filipówką. Siedzimy w ciężarówce. Mama, ja i młody żołdat. I czekamy. Potem doładowują młodą kobietę z dwoma chłopczykami i jedziemy na Podzamcze. Z zaryglowanego wagonu towarowego nie widać ani dworca, ani Wysokiego Zamku.

Ta periodyzacja pamięci jest względna. Obejmuje pewne jej obszary, nie dotyczy innych.

Na przykład weteranów Powstania Styczniowego. Po prostu ich pamiętam. I tyle. Należą do całości, a nie do jakiegoś jej fragmentu. Tak jak do całości należy niemal bezbłędna pamięć topografii. Nie umiałbym powiedzieć w jaki sposób, bez cienia wahania trafiłem przez Ogród Jezuicki do cerkwi św. Jura, a potem na ulicę Bema (gdzie mieszkała ciotka Ruchla, lub – jeśli kto woli – Rachela). I to mimo, że na rogu Gródeckiej i Bema nie ma śladu po składzie drzewa, który należał do ojca i jego brata, i w którym pracowała jedna ze staropanieńskich córek ciotki Judyty z Zamoyskiego; ta młodszą, weselszą. Po prostu wiedziałem jak iść. Tak jak po prostu, idąc wieczorem od strony nowego parku przy Żelaznej Wodzie przez nową Zieloną, nagle w pewnym momencie wiedziałem, że znajduję się u wylotu Tarnowskiego. Wiedziałem i tyle. I tylko nie pamiętam czy pani Terlecka mieszkała na Tarnowskiego pod 30–ym czy pod 32–im.

Całą tę trzygodzinną wyprawę odbyłem w niedzielę i jeszcze do niej wrócę. A na razie trzymamy przy piątku.

Periodyzacja pamięci w niewielkim stopniu uwzględnia się konkretnych wspomnień. W „Wysokim Zamku” Lem do najtrwalszych obrazów swego dzieciństwa zalicza sklep z zabawkami Klastena oraz stukot kopyt końskich na drewnianej kostce, którą wyłożona była jezdnia między Uniwersytetem a Ogrodem Jezuickim. Ja też, mimo że w przeciwieństwie do Lema nie lubiłem Ogrodu Jezuickiego. I byłoby nieprawdą, gdybym powiedział, że wspomniane przed chwilą wydarzenie z Brajerowskiej, Filipkówek czy Podzamcza pamiętam silniej od owego stukotu kopyt po drewnianej jezdni. Co gorsze, na nic bym tego stukotu kopyt nie zamienił. Było i jest w tym coś cudownego, niezwykłego. Pięćdziesiąt lat XX wieku i kopyta końskie na drewnianej jezdni!

A wywózki są w XX wieku normalne i nie ma w nich niczego cudownego. O ile wiem, jako sposób rozwiązywania problemów politycznych, wywózki stosowali Rzymianie (po zburzeniu świątyni i w sześćdziesiąt lat potem, po upadku powstania Bar Kochby), i zupełnie niezależnie od nich, w XII i XIII w. Mongołowie. Co prawda, Rzymianie wymyślili jeszcze parę innych rzeczy, zaś Mongołów nie chciałbym obrażać niestosownymi porównaniami... Zresztą Historia jest kiepską pocieszycielką wywożonych. Więc wracam do piątku.

## VII

Nie wiem, jakby to miało o mnie świadczyć, ale lubiłem swoją szkołę.

Jedyną koleżanką szkolną, którą udało mi się spotkać po wojnie jest Maja. Niedawno widzieliśmy się na jakimś zebraniu w audytorium maximum gmachu Fizyki. Kiedy po zabraniu głosu wróciłem na miejsce, Maja odwróciła się ku mnie i powiedziała: nie przynosisz wstydu szkole im. Strzałkowskiej.

Mam nadzieję, że w sumie ta nie istniejąca szkoła nie potępi mnie.

Sklep Mincerki był nieodłączny od szkoły. Rączki, stalówki, zeszyty, cyrkle, kredki, raderki. No i „Świat Przygód”, „Karuzela”, *Harry Dickson*, *Lord Lister*, *Sierżant King z Królewskiej Konnej*. Mincerka pozwalała przeglądać te skarby bez obowiązku kupowania. Może nas lubiła, może wiedziała, że i tak wyjdzie na swoje, może i jedno i drugie. Sklep Mincerki był swoistym klubem jedenasto- i dwunastolatków. Jedyne klubem towarzyskim, do którego udało mi się należeć.

I rodzice, i szkoła zwalczały te lektury (słowa *komiks* jeszcze nie znano; zresztą były to nie tylko komiksy). Ale prawdę mówiąc, niemrawo. Najpewniej i rodzice i nauczyciele sądzili, że lektura *Harry Dicksona* jest stratą czasu, ale ich upomnienia pełne były rezygnacji. Wiedzieli, że tej bitwy z połączonymi siłami Mincerki i *Lorda Listera* nie wygrają.

Z Mincerką wiąże się jedno bardzo silne i ważne wspomnienie.

Po głośnym przemówieniu Sławoja, w którym użył on osławionego zwrotu „bojkot gospodarczy – owszem”, kuratorium najwidoczniej kazało – mówiąc dzisiejszym językiem – przemieścić je do szkół. W mojej klasie zadanie to przypadło w udziale naszej pani od polskiego.



Pani Terlecka była jedyną prawdziwą nauczycielką jaką miałem w życiu. Przed tamtą wojną była w PPS-D, potem w P.O.W. Często prowadziła nas do dworku, w którym zatrzymywał się Piłsudski jako komendant Strzelca. Nie pamiętam już, czy dwork ten należał kiedyś do rodziny jej męża, czy też do jej rodziców. Dla niej te wycieczki miały zapewne charakter pielgrzymki do sanktuarium bohaterskiej młodości. Ale ponieważ nie robiła tego z namaszczeniem (jak się rzekło była znakomitym pedagogiem) więc lubiliśmy te wyprawy, het w górę ulicą Zieloną i potem gdzieś w stronę parku Żelazna Woda, właściwie za miasto.

Otóż przemówienie pani Terleckiej o bojkocie gospodarczym Żydów było kompletnym niewypałem. Nasza biedna pani wiała się nieporadnie. A ja po raz pierwszy w życiu doznałem owego strasznego uczucia dziecięco-młodzieńczego wstydu za osobę dorosłą, którą się kocha lub szanuje. (Opisał to Salinger, w którymś z opowiadań o Franny i Zooey.)

Właśnie przy okazji tego bojkotu padło nazwisko Mincerk, choć wcale nie wiem, czy była ona „z Niemców w szlafmicy”, czy też „miała cadyka w rodzinie”. Myślę, że pani Terlecka też tego nie wiedziała.

No i tyle. Gmach szkoły stoi i nawet mieści się w nim szkoła. A sklepiku Mincerk nie ma.

## VIII

Może jednak coś dodam.

Dzieciństwo spędziłem w świecie, w którym istnienie antysemityzmu było czymś w pewnym sensie normalnym. Ale był to też świat, który uznawał prawo do inności. Moi koledzy-chrześcijanie nigdy nie telefonowali do mnie w sobotę czy w święta żydowskie, podobnie jak ja nie dzwoniłem do nich w niedzielę, czy w dniu Bożego Ciała. I widzę w tym dowód wzajemnego szacunku, a nie dyskryminacji.

Wiedza o istnieniu antysemityzmu miała różne skutki. W tym również zabawne.

Uczyłem się dobrze i bez trudu. Ale jedynym przedmiotem mojej troski było mieć jedynekę z gimnastyki. Jedynekę, tzn. bardzo dobrze. Bo jeśli źle gimnastykował się czy partaczył w futbolu, powiedzmy, Tadzio T. znaczyło to jedynie, że Tadzio jest ciapa. Ale gdybym źle gimnastykował się ja... O, to inna sprawa. Grałem w nożną czy dwa ognie z jakimś niejasnym poczuciem,

że kopię i biegam za zbiorowość, za którą czuję się odpowiedzialny. I miałem jedynekę z gimnastyki. Co sobie po dziś dzień chwalebę. (Dbałem też o to, by nie mieć „bardzo dobrze” z zachowania, bo to znaczyłoby, że jestem prymusem.)

I historyjka, którą opowiedział mi Gucio Syberyjski, kiedy w sobotę poszliśmy na Zamarstynów, gdzie pokazał mi swój dom i swoją — piątą — budę.

Syn dyrektora Guciwego gimnazjum był ONR-owcem. Paradował w dekle, z lagą i mieczykiem Chrobrego w kłapie. Ktoś mu kiedyś powiedział: *Ta pani Edku, ta wyjuł by pan ten parasul z kłapy, bo jeszcze jakiś batiar panu przyleji.*

Na co pan Edek odpowiedział: Ta mnie tu, na Zamarstynowie, wszyscy Żydzi znaju. Mnie tu nikt nie pozwoli dotknąć.

Różne rzeczy można o przedwojennych ONR-owcach powiedzieć, ale nie to, że byli odważni w pojedynkę. Preferowali taktykę dziesięciu na jednego.

O ile pamiętam, gatunek podróz uznaje coś takiego jak przypisy. Więc na zasadzie przypisu.

Pierwszym polskim uniwersytetem, na którym jako argument polityczny i symbol pojawiła gruba laska był Uniwersytet Jana Kazimierza. Laskami zaczęła się posługiwać około 1910 r. młodzież narodowo-radykalna, tyle że ukraińska. Bardzo byli tym wszyscy zgorzseni. Później niektórzy jakoś się przyzwyczaili, a laski zmieniły narodowość.

## IX

Wieczory piątkowy i sobotni włączyliśmy się z Guciem po mieście. W piątek ja go oprowadzałem po Romanowicza, Zielonej i Kochanowskiego z przyległościami. W sobotę on mnie po Zamarstynowie.

Od Gucia dowiedziałem się, że rabina Kahane, który uczył mnie w szkole religii, ukrywał w swoim pałacu metropolita Szeptycki.

Nie pamiętam już gdzie przeczytałem, że kiedy metropolita spotykał się ze swoim bratem-generałem, to rozmawiali po francusku.

Napisawszy poprzednie zdanie, nagle uświadomiłem sobie, że władca łucki, który za papieża Klemensa VII podpisywał Unię, nazywał się Terlecki. Niewykluczone, że Ostap Terlecki, działacz ukraińsko-wiedeńskiej „Siczy” z lat 70-tych u.w. był

bliskim krewnym męża „naszej pani”, kpt. Terleckiego, legionisty, który zginął, zdaje się, w 1920 r.

Ten kawałek kuli ziemskiej zwiariowany był akurat w taki sposób.

## X

„Iris”. Pismo Literackie i Artystyczne. Organ Koła Literacko-Artystycznego. Ukazywał się w latach 1899 i 1900 najpierw jako miesięcznik, potem jako dwutygodnik.

Kazimierz Czapelski w korespondencji z Krakowa („Iris”, nr 4):

„Czasopismo akademickie, założone w setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza p.t. »Młodzi«, a więc organ uniwersytetu krakowskiego i lwowskiego, poważyło się w łamach swych wśród mniej lub więcej udatych artykułów zamieścić rzecz posła Ignacego Daszyńskiego *O stanowisku młodzieży akademickiej w społeczeństwie*. Nie poruszając treści artykułu przeciętnej wartości (obejmującego jednak doskonały ustęp o kulcie... nagiej duszy), sam fakt, iż młodzież dopuściła do współzawodnictwa w swoim piśmie socjalnego demokrate, nie uznającego ojczyzny, narodowości – fakt ten daje sporo do myślenia, a zarazem wywołuje zupełnie uzasadnione oburzenie. Znaczna też część młodzieży, na umyślnie zwołanym wiecu zaprotestowała przeciw temu, uchwalając równocześnie, nieznaczną niestety większością, iż odtąd „Młodość” nie może się uważać za organ akademicki, co też wyrażono w ciepło napisanym z miłością ojczyzny, choć może nieco konserwatywnym zabarwionym liście otwartym.”

Jest sobota. Siedzę w bibliotece na Ossolińskich tyleż jako lektor co jako skryba i myślę sobie: Marto, Tereso, Grażyno, straszne rzeczy działy się u was, w tym Krakowie! Jakież socjały, jakieś nagie dusze. Gdyby nie Czapelski, pewnie byśmy nie mieli ani ojczyzny, ani literatury.

## XI

Niedziela była cudowna.

Wyspałem się.

Przed obiadem byłem w Ogrodzie Jezuickim, przy cerkwi św. Jura, na ul. Bema. Potem Gródecką w dół do Brajerowskiej. Potem Uniwersytet, Kościuszki, pl. Smolki, 3 Maja.

Po obiedzie przez Akademicką, św. Mikołaja, Długosza do Ogródu Botanicznego przy Starym Uniwersytecie. Był smutny,

taki, jakim go pamiętam i tylko znacznie mniejszy. Chwilę szukałem kamiennego kręgu, przy którym bawiłem się z Rutą. Jest. (Wśród cudownych, zmyślonych na ogół opowieści Piotra Rawicza, jest i taka o Rucie, o nim i o mnie. Nie potrafię jej powtórzyć, choćby dlatego, że fabuły Piotra są znakomicie przezeń odgrywane. Wspomniana przed chwilą jest wspaniąta i zupełnie nieprawdziwa. Prawdziwa natomiast jest jego opowieść o losie Ruty w latach 1942/3. Prawdziwa i przerażająca; nawet dla ludzi mego pokolenia w tej części świata.)

Snując się po ścieżkach Ogródu Botanicznego przypomniałem sobie, że bywałem tu również po przeprowadzce na Kochanowskiego; głównie chyba w porze kasztanów. To tu przecież Waldek F., zwany Rudym Napoleonem, powierzył mi straszliwą tajemnicę: jeśli się chce, by dziewczynka miała dziecko, należy ją położyć, mocno ugniatać boki i dać do picia mocz. Tak się właśnie uczenie wyraził: mocz.

Do dziś zachodzę w głowę, jak on na to wpadł.

Swoje przezwisko Waldek zawdzięczał temu, że był rudy i żywił bezmierny kult dla Cesarza, o którym, jak na ucznia trzeciej czy czwartej klasy wiedział bardzo dużo. Co prawda, nie były to informacje tak zbijające z nóg, ani równie tajemnicze jak jego wiedza o prokreacji.

Waldek był ofiarą swego przezwiska i kultu, jakim otaczał Napoleona. Raczej cherlawy, rzucał się w wir wszystkich szkolnych bijatyk. I obrywał. Nie tylko od Andrzeja B. czy ode mnie, którzy byliśmy najsilniejsi w klasie, ale od wszystkich, z wyjątkiem małego Wojtka J. Żaden z nas nie był na tyle inteligentny by domyśleć się, że Waldek był naprawdę bohaterski. Ruszał do bójki wiedząc, że dostanie, ale wiodła go, silniejsza od tej wiedzy, dziecięca wizja mostu Arcole.

## XII

Przez Supińskiego w dół do zbiegu Pełczyńskiej, Zyblikiewicza, Stryjskiej, Jabłonowskich i św. Zofii.

Caraciola na czerwonym Bugatti.

Musiałem wówczas mieć mniej niż pięć lat, bo była ze mną nie żadna guwernantka, lecz ukochana niania o cudownym imieniu panna Buzia. Z Brodów.

Więc właśnie tu, pod opieką panny Buzi, z balkonu jednego z domów przy pl. św. Zofii oglądałem wyścigi samochodowe. Jedyne, jakie widziałem w życiu. Ale i tego widziałem niewiele.

Tyle co między słupkami balkonu. Pamiętam ryk motorów, to że wozy wypadały z Pełczyńskiej i skręcały w Stryjską. Ale najsilniej w pamięci utkwiło mi zdanie: Caraciola na czerwonym Bugatti.

Di Di, moja uczona koleżanka, wielbi Freuda i Bachtina, pewnie by znalazła w tym jakiś klucz i wyjaśniła jaką tajemnicę.

Ale ja myślę, że to jest tak jak w *Dunazadjadzie* Barta: klucz do skarbu jest skarbem. Nie ma w tym żadnej tajemnicy prócz czystego zachwytu dziwnie brzmiącymi słowami: Caraciola na czerwonym Bugatti. I żadnej wiedzy prócz tej, że do takich zachwyków zdolne jest czteroletnie dziecko.

### XIII

W górę ulicą Stryjską ku temu wejściu do parku, od którego skręcało się w lewo do piaskownicy. Za piaskownicą ciągnęła się zawsze cienista aleja gdzie graliśmy w doglido, albo scyzorykami w kraje.

(Mój zdumiony po dziś dzień zachwyty, kiedy okazało się, że mama świetnie gra w hacele. Gdzie i kiedy się nauczyła? Na jakimś podwórku zamożnej, żydowskiej dzielnicy Stanisławowa? W Hochschule für Madchen, do której nie mogła długo uczęszczać, bo przecież wyszła za męża za ojca, mając szesnaście lat?)

Jest i piaskownica i aleja. A w dole staw. Potem obok pomnika Kilińskiego do piaskownicy na przeciwległym zboczu i w górę na plac Powystawowy. Górna część ulicy św. Zofii (gdzieś tu była pętla tramwajowa, ale jej nie ma) i boczną uliczką w lewo. Wertepy, resztki lasu, niemal chałupy, prawie wille. I jest: Żelazna Woda.

Żelazna Woda. Opaleni zawodnicy mistrza miasta – Czarnych, szmer podziwu, gdy na basem wchodziła 14-letnia chyba wówczas Basia Bittnerówna. Ale przede wszystkim pływanie. I zawody: kto dłużej wytrzyma pod wodą. Mój rekord – 81 sekund.

Robi się już ciemno. Poszedłem jednak na Dwernickiego pod gmach VIII budy, a potem znowu pod górę. Tu gdzieś powinien być dworek, o którym wspominałem. I w tej samej okolicy kąpielisko Zielone Oko. To wszystko nazywało się Snopkówka, ale dla wtajemniczonych topografia była dokładniejsza: jary i wertepy Filipówki, Kwiatkówki. Ale jest tylko nowy park. Chociaż nie – zostały jakieś resztki wertepów, tylko że w mesztach nie przejdę po tym błocie. Jest jakaś ścieżka. I w tym kierunku musi być Zielona rogatka. Jest jakaś szeroka ulica. Prawda, Gu-

cjo mówił mi, że Zieloną przedłużono i że zbudowano nowe osiedla. Więc w dół. I to musi, musi być Tarnowskiego. Zgadza się.

### XIV

Tak się złożyło, że większość tego co zwiedzałem w Europie, zwiedzałem z Kosią. A w paru pięknych miejscach byłem sam. W Atenach, w Jerozolimie, w L'Argentière. Sam byłem pierwszy raz we Wiedniu i w Holandii. Sam zjeżdżałem z Le Grande Monté i w pewnym sensie sam z Aiguille du Midi. W pewnym sensie, bo tak naprawdę, to samoczwart z przewodnikiem.

Czasami, na przykład w Delfach, myślałem sobie, z kim bym tu posiedział i pogadał. Kiedy indziej, na przykład na przylądku Sunion, do głowy mi nie przyszło, by znaleźć się w czymkolwiek towarzystwie.

Idąc od Żelaznej Wody w górę i dalej przez Zieloną i Tarnowskiego do miasta zastanawiałem się, czy chciałbym tu być z kimś. Myślałem też o tym w ciągu następnych dni i wólczeg. I w końcu doszedłem do wniosku, że nie chciałbym tu i teraz być inaczej niż sam.

Och, oczywiście, przyjechałbym tu jeszcze raz; przede wszystkim z Kosią. Ale mając już za sobą cały ten świat pierwszej podróży, którego nawet jej współczulność – jeśli wciąż trwa – nie mogłaby znieść.

Ta podróż jest moja i tylko moja. Wędrówki po mieście i po dzieciństwie. Godziny w bibliotece. Pisanie tego wszystkiego, nocą, w hotelu. Ale jeśli moje, własne, prywatne, to dlaczego piszę? Bo ja wiem? Głównie zapewne dlatego, że zasypiam bardzo późno, a jakoś nie wciągnąłem się w lekturę *Człowieka bez właściwości*.

Kiedyś napiszę dwa pamflety (oczywiście nigdy nie napiszę):

– dlaczego nie należy ufać ludziom, którzy kontaktują się wyłącznie z arcydziełami;

– dlaczego można się nie zachwycać wszystkim, czym wypada się zachwycać.

Jeśli dobrze zrozumiałem *Krytykę władzy sądowniczej* to zawarta jest tam m. in. taka myśl: sądy estetyczne (w naszym, a nie Kantowskim rozumieniu terminu) są to sądy subiektywne, których cechą wyróżniającą jest m. in. to, że każdy wypowiadający dany

sąd zachowuje się tak, jak gdyby był to sąd powszechnie obowiązujący.

## XV

Znalazłem się na Zielonej, obok szkoły. Przez Pola i Gosiewskiego doszedłem do Domagaliczów, gdzie mieszkała ciocia (a właściwie kuzynka) Hania. Jej córkę, Lilkę, młodszą ode mnie o cztery lata, woziłem w wózku, może niekoniecznie najdelikatniej, ale na pewno szybko. Nie zaszkodziło jej to, choć nie posunąlbym się do sponowania, iż właśnie dlatego jest lady S. czyli żoną sira S. Prywatnie nazywam ją serową. Tyły kamienicy, w której mieszkała ciocia Hania, i kuchenny ganek naszego mieszkania sąsiadowały z sobą. Ale tak naprawdę to Gosiewskiego, Domagaliczów, Ochronek i w ogóle cały ten kwartał między Zieloną a Piekarską był ciekawy nie ze względów rodzinnych, lecz z uwagi na asfaltowe jezdnie i stosunkowo niewielki ruch. To pozwalało rozszerzać zakres wolności, tzn. jeździć na rowerze po coraz większej przestrzeni.

Więc przeszedłszy obok domu cioci Hani doszedłem do Piekarskiej, gdzie niedaleko placu Bernardyńskiego, po lewej idąc w górę, mieszkał jej ojciec, starszy brat mego ojca, wujek Ajzik. Od niego dostałem w podarunku pierwszy modlitewnik i mimo, iż nie umiałem czytać w żadnym języku, odmawiałem wieczorem *Szema*, zaś rano *Mode ani* z modlitewnikiem w rękę. Bardzo sam sobie imponowałem. Panu Bogu zapewne mniej.

Na rogu Piekarskiej i placu Bernardyńskiego mieścił się lokal nocny o nazwie — nie wiem czy oficjalnej — Piekiełko. Tam...

## XVI

Nie, to trzeba zacząć inaczej.

Kilka razy do roku ojciec zabierał mnie do Kamionki Strumiłowej, a ściśle do Batiatycz pod Kamionką, gdzie stał nasz tartak i fabryka parkietów. Pociąg odchodził z Podzamcza około 6 rano i ojciec uważał, że na dworzec jeździ się tramwajem (właśnie z pl. Bernardyńskiego). Podobnie, jak za naturalne uważał, iż jedziemy trzecią klasą. Do głowy mu nie przychodziło, że można zamówić fiakra (mnie możliwość ta rysowała się niejasno), a tym mniej, że — w latach kiedy mieliśmy samochód — można szoferowi kazać wstać o świcie i zajechać po nas. Po prostu uważał, że tramwaje służą do jeżdżenia niezależnie od tego, ile ma

się pieniędzy. (Myślę też, że ładnych parę lat pracował najpierw na to, by móc wydać bez chwili wahania ileś tam hałery na bilet kolei elektrycznej.) Za równie oczywiste jak posługiwanie się tramwajem uważał, iż na miejscu czeka na nas stangret Franc z bryczką zaprzęzoną w ulubione kasztany.

Otóż któregoś ranka, miałem nie więcej niż 7 lat, znaleźliśmy się właśnie na rogu Piekarskiej. Z „Piekiełka” wychodziło jakieś towarzystwo. Nagle usłyszałem wysoki, przenikliwy krzyk. Obejrzałem się i zobaczyłem, że krzyczy chwiejąca się kobieta w długiej sukni. Przeraziłem się, po prostu strasznie przeraziłem się. Tak, iż złapałem ojca za rękę — kiedy się ma siedem lat trzymanie za rękę dorosłych jest gestem, którego się świadomie szuka — i tak doszliśmy do przystanku.

Czy agresja — zupełnie nie erotyczna — jaką budzą we mnie pijane kobiety ma swe źródło w tamtym zdarzeniu? Prawdę mówiąc, wątpię.

Przez kilkanaście lat żyłem w sprzeniewierzeniu się prawie wszystkiemu, co wyniosłem z domu i ze szkoły. Ale nawet w owym okresie paru rzeczom byłem wierny. Między innymi stosunkowi do alkoholu.

Nie sądzę, by wszystko, czego mnie uczono w dzieciństwie było słuszne. Ale większość chyba tak.

## XVII

Czy to możliwe, bym cały poniedziałek spędził w bibliotece? Jest teraz czwartek i nie pamiętam, bym trzy dni temu gdziekolwiek łąził.

We wtorek wykonałem marszrutę zagranicznego turysty. Kręciłem się po Rynku z przyległościami. Podwale, arsenał, Kadetra, Kaplica Boimów, Katedra Ormiańska. Nawet teraz, przez żelazne sztachety, czy z okna sąsiedniego domu, do którego wlałem szukając *bel vedere*, widać wspaniałość jej architektury. Kiedy się ma 8 czy 12 lat to po prostu wie się, że w rodzinnym mieście jest Katedra Ormiańska. I gdzie jest. I uważa się to za oczywiste. Kościoły. Cerkiew Wołoska. Wały Gubernatorskie. Drugie gimnazjum, którego dyrektor (Buzat?) znany był pod przezwiskiem „kupiec zbożowy”. Wszedłem na kopic Unii Lubelskiej na Wysokim Zamku. Znow znalazłem się na Rynku.

O ile mnie pamięć nie myli, to tu — przynajmniej wedle legendy — w tej kamienicy Grzymułtowski ze łzami w oczach



blażał króla, by nie zawierał pokoju zwanego później traktatem Grzymułtowskiego.

Adam z Kutna, z którym parę lat temu rozmawiałem na ten temat, w trakcie korekty mego przekładu robionego na zlecenie „firmy”, twierdził, że już wówczas było za późno. Jego zdaniem – a powinien się na tym znać – nie trzeba było wybierać tego cholernego Wazy, który marzył tylko o jednym: żeby osiąść na tronie szwedzkim.

Takie sobie pogaduszki w trakcie przerwy na papierosa, bo nie umiem palić i pracować.

Chętnie się z nim zresztą zgodziłem, bo od dzieciństwa nie lubiłem żadnego króla po Batorym. W szkole nigdy nie kazano mi „rozumieć” Stanisława Augusta. Toteż jego powojenna rehabilitacja budzi we mnie odruchowy opór. Pomijając inne sprawy, sentymentalna głupota jego listów do Katarzyny jest przerażająca.

Przyszło mi to na myśl, bo właśnie we wtorek, czytając „Iris”, trafiłem na recenzję Nowaczyńskiego z jakiejś sztuki o Stanisławie Augustcie. Późniejszy autor *Wielkiego Fryderyka* domagał się nowego spojrzenia na ostatniego króla, uwzględnienia przede wszystkim tego, że duszę miał wykwintną i strasznie cierpiał wśród nieokrzesanych Sarmatów. Koncept kiepski nawet na sztukę teatralną.

Inna sprawa, że ówczesni Sarmaci nie mogą budzić zachwytów towarzysko-intelektualnych. Gorzej, że wyobrażenia o polityce mieli dziwaczne (łagodnie rzecz ujmując). Żywili na przykład niewzruszone przeświadczenie, że dwory europejskie patrzą na nich ze szczególnym podziwem i nie pozwolą ich skrzywdzić. Polityka zagraniczna przywódców Konfederacji Barskiej...!

Więc stoję przed kamienicą króla Jana i myślę sobie: jaki tam ze mnie turysta.

A jeśli już koniecznie, to turysta w Nekropolis.

## XVIII

We wtorek zaczął się znów przyjemny mróz, a we środę po południu i w czwartek do obiadu było nawet słonecznie.

We środę przez Ogród Jezuicki poszedłem pod Politechnikę. Potem włóczyłem się po Potockiego, na Bajkach, 29 Listopada, i jakichś uliczkach, których nazw chyba nigdy nie znałem.

Ale i tak wiedziałem, że muszę wyjść na Wulecką, a stamtąd na Kadecką Górę.

W jednej z willi na 29 Listopada mieszkali państwo V. Pani V. była najbliższą przyjaciółką matki i jej najczęstszą partnerką w koszarnej grze pt. remi-brydż. Czasami matka brała mnie z sobą na taką partię remi-brydża, czemu opierałem się, bo było nudno. Utkwił mi w pamięci taki obraz. W zalanej słońcem willi (pokój? weranda? ogród?) pojawia się nagle córka państwa V. Musiała mieć wówczas 18–20 lat. Wysoka – dla mnie ówczesnego – niebieskooka blondynka, w białej, plisowanej spódnicy, w białej bluzce z marynarskim kołnierzem, w ręce rakieta tenisowa, na ulicy czeka samochód. Wpadłem w stan osłupionego zachwytu. *Lilka V. exit.*

W środę włócząc się po tych ulicach uświadomiłem sobie, że to wspomnienie jest jakby sceną z powieści Scotta Fitzgeralda. Chyba jedną w moim życiu.

## XIX

Wartość przypisywanego Talleyrandowi powiedzenia, że kto nie żył przed rewolucją, ten nie wie, co to jest słodycz życia, wydaje mi się względna. Nie bardzo wiem, co to jest słodycz życia, ale podejrzewam, że nie jest to nic takiego, w czym bym gustował.

Większość książek dowodzących, że człowiek ma być szczęśliwy jest głupia. Człowiek czasami bywa szczęśliwy. I podejrzewam, że niewiele więcej można na temat powiedzieć.

Skądinąd świetnie wiem, że zapleczem „sceny z Fitzgeralda”, o której wspomniałem przed chwilą, była krzywda społeczna, nierówność, bieda. Ale żywię przeświadczenie, że wybieramy – o ile możemy wybierać – jedynie między różnymi rodzajami krzywdy i nierówności. Są lepsze i gorsze, co nie znaczy, że należy bez protestu aprobować te lepsze. Ale trzeba wiedzieć, że są lepsze.

Kiedy bodaj w sobotę wieczorem szliśmy z Guciem przez pl. Mariacki, pokazałem mu dom, gdzie mieściła się wypożyczalnia książek „Vita”, do której należałem. (Później przenieśliśmy się na Kopernika do „Alfy”.) Okazało się, że Gucio też miał abonament w „Vicie”. Zważywszy ogrom różnicy majątkowej, która dzieliła rodziców Gucia i moich, fakt godzien jest refleksji.

## XX

Wszedłem na Kadecką Górę i klucząc między domami trafiłem na Stryjską.

Nawet park Stryjski jest mniejszy! To już zakrawa na skandal. Od wejścia u wylotu ulicy Kadeckiej do źródła, przy którym umieszczono zatartą dziś tablicę poświęconą „twórcy ogrodów” Arnoldowi Röhringowi, jest zaledwie kilka minut szybkiego marszu. Cudowne źródło: kamienna miska, miedziany kurek, z którego stale płynie woda. Kolejne guwernantki i guwernerzy pilnowali, bym nie pił spocony, co czyniłem z podwójną przyjemnością: gasiłem pragnienie i omijałem zakaz. Jakoś nigdy nie dostałem zapalenia płuc, którym stale mi grozono.

W parku pusto. Nie wiem, czy za obu moich bytności spotkałem dziesięć osób. Bardzo też to sobie chwaliłem.

Z parku wyszedłem na ulicę wiodącą ku św. Zofii, obok zakładu dla ociemniałych (nie, zakład dla ociemniałych był po przeciwnej stronie, a co tu było?) na Snopkowską. Na rogu Snopkowskiej i 22 Stycznia mieszkał Stasiek L. Staś był mazgaj i niejadek. Przynosił do szkoły wspaniałe, obfite śniadania, które podsuwał wszystkim. Czasami, na wielką przerwę przychodziło któreś z jego rodziców, by dopilnować Stasiowego jedzenia. Ze współczuciem myślę o mękach upokorzenia, jakie musiał wówczas przeżywać.

Chciałem wyjść na św. Jacka, ale trafiłem najpierw na Tarnowskiego. Znowu usiłowałem przypomnieć sobie, w którym domu mieszkała pani Terlecka: poniżej czy też powyżej św. Jacka? Na pewno po parzystej stronie. Więc w sumie między 30 a 42 numerem. Zabawne: nie mogę sobie przypomnieć domu, a pamiętam, że schody zaczynały się przy lewej ścianie klatki.

Przez św. Jacka na Oficerską. Tu gdzieś mieszkał płk. G. z żoną, czterema synami i córką. Pułkownika nie znałem, zaś historia pani G. i jej pięciorga dorosłych dzieci nie należy do tej podróży. Należy do innej, tej, która zaczęła się w zaryglowanym wagonie towarowym na Podzamczu.

## XXI

Teksty Irzykowskiego z 1906 r.

Żenujące wiersze, nijakie opowiadania. Dramaty i wiersze wydane w 1907 r., w Stanisławowie u Staudachera. Chwalił je w 1907 r., w „Naszym Kraju”, St. Garysz, kpiąc z tych, którzy

nie rozumieli *Pałuby*. W tymże 1907 r. Irzykowski pisze w Brzeżanach dramat w 3 aktach, *Kamerton śmierci*. Kolejny niewypał.

A w 1908 r., w tymże „Naszym Kraju” publikuje arcyciekawą recenzję z *Wizerunku...* Grzegorza Glassa. I w sześć tygodni później *Dwie rewolucje*. Kto w końcu jest autorem powiedzenia o Młodej Polsce, która posiwała w jedną noc?

W „Iris” prozę filozoficzną pt. *Fragment z chaosu stworzenia świata* opublikowała... Lucyna Cwierciakiewiczowa. Ale cenimy ją nie za to, lecz — jak wiadomo — za słynną książkę kucharską. Któreś z jej wydań zawiera nieśmiertelne zdanie: „Nauka poszła naprzód: rosółu już się nie szumuje”.

W recenzji z książki Glassa Irzykowski pisze o „genialnym wiedeńskim psychologu dr Freudzie”. Skłonny jestem przyznać, że w 1908 r. był to sąd oryginalny.

O opublikowanym w „Iskrze” programie rosyjskiej partii socjaldemokratycznej, R.S.D.R.P., czytelnicy popołudniówki „Wiek Nowy” mogli się dowiedzieć już 18 lipca 1902 r. Zachodzi domniemanie, że do informacji tej nie przywiązali należytej wagi.

A Womela chyba jednak istniał. I co gorsza pisał opowiadania.

## XXII

W czwartek pojechałem do Kamionki.

Nie złość się ojciec: koło Teatru Wielkiego wsiadłem do takówki. Ale z Kamionki do Batiatycz i z powrotem szedłem piechotą. I wieczorem z Podzamcza też wracałem na piszki.

Przyznasz tato, że Kamionka nie była niczym szczególnie urokliwym. I nadal nie jest. Zapewne należy do tych licznych na całej kuli ziemskiej miasteczek, które zawsze i we wszystkich okolicznościach są obskurne. (Marianna twierdzi, że Heraklion na Krecie jest tak brzydki, iż nie sposób tam wytrzymać kilku godzin.)

Ty byś mi pewnie, tato, mógł powiedzieć, kto projektował kościół w Kamionce. Żeby na raz neo-romański, neo-gotycki i neo-renesansowy, to już przesada. Nawa główna jest zresztą zniszczona, a w nawie bocznej mieści się jakiś magazyn. Ocalał ogromny, ukrzyżowany Chrystus na wieży. I nawet robi to wrażenie.

A w Batiatyczach...

Nazywa się to teraz Kombinat. Ma bramę, strażnika i budy-

nek dyrekcji. Poszedłem do sekretarki dyrektora, powiedziałem, że jestem synem przedwojennego właściciela i że chciałbym przejść się po tartaku. Sekretarka i troje petentów wysłuchali tego z przychylnym zainteresowaniem, a petentka powiedziała, że jej ojciec pracował tu przed wojną na placu i że ma jego fotografię przy pracy.

Kiedy przyszła moja kolej, wszedłem do dyrektorskiej sali i wyłożyłem, o co mi chodzi. Staliśmy obaj, i dyrektor powiedział (dosłownie): My na nic takiego nie będziemy pozwalać.

Wprawilo mnie to w stan absolutnego zachwytu, a już szczególnie ta pierwsza osoba liczby mnogiej. Dyrektora widocznie też, bo powtórzył: My na nic takiego nie będziemy pozwalać.

Nie to nie, powiedziałem. Dodałem „do widzenia” i wyszedłem.

Mógłbym, ojcze, opisać Ci tego dyrektora, ale byłby to zbyt łatwy tryumf. Ostatecznie mógł on być schludnie ubrany i wyglądać na abstynenta. Zmieniłoby to niewiele.

Spojrzałem raz jeszcze przez bramę, na byle jak ułożone stopy belek i na ścianę z cegieł. Kiedy przerabiałeś tartak z drewnianego na murowany, wlałem tam, gdzieś na wysokość drugiego piętra, Bóg raczy wiedzieć w jaki sposób, bo wysoki nie byłem nawet w wieku 11 lat. Pamiętam z jaką mieszaniną złości i przerażenia ścigałeś mnie stamtąd. A nie posłałeś żadnego z robotników, bo uważałeś, że to nie ich sprawa i nie ich ryzyko. Miałeś chyba wówczas dokładnie tyle lat, ile ja teraz, a może byłeś o rok młodszy.

Wracalem rozbawiony do Kamionki i starałem się wyjaśnić Ci mechanizm reakcji dyrektora.

To nie o to chodzi, że głupców nie sieją – sami się rodzą. I nawet nie tylko o żelazną zasadę, zgodnie z którą za odmowę nie grozi nic, a za zgodę można oberwać. To było głębsze: jawilem mu się jako szatan prywatnej własności środków produkcji. Przyznasz, że to dla mnie raczej pochlebne i na pewno zabawne.

Wróciłem do Kamionki. Mimo, iż szatan, a może właśnie dlatego, spojrzałem raz jeszcze na postać Chrystusa na wypalonej wieży kościelnej i wsiałem do autobusu.

Była słoneczna, mroźna pogoda. Żałuję, że dałem się skusić temu właśnie odjeżdżającemu autobusowi. Trzeba było jeszcze pójść nad Bug.

## XXIII

W piątek wybrałem się na Łyczaków, cmentarz Łyczakowski i Pohulankę. Ale okazało się, że bilet powrotny mogę podstępować jedynie na Dworcu Głównym. Więc znów znalazłem się pod Politechniką, przeszedłem obok ażurowych od 1939 r. wież kościoła św. Elżbiety (znam tylko jeden udany przypadek neogotyku – kościół garnizonowy w Toruniu) i znalazłem się na Alei Focha. Och, ten dworzec z czasów, kiedy tak samo budowano gmachy parlamentów, oper i dworców kolejowych. Z innych przykładów tej architektury umiem sobie podżartowywać – z tego nie. A poza tym lubię dewizę... Semper Fidelis.

Z powrotem na Gródeckiej i przez Bema na Janowską. Najpierw szedłem bez celu w górę. Potem zacząłem szukać choćby resztek cmentarza, ale czy źle szukałem, czy cmentarz zniesiono – nie znalazłem. Więc wróciłem na Janowską i zacząłem szukać domu, w którym mieszkał inny jeszcze brat mego ojca, wujek Pinchas i jego żona, ciocia Chana. To było na pewno poniżej Bema, w jednej z tych raczej ubogich kamienic. Chyba pod 24.

Wujek Pinchas (mój brat Dziunek nazywał go stryjem Piotrusiem) należał z ciotką Judytą z Zamoyskiego do niezamożnej części rodziny. Znacznie starszy od mego ojca, był zdaje się pechowcem, któremu ciągle wydawało się, że zrobi świetny interes. Prawie go nie pamiętam, choć dobrze pamiętam ciotkę Chanę. I ich troje dzieci: Różę, Klarę, Dunka. Cała trójka w latach 30-tych wyjechała do Palestyny.

W naszej rodzinie panował dziwny matrylinearyzm. Wszyscy kuzynowie, o których tu mówię, to krewni ze strony ojca, ale określano ich „wedle matek”. Na przykład, „syn ciotki Racheli”, albo „córka ciotki Chany”. Dla tych, którzy jeszcze żyją, ja jestem przede wszystkim „synem ciotki Klary”, a bardzo rzadko „synem wujka Bernarda”.

Moi kuzynowie, a wszyscy którzy żyją są ode mnie starsi *de facto* o pokolenie, mówią że „wujek Bernard” uchodził w rodzinie za człowieka mądrego i twardego.

Myślę, że taki byłeś, ojcze. Domyślam się również czegoś więcej. Że byłeś nie tylko twardy dla innych, ale i ciężki dla siebie. Chyba wiem, co musiałeś przeżyć, kiedy zrozumiałeś, że dwaj twoi starsi synowie są „nieudani”. Każdy zresztą na inny sposób. Zdaje mi się, że krzywdziłeś Dziunka. W końcu on chciał tylko czytać książki. Nie oszukiwał, nie wyrzucał przez okno pieniędzy. Uważał, iż praca nie jest zajęciem, które by go fascynowało.

A Ty uważałeś, że wszystko co się zdobywa w życiu — zdobywa się ciężką pracą. I jeśli nawet wiedziałeś, że są tacy, którym „samo przychodzi”, to ich nie szanowałeś. Rzecz jednak w tym, ojcie, że Dziunek niczego nie chciał zdobyć.

Zdaje się, że z tej goryczy, którą Cię napełnili starsi synowie zbyt wiele nadziei pokładałeś we mnie. Przrzekam Ci, że tego błędu nie popełnię.

#### XXIV

Ale było o dzieciach cioci Chany, a nie cioci Klary.

Z Różą i jej młodszą siostrą, Klarą spędziłem dwa dni. Raz w 1966, a raz w 1978 r. Klara jest wspaniałym, złośliwym gawędziarzem.

Z wyjątkiem Róży, nikt w rodzinie nie wie, ile Klara ma lat. Trudno nawet powiedzieć, by ukrywała to, chcąc się odmłodzić. Nie pozwala jej na to pasja gawędziarza. Opowiadała mi np., że świetnie pamięta naszego dziadka i jak odbył się ślub ciotki Judyty. Ponieważ dziadek zmarł w 1905 r., a ślub ciotki Judyty odbył się wcześniej, Klara musiałaby się urodzić w XIX w. Choćby w 1897 r. Do Palestyny zaś wyjechała około 1935 r. niedługo po maturze.

Chciałbym być prawdziwym gawędziarzem i móc opowiedzieć, jak wyglądał ślub ciotki Judyty. Lub choćby potrafić powtórzyć zmyśloną opowieść Klary.

#### XXV

Lata 1941 i 1943, 1942 i 1943. Dolek, mąż mojej kuzynki Reginy, zginął rozstrzelany na Brygidkach, bo pracował w wywiadzie AK. Mój brat Dziunek zginął w jakimś lesie, podczas likwidacji getta w Żółtkwi. Mój kuzyn Dunek, syn ciotki Chany, pracował w tym czasie w Konstantynopolu, w wywiadzie Hagany.

Dolek i Regina mieszkali na pl. Fredry, bodaj czy nie w tym domu, gdzie na dachu był neon reklamujący tutki Morwitan. O śmierci Dolka wiem niewiele. Po części dlatego, że Regina nie lubi o tym mówić, a po części dlatego, że te wszystkie śmierci w Brygidkach czy na Łąckiego, te tysiące egzekucji między 1939 a 1945/46 r. są niefabularne. Rozstrzeliwano. I tyle. Co tu jeszcze można o p o w i e d z i e ć ...

Na dzień przed likwidacją getta w Żółtkwi, a było już pewne, że likwidacja nastąpi, mój brat Dziunek mógł przejść na „aryjską

stronę”, gdzie czekało nań miejsce w piwnicy u Staszki. Odmówił.

Wydaje mi się, że rozumiem motywy jego decyzji. A może tylko mi się wydaje. Z całej rodziny do niego byłem najbardziej przywiązany i bardzo chciałbym, by było tak, jak ja to sobie wyobrażam. A kuzyn Dunek, będąc w Konstantynopolu, dwa razy rozmawiał z ówczesnym nuncjuszem papieskim Roncallim. Nie wiem jak (i czy w ogóle) biskup Roncalli wyrażał się o moim kuzynie, ale Dunek o Roncallim mówił z estymą.

Rozmawiałem z nim wielokrotnie w 1966 r. Konserwatywny liberał, był jednym z najinteligentniejszych interlokutorów w naszej rodzinie. Kiedy w 1978 r. pojechałem do Izraela na grób Matki (grób Ojca nie istnieje), Dunek już nie żył.

Lusia, wdowa po Dunku, powiedziała mi kiedyś, że książką, która wywarła wpływ na jej życie były *Plomienie* Brzozowskiego.

Nie ona jedna. Tamto pokolenie, ludzie dziś po obu brzegach 70-ki, jest chyba ostatnim, dla którego lektura *Plomieni* stanowiła przeżycie.

W „prawdziwej”, opowiadającej opowieści te trzy zdarzenia z lat 1942/43 — śmierć Dolka, śmierć Dziunka i audiencja u nuncjusza — można upchnąć w jeden dzień.

Tyle o ulicy Janowskiej. Co prawda, to długa ulica.

#### XXVI

Do pierwszej gwiazdy w piątek wieczór, nad placem Gołuchowskiego i placem św. Teodora, unosił się swoisty gwar. Nazywa się to harmider.

Ci, którzy mówili i mówią: „no, jedną przynajmniej rzecz Hitler zrobił za nas...”, albo: „trzeba jednak Hitlerowi przyznać...” — ci wszyscy powinni stanąć na jednym z tych placów, rozejrzeć się i odpowiedzieć na pytanie: czy o to im chodziło?

Ci, którzy we wczesnych latach 50-tych z renesansowych nagrobków kirkutu w Kazimierzu robili płyty chodnikowe, powinni pójść na dawny cmentarz Orląt i przekonać się, jak to smakuje.

Nawet listopadowo bezlistny, nawet w dzisiejszym stanie, cmentarz Łyczakowski jest piękny. Byłem tam w sobotę. Szukałem krzyża — symbolicznej mogiły powstańców 63 roku. Nie znalazłem.

Potem poszedłem na cmentarz Orląt. Zachował się tam jeden nagrobek — inżyniera Gustawa Müldnera.



Wszyscy wiedzą, że cmentarza Orląt nie ma. Mało kto wie, że zwłoki spoczywające pod płytą Grobu Nieznanego Żołnierza sprowadzono właśnie stamtąd. A już nikt nie wie, że wraz z cmentarzem Orląt zlikwidowano doszczętnie cmentarz strilców. Sprawiedliwość dziejowa jako nie-istnienie.

## XXVII

Przez błotniste ścieżki dotarłem do czegoś, co wydawało mi się resztkami boiska 41 p.p. I tu okazało się, że nie ma „mojej” drogi, tej, którą na nartach chodziłem na Pohulankę. Tak się złożyło, że znam – a w każdym razie pamiętam – wyłącznie zimową Pohulankę. Chodziłem tu na narty, może wcześniej na sanki. I tej drogi nie ma.

Przez podwórka doszedłem do ulicy Pohulancka, na której chyba nigdy nie byłem, i skręciłem ku wzgórzom. Przy pierwszej okazji wszedłem w las. Łaziłem po pagórkach i jarach, i wciąż nie wiedziałem, gdzie jestem. Dopiero kiedy przypadkiem trafiłem na ruiny kaplicy, zrozumiałem, że to Pasięka Łyczakowska. I zacząłem się jako tako orientować.

Zdaje mi się, że w końcu trafiłem na mój „jeszcze tylko ten ostatni zjazd”. (Mój Ty Boże, zjazd! Stoczek, osła łączka!) Stąd nieodwracalnie wracało się do domu. Na nartach, obok boiska, można było spokojnie dojechać na róg Kochanowskiego – Piotra i Pawła. A jeśli zima była śnieżna, to i do samego domu, a w każdym razie do rogu Kochanowskiego i Szewczenki. Z Zielonej do Kochanowskiego i dalej w górę na Łyczaków tramwaj jechał właśnie przez Szewczenki.

Znów przeszedłem obok naszego domu. Przypomniałem sobie, że pod 21-ym mieszkała ruda Zośka. Po wojnie spotkałem ją kiedyś na Legii. Doszliśmy wtedy do zgodnego wniosku, że takiej pływalni jak Żelazna Woda nie ma i nie będzie. Folklor po zagładzie.

Wybrałem drogę przez Romanowicza i ze zdumieniem stwierdziłem, że w naszym domu mieści się „piwnica”. Schodki w dół, marmurki, kawa z expressu, ciastka i taśmy z amerykańskimi piosenkami typu *sweet*. (Do samej wojny wolno mi było pić kawę tylko pół na pół z cykorią.) W „piwnicy” palić, oczywiście, nie wolno, więc papierosa paliłem w bramie naszego domu. Spojrzałem przypadkiem pod nogi i pomyślałem: znowu będzie czyszczenie butów.

Normalnie w domu buty czyściła służąca. Na Romanowicza

Ukrainka Mila, na Kochanowskiego Hela, też Ukrainka. Ale „normalnie” nie obejmowało moich eskapad. Jeśli wracałem utyłtany w błocie, co chłopcom zdarza się często, buty musiałem czyścić sam. Przyzwyczajony byłem do tego tak, że uważałem to za oczywiste. A przy tym byłem rozpieszczanym dzieckiem, funkcjonującym *de facto* na zasadzie jedynaka.

## XXVIII

Moja, jakże kaleka, znajomość ukraińskiego, pochodzi od Mili i Heli.

Ojciec, który chodził jedynie do chederu, bo na jeszybot nie było już pieniędzy, władał pięcioma językami: hebrajskim, jidisz, niemieckim, polskim i ukraińskim, choć myślę, że po ukraińsku pisać nie umiał. Nikt nie uważał tego za coś niezwykłego. Przypuszczam nawet, że nikt tego nie zauważał. „Prawdziwe” obce języki to był francuski, angielski. Zapytany przed I wojną, ojciec powiedziałby zapewne, że żadnego obcego języka nie zna.

Raz jeden, przed wojną rzecz jasna, zastałem matkę czytającą jakieś stare listy. Nie wiem, dlaczego pokazała mi je na chwilę. Były to listy od ojca z okresu narzeczeńskiego. Dwujęzyczne: niemiecko-polskie. Po niemiecku głównie wiersze. Heine i Goethe, jak mi wyjaśniła mama.

Braciom, znacznie ode mnie starszym, których dzieciństwo przypadło na lata przed I wojną, nie wolno było jeździć na łyżwach. (Jeździli, rzecz jasna, po kryjomu.) Bo w chederze nauczono mego ojca, że sport to nie jest zajęcie dla dobrego Żyda. Ojciec jednak nauczył się jeździć na łyżwach; podobno po to, by móc chodzić ze mną na ślizgawkę, na Pełczyńską. Urodzony w 1882 r. musiał mieć wtedy 48 albo 50 lat.

Tyle o Buddenbrookach.

## XXIX

W okresie dzieciństwa i młodości Ostapa Ortwina żywa była jeszcze legenda o Saulu ben Juda, który po śmierci Batorego miał być przez jeden dzień królem Polski. Była to m.in. legenda o rodzice Wahlów, co miał się wywodzić od owego Saula, o księciu Radziwille Sierotce, oraz o paduańskim rabinie nazwiskiem Katzenellenbogen.

Kiedy w 1910 r. Franciszek Jaworski omawiał w „Widnok-ręgach” prace Bałabana dotyczące tej legendy, dodał, że wąpli, by wiedza historyczna zniszczyła legendę. Można by napisać

o siostrach Wahlównych jako o potomkiniach owego królewskiego rodu, ale to żart ryzykowny, który jeszcze mógłby im zaszkodzić.

W 1901 r., w okresie Wrześni, hakatyści wydali paszkwil na Edwarda Bernsteina, który wraz z całą socjaldemokracją niemiecką i katolickim centrum ostro protestował przeciw postępowaniu władz pruskich. Otóż jednym z głównych argumentów paszkwilu było to, iż Bernstein miał się rzekomo chwalić, że pochodzi od owego Saula ben Judy. Jak zauważył rejestrujący to wydarzenie kronikarz „Wieku Nowego”, w ten sposób hakatyści za jednym zamachem zohydzali Bernsteina jako Żyda, Polaka i socjalistę.

Taki oczywiście żadnego ducha narodowego nigdy nie zrozumie.

### XXX

Renesans. Barok. Secesja.

Dwa pierwsze z tych słów znałem jeszcze przed wojną, ale nie mówiły mi nic specjalnego. Chyba nie słyszałem słowa „secesja”, a stwierdzenie, że ulica Romanowicza jest zabytkiem architektury nie oderwałoby mnie od Maxa Branda, Paul de Kruifa, Nasielskiego, czy dialogów Platona, bo takie wszystkożerne lektury miałem w wieku lat dwunastu. Kiedy na wystawach księgarń na Batorego (jedna z nich należała do matki Eryka, przez którego o mało nie wyleciałem ze szkoły) pojawiło się *Życie seksualne dzikich*, użyłem wszystkich błagań i Kajtek z „Alfy” wypożyczył mi Malinowskiego.

Rozczarowanie. Rozczarowanie i męka. Bo zaciąłem się i przeczytałem do końca.

A jednak wczesny barok kościoła Bernardynów, renesans bóżnicy i Arsenалу tkwiły we mnie wraz z nieznaną mi z nazwy secesją. Zrozumiałem to w 1974 r. w Antwerpii, jedynym zachodnioeuropejskim mieście, w którym już na dworcu poczułem się u siebie. Mówię o zachodniej Europie. W środkowej, w Pradze, Wiedniu, Budapeszcie, Ljubljanie jestem zawsze u siebie. Może w Bawarii też, ale nie byłem.

Łaziłem po Antwerpii i zastanawiałem się, skąd to poczucie swojskości. Habsburgowie? Po pierwsze, dawno stąd wybyli. Po drugie zaś, nigdy mnie nic nie obchodzili. („Cesarzowi i Elizi życzym szczęścia ili wliżi” – w latach trzydziestych była to żartobliwa piosenka.) Więc co? Dlaczego w odległej o godzinę

Brukseli – nie, a tu tak. I olśnienie. Bo to jest prawdziwe miasto. Barok. Brzydota XIX wieku, trochę secesji, trochę renesansu. Tramwaje. Kamienny bruk. Dużo zieleni. Żadnych wieżowców – trzy, cztery piętra wystarczą. Oczywiście, powinny być jeszcze wysokie wzgórza i świątynie pięciu wyznań, ale ostatecznie nie można zbyt wiele wymagać od Antwerpii.

Że tak odczuwają świat ludzie starzy? Nie wypieram się. Ale to jest coś więcej, niż lata. Naprawdę istnieje Środkowa Europa. Kiedy czytam rozważania moich kolegów o kulturze śródziemnomorskiej myślę sobie: Avignon – piękne, ale nie udawajcie, że znacie to z dzieciństwa. Nie udawajcie, żeście się chowali w cieniu romańszczyzny Vezelay, a potem, przypadkiem, udało wam się zobaczyć tum łeczycki. Poetów łacińskich, jeśli ich w ogóle recytujecie, to z wymową i akcentem takim, że żaden Francuz, Włoch czy Anglik nie zrozumie, jaki to język. I na nic zdadzą się wasze argumenty, że t a wymowa jest prawdziwa. Po pierwsze, nikt tego nie wie na pewno – nawet profesor Golias z trzeciej budy, autor *Disce puer latinae*. Rzecz nie w tym, kto jest „prawdziwym” Europejczykiem – oni czy my. I oni, i my. Każdy trochę inaczej – i na tym „trochę inaczej”, na zgodzie na odmiennosc polega m.in. Europa.

Więc wiele lat minęło, nim uświadomiłem sobie, że tkwi we mnie barok z secesją, renesans Złotej Róży z Panoramą Racławicką, zamiast Rubensa. To po prostu było, na to się nie chodziło, tego się nie oglądało. Chodziło się na Toma Mixa do kina „Pasaż”, na Errola Flynna do kina „Atlantic”, na Jadzię Andrzejewską do kina „Palace”, na *Niewidzialnego człowieka* i *Rok 2000* do kina „Kopernik”.

A kina istnieją wszystkie. Na swoim miejscu. Z wyjątkiem „Uciechy” i „Pasażu” w pasażu Mikolascha, zniszczonym przez bombę czy pocisk artyleryjski.

Pierwsze dwa filmy oglądałem z ojcem w kinie „Uciecha”. *Quo Vadis* i jakąś komedię, której tytułu nie jestem pewien, ale pamiętam, że Buster Keaton tak śmiesznie wpadał ze statku do rzeki. Oba filmy były nieme, co było już rzadkością. Ojciec, przypuszczam, uważał, że jak na początek film dźwiękowy może wywrzeć na mnie zbyt wielkie wrażenie.

### XXXI

To oczywiście nieprawda, że pamiętam wszystko. Bez trudu potrafię pokazać, gdzie stał pomnik Ujejskiego czy Smolki, ale

nie mogę umiejscowić pomnika hetmana Jabłonowskiego. Rozpływają mi się kontury jakiejś postaci w hełmie i w zbroi, jakieś fałdy. Ale gdzie? Chyba na Wałach...? No właśnie — chyba. Pamiętam — rzecz jasna — gdzie był pasaż Mikolascha, gdzie pasaż Hausmanna. Ale nie wiem, gdzie był pasaż Andriollego. Nawet nie domyślałem się, w której części miasta miałbym go szukać. A przecież na pewno był, może nawet jest.

I odwrotnie. Czy w czasach mego bardzo wczesnego dzieciństwa, na rogatkach płaciło się jeszcze kopytkowe, czy też jest to pamięć urojona?

### XXXII

Styl?

Do Irzykowskiego zniechęciło mnie jego „jactwo” ujawniające się nie tylko w „ja pierwszy”, „ja przedtem”, ale i w przedświadczeniu, że jego lektury obowiązują wszystkich. W „Naszym Kraju”, w 1908 r. krytykuje *Śmiech* Bergsona za to, że Bergson nie czytał Lippsa. Można by szukać do tego kluczy. Na przykład klucz prowincji, niby że te nieszczęsne Brzeżany (czy Irzykowski znał o wiele młodszego od siebie Rydza?). Ale to klucz fałszywy. Prowincja znaczyła coś innego. Poczta do Brzeżan docierała codziennie i pewnie dostarczana była trzy razy dziennie. Istniało coś takiego jak prenumerata, zaś księgarnie sprowadzały na zamówienie każdą książkę. Tak na marginesie — nie wierzę w kulturę inną, niż prowincjonalna: Wilno, Dublin, Oxford w stanie Missisipi, Krzemieniec, Grodno, Weimar. Tak się złożyło, że z wymienionych miast byłem tylko w Dublinie. Cudowna prowincja po dziś dzień; z największym parkiem w Europie. Parafiańszczyznę ma się w głowie, a nie na zewnątrz.

Czy styl równa się styl myślenia? To nie takie proste.

W latach 1903–1906 ukazywał się taki miesięcznik „Odrodzenie”. Można by go nazwać organem mesjanistów. Bardzo antyendeckie. Nigdzie tak nie sponiewierano *Egoizmu...* Balickiego czy *Myśli...* Dmowskiego. Niby sympatyczne. Ale kiedy brnąłem przez ich rozważania o późnym Słowackim, o duchu narodu... Kiedy w ichnim *credo* przeczytałem: „Wierzmy, iż posłannictwem Polski jest wcielenie Chrystusa w dzieje ludzkości (...)” pomyślałem sobie: to już jednak wolę czytać *Myśli nowoczesnego Polaka*. Przynajmniej rozumiem, o co chodzi.

Czy mesjanisci wszędzie są tacy sami? Piszą: „Europa i Rosja jednej i tej samej idei są płodem: Idei społeczeństwa na wyro-

zumowaniu, na liczbie, na potęgach obliczalnych opartego”. Wstawić na miejsce Rosji Polskę — i jakbym czytał Dostojewskiego. Toteż nie przypadkiem Nalepiński nazwał go Królem-Duchem Rosji. Panie Stworzenia!

Krzywdzę jednak „Odrodzenie”. Związane było ze spuścizną po bardzo dziwnym myślicielu, Stanisławie Szczepanowskim. Ten akurat łączył mesjanizm z teorią wzrostu. Potrafił też być nader baczny i złośliwym obserwatorem.

„(...) Szatan zatraciciel nie ma u nas, jak gdzie indziej rogów i pazurów (...) ale przybiera postać niewinną niedołęgi lub lekkoducha, bo czymże był np. Radziwiłł Panie Kochanku. Czasem objawia się jakaś chęć do pracy dla kraju lub społeczeństwa, ale to wszystko ma cechę dzieciństwa. Ilustracją takiej pracy dziecinnej jest dwór w Puławach generała ziem podolskich Czartoryskiego.”

Albo:

„(...) całe społeczeństwo podzieliłem na dwa obozy: konserwatystów, którzy proszą jałmużny i postępowych, którzy ich krytykują, że nie dość wyżebrali.”

Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że z całej ówczesnej prasy „Odrodzenie” miało najwłaściwszy stosunek do najboleśniej sprawy — sprawy ukraińskiej.

Więc i do „Odrodzenia” i do Irzykowskiego — to bieguny myśli i stylu — mam stosunek ambiwalentny.

### XXXIII

W poniedziałek o zmierzchu raz jeszcze poszedłem pod kościół Bernardynów, potem przez plac Cłowy ku Arsenałowi, po lewej stronie cerkiew Wołoska, po prawej, w dali kościół Karmelitów. Na ławce pod Arsenalem wypaliłem papierosa. Kościół Dominikanów. Przez Błacharską, obok Stauropigii. W dzieciństwie fascynowało mnie to słowo, którego znaczenie i dziś nie jest dla mnie jasne. Stałem pod ocalałą ścianą Złotej Róży.

Kamienie. Ludzie. Na Romanowicza pod 3-cim Marta F., na Czarnieckiego Tadzio T., na Kochanowskiego (pod 11-tym) Janka A., trzy domy dalej Rudy Napoleon, na tym samym piętrze co my — Zosia-aniółek, w następnym domu Szurek, syn „białych emigrantów”, dom dalej taka dziewczyna, co chodziła do Notre-Dame czy Sacre-Coeur (czerwony otok na marynar-

skim kołnierzu mundurka). Naprzeciw, na rogu Zamoyskiego, sklep Rybaka (masło szwabskie, kajzerki)...

Kiedy w grudniu ubiegłego roku, po latach niewidzenia, spotkałem Maję, powiedziałem: słuchaj, ty się robisz coraz piękniejsza. Spojrzała na mnie z porozumiewawczą ironią i powiedziała: moja babcia była najpiękniejsza wtedy, kiedy szła przez komin.

Piszę to w hotelu. Walizka spakowana. Rano tylko dołożył pantofle, umywała i rękopis.

#### XXXIV

A podróż?

Podróż rzecz łatwa.

Wystarczy w kwietniu 1980 r. złożyć wniosek i już w piątek, 6 listopada 1981 r. człowiek dowiaduje się, że w poniedziałek 9-go, między 11.00 a 14.00 może odebrać paszport wraz z biletem i że pociąg ma tegoż dnia o 16.00.

Więc w poniedziałek koło południa odebrałem paszport. Ważny do ZSRR oraz europejskich kdl-ów. Bo jeszcze mógłbym skorzystać z okazji i polecieć do Whitehorse, co pozwoliłoby mi ominąć Przetęcz i skrócić drogę do Dawson City. Ale nic z tego. Po pierwsze, nie mam pieczątki, a po drugie, Yukon już zamarzał, Sitka Charley nie żyje i nie miałby kto poprowadzić zaprzęgu.

Więc tylko zapytałem grzecznie, z którego dworca odchodzi pociąg do Przemyśla. Ten dziś. Ten o 16.00.

Nie ma takiego pociągu.

Jerzy Kosiński w powieści *Cockpit* usiłował opisać funkcjonowanie Wydziału Zagranicznego Akademii, ale okazało się, że przekracza to możliwości i granice okrutnej fantazji autora *Ptaka malowanego*, więc nawet nie będę próbował. A tak na marginesie, ciekawe, czy w czasach, gdy on starał się o paszport, królowała już w Wydziale pani O., zwana powszechnie Ilse Koch.

Tak czy inaczej, o 15.00, mając w ręku bilet na środę na godzinę 06.00, znalazłem się przed biurkiem jakiejś pani, która powiedziała: nic mi nie wiadomo o pańskim wyjeździe.

Ale w końcu wyjechałem. W środę o 06.00. A parę minut przedtem spotkałem na peronie Michała i Gucia Syberyjskiego.

Do Przemyśla pociąg dotarł z trzygodzinnym opóźnieniem. Przeszliśmy z Guciem na sąsiedni peron. Do komory celnej. Ba-

rak był nieoświetlony i zamknięty. Nie wyglądało na to, by kogokolwiek tu komorowano czy też w kogokolwiek celowano. Zostawiłem Gucia pod drzwiami na straży naszego dobytku, sam zaś ruszyłem wzdłuż baraku celem zasięgnięcia języka. Trafilem w końcu na jeden oświetlony pokój. Przez dobrze przed mrozem zabezpieczone szyby wykonałem coś na kształt rozmowy, bowiem dźwięki docierające do mnie nie dawały się rozumieć w sposób jednoznaczny. Jednoznaczne natomiast były niewerbalne zachowania się mężczyzny siedzącego po tamtej stronie szyby. Wynikało z nich, że nie ma najmniejszego zamiaru ruszyć się z miejsca.

Kiedy wróciłem, obok Gucia i walizek stała niewysoka dziewczyna w kożuchu i oburzała się. Na bałagan. Na nasz opóźniony pociąg i na coś jeszcze, ale już nie pamiętam na co. Ruszyliśmy we troje w stronę dworca, tj. z dworu do budynku. Tu dziewczyna pożegnała nas oświadczywszy, że spróbuje na samej granicy złapać ciężarówkę. Po odejściu oburzonej panny ustaliłem, że pociąg mamy o godz. 16.00 dnia następnego, że można próbować nocą do bukaresztańskiego, ale nie warto, bo nie wpuszczą i że pono w niektóre dni kursuje autobus, ale nikt nie wie, czy na pewno i kiedy.

Około 19.00 wylądowaliśmy z Guciem w recepcji domu wycieczkowego, gdzie udało nam się wynająć ostatnią wolną komórkę. W czasie, gdy wypełnialiśmy druczki pojawiła się nasza poznaną na dworcu panna. Okazało się, że granica czynna jest jedynie do 17.00, ale jakiego czasu – nie wiem.

Na obiado-kolację poszliśmy we troje i zjeść udało się nam już w drugiej z rzędu restauracji. Nie chwaląc się, dzięki moim zdolnościom perswazyjnym, którymi musiałem posłużyć się trzykrotnie. Oddzielne przemówienie do wykidajły, oddzielne do szatniarki, oddzielne do kelnerki. Najtwardsza była szatniarka.

Przy stole dowiedzieliśmy się z Guciem, że panna ma na imię Mela, że pracuje w jakimś „polu” (Budo? Gazo? Ruro?) i że jutro z samego rana musi być w K.

Na dobranoc – już w domu wycieczkowym – panna Mela powiedziała mi, że do K. najłatwiej dojadę taksówką oraz wyjaśniła, jak mam ją znaleźć w K.

Bu... Nikt nie wie o mnie tyle co Bu... Otóż Bu mawiała: jesteś najleniwszym dziwkarczem na świecie.

Zlituj się, Bu – mówiłem – wiesz dobrze, że nie można jednocześnie być i leniwym i dziwkarczem. A ponieważ jestem leniwy ergo nie jestem dziwkarczem.



Tak naprawdę mawiała Bu. Tak jej naprawdę odpowiadałem. I naprawdę jestem leniwy. Nie pojechałem taksówką do K. Nie znalazłem w żadnym „polu” (Budo? Gazo? Ruro?) Meli, panny oburzonej.

Kiedy obudziłem się rano, Gucia już nie było. Po chwili wpadł do łazienki, gdzie się goliłem. Przyszedł wprost z mrozu, co jest fajne w powieści, ale mniej w łazience. Tryumfalnie doniósł mi, że o 12.00 mamy autobus. Przemyśl mu się spodobał, co mu byłem przepowiedziałem poprzedniego wieczora.

Było śnieżnie, mroźno i nawet zjedliśmy śniadanie.

A o 12.15 siedzieliśmy w autobusie.

XXXV

Podróż?

Nic łatwiejszego, niż podróż

Listopad 1981

MATERIAŁ DOWODOWY

MATERIAŁ DOWODOWY

*Córce*

Motto:  
Art. 270 § 1.; Art. 271 § 1 i 2;  
Art. 273 § 1 i 2; Art. 282 a, nadto  
Art. 133.  
Kodeks Karny. Ustawa z dnia  
19 kwietnia 1969 r. Dziennik  
Ustaw PRL 14 maja 1969 nr 13

Ktokolwiek chce – tu i teraz – rozpatrzeć swoje winy lub zasługi, a także przemyśleć, co ma czynić w przyszłości, chce zaś to uczynić uczciwie w sensie intelektualnym i moralnym, ten musi sobie wyrobić opinię w dwóch sprawach: musi sobie mianowicie powiedzieć, co myśli o losie Polski, stanie obecnym społeczeństwa polskiego i naszej przyszłości, oraz co myśli o socjalizmie. Te dwie zatem kwestie: socjalizm i Polska stanowią główny przedmiot niniejszych refleksji.

Kwestie te będąc głównymi nie są jednak podstawowymi, a to dlatego, że chcąc coś pomyśleć o społeczeństwie socjalistycznym należy przedtem pomyśleć o społeczeństwie ludzkim „w ogóle”, i to choćby się sądziło, że społeczeństwo „w ogóle” nie istnieje i istnieć nie może. Kto zaś chce pomyśleć o narodzie polskim, ten wprzód przemyśleć musi sprawy wynikające z istnienia różnych narodów. Chyba, że uważa naród polski za tak osobliwy, iż nic z innymi narodami nie mający wspólnego.

Wszystkie te problemy, a także wiele innych, musi rozważyć w sobie każdy, niezależnie od tego, czy jest wierzącym czy nie, czy był w AK czy handlował ciastkami, czy ma lat 50 czy 20. Musi – o ile chce możliwie jasno powiedzieć sobie, kim jest i co ma czynić w przyszłości. Musi – o ile chce przyjąć odpowiedzialność za siebie w tym stopniu, w jakim jest to dostępne przedstawicielom naszego gatunku.

I nikt nie może się wykręcać, twierdząc, że jest zbyt głupi na myślenie o takich sprawach. Nikt bowiem – z wyjątkiem upośledzonych umysłowo – nie może twierdzić, że jest zbyt głupi na to, by żyć. Skoro zaś ktoś wie, że jest dostatecznie rozumny na to by żyć, tym samym – dla siebie – jest dostatecznie rozumny na to, by powiedzieć sobie *j a k* ma żyć.

Jest wielce prawdopodobnym że Gomułka i Zambrowski, Loga i Radkiewicz, Starewicz i Moczar i w ogóle spora część – jeśli nie większość – tych stukilkudziesięciu kozdrów, którzy rządzą lub rządzą Polską w ciągu ostatniego ćwierćwiecza to ludzie głupi. Ale nawet gdyby było to absolutnie pewnym, fakt ów w niczym nie zmniejsza ich winy za to, co czynili lub czynią. To zaś, czy – i w jakim stopniu – społeczeństwo jest odpowiedzialne za to, że daje się rządzić przez głupców i to właśnie w ten a nie inny sposób, będzie jeszcze przedmiotem refleksji w tym tekście.

Można natomiast nie chcieć ponosić odpowiedzialności za siebie, a tym samym za innych. Bajką jest bowiem, że Bierut, Berman czy Gomułka i Gierek ponoszą odpowiedzialność za lo-

sy narodu polskiego. Żadnej za nic odpowiedzialności nie ponoszą przed nikim. Czynili i czynią wszystko, by być całkowicie nieodpowiedzialnymi, a nic w ich poczynaniach nie świadczy, by mieli choć przez chwilę sami przed sobą za coś odpowiadać.

Ale tak postępują nie tylko rządzący, lecz i rządzeni. Setki tysięcy, jeśli nie miliony ludzi w Polsce, a dziesiątki milionów ludzi „od Łaby do Oceanu Spokojnego” uważa, iż nie ponoszą za nic odpowiedzialności, a sami za siebie i przed sobą też nie są odpowiedzialni. Jeśli Kant mniemał (zapewne przesadnie), że Oświecenie było wyjściem ludzkości ze stanu zawinionej przez siebie niedojrzałości, to o socjalizmie można powiedzieć iż jest on zawinionym przez ludzi wejściem w stan absolutnej nieodpowiedzialności. To zapewne dogadza wielu. Ale może nie wszystkim. Jeśli założyć, że są tacy, których ten stan rzeczy nie zadowala, to tekst niniejszy przeznaczony jest przede wszystkim dla nich. Ale nie tylko dla nich.

Z drugiej strony nie można wykluczyć, że autor tego tekstu jest ostatnim, który myśli tak jak myśli. Słowem, że wszyscy ludzie – od Chin i Korei po NRD i Albanie – są zachwyceni rządami komunistów i perspektywami tych rządów aż po dzień ostatni, który przecież nie będzie ostatecznym. Bo skoro za nic nie odpowiadamy, to i żadnego dnia ostatecznego nie musimy się bać. Jesteśmy zachwyceni (sobą) i niewinni, i w tym sensie socjalizm byłby już teraz rajem. Otóż gdyby autor niniejszego tekstu miał być jedynym oburzonym i poczuwającym się do winy, to i tak nie mógłby myśleć i czuć inaczej..

Do jak wielu czy niewielu ludzi trafi *Materiał Dowodowy* trudno przewidzieć. Autor jednak chciałby powtórzyć za Diderotem, iż uważałby myśli swoje za szkaradne „gdyby się podobały wszystkim”. Ale to na pewno im nie grozi. Autor mógłby również powtórzyć słowa Thomasa Mertona: „Co do mnie, to nie niepokoi mnie wcale, że należą do mniejszości”.

O tym, co dotychczas zostało tu napisane można zapewne powiedzieć, że jest zbyt patetyczne, zbyt racjonalistyczne, zbyt moralizujące. Patosu postaram się w dalszym ciągu unikać, co mi chyba przyjdzie bez trudu. Czy pozostałe dwa zarzuty będą prawdziwe – o tym lepiej sąd wydać na końcu.

### Przeszołość – terażniejszość

W 1716 r. Moskwa ofiarowała swoje pośrednictwo w wojnie domowej, którą toczyli z sobą – August II i Konfederacja tar-

nogrodzka. Na mediatora car Piotr I wyznaczył księcia Grigorija Fiodorowicza Dołgorukiego, o którym Szymon Askenazy napisze: „pierwszy zaprawdę rosyjski prokonsul w Warszawie”. (*Dwa stulecia*, Warszawa 1910 t. II s. 5.) Piotr i Dołgoruki zastosowali trzy chwyt, które w praktyce stały się z a s a d a m i imperialnej polityki rosyjskiej wobec Polski. Rosja „wypróbowała” i inne, o czym jeszcze będę pisał, ale w końcu okazało się, że chronologicznie pierwsze zasady panowania nad Polską są najskuteczniejsze. Dołgoruki mianowicie wprowadził do Polski wojsko rosyjskie, oparł umowę między królem i Konfederatami na zasadach odpowiadających Rosji, kazał w 1717 zatwierdzić umowę sejmowi, który przeszedł do historii pod nazwą n i e m e g o. Oto owe trzy zasady regulujące stosunki Rosja–Polska:

- wojsko rosyjskie na terytorium Polski;
- ustrój wewnętrzny Polski i jej polityka zagraniczna regulowane według imperialnych interesów Rosji;
- sejm niemy.

Ponieważ Askenazy może się wydać podejrzany z racji swego nazwiska (jego jedyna wnuczka została w 1968 r. zmuszona do emigracji, jego grób na cmentarzu w Warszawie porósł bujnym zieleń) odsyłam ciekawych do: Michał Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, Warszawa 1927, wyd. IV, t. II, s. 218–219; Władysław Smoleński, *Dzieje narodu polskiego*, Warszawa 1919, s. 230–231; *Historia Polski* (t.zw. akademicka) Warszawa 1958 t. I, cz. II, s. 718–745.

### O ustroju socjalistycznym (I)

Istnieje obecnie na świecie 14 państw, które same siebie określają jako socjalistyczne. Nie ma żadnych powodów by sądzić, iż jest to określenie kłamliwe. Tak, t o jest ustrój socjalistyczny. Ta organizacja społeczeństwa, ten sposób życia państwowego i prywatnego, ideały, które się tu głosi, cele, które się tu realizuje, ten rodzaj społeczności i jednostek, który się tu wykształcił – t o j e s t ustrój socjalistyczny. O istnieniu jakiegoś innego ustroju socjalistycznego na ziemi, lub w ogóle we wszechświecie, nic mi nie jest wiadomo.

Każdy wie, lub może wiedzieć, iż między tymi 14 państwami o ustroju socjalistycznym istnieje sporo różnic w bardzo wielu dziedzinach życia społecznego i osobniczego. Istnieją więc między nimi różnice interesów, które doprowadziły do t.zw. rozbicia jedności. Jeśli jedność ta w ogóle kiedykolwiek istniała, to jedy-

nie w okresie od połowy roku 1945 do połowy roku 1948, tj. do majowego posiedzenia Kominformu. Ale istnienie rozbieżnych interesów i bloków nie jest żadnym wyróżnikiem i z tego punktu widzenia Związek Radziecki i ChRL są takimi samymi walczącymi o sfery wpływów i hegemonię mocarstwami, jakich w każdym dobrym podręczniku historii znajdziemy na półce. Oczywiście konflikt chińsko–radziecki czy antagonizm bułgarsko–jugosłowiański to zjawiska specyficzne, ale w tym sensie, w jakim historia ludzkości jest zbiorem zjawisk specyficznych.

Wydaje się, iż odmienności między państwami socjalistycznymi i żyjącymi w nich społecznościami dadzą się sprowadzić do różnic wynikających:

- ze stopnia potęgi materialnej; przede wszystkim siły zbrojnej; pod tym względem obóz dzieli się na Związek Radziecki i Chiny z jednej i całą resztę z drugiej strony;
- ze stopnia rozwoju gospodarki;
- ze stopnia zależności mniejszych państw socjalistycznych od ZSRR i ChRL; dla warstwy rządzącej w ustroju socjalistycznym jest to zależność dobrowolna, przy czym sformułować można następującą regułę: im większy antagonizm między warstwą rządzącą w danym kraju a społeczeństwem rządzonym, tym większa zależność warstwy rządzącej od jednego z socjalistycznych mocarstw, o czym będzie jeszcze mowa m. in. przy omawianiu socjalistycznego kolonializmu;
- z pewnych odmienności w zakresie t e c h n i k i rządzenia społeczeństwem; pod tym względem panuje w obozie (czy też obozach socjalistycznych) duża płynność to co w roku  $x$  cechowało technikę rządzenia w Polsce w roku  $y$  może być charakterystyczne dla Bułgarii i *vice versa*, wachlarz możliwości jest jednak ograniczony właśnie przez socjalistyczny charakter państwa;
- z odmiennego dziedzictwa kulturowego.

Takie wydają się być główne źródła różnic między państwami socjalistycznymi.

Wypada teraz zapytać, jakie to cechy wspólne sprawiają, iż mimo różnice wspomniane państwa i społeczeństwa uważam za socjalistyczne?

Bardzo wielu i bardzo różnych ludzi sądzi, że socjalistyczny charakter danego państwa wyznaczany jest przez stosunki własnościowe, które określa się mianem upaństwowienia środków produkcji lub uspołecznienia tychże. Na marginesie dodam, że



ten ostatni termin w odniesieniu do ustroju socjalistycznego miałby sens jedynie wówczas, gdybyśmy założyli rzeczywistość i pełną jedność między państwem i społeczeństwem, tj. gdybyśmy się umówili, że zakres pojęcia „państwo” i zakres pojęcia „społeczeństwo” są identyczne.

Pogląd, iż o socjalistycznym charakterze państwa i społeczeństwa decyduje upaństwowienie środków produkcji (a przynajmniej tzw. podstawowych środków produkcji) wypowiedają – w różnej postaci słownej i różnie samo zjawisko oceniając – oficjalni rzecznicy ustroju, tzw. prości ludzie niezależnie od ustroju, w którym żyją, wielu ideologów mieszczańskich, a także różnego rodzaju postępowicze, trockiści, katoliko–marksiści, guevaryści, etc. etc. Można zatem powiedzieć, że wśród ludzi mających jakiegokolwiek opinie na temat „istoty” ustroju socjalistycznego ogromna większość do owej „istotności” zaliczyłaby przede wszystkim upaństwowienie środków produkcji.

Otóż nie zgadzam się z tą opinią większości.

Po pierwsze – jak każde powszechne przekonanie – opinia, o której mowa, jest po prostu bałamutna. Miesza się tu różne sprawy, a najczęściej sprowadza się do wspólnego mianownika: upaństwowienie, uspołecznienie, likwidację własności prywatnej i wreszcie likwidację wyzysku. Nie będę tu dowodził, że są to bardzo różne kwestie. Jeśli można je w jakiś wspólny dla nich sposób ująć, to chyba tak: większość ludzi sądzi, iż o istocie socjalizmu decyduje pewien charakter stosunków własnościowych, o którym to jedynie można powiedzieć na pewno, że nie ma tu prywatnego posiadania środków (podstawowych środków) produkcji.

Przekonanie powyższe wywodzi się z całej, lub niemal całej, XIX-wiecznej myśli socjalistycznej, a niekoniecznie tylko z marksizmu. Być może, iż w XIX-wiecznym marksizmie tkwiły różne możliwości rozumienia tego, co stanowi o istocie socjalizmu – zwyciężyła jedna z nich, na ogół określana mianem leninizmu. Twierdzi się niekiedy, iż zwycięstwo leninizmu jest przypadkiem, nie mającym nic wspólnego z treścią doktryny Marksa. Jest to pogląd naiwny i niemądry, jak większość poglądów szlachetnych skądinąd rewizjonistów. Będę jeszcze o tych kwestiach pisał. Na razie – wróćmy do tego, co wspólne wszystkim krajom socjalistycznym, do „istoty” ustroju socjalistycznego.

Otóż dla Lenina i leninistów o istocie ustroju socjalistycznego decyduje charakter władzy politycznej.

Znane jest i wielokroć cytowane zdanie Lenina, że marksis-

tą jest tylko ten, kto uznaje marksizm, z dyktaturą proletariatu włącznie.

A skoro uznanie dyktatury proletariatu jest warunkiem *sine qua non* bycia marksistą, co dla Lenina znaczyło prawdziwym socjalistą, w sferze teorii, to jest to warunek nieodzowny teorii i praktyki państwa socjalistycznego. W istocie też, we wszystkich państwach socjalistycznych charakter władzy politycznej jest jednaki. Wszędzie są to monopartyjne rządy stosujące wobec większości społeczeństwa przemoc – z różnym natężeniem w różnych okresach, ale zawsze przemoc. Nie ma tu miejsca na żadną opozycję. Jedynym ośrodkiem dyspozycyjnym jest kierownictwo partyjne. W praktyce kierownictwo to podzielone, a nawet podarte może być na różne ugrupowania, towarzyszą temu jednak usilne próby zachowania tajemnicy. Moment, kiedy walka w łonie kierownictwa partyjnego zostaje ujawniona, co nie znaczy, że mówi się o niej prawdę – raczej na pewno się kłamie – moment taki oznacza, że jedna z grup odniosła zwycięstwo, które teraz ma być aprobowane przez społeczeństwo. Społeczeństwo nie zostaje poinformowane o istnieniu różnych propozycji, społeczeństwo niczego nie wybiera. Społeczeństwo zostaje powiadomione, że linia *x* jest słuszna, leninowska etc., oraz że jacyś agenci ciemnych sił (rewizjonizmu, bucharinizmu, syjonizmu, ti-toizmu etc. etc. etc.) zostali zdemaskowani. Społeczeństwo ma za ulgą okazać najwyższą radość i w odpowiednim czasie oraz przy pomocy odpowiednich środków zlikwidować ukrywające się na niższych szczeblach lub wręcz w „dołach” resztki wrogów, którzy *ex definitione* są niewielką grupką łajdaków.

Jeśli przyjrzeć się temu, jak rządzone są społeczeństwa Ku-by i Bułgarii, Polski i Korei, Węgier i Związku Radzieckiego – okaże się, że przy znacznych niekiedy różnicach jedno, to znaczy dyktatorski, monopartyjny charakter władzy politycznej jest wszędzie taki sam.

Powiadają niektórzy, iż to nie jest „prawdziwa” dyktatura proletariatu, bo „prawdziwa” miała czy też mogłaby wyglądać inaczej. Zwracają oni przy tym uwagę na fakt, iż w krajach socjalistycznych klasa robotnicza nie tylko, że nie rządzi, ale jest pozbawiona jakiegokolwiek możliwości wpływania na rządy. Dodają przy tym niekiedy, że po dziś dzień we wszystkich 14 państwach socjalistycznych wziętych razem, a i w każdym z oddzielna, klasa robotnicza stanowi mniejszość. Te dwie uwagi są prawdziwe, ale bynajmniej nie wynika z nich by mogła istnieć jakaś inna władza socjalistyczna. Jeżeli komunistom podoba się

własne rządy nazywać dyktaturą proletariatu, to nie widzę powodu, dla którego warto by się było spierać o nazwę i odbierać im tę drobną przyjemność. Wszelkie inne dyktatury proletariatu, inne od tej, która istnieje, egzystują jedynie w sferze pobożnych życzeń, a w ich urzeczywistnialność wolno co najmniej wątpić.

W kwestii charakteru swojej władzy jako monopartyjnych rządów opartych na przemocy i nie uznających żadnej opozycji komuniści wypowiadali się niejednokrotnie i to dość — jak na nich — wyraźnie.

Bardzo ciekawym dokumentem jest z tego punktu widzenia tzw. list pięciu bratnich partii do KC KPCz z lipca 1968 r. Dokument ten wyraźnie stwierdza, że do warunków zasadniczych, bez których nie można mówić o socjalistycznym charakterze państwa należą:

- monopartyjność;
- zgniecenie wszelkiej opozycji;
- kontrola wszystkich oficjalnie krążących w kraju informacji;
- niedopuszczalność krytyki aparatu partyjnego;
- wierność wobec Związku Radzieckiego.

Wszystko inne — np. federalizacja państwa — to albo kwestie drugorzędne, albo wręcz drobiazgi. Z tzw. modelem ekonomicznym łącznie (przynajmniej w teorii). Powiedziane to jest przy pomocy charakterystycznego słownictwa, ale powiedziane wyraźnie:

„Siły reakcji wykorzystując osłabienie aparatu partyjnego kierownictwa krajem, nadużywając demagogicznie hasła »demokratyzacji«, rozpętały kampanię przeciw KPCz, jej uczciwym i oddanym kadrom, z wyraźnym zamiarem likwidacji kierowniczej roli partii, podważenia ustroju socjalistycznego i przeciwstawienia Czechosłowacji innym krajom socjalistycznym.” („Trybuna Ludu” 18.VII.1968 r.)

Można mówić wyraźniej, ale już to świadczy, że w mniemaniu samych komunistów nie stosunki własnościowe, lecz charakter władzy politycznej decyduje o socjalistycznym charakterze ustroju. Państwo, w którym nie istniałaby prywatna własność podstawowych środków produkcji, ale zarazem nie byłoby monopartyjnej dyktatury, takie państwo nie byłoby dla nich państwem socjalistycznym. I wolno zakładać, że mają rację.

Powie ktoś, że jest rzeczą nieuczciwą cytować jakiś haniebną dokument napisany przez polityków znanych ze swej miernoty i tępoty, podczas gdy istnieją liczne teksty Marksa, w których

mówi się o wyzwoleniu człowieka i różnych innych pięknych rzeczach. Pozwolę sobie być zdania, że wyobrażenia Marksa o socjalizmie były mgliste i utopijne oraz że to właśnie Breżniew z Gomułką i Mao-Tse-tungiem stokroć lepiej wiedzą, na czym zasadza się realny ustrój socjalistyczny. O tym zaś, czy cechy realnie istniejącego socjalizmu odpowiadają niektórym przynajmniej pomysłom Marksa czy nie — o tym będzie jeszcze mowa.

### O słowie pisanym i historii

Nie ma na świecie ludzi, którzy tak baliby się książek i w ogóle słowa pisanego jak komuniści. Wszystkie szumne autoreklamami o ilości tytułów i wysokości nakładów jawią swą nicość wobec faktu, że oni po dziś dzień boją się wydać niektóre teksty Żeromskiego, historii powstania Mochnackiego, czy Brzozowskiego. Boją się wydrukowanych nazwisk — w różnych okresach różnych — o ile tylko nie towarzyszy tym nazwiskom aureola wymysłów, potępień, niesławy.

Równie panicznie boją się komuniści historii (wiedzy o przeszłości). Przede wszystkim boją się wiedzy o przeszłości narodów, którymi rządzą, po drugie — historii Rosji. Ale najbardziej boją się historii własnej partii, no i historii partii radzieckiej. Nie było chyba ruchu politycznego, który tak bardzo wypierałby się własnej przeszłości jak oni. I to niezależnie od tego, czy przez przeszłość rozumieć rok 1961 (powiedzmy), czy rok 1928.

Natomiast wspólna obawa przed wiedzą o przeszłości Rosji i KPZR jest swoistym dowodem uznania przodującej roli Związku Radzieckiego i rządzącej nim partii. O przyczynach i funkcji tego przeraźliwego lęku będzie mowa w rozdziale O strachu komunistów.

### O niektórych cechach tej książki

Cecha pierwsza wynikająca z troski o bezpieczeństwo.

Niekiedy będę tu powoływać się na opinię A. B. lub C. W każdym rozdziale tymi pierwszymi literami alfabetu oznaczone są zupełnie różne, ale konkretne osoby. Tam zaś, gdzie nie pamiętam od kogo coś słyszałem, będzie to również zaznaczone. Rozumiałem jest, że nie mogę podawać nazwisk ludzi żyjących; z tych samych względów muszę również unikać dookreśleń, które mogłyby na czyjkolwiek ślad naprowadzić. Ograniczę się więc jedynie do każdorazowego wyrażenia mego sądu o wiarygodności

ci danej osoby. Będzie to wyłącznie mój prywatny sąd w tej materii.

Zastanawiałem się nad tym, czy w oddzielnym tekście, który bym starannie ukrył, nie rozwiązać tych kryptonimów. Domagała się tego moja „dusza historyka”. Doszedłem jednak do wniosku, że byłoby to niepotrzebne ryzyko.

Mam zamiar posługiwać się niekiedy przykładami zachowań się czy sposobów myślenia o charakterze „typów idealnych”. Wówczas będą mówił: Komuniści, Moczarowcy, Dygnitarz–pochodzeniowiec, Rewizjonista, Niekochane Dziecko Partii etc. etc. Nie są to kryptonimy, toteż doszukiwanie się tu konkretnych osób miałyby się z sensem.

Przy okazji wreszcie wyjaśniam, że jeśli będę tu operował konkretnymi nazwiskami, to jedynie w przypadkach, w których osoby te będą to sobie mogły poczytać za zasługę wobec władzy. Na przykład: prorektor w 1968 r. a obecnie Rektor UW Rybicki wielokrotnie, i to zarówno wobec większego grona jak i w rozmowach z poszczególnymi osobami stwierdzał, że jego decyzje w sprawach personalnych są realizacją życzeń wyrażanych przez policję polityczną. Zapisanie tego w *Materiale Dowodowym* może tylko Rybickiemu pomóc w jego dalszej karierze politycznej.

Cecha druga *Materiału* wynika ze zdwojonej trudności w dostępie do wielu źródeł. Po pierwsze bowiem są one w ogóle niedostępne, jak np. protokoły posiedzeń Sekretariatu KC, protokoły zebrań partyjnych etc. A dodać tu trzeba, że wiele ważnych postanowień wydaje się telefonicznie, „na gębę”, że wreszcie niektóre decyzje podejmowane są „na wyczucie” egzekutorów i nie sposób ustalić, kto je wydał.

Trudność druga – poważniejsza – płynie stąd, że *Materiał* pisany jest na marginesie czasowym moich zajęć zawodowych. Nie mogę tedy poświęcić tyle czasu, ile by się godziło na studiowanie materiałów dostępnych. Zbyt jednak wielu znam takich, którzy mówią, że byliby napisaliby to i owo, ale „krótkość czasu stała na zawadzie”. Ponieważ zaś najczęściej okazuje się, że brak czasu nie pozwala owym ludziom pisać tego, czego by im na pewno nie wydrukowano, a co mogłoby jeszcze narazić ich na przykrości – zdecydowałem się przeto na napisanie tekstu, o którym sam wiem, że musi posiadać liczne braki w wywodzie.

Cecha trzecia *Materiału* – a także jego kolejna z góry zało-

żona słabość – stąd pochodzi, że tekst ten nie będzie z nikim dyskutowany.

Cecha czwarta, to różnorodność materii w *Materiale Dowodowym* poruszonych. Zdaje się, iż z grubsza można owe materie zaliczyć do trzech dziedzin: ideologii, socjologii i wiedzy o polityce. Wyjaśnić tu może trzeba ów drugi składnik: będzie tu przecież wiele stron sprawom politycznym poświęconych. Otóż ogromna większość z nich dotyczyć będzie opisu przeszłości lub terażniejszości ustroju socjalistycznego (przede wszystkim w Polsce), albo rozważać będzie pewne możliwości układów przyszłych. Przy czym świadomie rozważa się tu takie możliwości, o których oficjalnie nawet pomyśleć nie wolno. Te teoretyczne, dające się pomyśleć ewentualności, wcale nie muszą się zrealizować, ale dobrze jest o nich wiedzieć. Szczególnie dzisiaj w Polsce, w kraju, gdzie jedyną perspektywą rządzących jest wierność „na dobre i na złe” względem doraźnych interesów ZSRR, a jedyną perspektywą rządzonych jest zarobić 200 zł miesięcznie więcej. Rozważanie możliwych wariantów przyszłości w krajach tak głupio konserwatywnych jak socjalistyczne wydaje się być samo w sobie pożytecznym.

Mało natomiast, lub prawie wcale, będę tu mówił o konkretnych wskazaniach politycznych.

Zdaję sobie sprawę z różnicy, jaka powinna istnieć między ideologią a polityką. Powinna, lecz bynajmniej nie zawsze istnieje. Być może, iż ową postulowaną różnicę należy rozumieć tak jak to przedstawił Herbert w wierszu *Tren Fortynbrasa*. Hamlet (ideolog) wierzy w „kryształowe pojęcia” – Fortynbras (polityk) opracowuje „projekt kanalizacji” i obmyśla „lepszy system więzień”. Sytuacja optymalna polegałaby na mimowiednej współkontroli. W innych ustrojach stan ten bynajmniej nie zawsze jest osiągalny. W ustroju socjalistycznym jest on niemożliwy do osiągnięcia. A to z tej racji, że warstwa rządząca, bez względu na to, czy jest względnie zjednoczona – jak za Stalina i Bieruta, lub jak w Polsce w 1968 r. połączona strachem–nienawiścią wywołaną przez reformy czechosłowackie – otóż bez względu na to, czy jest względnie zjednoczona czy też wzajem się żrąca, warstwa rządząca w ustroju socjalistycznym nie uznaje żadnej ideologii, lecz jedynie propagandę własnych aktualnych dyrektyw politycznych.

Ten fakt rzutuje na „sytuację” *Materiału Dowodowego*. Na luksus ideologii „czystej”, tj. mającej jedynie bardzo odległe i pośrednie związki z bieżącą polityką, nie można sobie w ustro-

ju socjalistycznym pozwolić. Taka ideologia jest po prostu niemożliwa. Ale mam nadzieję, iż świadomość tego stanu rzeczy pozwoli mi ograniczyć składnik doraźnie polityczny. Nie o to mi przy tym chodzi, by zrezygnować z powoływania się na fakty doby ostatniej, lecz by nie dać się wciągnąć w wyłącznie doraźny, dzisiejszy punkt widzenia.

### O jednostce i społeczeństwie

Jest to problem, który niegdyś niezmiernie interesował różnych myślicieli. Dziś – w takim przynajmniej ujęciu słownym – rozpatrywany jest znacznie rzadziej. Każdy student pierwszego roku socjologii wie, że społeczeństwo jest tą „najwyższą” całością, która wyznacza jednostce sposób, w jaki ona może pracować, bawić się, mówić, kochać etc. etc. etc. Dowodów na to przytacza się ogrom i choć jedne z nich budzić mogą wątpliwości, inne przecież zdają się być wielce przekonujące.

Nie mam zamiaru polemizować z tezą o „pierwotności” społeczeństwa w stosunku do każdej dziś żyjącej jednostki ludzkiej. W tak ogólnym sformułowaniu wydaje się ona być do tego stopnia oczywista, iż nic nie mówiąca. Można rzecz jasna na dowolnym niemal konkretnym przypadku, od zjedzenia obiadu poczynając, a na podjęciu decyzji w sprawie wkroczenia wojsk interwencyjnych do Czechosłowacji lub wycofania części wojsk amerykańskich z Wietnamu kończąc, można na niemal dowolnym przykładzie pokazać w jaki sposób ilość naszych możliwych zachowań wyznaczona jest przez to, co znajduje się poza każdym z nas, tj. przez „społeczeństwo”, no i oczywiście przez przyrodę. Co więcej, można bez trudu pokazać, że większość tego, co każdemu z nas wydaje się naszą własną i niepowtarzalną osobowością, „narzuca” nam również to zewnętrzne, tj. „społeczeństwo” i przyroda. Nawet nasze najgorętsze chcenia i najskrytsze marzenia przy bliższej analizie nie są takie nasze własne, jakby się to mogło wydawać. Po części pochodzą one stąd, że należymy do gatunku *homo sapiens* żyjącego w określonej biosferze, po części zaś stąd, że żyjemy w określonej kulturze, co z góry eliminuje pewną liczbę marzeń i chęci, inne zaś wyraźnie preferuje.

Ludzie rzadko kiedy formułują swoją sytuację w ten właśnie sposób, to znaczy powołując się na tak ogólne pojęcia, jak przyroda czy społeczeństwo, lub kultura. Natomiast wiele wskazuje na to, że przekonanie o niemocy jednostki wobec sił zewnętrznych,

czy też jawiących się jej jako całkowicie zewnętrzne, jest nader rozpowszechnione, a w ustroju socjalistycznym wręcz dominujące. Ale o tym będę pisał nie raz, jako że jest to jedna z głównych spraw, głównych problemów, głównych trosk towarzyszących spisaniu tych uwag.

Wróćmy więc do kwestii w jej ujęciu ogólnym.

Czy w tym obrazie stosunków między jednostką a społeczeństwem (pomijam dla jasności wykładu przyrodę) są jakieś składniki, które obraz ów „stara się” ukryć, uczynić niezauważalnymi?

Myślą, że dwa są takie elementy ukryte i ukrywane, oba zaś niezwykle doniosłości.

Pierwszy – to niejasny, nieuchwytny, nie dający się zmierzyć charakter tego, co nazywamy zwyczajowo społeczeństwem. Sytuacja jest paradoksalna. Każdy bowiem potrafi nazwać, pokazać różne ludzkie zachowania się lub materialne rezultaty tych zachowań, które noszą wyraźne piętno czegoś nie indywidualnego lecz właśnie społecznego. Zarazem jednak nie ma takiej „rzeczy”, o której ktokolwiek mógłby powiedzieć – to jest społeczeństwo. Każdy również, a przynajmniej każdy, kto interesuje się sprawami tego typu, zna ową kalendarzową prawdę: społeczeństwo nie jest prostą sumą jednostek wchodzących w jego skład.

Sformułowanie powyższe jest w gruncie rzeczy niejasne. Można by bowiem powiedzieć, że suma jednostek jest sumą jednostek i nie wiadomo dlaczego miałyby być czymś innym. Nie bądźmy jednak pedantami: z grubsza rzecz biorąc wiadomo o co chodzi. Otóż przede wszystkim, choć nie wyłącznie, że ludzie wchodzący w skład jakiegokolwiek grupy zachowują – mogą się zachowywać – razem inaczej niż każdy z nich, choć oczywiście nic materialnego, co można by nazwać grupą, nie istnieje poza jednostkami ludzkimi. Można zresztą powiedzieć więcej – to mianowicie, że o ile przynależność do grupy *iks* posiada w mniemaniu jednostki doniosłe dla niej znaczenie (np. dlatego, że nie wyobraża sobie życia poza tą grupą), to jednostka ta odłączona od reszty będzie wybierać swoje zachowania i nadawać im zewnętrzną postać tak, jak gdyby nadal tkwiła w tej grupie. Nie chodzi tu przy tym o takie sytuacje, w których człowiek „myśli siebie” jako członka grupy; mało kto podejmując jakąś decyzję, zachowując się w ten a nie inny sposób, zastanawia się nad „grupowym” charakterem swoich postępków. Wszystko to najczęściej



— choć oczywiście nie zawsze — dzieje się mimowiednie lub w znacznej mierze mimowolnie.

Te prawidła ludzkiego postępowania odnieść można z zachowaniem wszystkich ostrożności do tego, co nazywa się powszechnie społeczeństwem, a dla ścisłości do wszystkich znanych nam społeczeństw.

Miałoby się powiedzieć, że „społeczeństwo nie jest prostą sumą jednostek” może być lepiej powiedzieć: każde dane społeczeństwo nie składa się z niczego innego jak z żywych, konkretnych jednostek, posiadających każda z oddzielną swoje różnorodne nawyki, wyobrażenia, plany na przyszłość, wierzenia, uczucia, mniemania, dotyczące najróżnorodniejszych kwestii. Jednostki te wchodziły we wzajemne relacje z tytułu biologicznego pokrewieństwa, panujących zwyczajów i przepisów wychowawczych, udziału w wytwarzaniu i wymianie różnych informacji, w wytwarzaniu i wymianie tzw. dóbr materialnych i usług, w wytwarzaniu i wymianie tego, co w danym społeczeństwie składa się na tzw. dobro kulturalne, i wreszcie z uwagi na porządek, w jakim te cele są w danym społeczeństwie realizowane (w innym miejscu postaram się wykazać, że ten „porządek” wymieniony na końcu jest czymś niezmiernie ważnym). Na dane społeczeństwo składają się także przedmioty, już to wytworzone dawniej już to powstałe w danej współczesności, które przez żyjących uważane są za z jakichś względów ważne, przy czym spis przedmiotów, które dane społeczeństwo uważa za ważne dla siebie w tzw. kulturze europejskiej zdradza stałą tendencję do powiększania się, mimo iż wciąż ze spisu tego „wypadają” całe grupy przedmiotów.

Jeśli zgodzić się na powyższą, bardzo globalną, propozycję, to okaże się, że nic takiego jak społeczeństwo poza żyjącymi jednostkami i różnymi przedmiotami nie istnieje. Że wszystko co — poza przyrodą — jawi się nam jako siła zewnętrzna wobec jednostki, to „jedynie” inne jednostki, relacje między ludźmi i ogromna ilość przedmiotów od motyki i igły poczynając, poprzez groby królów, a na czymś tak absurdalnym jak rakiety międzykontynentalne kończąc, a także nasze własne poglądy, wyobrażenia i przeczucia na temat innych, ludzi i przedmiotów nas otaczających.

I tu przechodzę do drugiego ukrytego składnika powszechnej wizji społeczeństwa jako czegoś pierwotnego w stosunku do jednostki.

Rzecz w tym, że jakkolwiek zdeterminowany przez społeczność, uwikłany w stosunki z innymi ludźmi, przywalony miliar-

dem rzeczy i pogiębiony własnymi wyobrażeniami o własnej niemocy — żaden człowiek nie jest bezwolną maszyną. Ludzkie działanie mimo, iż wyznaczone przez niepoliticzną ilość zewnętrznych okoliczności i wplątane w nie dające się przewidzieć działania innych ludzi, jest aktem woli, zależy od działającego. Ogromna większość czynności, które wykonujemy jako dorośli ludzie, nie mogłaby być wykonana, gdyby nie d e c y z j a każdego: uczynię to i to.

To prawda, iż nad większością tych decyzji ludzie się nie zastanawiają lub podejmują je w samouspokajającym przekonaniu, że „inni robią to samo albo jeszcze gorzej”, „a bo ja co zmienię”, „co to ma za znaczenie” etc. etc. etc. Ale to, że tak jest, nie wynika ani z gatunkowych właściwości człowieka, ani z jego faktycznej słabości. To, że tak jest nie znaczy, że tak być musi.

Jeśli zgodzimy się, że składnikiem większości naszych działań jest akt woli, to zgodzić się musimy, że każdy z nas ponosi za swoje działania odpowiedzialność, od której żadne „społeczeństwo” nie może go zwolnić.

Ukrytym składnikiem owej wizji społeczeństwa jako czegoś pierwotnego w stosunku do jednostki i wyznaczającego jej działania jest fakt, że społeczeństwo składa się m. in. z działań poszczególnych jednostek, z działań, z których każde musi być poprzedzone aktem woli danego osobnika. W tym punkcie — starannie ukrywanym przez warstwę rządzącą w ustroju socjalistycznym — zależność jest w z a j e m n a: możliwości jednostki ograniczone są przez społeczeństwo, ale stan społeczeństwa z a l e ż n y jest od tego, co wybierają, co ś w i a d o m i e c z y n i ą jednostki.

Oczywiście, świadomość tych jednostek (każdego z nas) nie jest „czysta”, indywidualna, lecz jest uwarunkowana przez świat, w którym żyjemy. Jesteśmy więc przede wszystkim w ten czy inny sposób indoktrynowani. Widzimy świat nie oczami lecz poprzez nasze społeczne wyobrażenie o świecie. Indoktrynacja polega m.in. na tym, że jednostka pewnych rzeczy nie widzi, a nawet nie chce widzieć. Kiedy Niemcy mówią, że nie wiedzieli nic o zbrodniach hitlerowskich, to znaczna część z nich mówi prawdę, w tym sensie, że nie chcieli nic o nich wiedzieć. I o to oskarża się tzw. przeciętnych, niewinnych Niemców — o to, że nie chcieli wiedzieć. Wychodzi się bowiem z założenia, iż każdy kto chciał mógł bez trudu zdobyć dostateczną ilość wiedzy o prawdziwym charakterze ustroju hitlerowskie-

go. Wymaga się więc od Niemców – *ex post* – wielkiego wysiłku wyjścia poza oficjalną doktrynę lub poza wygodną samochciałą ślepotę biernego przyzwolenia. Wychodzi się tu z założenia, iż taka postawa, takie wyjście poza ślepotę było możliwe.

Uważa się, że było to możliwe, zakładając tym samym – może nieświadomie – że mimo nacisk oficjalnej doktryny, mimo dominację społeczeństwa nad jednostką, każdy mógł zachować się inaczej.

Czy wychodzi się z tego założenia tylko dlatego, że III Rzesza przegrała wojnę?

Ta możliwość każdego człowieka wynikająca z zasad funkcjonowania egzemplarzy *gatunku homo sapiens*, wynikająca ze szczególnej budowy jego układu nerwowego – a dla ludzi wierzących, z przekonania o istnieniu duszy nieśmiertelnej – ta możliwość wyboru, a zarazem konieczność poprzedzenia każdego działania aktem woli, jest kwestią szczególnie ważną w ustroju socjalistycznym. To znaczy w ustroju, w którym cała zorganizowana przez państwo „zewnętrzność” nastawiona jest na wpojenie człowiekowi poczucia niemocy, ustawienie go w sytuacji stwarzającej dotkliwie pozory nieodpowiadania za nic, a głównie za siebie.

Właśnie i przede wszystkim w ustroju socjalistycznym, tu, gdzie wszechwładza „społeczeństwa” w stosunku do jednostki jest największa, gdzie możliwości wyboru są mikroskopijne – właśnie tu i właśnie dlatego, że tak niewiele można, sprawa odpowiedzialności każdego człowieka za to co czyni jest tak doniosła.

Dlatego zagadnienie stosunku jednostki do społeczeństwa nie jest – tu i teraz – akademicką, naiwną kwestią sprzed dwustu lat. Jest sprawą na dziś, a to znaczy na jutro każdego z nas.

Powie ktoś, że rozważania powyższe są naiwne i nieuczzone, że wstyd w dobie rozwoju socjologii, w dobie Moreno, Lazarsfelda czy Mertona uprawiać taką staroświecczyznę. Być może. Wolałbym jednak miast zarzutów opartych o kryterium mody usłyszeć po prostu inną propozycję – lepszą, przydatniejszą, ciekawszą. Lub przynajmniej jawne wyznanie któregoś z socjologów: my się takimi sprawami nie zajmujemy, bo albo musieliśmy pleść oficjalne bajdoły w stylu Wiatra lub Wesołowskiego, albo moglibyśmy się narazić władzy; nie chcemy zaś ani jednego ani drugiego.

## Anegdota I

Niedługo po skazaniu Dżilasa za *Nową klasę*, kiedy książka jego dotarła do Polski, jeden z wybitnych polskich socjologów strzelił konceptem, który obiegł kręgi „liberalnie nastawionej inteligencji”: za napisanie tak niedowarzonej książki trzeba dać człowiekowi stypendium na douczenie się, a nie wsadzać go do więzienia.

*Nowa klasa* nie jest dobrą książką, ale ów socjolog – w przypadku o którym mowa – dowiódł, że nie zawsze bywa dobrym socjologiem.

Rzecz w tym, że poglądy takie jak wyrażone w *Nowej klasie* są naturalnym produktem okresu zwanego niekiedy „rozkładem” socjalizmu. Lub wyrażając się inaczej: w tej całości, jaką jest obecnie ustrój socjalistyczny, jest miejsce na książki takie jak Dżilasa; wszystkie jej słabości y *compris*. Jest miejsce – to nie znaczy, że warstwa rządząca w socjalizmie byłaby w stanie dać za taką pracę stypendium lub choćby zbyć ją milczeniem. Nie, oni muszą ją za to wsadzić do więzienia. Muszą i chca. Cóż, można im tylko zazdrościć dobrego samopoczucia.

Co się zaś tyczy wspomnianego socjologa, to: *allez-y!* Cóż łatwiejszego niż napisać dobrą książkę na ten sam temat! Choćby do szuflady.

## O plotce w ustroju socjalistycznym

Komuniści głoszą (i zdaje się, że w to wierzą) iż źródłem wielu zjawisk określanych przez nich jako negatywne jest tzw. czynnik subiektywny.

A więc „podziemie gospodarcze” pojawia się tylko dlatego, iż w świadomości niektórych ludzi trwają „przeżytki kapitalizmu”, co powoduje, że ludzie kradną, biorą łapówki itd. itp.

Plotki pojawiają się tylko dlatego, że „reakcjonisci” lub „nieświadomi” słuchają Wolnej Europy lub z niewiadomych przyczyn szukają innego niż oficjalne wytłumaczenia tych czy owych zjawisk, posunięć rządu etc.

Jest to złudzenie, błąd lub oszustwo.

„Podziemie gospodarcze” nie pojawia się, lecz istnieje jest stałe, ponieważ jest ono strukturalną cechą gospodarki socjalistycznej. Po prostu nie znamy ekonomiki socjalistycznej bez „podziemia gospodarczego”, tj. różnego rodzaju operacji nielegalnych w świetle obowiązujących przepisów. Gospodarka socjalistyczna nie tylko rodzi „podziemie”, ale po prostu nie mogłaby

bez niego istnieć. Nie jest to usprawiedliwienie kradzieży. Co wynika z tego, o czym pisałem w rozdziale **O jednostce i społeczeństwie** i o czym będę jeszcze nie raz mówić.

Plotki polityczno-społeczne nie pojawiają się, lecz plotka jako zjawisko społeczne jest strukturalną częścią socjalistycznego systemu informacji. Z istnieniem plotki jako trwałego zjawiska w ustroju socjalistycznym Wolna Europa nie ma nic wspólnego. Jestem zwolennikiem hipotezy, że ogromna większość plotek rodzi się w kraju, a tylko znikoma ilość pochodzi z zagranicy. Można by – teoretycznie – sprawdzić wartość tej hipotezy przy pomocy bardzo prostych badań socjologicznych. Praktycznie jest to oczywiście niemożliwe.

*Notabene* sądzę, że zarówno ludzie rządzący Polską jak i redaktorzy z Wolnej Europy przeceniają ilość słuchających „Warszawy zachodniej”. Istnieją cztery powody, dla których słuchający WE, BBC, itd. jest mniej, niż się powszechnie sądzi:

- a) ogólny brak zainteresowania dla polityki cechujący społeczeństwo typu sowieckiego;
- b) konkurencja telewizji;
- c) trudności techniczne spowodowane brakiem dobrych radioodbiorników, okresowym zagłuszeniem etc.;
- d) codzienność, tj. zmęczenie, konieczność załatwiania różnych spraw, wizyty itd. itp.

Niemniej wydaje się, że „Warszawy zachodniej” słuchają ok. 300 tys. ludzi. Do tego można by dodać pewną niewielką grupę ludzi słuchających Paryża czy Londynu w „oryginalnej wersji językowej” oraz znaczną ilość Ślązaków i Warmiaków słuchających audycji NRF-owskich. Natomiast w sytuacjach kryzysowych, tj. *wtedy gdy społeczeństwo w masie swej zaczyna się interesować polityką*: wojna na Bliskim Wschodzie, „marzec”, inwazja na Czechosłowację, „grudzień”<sup>\*</sup> – tzw. Warszawy IV słucha kilka jeśli nie kilkanaście milionów ludzi.

To właśnie zjawisko dowodzi, iż mimo generalne odpolitycznienie typu sowieckiego, oficjalna informacja w ustroju socjalistycznym nie cieszy się żadnym zaufaniem odbiorcy. Z tego twierdzenia wyłaczylby pewien typ informacji odwołujący się do zbiorowych lęków czy wierzeń danego społeczeństwa. Przykładem wielka podatność społeczeństwa polskiego na infor-

<sup>\*</sup> Kursywą zaznaczono fragmenty dopisane przez autora po grudniu 1970. Patrz *Noty*, zapis pod datą 29. XII.

mację antyniemiecką lub – poświadczana przez wielu – chwytliwość informacji antychińskiej wśród Rosjan.

Wracam bezpośrednio do sprawy plotki.

Można by sformułować pewną hipotezę o wysokim stopniu prawdopodobieństwa: im mniejszy jest zakres informacji oficjalnej, im mniejszym cieszy się ona zaufaniem, tym większa w danym społeczeństwie staje się rola plotki jako źródła informacji.

W ustroju socjalistycznym rola jaką odgrywa plotka polityczno-społeczna stanowi nieuchronną funkcję socjalistycznego systemu informacji. Wszystkie procesy określane przez komunistów mianem wzmocnienia kierowniczej roli partii (dawniej nazywało się to bolszewizacją i termin ten był jeszcze lepszy) zwiększają automatycznie rolę i zakres działania plotki.

Badacz społeczeństwa i ustroju socjalistycznego musi sobie postawić pytanie: jaka jest wiarygodność plotki polityczno-społecznej w ustroju socjalistycznym?

Nie mając żadnej możliwości prowadzenia odpowiednich badań, posługując się jedynie własną obserwacją oraz rozumowaniem, odpowiedź na powyższe pytanie zbudować mogę w sposób następujący:

Po pierwsze trzeba dokonać podziału plotek na typy czy też rodzaje. Podziały takie mogą być różne: z uwagi na temat, z uwagi na funkcje i wreszcie ze względu na domniemane źródło.

Klasyfikacja plotek społeczno-politycznych ze względu na ich tematykę mogłaby być nader interesująca szczególnie przez porównanie z zakresem informacji oficjalnej. Zabawny, ale i pożyteczny byłby indeks rzeczowy i osobowy – powiedzmy – plotki polskiej lat 1961–63 czy bułgarskiej lat np. 1964–66. Oczywiście nie mam możliwości zrealizowania tego pomysłu.

Zacznę tedy od podziału ze względu na domniemane źródło. Z tego punktu widzenia w ustroju socjalistycznym wyróżnić można:

– plotkę inspirowaną przez kierownictwo partii jako całość (przede wszystkim wymienić tu należy ogromną większość plotek kreujących mit wszechwiedzy i bezpieczeństwa; inne przykłady konkretne: w listopadzie 1956 r. krążyła wiadomość, że Biuro Polityczne musiało nakazać delegatowi w Radzie Bezpieczeństwa by głosował za ZSRR w sprawie węgierskiej, bo Rosjanie i Chińczycy zagrozili całkowitym wstrzymaniem dostaw zboża i ryżu; podobna choć „łagodniejsza” plotka była puszczona po ujawnieniu zamordowania Imre Nagy’ a.);

– plotkę inspirowaną przez jedną z grup nacisku w partii (zabawnym schematem posługują się tu moczarowcy: po pierwszym, ściśle drugim, aresztowaniu Kuronia i Modzelewskiego – plotka: Moczar był temu przeciwny; po pierwszej antysemickiej czystce w służbie zdrowia MSW – plotka: Moczar na zebraniu partyjnym w MSW ostro potępił antysemityzm; w czasie „marca” – Moczar był przeciw, to KW; itp. aż po dzień dzisiejszy);

– plotkę pochodzącą z nieuchronnych przecieków, najczęściej na górnych szczeblach instancji wykonawczych, (przykłady: wszystkie istotniejsze zmiany cen);

– plotkę będącą rezultatem specjalnych starań grup zainteresowanych uzyskaniem wiadomości (przykład: wiadomości na temat zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym; o informacje te pracownicy naukowcy zabiegali ze zrozumiałych względów);

– plotkę, której źródłem jest odmienna niż oficjalna interpretacja danego zjawiska (przykład: plotki–hipotezy na temat śmierci Nowotki, Mołojca, Fornalskiej i Findera; zasięg tych konkretnie plotek–hipotez jest niewielki, bo przytłaczającej większości społeczeństwa nic to nie obchodzi i – w pewnym ograniczonym sensie – ma owa większość rację);

– plotkę, której źródłem jest powszechna, ludzka potrzeba tworzenia mitów (najjaskrawszym przykładem jest tu absolutnie niesprawdzalna plotka o zachowaniu się zamachowca, który w 1968 r. strzelał do Breżniewa; z powyższego przykładu nie należy wnioskować, że wszystkie plotki, których geneza związana jest z mitotwórczymi właściwościami gatunku są równie szlachetne; wręcz przeciwnie, potrzebę mitu z łatwością zaspokajają najbrudniejsza plotka rasistowska).

Powyższa propozycja typologii plotki w ustroju socjalistycznym wymaga kilku komentarzy.

Po pierwsze tedy jest oczywiste, że podział ten kreuje pewne modele „czyste”, tj. że w rzeczywistości nader często mamy do czynienia z plotkami–mieszanicami. Prowadzić to może do bardzo skomplikowanego układu „wektorów” danej plotki. Przykładowo: grupa zawodowa A stara się o zdobycie informacji, o której sądzi, że jest dla niej ważna; tę informację X „podrzuca” jej któraś z partyjnych grup nacisku; członkowie grupy A zdają sobie sprawę, że wiadomość X jest tendencyjnie spreparowana lub w ogóle nieprawdziwa, niemniej na tej podstawie usiłują sobie zrekonstruować domniemany prawdziwy kształt wiadomości; w rezultacie plotka będzie miała zawartość X1, X2 lub X3, względnie będzie całkowitym zaprzeczeniem informacji

X. Do tego zaś dodać trzeba normalny „szum” wynikający ze szczególnych cech ustnego przekazu jako kanału informacji.

Zabawne? W pewnym sensie tak. Ale tylko w pewnym sensie.

Po drugie, wydaje się, iż mimo niektóre cechy specyficznie socjalistyczne, w powyższej klasyfikacji źródeł plotki odnaleźć tu można pewne podobieństwa do plotki występującej w ustroju kapitalistycznym. Ponieważ są one oczywiście nie będą się nad nimi zatrzymywał. Wniosek: nie wszystkie charakterystyczne wyróżniki socjalistycznej plotki politycznej dadzą się odnaleźć w ramach podziału ze względu na domniemane źródła.

Postaram się więc przedstawić jak rozumiem funkcje plotki w ustroju socjalistycznym.

Zasadniczą funkcję plotki stanowi przekaz informacji. Otóż funkcja plotki politycznej w ustroju socjalistycznym wyznaczana jest przez specyficzny, tylko temu ustrojowi właściwy charakter obiegu informacji. Informacją w ustroju socjalistycznym będę się zajmował jeszcze nie raz. Tu wystarczy jeśli powiem, że jednym z głównych źródeł tego systemu informacji jest interes klasowy warstwy rządzącej oraz to, jak ta warstwa rozumie swoje interesy. Z różnych względów, o których jeszcze będzie mowa, warstwa ta nie może, nie chce i nie potrafi informować społeczeństwa o ważnych wydarzeniach w życiu społecznym i politycznym kraju, o jego sytuacji gospodarczej etc. Po pierwsze dlatego, że w żywotnym interesie tej warstwy leży odpolitycznienie społeczeństwa. W ustroju socjalistycznym nie ma obywateli, są tylko p o d d a n i. Otóż poddani nie mają się zajmować ani losem państwa ani własnym losem w rozmiarach przekraczających wyznaczone im przez władzę miejsce i drogi ew. kariery. Poddanym „nadmiar” wiedzy nie tylko nie jest potrzebny, ale co gorsza mogłoby w nich obudzić drożne myśli i ciągoty. Ta zasada wyklucza z oficjalnego obiegu informacje, które same w sobie, ze względu na swoją treść byłyby dla warstwy rządzącej obojętne. Rzecz jednak w tym, że treść wielu informacji m u s i a ł a b y być dla warstwy rządzącej s z k o d l i w a. Po prostu dlatego, że są to informacje zasadniczo sprzeczne z oficjalnym obrazem świata, Polski, socjalizmu. Np. oficjalnie w PZPR nie ma frakcji, w Polsce nie walczy się z religią inaczej niż przy pomocy perswazji, wreszcie w ramach tego oficjalnego obrazu Polski nie ma miejsca na rasizm. Dlatego też wszystkie informacje, które zaprzeczałyby tym i wielu innym



składnikom obrazu *pays légal*, wskutek swej niewątpliwej prawdziwości nie mogą być dopuszczone do oficjalnego obiegu.

Co więcej, warstwa rządząca nie tylko nie może dostarczać informacji społeczeństwu. Nie jest ona w stanie informować „samej siebie”. Dezinformacja „góry” wynika stąd, że w aparacie rządzącym informatorzy premiowani są nie za prawdę lecz za zgodność z aktualnymi tezami. Dezinformacja „dołów” — potwierdzana np. przez wiele wystąpień Rumińskiego na plenarnych posiedzeniach KC — ma swe źródło m. in. w przekonaniu, że aparat musi być stale „wychowywany”. A niemówienie prawdy należy do podstawowych zasad komunistycznej dydaktyki. Wolno przypuszczać, że w rezultacie „biały dom” oraz jego odpowiedniki na szczeblu wojewódzkim i powiatowym są równie, jeśli nie bardziej rozplotkowane, co tzw. kawiarnia.

Można tedy kwestię ująć tak: niezbywalną cechą ustroju socjalistycznego jest fakt, iż plotka polityczno-socjalna stanowi w nim nader często jedyne źródło wiadomości istotnych dla życia społeczeństwa lub że jest źródłem, z którego wiadomości docierają w c z e ś n i e j. Ten stan rzeczy może ulec zmianie tylko w dwóch wypadkach: albo zmieni się ustrój — albo społeczeństwo doprowadzone zostanie do stanu, w którym całkowicie przestanie się interesować własnym losem.

Tu byłoby miejsce na podjęcie istotnego problemu antropologii filozoficznej: czy potrzeba prawdy (tj. prawdziwych sądów o świecie) jest g a t u n k o w ą potrzebą człowieka. Być może w dalszym ciągu tych rozważań będę musiał zająć się tą kwestią. Wolałbym tego nie czynić, byłoby to bowiem niewątpliwe obciążenie tekstu.

Na razie wracam do plotki. Do pytania o stopień wiarygodności plotki społeczno-politycznej w ustroju socjalistycznym.

Powiem najpierw, co sądzę w tej materii, potem podam kilka przykładów, wreszcie pewne kwestie postaram się wyjaśnić.

Otóż przede wszystkim wydaje mi się, że stosunkowo znaczny procent plotek, o których mowa, to plotki całkowicie lub w pewnym stopniu prawdziwe. Zważywszy jak niepewnym źródłem informacji bywa plotka, zważywszy iż „poetyka” plotki zakłada jej wielowersyjność (oto temat dla uczniów Proppa: plotka jako odmiana ludowego „skazu”) — można powiedzieć, że w ustroju socjalistycznym „wskaźnik prawdziwości plotki” jest zdumiewająco wysoki. Oczywiście, jak i w innych dziedzinach, którymi zajmuje się teoria informacji — a nawet w większym stopniu niż w innych — bardzo dużo zależy tu od odbiorcy.

Prawda w plotce bywa często „zaszyfrowana” i odkrycie jej zależne jest od umiejętności „dekodacji”.

Po drugie, w ustroju socjalistycznym szczególnie wysoki jest procentowy udział plotki z n a c z ą c e j. Plotka znacząca może być i bywa nieprawdziwa, ale fakt, iż pojawia się w określonym czasie, że pochodzi z dających się odczytać źródeł, ten fakt bywa nader często ważnym znakiem mówiącym albo o tendencjach w łonie tej czy innej grupy nacisku, albo o społecznie ważnych wyobrażeniach społeczeństwa, albo o zamierzeniach grupy rządzącej etc. Nie wszystkie plotki znaczące są prawdziwe i *vice versa*.

Podam teraz kilka przykładów.

Plotka prawdziwa, której pełna weryfikacja jest możliwa: wiadomość o odejściu Rapackiego z MSZ opatrzona różnymi szczegółami dotyczącymi tej sprawy. Sprawdzalne było tu „jądro” wiadomości. Szczegóły oczywiście nie. Szczegóły, niezależnie od prawdziwości, należą do folklorystyki, wynikają z „poetyckich” potrzeb opowiadających — słuchających — opowiadających. Plotka, nawet prawdziwa, nigdy nie jest czystą informacją.

Plotka o prawdziwym zapleczu, której treść jest niesprawdzalna: latem 1967 r. w Warszawie opowiadano, że po *speechu* Gomułki 19 czerwca doszło między nim a Ochabem do ostrej wymiany zdań; Gomułka w pewnym momencie zaczął krzyknąć (nie znam a n i j e d n e j plotki o Gomułce, w której by on nie krzychał, wściekał się, szalał, tupał nogami etc.), że Ochab przeciw niemu spiskuje, ale że on — Gomułka — na to nie pozwoli; Ochab miał odpowiedzieć: i tak już jest po spisku; miało to znaczyć, że Gomułka dawno już jest pozbawiony władzy przez moczarowców. Prawdziwym zapleczem tej plotki są zakończone w 1968 r. rozbieżności między Gomułką i Ochabem dotyczące zapewne sprawy antyjudaizmu a, być może, innych kwestii. Czy taka rozmowa w cztery oczy w ogóle się odbyła — nie sposób sprawdzić. Czy Ochab udzielił takiej właśnie odpowiedzi — wątpię, jest ona bowiem zbyt inteligentna jak na obu rozmówców: Ochab nie potrafiłby wymyśleć tak zwartej odpowiedzi, a Gomułka by jej nie zrozumiał. Czy Gomułka latem 1967 r. bał się „spisku” ze strony resztek „grupy puławskiej”? Niewykluczone: jest dostatecznie głupi na to, by nie dostrzec, że ludzie „grupy puławskiej” cechowało przede wszystkim nędzne i żałosne wypraszenie gomułkowskiej łaski, która zapewniała im dobre posady, jaką taką ochronę przed moczarowcami i absolutnie pewną ochronę przed nękającym ich widmem „października”. „Puławia-

nie” byli bandą skamlących, przerażonych głupców, ale chyba nie byli tak głupi, by spiskować przeciw człowiekowi, który dawał im dobre posady, ordery itd. itp.

Plotka znacząca, której sprawdzić nie sposób, a której prawdziwość wydaje się nader wątpliwa: latem 1968 r. opowiadało, że „od pewnego czasu” między Moczarem a Szlachcicem toczy się otwarta wojna; Szlachcic na zebraniu p.o.p. w MSW miał powiedzieć: „Dłuski kiedy dostał nagrodę stalinowską, to ufundował szkołę, a towarzysz Moczar już zagarnął 600 tysięcy za *Barwy walki* i co?”; według innego wariantu tej plotki Szlachcic zarzucał Moczarowi, że robi z bezpieki samodzielną siłę polityczną, zaś Moczar czynił Szlachcica odpowiedzialnym za brutalność marcowych rozpraw ze studentami. Źródłem tych wieści mogło być tylko MSW, same zaś plotki były jawnym znakiem walki o schedę po Moczarze.

Plotka głosząca, iż zabójstwo syna Bolesława Piaseckiego to był „mord rytualny”. Tę plotkę rozpowszechniali m. in. Anna Bukowska w rozmowie z A. wiosną 1968 r., asystent Akademii Medycznej i publicysta „Kierunków”, pewien nieznany mi z nazwiska pracownik PAX-u. Ta plotka jest znakiem poświadczającym światopogląd ludzi z grupy Moczara i PAX-u. (Bukowska jest żoną W. Namiotkiewicza wieloletniego sekretarza Gomułki – ciekawe czy w mordy rytualne wierzy również jej mąż.) Otóż we wszystkich trzech przypadkach ci nosiciele plotek potwierdzali swoją wiarę w mordy rytualne, ów lekarz-publicysta dziwił się, iż można w to nie wierzyć, a jedynie anonimowy „paxowiec” podkreślając swoją wiarę w coś takiego jak mord rytualny, sądził, że syn Piaseckiego zabity został z innych względów i że wódz PAX-u w tej konkretnej kwestii nie powinien angażować swego autorytetu właśnie w sprawę mordu rytualnego. O tym, w jaki sposób sprawę „mordu rytualnego” na młodym Piaseckim wykorzystywała w 1969 r. bezpieka będą mówił w innym miejscu.

Znajdą się ludzie, którzy nie dadzą wiary temu, by w drugiej połowie XX w. mogli istnieć intelektualiści (Bukowska jest krytykiem literackim, a wspomniany lekarz pracownikiem naukowym) w tak średniowieczny sposób zabobonni, by wierzyć w mordy rytualne. Jest to niewiara płynąca z arcy naiwnego racjonalizmu. Odpowiedzieć mogą jedynie, że wśród rasistów niemieckich przed 30 laty i wśród rasistów południowo-afrykańskich dziś nie brak intelektualistów co najmniej równie wybitnych jak wspomniane tu trzy osoby.

Ostatni przykład to typowa plotka interpretacyjna. Mam tu na myśli różne wersje przyczyn katastrofy lotniczej pod Zawoją (wiosna 1969). Nie odnotowuję tu tych wersji; raczej chciałbym zwrócić uwagę na ich źródło: oficjalne komunikaty z pierwszych dni kwietnia. Są one tak niejasne, jak gdyby ich autorzy nie byli już w stanie formułować najprostszyc prawdziwych informacji; a późniejsza oficjalna wersja (atak serca I pilota) nie tłumaczy skąd samolot wziął się nad Policą. Nic tego dziwnego, że ludzie, których karmi się wiadomościami jawnie pokrętnymi sami zaczynają uzupełniać brakujące ogniwa informacji. Wersja, iż samolot, który się później rozbił, otrzymał polecenie krążenia wokół Krakowa ponieważ z lotniska w tym czasie startował specjalny samolot wiozący delegację Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej powracającą do Warszawy, ta wersja brzmi w końcu prawdopodobnie. W każdym razie w dniu katastrofy w Krakowie (*vide* „Gazeta Krakowska”) odbywał się pogrzeb przewodniczącego WKKP, w którym brała udział delegacja z Moskwy. Wyjaśnienie najbardziej wiarygodne, ale też niesprawdzałne: była to próba porwania samolotu.

Powyższe przykłady należą do tzw. pierwszych z brzegu. Pochodzą one wszystkie z lat 1967/69, co bynajmniej nie znaczy, że wcześniej i później nie krążyły po Polsce inne plotki.

Na zakończenie tego rozdziału kilka uwag.

Po pierwsze więc, posługując się – z konieczności – plotką jako jednym ze źródeł wiedzy o ustroju socjalistycznym trzeba mieć na uwadze wyłącznie ustny charakter przekazu. A stąd jej nieuchronne przekształcenia, ograniczony zasięg i wreszcie przypadkowość z jaką dociera do tych czy innych osób.

O tej przypadkowości świadczyć może następujący przykład. W 1956 r. „grupa puławska” chciała podobno przeforsować na stanowisko I sekretarza Zambrowskiego. (Pomysł sam w sobie dokładnie na poziomie politycznym tych ludzi, ale mniejsza o to.) Wiadomość ta krążyła po Polsce oczywiście tylko jako plotka. Otóż zdawałoby się, że taka – w ówczesnej skali ważna – plotka musiała do mnie dotrzeć. Tymczasem dowiedziałem się o tym dopiero w 1963 r. z książki Jedlickiego o Krzywym Kole. Sam pomysł z Zambrowskim wydał mi się tak obłąkany, że początkowo nie wierzyłem w prawdziwość tej wiadomości. Dopiero zapytawszy kilka osób przekonałem się, że Jedlicki zapisał plotkę która – nie wiem czy prawdziwa – krążyła po Warszawie latem 1956 r.

Po drugie, ta przypadkowość plotki jako źródła informacji

(przypadkowość — w tym sensie, że gazetę „muszę” przeczytać, a plotka może do mnie nie trafić) pomnożona jest jeszcze przez dzielnicowe rozbitcie krajów socjalistycznych, tak charakterystyczne dla całego okresu po śmierci Stalina. W Warszawie znacznie łatwiej jest się dowiedzieć o jakimś strajku w Barcelonie, niż o protestach górników zagłębia miedziowego na Dolnym Śląsku. Protesty te podobno miały miejsce wiosną 1969 r., zaś wywołała je fatalna komunikacja, sprawiająca, iż faktyczny czas pracy wraz z dojazdami trwał ponad 12 godzin. *Nadto w okresach kryzysu grupa rządząca — jak to miało miejsce w grudniu 1970 i na początku 1971 r. — wzmaga ową „dzielnicowość” informacji.*

Generalnie rzecz biorąc można wysunąć hipotezę, że plotka z Warszawy na prowincję dochodzi o wiele szybciej niż w odwrotnym kierunku. A także o wiele gęściej. To znaczy, że na — powiedzmy — dwadzieścia ustnych wiadomości rozchodzących się w kierunku Warszawa — reszta kraju przypada jedna płynąca w odwrotnym kierunku.

Wreszcie trzecia uwaga dotyczy poetyki plotki, tj. tego zespołu jej właściwości, które wynikają z faktu „bycia opowiadaniem”. Plotka racjonalizuje i „upiększa”. To ostatnie szczególnie wtedy, gdy opowiadającym jest człowiek o cechach bazarza. Plotka wykańcza wiadomość, ponieważ ludzie chcą słuhać i przekazywać dalej teksty „zamknięte”, spuentowane.

Przeciw wszystkiemu, co tu napisałem, wysunąć można zarzut, iż zajmowanie się plotką jest czymś niegodnym, czymś, co by świadczyć miało o niskim poziomie itp.

Nie ja jednak wymyślam owe dziesiątki i setki plotek krążących w państwach socjalistycznych. Nie ja uczyniłem z plotki narzędzie walki o władzę w e w n ą t r z warstwy rządzącej. Plotkę rodzi socjalistyczny system informacji, jest ona nieodłączną częścią tego systemu, tak jak „niewidzialna” strona księżycy jest nieodłączną częścią jego „widzialnej” strony. Plotka jest społecznym sposobem władania informacją w warunkach absolutnego monopolu środków przekazu, monopolu najzdrożniej strzeżonego przez warstwę rządzącą w ustroju socjalistycznym.

*Sytuacja jest koszmarnie kaleka, czego najjaskrawszym dowodem był stan informacji w czasie wydarzeń grudniowych 1970 r. Z jednej strony partia zastrzyła swój monopol na informację do tego stopnia, że w Warszawie bezpieczeństwa i KW nakazały demontować na noc wszystkie powielacze i kserografy oraz — podobno — zdjęto głośniki z pomocniczych samochodów osobowych*

*MZK. Zabiegi te okazały się skuteczne i nieskuteczne. Skuteczne z punktu widzenia dalszej dezorganizacji, dalszego rozbitcia społeczeństwa, które w ten sposób skazano na żywiołowe i wyizolowane wystąpienia. Komuniści jeszcze w czasach Lenina doceniali znaczenie posiadania monopolu informacji. Polscy administratorzy — z łaski Kremla — do tej tradycji dodali własne doświadczenia: negatywne (dla nich) z 1956 r. i Czechosłowacji, oraz pozytywne (dla nich) z „marca” 1968 r. Toteż strzegą swojej monopolistycznej własności informacji na tyle, na ile pozwalają im walki frakcyjne, a w okresach zagrożenia „wznoszą się” gdy tylko mogą ponad te walki. Tak było w grudniu 1970 r. I jeśli chodzi o wzmocnienie dezatomizacji społecznej, odnieśli sukces. Porażki natomiast doznali, o ile wyobrażali sobie, że w grudniu 1970 r. wszystkie te dodatkowe środki ochrony monopolu informacji skazą społeczeństwo wyłącznie na oficjalne wiadomości. Może zresztą nie byli aż tak głupi, może machnęli ręką na plotki, contentując się tym co ważniejsze. W każdym razie w grudniu 1970 r. plotka jako źródło informacji ukazała całą swoją potęgę i całą słabość.*

*Bo nie oszukujmy się, plotka jako j e d y n e źródło informacji jest zawodna, szczególnie w okresie ostrego kryzysu. W pewnym sensie niezastąpiona, plotka jest nieselektywna, gubi się w pojedynczych faktach, ujawnia swe „literackie” pokrewieństwo, co tu dużo gadać — ogłupia. A ogłupianie społeczeństwa to niedoceniana podpora rządów komunistycznych. I mimo to trzeba powtórzyć: wbrew wszystkim negatywnym stronom, plotka w ustroju socjalistycznym jest j e d y n y m społecznym sposobem władania informacją, j e d y n ą — niestety — bronią społeczeństwa w walce z monopolem komunistycznej informacji.*

Powie ktoś, że przecież można sobie wyobrazić socjalizm z innym systemem informacji... Owszem, wyobrazić sobie można, ponieważ wyobrazić można sobie wszystko. Takie nastawione na fantazję rozważania o ustroju socjalistycznym cechują postawę rewizjonistów. Jest to jednak — jak wiele pomysłów rewizjonistycznych — stawianie problemu do góry nogami. Rewizjoniści pytają: co dobrego możemy sobie wyobrazić na temat prawdziwego (bo nie istniejącego — dodam od siebie) socjalizmu? Ja natomiast pytam: jaki j e s t ustrój socjalistyczny i c o s p r a w i a, że jest on właśnie taki? Jeśli ktoś wyobraża sobie twór składający się z imperium rosyjskiego, rządów miejscowej, kolonialnej administracji i miejscowej policji politycznej (plus dywizje rosyjskie „na miejscu”) i do tego wszystkiego inny niż istniejący system informacji, to prawdę mówiąc ktoś taki zdradza

cechy paranoidalne, kojarzy sobie w głowie składniki nie dające się pogodzić.

Socjalistyczny system informacji (sieć oficjalna plus różnego rodzaju plotki) jest doskonale dopasowaną częścią składową ustroju socjalistycznego. W tym układzie Krasicki, Jaszuński czy Sołuba są dokładnie na swoim miejscu, tak jak na swoim miejscu jest dowódca wojsk okupacyjnych w Legnicy, generał Pietrzak w gmachu MSW na Rakowieckiej, a kolejny Olszowski, kolejny Gomułka, kolejny Szelest i kolejny Breżniew za swoimi biurkami. W tym zbiorowym portrecie brak jeszcze trzech skromnych postaci, są nimi: rezydent ambasady radzieckiej w redakcji „Życia Warszawy”, cenzor (na wszelki wypadek) i instruktor KC (jako chłopiec do politycznych posylek). Ach, i jeszcze comiesięczny felieton Juliana Przybosia, bo i dla muzy, byle posłusznej, jest tu miejsce.

Czy można się dziwić, że w takim układzie i warstwa rządząca i społeczeństwo – w różnych celach – uciekają się do plotki jako źródła informacji?

Wracam do pytania postawionego na początku rozdziału: jaka jest wiarygodność plotki jako źródła informacji w ustroju socjalistycznym?

Odpowiedzieć na to można w sposób dwojaki.

Traktowana jako j e d y n e źródło informacji plotka w ustroju socjalistycznym jest zawodna, choć przy umiejętnej dekodacji okazuje się zdumiewająco prawdziwa, szczególnie jeśli pamiętać o roli plotki „znaczącej”, tj. takiej, której treść bezpośrednia może się składać z kłamstw, ale właśnie kłamstw znaczących.

Natomiast włączona w zespół źródeł, weryfikowana przy pomocy umiejętnej lektury (i audiatURY) oficjalnych źródeł informacji jest czymś nieodzownym dla wiedzy o socjalizmie.

### O rosyjskim radzieckim imperium

Rozważania o socjalizmie były i są na ogół domeną ideologów. Lepszych, gorszych, mądrzejszych, głupszych, intelektualnie uczciwych i intelektualnie nieuczciwych. W pewnym sensie – o czym już pisałem – występuję tu również w roli ideologa. Piszę o ustroju socjalistycznym. O tym, jaki jest. O tym, że inny być nie może. Pewne partie tekstu będą zapewne polemiką z tzw. rewizjonizmem. Chwilami jednak wszystkie te problemy (kwestia struktury społecznej, charakter władzy, rola policji, eko-

nomika itd. itp) wydają mi się jałowe. Jedyne, co naprawdę waży na losach Polski, a także Rumunii, Węgier, Czechosłowacji, Korei Północnej – to imperialna polityka Rosji. To, czy w imperium rosyjskim rządzi klasa obszarniczych biurokratów i kasta wyższych wojskowych, czy też kasta wyższych wojskowych i biurokratów komunistycznych, wydaje się mieć znaczenie drugorzędne. Porównując XIX i XX wiek (powiedzmy, czasy od Aleksandra I do rewolucji 1917 r. i od rewolucji do dziś), porównując te dwa okresy pod względem liczby ofiar śmiertelnych musi się stwierdzić, że rządy komunistycznych biurokratów są bez porównania bardziej „efektywne”. To samo pod względem ilości zesłańców, więźniów, katorżników. Około jedenaście milionów śmiertelnych ofiar samej tylko kolektywizacji w ZSRR. Ponad półtora miliona aresztowanych i deportowanych Polaków w czasie niecałych 24 miesięcy od 17-go września 1939 r. Ilu Polaków aresztowano i zesłano w ciągu całego XIX w. (do 1917 r.)?

W ciągu ostatnich 250 – z grubsza licząc – lat cele polityki rosyjskiej w Europie były następujące:

- wyjść na wschodnie i północno-wschodnie wybrzeże Bałtyku i opanować możliwie dużą jego część;
- opanować Morze Czarne możliwie całkowicie obejmując w posiadanie jego wybrzeża;
- wejść możliwie najdalej do Europy środkowej;
- wyjść na Morze Śródziemne przez podporządkowanie sobie państw bałkańskich.

Cele te uzasadniane były przy pomocy różnych doktryn. Ich głosiciele zapewne wierzyli w hasła jedności Słowian, misji wyzwoleńczej w stosunku do Serbów, misji dziejowej prawosławia etc. etc. etc. Nie o to mi zatem chodzi, by podważać rolę owych ideologii, by głosić – w moim mniemaniu – niesłuszny pogląd o całkowitej służebności tych doktryn względem „nagiej” przemocy polityczno-wojskowej. Wśród polityków rosyjskich ostatnich 250 lat byli zapewne i ludzie na wskroś ideowi i kompletni cynicy, a najwięcej zapewne było takich trochę ideowych, a trochę cyników. Dla biografisty Pobiedonoscewa czy Litwinowa są to kwestie ważne. Są one drugorzędne z punktu widzenia analizy generalnych tendencji polityki rosyjskiej. Są również – dla innych powodów – drugorzędne z polskiego punktu widzenia.

Pomiędzy hasłem zjednoczenia wszystkich ziem zamieszkałych przez Słowian pod berłem imperatora Wszechrosji a hasłem przedarcia się Armii Czerwonej ku rewolucji niemieckiej istnieje



wiele różnic, których nie można lekceważyć. Ale praktyczny rezultat jest ten sam: przesunięcie granic państwa rosyjskiego najdalej na Zachód. (Że jest to państwo rosyjskie, tzn. że Rosjanie i tylko Rosjanie pełnią tam podwójną rolę uciskających inne narody i uciskanych przez własne klasy rządzące – o tym będę jeszcze mówił w innym rozdziale.)

Oficjalni ideolodzy i politycy – np. Gomułka w związku ze zdjęciem ze sceny Teatru Narodowego *Dziadów* – powiadają od czasu do czasu z oburzeniem: jak można przyrównywać Związek Radziecki do carskiej Rosji. Ależ oczywiście że można z tej prostej przyczyny, iż oba człony są p o r ó w n y w a l n e. Mówiłem już, że w niektórych przypadkach, np. w kwestii ludobójstwa, porównanie to wychodzi na korzyść Rosji carskiej, w innych – np. w dziedzinie – oświaty na korzyść Związku Radzieckiego.

W sferze powiększania obszaru rządzonego *de facto* według interesów warstwy panującej w Rosji, sprawa przedstawia się tak:

– po pierwszej wojnie światowej obszar ten uległ zmniejszeniu, zaś takie cele jak, opanowanie Morza Czarnego i wyjście na Morze Śródziemne, mogły się wydać znacznie bardziej odległe niż w roku – powiedzmy – 1913; odepchnięta została również Rosja od wybrzeży bałtyckich nie tylko wskutek uzyskania niepodległości przez Litwę, Łotwę oraz Estonię, lecz również przez wyjście Finlandii spod rosyjskiej opieki; najcięższym wyłomem w rosyjskim władaniu było odzyskanie niepodległości przez Polskę;

– będę jeszcze mówił o komunistycznych wariantach wykorzystywania kwestii narodowej, tu chciałbym podkreślić jedną sprawę: Rosja Radziecka miała od pierwszej chwili generalnie negatywny stosunek do traktatu wersalskiego i jego rezultatów; tym samym, nawet godząc się pod przymusem na niepodległość państw bałtyckich, Polski, na ówczesne granice Rumunii, rząd bolszewicki zostawiał sobie otwartą... nie furtkę, lecz bramę, przez którą Armia Czerwona w ciągu kilkunastu miesięcy 1939–1940 zagarnęła pod powrotne panowanie rosyjskiej biurokracji komunistycznej to, co zostało „utracone” 20 lat przedtem;

– ale dopiero w latach 1944–48 Rosja dokonała wielkiego skoku na Zachód i Południowy-Zachód; między jałtańskim „utargiem” Stalina a „rewolucją lutową” w Czechosłowacji dokonało się nie tylko pełne włączenie w orbitę interesów

komunistycznego państwa rosyjskiego terenów niegdyś zagarniętych przez carat, lecz także powiększenie imperium na zachodzie i Bałkanach, o którym Potiomkinowie i Górczakowowie nie często snili;

– w latach 1948–1967, jeśli pominąć kilka nieudanych prób (Iran, Korea) oraz Kubę (ambiwalentny prezent losu wspomaganego przez reakcyjną głupotę polityki USA), mogło się wydawać, że Rosja poprzestaje na – niełatwym – trawieniu połkniętych połąci;

– latem 1967 r. w rezultacie tzw. sześciodniowej wojny Rosja – po bez mała trzystu latach imperialnych marzeń – wyszła na Morze Śródziemne; amerykańscy czy francuscy stratedzy, pocieszający się tym, że flota radziecka na Morzu Śródziemnym jest słaba, że baza morska w Syrii niewielka, a baza w Algierii wątpliwa, przekonają się o tym, co powinni wiedzieć z własnego doświadczenia: Rosja z morza Śródziemnego dobrowolnie nie wyjdzie, bowiem nikt, kto posiada siłę, nie oddaje dobrowolnie zdobytego, a już na pewno nie rosyjskie warstwy rządzące, a zupełnie na pewno nie czynią tak rosyjscy komuniści.

Nie twierdzą, że rosyjskie komunistyczne panowanie od Łaby po Ocean Spokojny oparte jest na granitowej opoce. Sądzę, że jest wręcz przeciwnie i będę o tym nie raz mówił. Faktem jednak jest, że narodom zamieszkującym to imperium socjalizmu jawi się jako nowy kolonializm. W tej sytuacji rodzi się pokusa, by porzucić wszelkie rozważania o istocie socjalizmu i zająć się takimi problemami: jak (z najmniejszą szkodą społeczną) żyć w państwie będącym *de facto* pół-kolonią? Czy istnieją realne szanse poprawienia statusu pół-kolonii?

Z tego punktu widzenia nie tak jest ważnym, jaką twarz ma radziecki socjalizm i czy ma ją w ogóle, lecz to, by Rosja złagodziła ucisk lub by w ogóle przestała być kolonialnym imperium.

Przyznaję, że nie brak danych kierujących myśl w tę stronę.

Można sobie tak ułożyć fakty, by tworzyły one przesłankę (fundament całego światopoglądu, a właściwie kilku różnych światopoglądów). Przesłanka ta brzmi: system panujący w Rosji i podwładnych jej państwach, a więc rządy partio-policji, oficjalna ideologia, ekonomika, stosunki społeczne (słowem konkretny – a nie jakiś wymarzony – ustrój socjalistyczny) – wszystko to są sprawy obojętne lub drugorzędne wobec faktu nagiej przemocy i druzgoczącej przewagi państwa rosyjskiego; ideologiczna, ustrojowa forma tej przemocy jest kwestią obojętną lub w każdym razie mało ważną. (Podobna była przesłanka rozumowania

de Gaulle'a, który na dodatek wierzył, że „*Pologne éternelle*” czy „*Roumanie éternelle*” wyzwolą się i że „*éternelle Russie*” się na to zgodzi tylko dlatego, że zechce wejść do „Europy ojczyzn”. Nie wiem, co się przy okazji miało stać z wieczną Estonią czy wieczną Gruzją, ale podejrzewam, że generał-prezydent jak większość zachodnich polityków o ich istnieniu albo nie wiedział, albo ciągle zapominał.)

Przesłanka powyższa wydaje się być wadliwie zbudowana, a co za tym idzie fałszywa. Jest ona również społecznie szkodliwa. Nie raz będę tu polemizował z różnymi propozycjami bazującymi na tym fundamencie. Chciałbym jednak, by polemiki te nie wypaczały moich zapatrywań w dwóch kapitalnych sprawach.

Po pierwsze tedy, jest faktem niezaprzeczalnym, że siła materialna jest podstawowym czynnikiem radzieckiego neokolonializmu. Ostatecznie, gdyby system radziecki panował w Paragwaju lub w Portugalii, to groźba, jaką reprezentowałyby dla innych narodów — oprócz paragwajskiego lub portugalskiego — byłaby znikoma.

Po drugie, w interesie narodów uciskanych przez komunistyczne imperium rosyjskie, a i w interesie narodu rosyjskiego, mimo iż sytuacja jego jest bardziej skomplikowana, nie leży z a m i a n a jednej postaci imperialistycznego ucisku na inną, l e c l i k w i d a c j a imperium.

Wyjaśnię teraz pokrótce dlaczego sformułowaną uprzednio przesłankę uważam za wadliwie zbudowaną, a więc fałszywą, i dlaczego wywiedzione z tej przesłanki pytania uważam za społecznie szkodliwe lub — w najlepszym wypadku — niewystarczające.

Przesłanka zbudowana jest wadliwie, ponieważ wprowadzie grupuje fakty (prawdą jest bowiem, że dominacja radzieckiego imperium oparta jest, jak przewaga każdego imperium, na sile zbrojnej), ale nie wszystkie fakty. Co gorsza, nie wszystkie w a ż n e fakty. Przede wszystkim więc, pomija się tu iż ustrój socjalistyczny i ideologia radziecka stanowią niezbywalną część składową rosyjskiego radzieckiego imperium. Że ten właśnie system policyjno-polityczny, z tymi czy innymi zmianami transplutowany do Europy środkowej i na Bałkany, stanowi „własną”, narodową formę ucisku, opartego wprowadzie na radzieckich czołgach, ale na co dzień realizowanego przez miejscową narodową komunistyczną biurokrację. Ten radziecki ustrój (a więc policja, system stosunków społecznych, ekonomika) i ta radziecka ideologia stanowią o ciągłej i pogłębiającej się s o w i e t y -

zacji społeczeństw Polski i innych krajów obozu. (O sowietyzacji — czym jest i skąd się bierze — powiem obszernie w jednym z następujących rozdziałów.)

Przesłanka, której wadliwość staram się obecnie wykazać (uznanie imperialistycznego charakteru panowanie ZSRR przy jednoczesnym lekceważeniu konkretnej ustrojowej i ideologicznej treści tego imperializmu, uznanie za jedyny ważny fakt siły i tylko siły, której źródłem ma być tajemnicza „dusza rosyjska”) pomija zarówno konkretne formy przejawiania się owej siły i ukrywa zupełnie — choć zapewne nieświadomie — specyficznie radzieckie źródła s ł a b o ś c i tego imperium. Wreszcie takie ustawienie problematyki automatycznie niejako przekreśla potrzebę myślenia o ustrojowej przyszłości Polski, Węgier czy Bułgarii.

Taka też jest — niezwykle ograniczona — perspektywa pytań płynących z owej wadliwie skonstruowanej a więc fałszywej, nieprawdziwej przesłanki. Przypomnę te pytania:

— jak (z najmniejszą szkodą społeczną) żyć w państwie będącym *de facto* pół-kolonią;

— czy istnieją realne szanse istotnej poprawy statusu radzieckiej pół-kolonii?

Zacznę od nawiasu w pytaniu pierwszym.

Pochodzi on stąd, że znaczna część społeczeństwa formułuje sobie owo pytanie z pominięciem tego, co ująłem w nawias. Dla wielu, bardzo wielu ludzi od Łaby po Ocean Spokojny pytanie to brzmi: jak się urządzić w ustroju, co do którego nie wątpi się, że jest zły, niesprawiedliwy itp. itp. Jest to jeden z elementów s o w i e t y z a c j i, a tym samym jedno ze źródeł ograniczonej siły warstwy rządzącej w ustroju socjalistycznym. Daleki jestem od roli Katona — ludzie c h c ą żyć, ludzie jakoś m u s z ą żyć i postawa wynikająca z pytania „jak się urządzić w tym wszystkim?” wydatnie im w tym pomaga. Nie trzeba chyba jednak dowodzić, że postawa ta — niezwykle dogodna dla warstwy rządzącej — jest społecznie szkodliwa. I im bardziej rozpowszechniona, im dłużej trwa — tym jest szkodliwsza. Mówiąc aforystycznie: w postawie tej życie degeneruje samo siebie.

A pytanie to, wraz z istotną zmianą ujętą w nawias? Jest to właściwie inne pytanie. Zastrzeżenie „z najmniejszą szkodą społeczną” stanowić może ważny element różnych decyzji. W wielu, aż nazbyt wielu przypadkach chciałoby się, aby ludzie kierowali się tak ujętą dyrektywą — boć jest to pewna dyrektywa postępowania, mimo iż niejasna, niewyraźna.

Niemniej, mimo iż odgrywające ważną rolę hamulca, mimo iż w wielu wypadkach pożyteczne, pytanie to ogranicza sferę ludzkiego działania do tego, by „nie być łajdakiem”. W ustroju socjalistycznym warstwa rządząca nie cierpi ludzi, którzy nie chcą się świnić i przy każdej nadarzającej się okazji daje im to odczuć. Granica „niebycia łajdakiem” – a zatem granica „bycia łajdakiem” – jest zresztą ruchoma. Przypuszczam, że istnieją nawet tacy specjaliści, którzy potrafiliby wytyczyć różnice między Chałasińskim, Kuczyńskim i Gontarzem. Moim zdaniem próżny to trud. Można się jedynie zastanawiać nad tym, który z wymienionych tu przykładowo jest najszkodliwszy. Podejrzewam, że Gontarz wyszedłby najlepiej...

Wracam do kwestii ważnych. Pytanie: jak z najmniejszą szkodą społeczną żyć w państwie będącym *de facto* pół-kolonią (neo-kolonią), mimo iż społecznie doniosłe i pozytywne, tę ma wadę, że oznacza pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy, a w każdym razie uznanie go za niezmienny.

Pytanie drugie (a właściwie trzecie): czy istnieją realne szanse istotnej poprawy statusu półkolonialnego?

Schematyzując, upraszczając można powiedzieć, że w Polsce zadają sobie to pytanie dwie grupy ludzi, oraz jedna udaje, że sobie zadaje.

Dwie pierwsze grupy to organiczni i eterniści. Grupa trzecia to partyjni „liberałowie”. Partyjni „liberałowie” udają; bowiem od jesieni 1956 r. jedyną, niezmienną troską partyjnych „liberałów” jest zachowanie własnych posiadłości. Prywatnie każdy z nich wolałby żyć w nieco złagodzonej formie... U nikogo jednak podział na życie prywatne i życie państwowe nie jest tak wielki, jak u partyjnych „liberałów”. Zaznaczam, że między partyjnymi „liberałami” a – nielicznymi zresztą – czynnymi wyznawcami idei liberalizmu różnica jest jak pomiędzy szuwaksem a masłem.

W odróżnieniu od partyjnych „liberałów” eterniści, a przede wszystkim organiczni, często zachowują się w sposób dowodzący, iż istotnie zależy im na losach Polski.

Mówiąc o organicznikach mam na myśli ludzi, którzy uważają, że w każdym istniejącym stanie rzeczy należy robić dobrą robotę, przez co rozumie się pomnażanie mocy produkcyjnej i dochodu narodowego. Postawę organiczników postaram się jeszcze omówić obszernie i szczegółowo. Teraz chodzi mi jedynie o zamknięcie perspektywy, wynikające z założenia, iż pożyteczną społecznie działalność w sensie sformułowa-

nym powyżej należy prowadzić w każdej istniejącej sytuacji społecznej. Przy całym uznaniu dla tego, co organiczni w niezwykle trudnych warunkach zrobili w Polsce w ostatnim ćwierćwieczu, trzeba sobie powiedzieć jasno, że organicznikostwo jest szlachetną formą filozofii niewolników.

Eternistów (wiecznościowców, jak by ich można nazwać inaczej) spotykamy przede wszystkim w środowiskach humanistycznych, wśród tzw. ludzi sztuki, i rozumują oni inaczej. Polityka, ustrój, zależność od Rosji – powiadają oni – to okoliczności zewnętrzne. To przemija, to się nie liczy. Jedyne, co naprawdę zostaje, to nieprzemijające twory kultury wyrosłe z ducha narodu: moda na Majakowskiego, Brechta, Kurosawę czy Faulknera przemija tak, jak przeminęli Beria, Bierut lub Zambrowski, jak przeminą Gomułka, Moczar i Szydłak – a wiersze Lenartowicza i Konopnickiej były, są i będą, i każde polskie dziecko je rozumie.

Pogląd ten w całości niemal składa się z przekonań metafizycznych, w niewielkim zaś stopniu z sądów odnoszących się do doświadczeń międzyosobniczych. Posiadanie tych lub innych przekonań metafizycznych winno być dobrym prawem każdego człowieka, trudno jest jednak dyskutować na temat istnienia i wcieleń ducha narodu. Teza, że duch narodu polskiego wcielił się w wiersze Krystyny Miłobędzkiej, jest tak samo dobra, jak teza, iż duch ten zamieszkuje w strofach Gaworskiego (to oczywiście jako przykład, a panią Miłobędzką przepraszam za to zestawienie).

Wypada natomiast zauważyć, że ideologia polityczna określona tu – może nie najfortunniej – mianem eternizmu nie ma nic wspólnego z żadnym konkretnym programem poetyckim. Wbrew pozorom jest to właśnie ideologia polityczna stworzona przez nieliczną, lecz społecznie ważną grupę i wyłączną na użytek tej grupy. W swych praktycznych realizacjach oznacza ona nader często – choć nie zawsze – zgodę na wszystko, co „przemija”. Ciekawe, że taki eternista, który nigdy nie zhańbił się uznaniem Kurosawy, nie raz wyrażał hołdy pod adresem Bieruta i Gomułki.

Mimo pewne istotne różnice między poglądami organiczników i eternistów, obie ideologie mają niemało cech wspólnych. Będę o tym jeszcze mówił w dalszych partiach książki, teraz chodzi mi o jedną tylko, ale kapitalną kwestię: o stosunek obu po-

staw, obu propozycji ideologicznych do faktu, iż Polska jest radziecką pół-kolonią.

Otóż zarówno organiczni, jak i eterniści nie tylko z faktem tym godzą się na co dzień — to musi robić każdy człowiek — ale uważają ten stan rzeczy za absolutnie trwałe i niepodważalny z istoty. Organiczni i eterniści żywią mityczną wiarę w niewzruszoność radzieckiej potęgi w Europie i Azji.

Toteż w sferze myślenia o przyszłości, w dziedzinie długotrwałych skutków istnienia pewnych — tych właśnie — propozycji największym grzechem organiczników i eternistów jest programowa zgoda na wieczną niewolę, programowe odrzucenie samej myśli o możliwości odzyskania samodzielności przez Polskę, Litwę, Gruzję, Węgry, Ukrainę itd.

Nic tedy dziwnego, że wszelkie sytuacje kryzysowe w rosyjskim imperium radzieckim, sytuacje, na jakie system ten jest nieuchronnie skazany, napawają lękiem zarówno organiczników, jak i eternistów. Do tych kryzysów mają stosunek niechętny. Ludzie bowiem niechętnym okiem spoglądają na to, co jawnie zaprzecza ich światopoglądowi. A w światopoglądzie organiczników i eternistów imperium radzieckie i socjalizm to „rzeczy” bezsensowne, marnotrawne, okrutne, obce kulturze narodowej, ale nienaruszalne i wiecznotrwałe w swej materialnej potędze.

W rosyjskim radzieckim imperium istnieją trzy grupy ideologii:

- a) ideologie warstwy rządzącej, tj. ideologie komunistyczne;
- b) ideologie życia codziennego wyznawane przez większość społeczeństw tego imperium, tj. ideologie przystosowania;
- c) ideologie protestu i buntu.

W życiu codziennym narodów wchłoniętych przez komunistyczne imperium rosyjskie trzecia grupa ideologii odgrywa rolę najmniejszą. Jest to grupa bardzo heterogeniczna. Płynność postaw bywa tu znaczna, co najlepiej widać na przykładzie różnych wariantów ideologii naprawy. Teoretycznie rzecz biorąc przyznają się do niej organiczni, którzy niczego jednak nie są w stanie naprawić, żywią bowiem przekonanie o własnej bezsilności. Na początku każdej fazy kryzysu — od śmierci Stalina — któraś z wersji ideologii naprawy staje się doktryną jednej z grup nacisku wewnątrz warstwy rządzącej. W fazie końcowej danego kryzysu ideologia naprawy „przeskakuje” do grupy protestu i buntu. Po czym *da capo al fine*. Kołomyjka ta jest rezultatem prostego faktu, iż socjalizmu, systemu radzieckiego nie można naprawić.

W rozdziale niniejszym zajmowałem się, i to skrótowo, jedynie drugą grupą ideologii, ponieważ one właśnie stanowią uzasadnienie i racjonalizację codziennych zachowań setek milionów ludzi żyjących w radzieckim imperium. Jest przy tym rzeczą oczywistą, że większość ludzi nie racjonalizuje i nie uzasadnia swoich działań, lub że czynią to w niewielkim zakresie.

Dlatego też rozpatrując filozoficzne aspekty życia w radzieckim imperium sprowadziłem sprawę do trzech elementarnych pytań, które pozwolę sobie powtórzyć:

- jak się w tym wszystkim urządzić;
- jak żyć w radzieckiej pół-kolonii nie działając w sposób społecznie szkodliwy;
- jak żyć w radzieckiej pół-kolonii działając tak, by ulepszyć jej status?

Mimo różnie dzielące te pytania i płynące z nich konsekwencje, światopoglądy tak sformułowane mają pewne cechy wspólne. O jednej z tych cech — moim zdaniem najważniejszej — chcę teraz powiedzieć.

Otóż — powtarzam tezę wypowiedzianą przed chwilą — cechą wspólną tych rudymenarnie sformułowanych światopoglądów jest **zarzucenie wszelkiej myśli o odzyskaniu samodzielności**. Ta samobójcza rezygnacja stanowi niemiłą część składową takiej oto wizji naszego losu:

- potęgą Rosji imperialnej jest niewzruszona i wiecznotrwała (co uważam za fałszywe);
- „Zachód” sprzedał nas w Jałcie ostatecznie i raz na zawsze (co uważam za prawdziwy opis intencji „Zachodu”).

W tej strukturze o samodzielności nie tylko się nie mówi, lecz nawet się nie myśli. I to, że się nie myśli jest właśnie zmierzaniem ku narodowemu samobójstwu, to jest też największym tryumfem imperialnej polityki Rosji radzieckiej i polskiej komunistycznej samoniewoli.

#### **Czy człowiek nie będący „aryjczykiem” ma prawo rozważać kwestię niepodległości Polski?**

Przystępując do pisania *Materiału Dowodowego* miałem zamiar zaprezentować domniemane sposoby „zwalczania” tej książki przez oficjalnych ideologów. Wiem bowiem, co o tym tekście mogą napisać Naszkowski, K. T. Toeplitz, Górnicki, Rakowski, Jaszński, Kąkol, M. Osiadacz, Sidor, Wyszacka, Czeszko etc. etc. etc... Wiem również co — oczywiście ratując



coś tam, np. Uniwersytet Warszawski – napisze historyk Iks, a co socjolog Ygrek.

Takie sprezentowanie – we właściwej im stylistyce – chwytów oficjalnej propagandy miałyby kilka dobrych stron. Byłaby to niezła zabawa zarówno dla mnie jak i dla domniemanych czytelników. Nadto wymienieni i nie wymienieni bojownicy pióra musieliby się trochę wysilić. Ale w końcu to, czy zarobią swoje 700 zł na zwalczaniu tej oto ohydy z mniejszym czy większym wysiłkiem, jest naprawdę nieważne. Bóg z nimi.

W toku pisania zrezygnowałem z realizacji tego pomysłu. Z tej prostej przyczyny, że książka moja rozrasta się od samego początku, ja zaś nie lubię tekstów nazbyt obszernych.

Drugi powód, dla którego poniechałem prezentacji przyszłych wywodów moich polemistów *ex officio* jest ten, że naprawdę książkę moją komuniści i ich poplecznicy zwalczać będą w jeden prosty – i nie łudźmy się, skuteczny – sposób: ten żydłak – powiedzą – nie dość, że przez 25 lat jadł polski chleb, któryśmu mu wielkodusznie ofiarowali, nie dość, że ze ślepą zjadłością zwalczał wszystko, co polskie, ale jeszcze teraz ośmiela się w ogóle wymawiać święte słowa: niepodległość Polski.

Co się tyczy polskiego chleba, to jadłem go nie 25 lecz 45 lat z wyjątkiem 20 dni, w których jadłem chleb izraelski, trzech miesięcy, kiedy jadłem chleb francuski, i czterech lat, kiedy – niekoniecznie z własnej woli – jadłem, jeśli jadłem, chleb kazachski.

Co się zaś tyczy pytania postawionego w tytule niniejszego rozdziału, to myślę, że jedyna możliwa poprawna odpowiedź winna brzmieć:

– dla *polskiego* rasisty człowiek nie będący aryjczykiem, a w szczególności będący Żydem, nie ma w ogóle prawa mówić o Polsce, ponieważ z samego faktu, iż nie jest aryjczykiem, wynika, że musi chcieć Polsce szkodzić;

– dla *nie-rasisty* sam fakt przynależności rasowej – jeśli w ogóle daje się ustalić – nie może być źródłem żadnych przywilejów lub ograniczeń.

#### Istotne uzupełnienie do rozdziału „O rosyjskim radzieckim imperium”

Nie będę tu więc polemizował z ludźmi, którzy w świętym oburzeniu zakrzykną: ach, ten reakcjonista, ten izraelsko-nrfowski agent podważa święte fundamenty naszej internacjonalis-

tycznej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, z tą ostoją pokoju, tym barankiem o sile lwa. Albo wierzą w to, co mówią, zaś argumentacja nie ma się w i a r y. Albo nie wierzą, lecz konsekwentne pozorowanie tej wiary przynosi im tak wielkie w ich mniemaniu korzyści (niekoniecznie tylko materialne), że za nic by swych prawdziwych myśli nie ujawnili.

Zwracam się natomiast do tych, którzy (sobie i innym) powiadają: oczywiście jesteśmy słabsi od Związku Radzieckiego, a więc zależni, ale po co zaraz mówić o pół-kolonii, to gruba przesada; czyż można przyrównywać sytuację Polski do sytuacji Filipin sprzed lat 40-tu, a choćby do sytuacji Panamy dzisiaj.

Niezależnie od subiektywnej uczciwości takiego rozumowania prosi się ono o jedną refleksję. Jeśli w społeczeństwie o tysiącletniej tradycji własnej państwowości, w społeczeństwie, które w roku 1425 wydało z siebie zasadę (co prawda, dla jednej tylko warstwy) *neminem captivabimus nisi iure victum* – jeśli w społeczeństwie takim rozlegają się głosy pocieszenia mówiące „a w Panamie jest gorzej”, to w niczym nie chcąc urazić Panamczyków, trzeba powiedzieć: takie rozumowanie prowadzi do aprobaty własnego niewolnictwa.

Jeśli jednak pominąć wielkie słowa, jeśli wyjść poza porównania co najmniej mylące, to problem sformułować można w sposób następujący:

- czy Polska jest państwem niepodległym;
- czy Polska jest radziecką pół-kolonią;
- czy można w sposób poprawny twierdzić, że jedno i to samo państwo, w tym samym czasie jest niepodległe i jest pół-kolonią?

Otóż – wbrew własnej etymologii – niepodległość jakiegoś państwa jest wyznaczana przez wypełnienie lub nie wypełnienie pewnych warunków formalno-prawnych, nie zaś przez *faktyczną* podległość lub nie-podległość innemu państwu. Wyznacznikami niepodległości są m. in.: posiadanie wyodrębnionych i uznawanych *de iure* granic państwowych, własny system monetarny, własny system szkolny i nauczanie w języku narodowym, własna policja i sądy wyrokujące w języku narodowym. Z punktu widzenia formalno-prawnego – a tylko ten może być w danej kwestii brany pod uwagę – Polska jest państwem niepodległym od roku 1945. Ale niepodległym państwem jest również San Marino, Luksemburg, Syjam i Honduras. Niepodległym państwem było również Królestwo Polskie w latach 1815–1830.

Czy powyższe oznacza, iż dla kwestii niepodległości nie jest ważne, czy obywatele danego państwa uświadamiają sobie, „przeżywają” swój byt państwowy jako niepodległy? Bynajmniej. Sprawa ta jednak, jak większość kwestii należących do dziedziny świadomości zbiorowej, jest mało uchwytna i jeszcze mniej wymierna. Gdyby przeprowadzić wśród dorosłych obywateli PRL reprezentatywną ankietę (jedno pytanie, odpowiedź tak lub nie): czy uważa pan (pani), że Polska jest krajem niepodległym – ogromna większość respondentów napisałaby prawdopodobnie: „tak”. Gdyby jednak pytanie sformułować: czy uważa pan (pani), że Polska jest krajem faktycznie niepodległym; lub kiedy zdaniem pana (pani) Polska była bardziej niepodległa, w latach 1918–1939 czy obecnie – wówczas prawdopodobnie odpowiedzi kształtowałyby się zupełnie inaczej.

W kwestii niepodległości różnica między tym, co kreuje literatura prawa, a tym jak ów stan prawny widzą, „przeżywają” ludzie, może być znaczna. Niemniej społeczeństwo odróżniając niepodległość formalno–prawną od faktycznej zależności lub niezależności, bynajmniej ową pierwszą nie gardzi, a przeciwnie, jest do niej przywiązana. Można chyba nawet bez wielkiego ryzyka wysunąć hipotezę, że im większa jest faktyczna zależność państwa Iks od państwa Ygrek, tym większą wagę obywatele państwa Iks przywiązują do niepodległości jako stanu formalno–prawnego. Świetnie to rozumie Gomułka, który przed wyborami 1957 r. oraz w marcu 1968 r. – tj. w sytuacjach, które uważał za kryzysowe – bez żenady posługiwał się straszakiem radzieckiej interwencji zbrojnej. Jest to najgrubsza lufa propagandowa, z której partia może strzelić do społeczeństwa polskiego. I pokazanie wylotu tej lufy było skuteczne. Każdy bowiem zdaje sobie sprawę, że mimo wszystko istnieje ogromna różnica między statusem prawnym i sytuacją rzeczywistą Polski, a statusem prawnym i sytuacją rzeczywistą Litwy, Azerbejdżanu czy Kirgizji. Każdy wie, że może być gorzej.

*Nota bene*, ludzie są przywiązani nawet do ułamkowych atributów niepodległości. Gruzja czy Łotwa nie są państwami niepodległymi, niemniej zabieg likwidacji którejs z tych „republik związkowych” byłby oczywiście wykonalny, ale bardzo kosztowny.

Pytanie drugie brzmiało: czy Polska jest radziecką pół-kolonią?

W odróżnieniu od sprawy niepodległości kwestii tej nie można rozwiązać na gruncie formalno–prawnym. Można co

prawda – i miejmy nadzieję, że uczynią to kiedyś prawnicy – pokazać naszą pół-kolonialność przez analizę poszczególnych traktatów i umów między PRL a ZSRR. Przykładowo można powołać się na umowę o współpracy między Generalnymi Prokuratorami obu krajów z 1957 r. Pamiętać jednak przy tym należy, iż umowa ta tyleż odzwierciedla, co ma s k u j e faktyczną zależność polskiej policji politycznej od KGB.

Spójrzmy więc na ów problem nie od strony umów, a więc słów, lecz od strony rzeczy.

*Rocznik Statystyczny* 1969 w tablicy „Import niektórych towarów wg krajów zakupu” podaje dane dotyczące 51 sprowadzanych do Polski towarów. Otóż z tablicy owej wynika, że tylko w 19 przypadkach Związek Radziecki nie figuruje jako eksport do Polski. Natomiast w 25 przypadkach ZSRR jako nasz dostawca znajduje się na pierwszym lub drugim miejscu.\*

To jest jednak obserwacja bardzo ogólna, choć sama w sobie wiele mówiąca. Warto się jednak przyjrzeć danym konkretnym za lata 1966–1968

	Import rud żelaza w tys. ton		
	1966	1967	1968
ogółem	9429	10056	11106
ze Zw. Radz.	7825	8594	10008

Znaczy to, że Związek Radziecki dostarcza Polsce w latach 1966–68 86,3 % całej importowanej rudy żelaza. Dodać tu trzeba, że np. w 1967 r. 76,6 % potrzebnej nam rudy pochodziło z importu, zaś z zakupionej w tymże roku za granicą rudy 85,46% pochodziło z ZSRR.

	Surówka w tys. ton		
	1966	1967	1968
ogółem	775	694	944
ze Zw. Radz.	741	692	941

Znaczy to, że w latach 1966–1968 jedynie ułamek procenta importowanej surówki nie pochodził od Wielkiego Brata.

	Bawełna w tys. ton		
	1966	1967	1968
ogółem	156	133	156
ZSRR	91	76	81
USA	15	15	26
Egipt	13	10	6

Znaczy to, że w wymienionych latach Związek Radziecki

\* Por. *Rocznik Statystyczny* 1969, Warszawa 1969, s. 371–374

dostarczał nam 56,9 % potrzebnej nam bawełny, USA – 12,8 %, zaś Egipt 6,8 %.

Ale „za to” w 1968 r. Związek Radziecki miał pełny i absolutny monopol na dostawę ropy naftowej do Polski. Sprowadziliśmy 5582000 tony ropy, z tego ze Związku Radzieckiego 5582000. Co się zaś tyczy produktów naftowych, to w tymże 1968 r. sprowadziliśmy 2535000 t. w tym z ZSRR 1587000 t., czyli 62,6 %.

### Anegdota II

- Dlaczego Polska sprowadza szpinak z Danii?
- Bo jest w nim więcej żelaza niż w rudzie importowanej z Rosji.

Dowcip powyższy opowiedział w 1968 r. nieznan mi inżynier-hutnik w pociągu Gliwice-Warszawa.

### Dalszy ciąg „Istotnego uzupełnienia”

„Trybuna Ludu” z 13.I.1970 r.: „Do chwili obecnej Stocznię Gdańską opuściły 523 statki, z czego 404 jednostki zamówione przez Związek Radziecki”.

Wspomniałem przed chwilą, iż partia, gdy uznaje, że zachodzi potrzeba, odwołuje się do groźby radzieckiej interwencji zbrojnej. W istocie jednak Związek Radziecki nie potrzebuje swoich dywizji od ćwierćwiecza stacjonujących na terenie Polski. Wystarczą bowiem c z t e r y podpisy wstrzymujące

- dostawy rudy żelaznej
- dostawy ropy naftowej i produktów pochodnych
- dostawy bawełny
- odbiór zamówionych statków by unieruchomić w Polsce:

czarną metalurgię, petrochemię i transport samochodowy, przemysł bawełniany i przemysł stoczniowy. Znaczy to, że przy pomocy czterech podpisów (a jednej decyzji prezydium, czy choćby sekretariatu KC KPZR) rosyjscy komunistyczni politycy są w stanie całkowicie unieruchomić polską gospodarkę.

To, co tu zostało przedstawione w skrócie, powinno być przedmiotem obszernych specjalistycznych analiz. I miejmy nadzieję, że są wśród ekonomistów ludzie piszący do szuflady. Wolno jednak już teraz powiedzieć, że kraj, którego cała gospodarka zależna jest od j e d n e j decyzji jedenastu obcych polityków, że taki kraj jest pół-kolonią.

Pozostaje do wyjaśnienia trzeci problem.

Czy można, nie popadając w sprzeczność, twierdzić, że jeden i ten sam kraj, w tym samym czasie jest państwem niepodległym i pół-kolonią?

Wydaje się, że nie zachodzi tu żadna sprzeczność, ponieważ określenia te dotyczą różnych aspektów rzeczywistości. Pierwsze – Polska jest państwem niepodległym – dotyczy statusu formalno-prawnego PRL. Drugi – Polska jest radziecką pół-kolonią – odnosi się do stanu faktycznej zależności PRL od Związku Radzieckiego. Oczywiście obie sfery zająbiają się „nachodzą” na siebie, co się odbija na charakterze naszej niepodległości.

Zakres, w jakim Polska może kształtować swój program szkolny, jest bez porównania szerszy od dostępnego Estonii lub Armenii. Niemniej i tu w pewnych niebłahych punktach program ów jest wyznaczany nie przez potrzeby naszego społeczeństwa i nie przez polskie dziedzictwo kulturowe, lecz przez wielkomocarstwowe interesy radzieckiego rosyjskiego imperium.

Polska, w odróżnieniu od Białorusi czy Turkmenii, ma własną pocztę i sama decyduje o tym, jakie ma drukować znaczki. Ale wydanie znaczków poświęconych tak ważnym, a różnym datom z dziejów Polski, jak np. Unia Lubelska czy bitwa pod Warszawą 15.VIII.1920 r. jest nie do pomyślenia.

Polska jest państwem niepodległym (podobnie jak są nimi bananowe republiki środkowej Ameryki) i jest radziecką pół-kolonią. I ktokolwiek pomija jeden z tych składników naszej sytuacji (a także sytuacji Węgier, Czechosłowacji czy Bułgarii), ten zamyka sobie drogę do rozumienia świata, w którym żyje.

### Dwie historyjki z prasy, czyli *à propos*

26.XI.1969 r. „Trybuna Ludu” zamieściła wiadomość pt. „M. Spychalski przyjął gen. płk. M. T. Tankajewa”. Informacja głosiła, że Spychalski przyjął „pełnomocnika rządu ZSRR do spraw pobytu Wojsk Radzieckich w Polsce i dowódcę Północnej Grupy Wojsk Radzieckich – generała-pułkownika Tankajewa. Z wiadomości tej wynika, że ów generał-pułkownik Tankajew jest pełnomocnikiem rządu ZSRR do spraw własnego pobytu w Polsce i rozstrzyga ew. spory wynikłe na tle tego swego dwój-jedynego pobytu.

W „Trybunie Ludu” z 5.I.1970 r. ukazały się teksty depeesz, które z okazji 25 rocznicy ustanowienia stosunków dyplomatycznych wymienili ministrowie spraw zagranicznych Polski i ZSRR.

Depesza radzieckiego ministra do polskiego liczy 86 zdań. Depesza ministra polskiego do radzieckiego zawiera 309 zdań.

Albowiem status pół-kolonii objawia się nie tylko w cyfrach dotyczących zależności gospodarczej, lecz i w śmiesznych drobiazgach protokołu dyplomatycznego.

### Własność i socjalizm (I)

Wydaje się, że jest to jedna z najważniejszych kwestii. I to zarówno z punktu widzenia teorii, jak i praktyki.

Zacznę od spraw praktyki.

Pisałem już o tym niemal na samym początku w rozdziale **O ustroju socjalistycznym (I)**. Teza brzmiała – przypominam – w następujący sposób: ogromna większość spośród ludzi mających jakiegokolwiek – podkreślam **j a k i e k o l w i e k** – poglądy na temat socjalizmu sądzi, iż głównym wyznacznikiem tego ustroju są lub powinny być stosunki własnościowe. Pisałem również, że pogląd ten uważam za błędny i to niezależnie od tego, kto go wypowiada: Proudhon, Marks, Castro czy pan inżynier Iksiński, który mniema, że gdyby mu tu i teraz dać na własność kombinat metalurgiczny w Nowej Hucie, to on by zrobił porządek.

Kwestia jest niezmiernie trudna i skomplikowana i dotyczy takich dziedzin, jak ekonomia, prawo, historia, filozofia, socjologia i – ostatnie, choć nie najmniej ważne – polityka. Nie sądzę też, by mogło mi się udać rozwiązać ją w sposób całkowicie poprawny. Gdybym jednak usunął najprymitywniejsze przesady i najgrubsze mistyfikacje, byłoby już nieźle.

Zacznę zaś eksplikację od tego, od czego zacząłem sam myśleć o tej kwestii.

A więc problem pierwszy, czyli doświadczenie podsuwane przez praktykę **p o l i t y c z n ą** ustroju socjalistycznego.

Wszystkie, a w każdym razie większość oskarżeń wymierzanych po II wojnie przeciw różnym rewizjonistom zawiera taki składnik: oni, tj. rewizjoniści, chcą oddać fabryki kapitalistom, zaś ziemię obszarnikom.

#### Krótkie wyjaśnienie w sprawie rewizjonizmu i „rewizjonizmu”

Termin rewizjonizm może mieć w ogóle jakikolwiek sens (a i to z trudem) jedynie wówczas, gdy go używać dla oznaczenia dwóch różnych zjawisk.

Po pierwsze zatem, rewizjonizmem jest pogląd, a rewizjo-

nistami są ludzie, których dana partia komunistyczna określa tym mianem. Jest to kryterium by tak rzec instytucjonalne. Słowa rewizjonizm oraz rewizjoniści w tym użyciu nic nam nie mówią ani o poglądach, ani o ludziach tak nazywanych; jeśli już, to raczej charakteryzują one nadawcę niż to, co i kogo miałyby oznaczać. W tym sensie słowa rewizjonista i rewizjonizm stanowią po prostu formułę komunistycznej liturgii oraz zaklęcie należące do partyjnej magii.

Jeśli przyjrzeć się dobrze, to w tym rozumieniu rewizjonistami są wszyscy, ponieważ w ruchu komunistycznym zostaje się rewizjonistą na czyjś użytek. Tito jest rewizjonistą dla Gomułki. Gomułka jest, a w każdym razie był, rewizjonistą dla Ulbrichta. Breżniew jest rewizjonistą dla Mao, Mao dla Breżniewa... Istne komórki do wynajęcia. *W styczniu 1971 r. Gierek jeszcze nie był rewizjonistą, ale już miał szansę nim zostać.*

Przy tym wszyscy wymienieni przed chwilą są dobrymi komunistami, gotowymi, gdy tylko zajdzie potrzeba, wypełniać więzienia, rznąć, wieszać palić w imię świętej zasady monopartyjności. I nikt z nich – z wyjątkiem jednego może Mao – nigdy się nad treścią poglądów Marksa, Kautsky'ego czy Lenina nie zastanawiał i nikt z nich, wolno przypuszczać, od lat nie przeczytał ani jednej strony Marksa ot tak sobie, a znają jedynie wypisy, wybory cytatów przyrządzane przez różnych chałuj, takich jak Namiotkiewicz, Waclawek, Janiurek, Maciej Szczepański czy dawniej Haber lub Drozdowicz.

Do jakiego stopnia słowo *rewizjonizm* używane przez partie komunistyczne nic nie znaczy, świadczyć może przykład stosunku Kliszki do moczarowskich historyków, takich jak Jędruszcak czy Drozdowski. W swoich oficjalnych wypowiedziach Jędruszcak jest normalnym tępyim partyjno-wojskowym aparaczką, którego deklaracje z trudem można by odróżnić od deklaracji jakichś koryfeuszy czasów stalinowskich, typu Daniszewskiego czy Finkelsteina. Prywatnie, w gronie „swoich” ludzi, Jędruszcak jest normalnym faszystą. Jako historyk jest kompletnym zerem i nudziarzem. I tylko w tym punkcie różni się od Drozdowskiego, który bywa przeciętnie dobrym historykiem. Ponieważ obaj ci panowie należą do innego ganu politycznego niż Kliszko – przeto ten nazywa ich (nieśmiało zresztą) rewizjonistami. (Por. „Życie Warszawy”, 30.XI – 1.XII.1969)

Tyle co do pierwszego sposobu rozumienia słowa rewizjonizm.

Po drugie, rewizjonistą jest człowiek, który wierzy w możli-



wość naprawienia socjalizmu i nie zadaje sobie pytań dotyczących podstaw systemu i doktryny.

Mamy więc w użyciu słowa rewizjonizm i rewizjoniści, uwikłane w kontekst partyjnej magii lub mające oznaczać jakieś poglądy i postawy. Ponieważ w pierwszym przypadku słowo rewizjonizm nic nie znaczy, przeto ilekroć będzie mowa o rewizjonistach i rewizjonizmie magicznym, będzie to słowo występowało w cudzysłowie. Z tym magicznym zaklęciem polemizować nie warto i nie można. Normalnego człowieka mało porusza pytanie, kto jest naprawdę rewizjonistą — Breżniew czy Mao, Cyrankiewicza czy Mechmet Szechu. Natomiast o rewizjonizmie w drugim znaczeniu, bez cudzysłowu, będzie się tu jeszcze raz mówiło.

## Własność i socjalizm (II)

Powtarzam, pierwsze, co mnie uderzyło, gdy zacząłem się zastanawiać nad kwestią własności i socjalizmu, to fakt, iż oficjalna propaganda z okazji każdej niemal polemiki z „rewizjonistami” wyciąga argument: oni chcą reprivatyzacji przemysłu. Jeśli się zastanowić, to bzdurność tego zarzutu pod adresem Tito czy Breżniewa bije w oczy. Podobnie każdy, kto miał do czynienia z rewizjonistami — sam przeszedłem rozmaite stadia tego światopoglądu — wie doskonale, że ani im w głowie podważanie zasad socjalistycznej własności. Do tego stopnia ani w głowie, że w swoich rozważaniach teoretycznych nie są w stanie posunąć się poza rozróżnienie własności państwowej i własności społecznej, tę ostatnią uważając za święte świętych.

Zarzut więc, o którym mowa, jest jawnie nieprawdziwy, zarówno w odniesieniu do „rewizjonistów”, jak i rewizjonistów. Fakt wysuwania przez komunistyczną propagandę fałszywych zarzutów jest sam przez się czymś absolutnie banalnym. Przyjrzyjmy się jednak nie prawdziwości zarzutu, lecz jego skutkom. Pouczający jest tu przykład zachowania się rewizjonistów. Dotknięci do żywego natychmiast zaczynają dowodzić, że wywłaszczenie kapitalistów uważają za największą (radykałni rewizjoniści powiedzą — za jedyną) zdobycz dotychczasowych rządów i to właśnie dowodzi, że są zwolennikami socjalizmu. W rezultacie jako strona w dyskusji rewizjoniści dają się zepchnąć na pozycję dogodną dla władzy. Zamiast dyskutować o naprawie socjalizmu (co jest zdaniem rewizjonistów możliwe, a nawet łatwe) zaczynają obszernie opowiadać o swym przywiązaniu do uspołecznionej

własności, a więc do socjalizmu. Te deklaracje nikogo nie obchodzą z kilku powodów. Tak zwany przeciętny obywatel odruchowo i podświadomie uważa całą kwestię za czysto abstrakcyjną. I — o czym za chwilę — ma rację. Inteligentni cynicy z KC, MSW itp. śmieją się po cichu, zdają sobie bowiem sprawę z instrumentalnego charakteru oskarżenia rewizjonistów o dążenie do reprivatyzacji. Z chwilą, gdy ci ostatni zaczynają się tłumaczyć, cynicy wiedzą, że instrument funkcjonuje zgodnie z przeznaczeniem. Co się zaś tyczy ogromnej większości aparatczyków, to ci mają odruchy, a nie poglądy. Są to, z punktu widzenia takiego zadania jak umocnienie pozycji warstwy rządzącej i swojej pozycji wewnątrz tej warstwy, odruchy zdrowe, a poprawniej, skuteczne. Otóż elementarnie zdrowy, klasowy odruch aparatczyka dyktuje mu: nie dyskutować (aparatczyk przeczuwa, że dyskusję przegra nawet z rewizjonistą); zniszczyć. Znaczy to: przede wszystkim zmusić do milczenia, a potem się zobaczyć. Tak też z reguły kończy się wzniosła rzecz o umiłowaniu własności społecznej jako podstawy ustroju socjalistycznego.

Otóż obserwując tę operację — a była to obserwacja współuczestnicząca — zadałem sobie w pewnym momencie pytanie: co by się stało, gdyby rewizjoniści powiedzieli: odpieprzcie się od nas i od własności, w ogóle nie o to chodzi...

Co by się stało? Praktycznie nic, poza tym, że rewizjoniści przestaliby być rewizjonistami. W zakresie widzenia całokształtu problematyki — Polska i socjalizm — w zakresie myślenia, sytuacja ulega radykalnej zmianie.

Przechodzę od prywatnej historii moich poglądów na płaszczyznę czysto merytoryczną. Przedtem jednak chciałbym zwrócić uwagę na pewien zabawny, choć w końcu nieistotny fakt.

Konflikt chińsko-radziecki zmusza obie strony do wypowiedzenia tez, które — wyjęte z kontekstu propagandowego — ukazują istotne oblicze socjalizmu jako takiego. Oczywiście zawsze na przykładzie tej drugiej, zwalczanej strony. Tak ma się sprawa i w interesującej nas kwestii własności. *Włączone w swój kontekst propagandowy budzą śmiech, jak np. oburzenie „Trybuny Ludu” (24.IV.1970 r.) z powodu tego, że wyższym uczelniom w Chinach wyznaczono rolę rozsadnika oficjalnej ideologii.*

27.IV.1970 r. ukazał się w „Izwiestiach” artykuł niejakiego M. Śładkowskiego obszernie cytowany dnia następnego przez „Trybunę Ludu” i „Życie Warszawy”. Czytamy tam m. in.: „W obecnej sytuacji społeczna własność środków produkcji w ChRL

przestaje służyć interesom narodu. Nie rozwija się ona według wspólnego planu państwowego, w celu podnoszenia materialnego i duchowego poziomu życia narodu, zaś opierająca się na niej gospodarka podporządkowana jest celom zewnętrznym, ekspansjonistycznym.”

Pomijam drobiazg: w jaki sposób można w warunkach tego ustroju, rezygnując ze „wspólnego planu państwowego”, podporządkować gospodarkę „celom zewnętrznym, ekspansjonistycznym”. Ten brak elementarnego zdrowego rozsądku w konstruowaniu oskarżeń pod adresem przeciwnika świadczy, że autor cytowanego artykułu jest stereotypowym komunistycznym, radzieckim propagandzistą. Nas interesuje — i bawi — pierwsza część cytatu: w Chinach „uspołecznione środki produkcji”, czyli własność socjalistyczna, „przestają służyć ludowi”. A więc możliwa jest sytuacja, w której zachodzi rozdzźwięk między socjalistycznymi stosunkami własnościowymi a interesami „ludu”, tj. ogromnej większości społeczeństwa? Ależ jest to typowa teza radykalnych rewizjonistów w Polsce i w innych dem-ludach; możliwość taką dopuszcza również Włoska Partia Komunistyczna.

Trzeba zresztą powiedzieć, że oficjalnym publicystom zdarza się niekiedy, iż zapędzą się nader daleko, co zresztą jest rezultatem nie ich odwagi, lecz po prostu niskiego poziomu teoretycznego. Taka przygoda zdarzyła się np. M. Szczepańskiemu w artykule prezentującym tzw. linię Gierka. Oskarżył on mianowicie usuniętych w grudniu 1970 r. członków kierownictwa PZPR o to, iż nie liczyli się z obiektywnymi prawami marksistowskiej ekonomii, a przede wszystkim z „fundamentalnym” prawem „koniecznej zgodności stosunków produkcji, charakterem sił wytwórczych” („Trybuna Robotnicza”, 29.I.1971 r.) Na szczęście dla PZPR prawo Marksa nie jest żadnym prawem. W przeciwnym bowiem wypadku zadaniem partii na przełomie 1970 i 1971 r. musiałoby być obalenie istniejących stosunków produkcji. Co może nie byłoby takie głupie...

Zabawne to wpadki, ale — bez znaczenia z tej choćby przyczyny, że pp. Sadowski i M. Szczepański jutro mogą bez wysiłku napisać coś wręcz przeciwnego, choć równie mętne. Wróćmy więc do pytania, co się kryje za obojętnością, z jaką tzw. przeciętny obywatel wysłuchuje oskarżeń pod adresem rewizjonistów i ich obrony w kwestii własności socjalistycznej.

Jest to więc przede wszystkim rezultat ogólnego odpolitycznienia i dezideologizacji, które cechują społeczeństwa socjalistyczne. Jest to również rezultat swoistego sceptycyzmu. Tzw.

przeciętny obywatel nie wierzy w żadne oficjalne oskarżenia — chyba że odwołują się one do głęboko zakorzenionych ksenofobii — zaś na rewizjonistów, tj. dobrych komunistów, patrzy równie podejrzliwie jak na normalnych, czyli złych partyjniaków. Nareszcie — i to jest niezwykle ważne — elementarny zdrowy rozsądek podpowiada mu, że reprivatyzacja wielkiego i średniego przemysłu, banków i transportu jest po prostu niemożliwa. Bo niby komu oddać Nową Hutę, kopalnie siarki i Polskie Linie Oceaniczne.

W rezultacie w okresach małej stabilizacji „przeciętny” Polak czy obywatel innego państwa satelitarnego raczej myśli o tym, w jaki sposób w swoim życiu zneutralizować najbardziej dokuczające mu cechy ustroju, w ramach istniejących stosunków własnościowych, a nie o tym, czy stosunki te są socjalistyczne naprawdę czy też tylko na żarty.

W okresie żywiołowych buntów, jak te, które miały miejsce w Poznaniu w 1956 r. czy na Wybrzeżu w 1970 r., żądania robotników są nader skromne i dotyczą przede wszystkim warunków pracy, wysokości zarobków (te ostatnie zabarwione tendencjami niwelatorskimi), do czego dochodzi postulat większego (?) udziału w zarządzaniu zakładem. Towarzyszy temu troska o całość danego zakładu. Nawet oficjalna propaganda skora — przynajmniej w porywie pierwszego „naturalnego” komunistycznego odruchu — do oskarżeń zbuntowanych o wszystkie zbrodnie, nawet ta propaganda nigdy nie twierdziła, że „agenci imperialistyczni” w Poznaniu niszczyli obrabiarki, a „chuligani” w Gdyni — doki. Chciałoby się powiedzieć, że robotnicy, którzy w normalnych warunkach mają często beztronski stosunek do państwowych maszyn i w ogóle do własności socjalistycznej, właścicielami swoich zakładów czują się jedynie wtedy, gdy wykurzeni z gmachów komitetów wojewódzkich faktyczni właściciele Polski Ludowej kryją się w bunkrach i na wojskowych lotniskach.

Coś tu może na rzeczy jest — nie należy jednak popadać w przesadę, wiadomo bowiem, że w Europie robotnicy od dobrych 150 lat nie niszczą już maszyn.

W sumie wydaje się, że zarówno obojętność i tumiwizizm w okresach małej stabilizacji, jak i skromny zakres żądań w okresach żywiołowych buntów wynikają z braku nawyku myślenia socjologicznego i politycznego (komuniści tępią te nawyki i ze swego punktu widzenia mają rację) oraz ze strachu przed radzieckimi czołgami, które we wszystkich teoretycznych dyskus-

jach o własności socjalistycznej są najmocniejszym argumentem komunistów.

Nietrudno zauważyć, iż z całego powyższego fragmentu „wypadła” kwestia stosunku tych „przeciętnych” obywateli do własności w gospodarce rolnej. Mimo, iż Polska problem dekoklektywizacji „ma z głowy”, jest to dla analizy ustroju i ew. prognoz kwestia kapitalna. *Nie tylko z uwagi na czystą teorię, lecz również dlatego, że sąsiedzi Polski nie zrezygnowali z zamiaru uszczęśliwienia nas przy pomocy kolchozów.* Toteż trzeba jej będzie poświęcić oddzielne miejsce. Tymczasem wróćmy do podstawowych problemów związanych z kwestią własności.

Zastanówmy się – w jakim kontekście słowa *własność* używali XIX-wieczni socjaliści, ich dzisiejsi spadkobiercy, ich dawni i obecni przeciwnicy. Lub modniej: na jakich polach semantycznych funkcjonuje słowo *własność* w literaturze poświęconej socjalizmowi.

Wydaje się, że pojęcie *własność* „obsługuje” cztery dziedziny myślenia o świecie, dziedziny, które mogą, lecz nie muszą, być z sobą powiązane w sensie logicznym, bywają natomiast nader często łączone na płaszczyźnie psychologiczno-emocjonalnej.

Po pierwsze więc, mówi się o własności, podejmując problematykę metafizyczną, przede wszystkim – choć nie tylko – sprawę tzw. natury ludzkiej.

To uwikłanie słowa *własność* wymieniam na pierwszym miejscu z dwóch powodów. Sądzę mianowicie, że umykający uwadze większości marksologów metafizyczny, związany z rozumieniem ludzkiej natury aspekt pojęcia *własność*, odgrywał w koncepcji Marksa i jej losach istotną rolę. Druga przyczyna, dla której omówienie sensów, w jakich wikła się pojęcie *własności*, zaczynam od aspektu metafizycznego, jest ta, że on właśnie ma najdłuższą historię: buddyzm, cynicy, gymno-sofiści, esseńcyzy, wczesny chrystianizm, teoretycy ruchu monastycznego, Joachim de Fiore... I tak dalej, i tak dalej, aż do współczesnych kontestatorów, którzy jeśli cokolwiek w ogóle mają na myśli, to przede wszystkim *własność* jako źródło metafizycznego zła. Jest więc wiekowym obyczajem sądzić, że *własność* jako taka, tj. posiadanie rzeczy, deprawuje ludzką naturę. I z kolei musi być coś takiego w fakcie posiadania, że ludzie wciąż i wciąż, w nader różnych okolicznościach historycznych, skłonni są w fakcie tym upatrywać źródła własnych nieszczęść.

Wydaje się, że od XIX w. ten aspekt *własności* uległ postę-

pującemu kamuflażowi, a ściśle auto-kamuflażowi. Było to i jest ubocznym rezultatem laicyzacji języka. Problematykę metafizyczną – a więc, moim zdaniem, nierozwiązywalną – połączono z kwestiami ekonomii czy socjologii w sposób tak ścisły, że większość odbiorców różnorakich wypowiedzi socjalistycznych nie zdaje sobie po dziś dzień sprawy z tego, czy mowa jest o konkretnych formach organizacji wytwórczości, czy o zbawieniu wiecznym. Kamuflaż ten odnajdujemy tak u Proudhona, jak u Marksa, a szczególnie mętną formę przybrał on u współczesnych wyznawców Mao, Sartre’a i dr Habbasza.

Skądinąd, dodajmy, historyk idei nie bez pożytku mógłby zbadać, jakim przekształceniom poddawali socjaliści – powiedzmy od Fouriera do Mao – ową *własność* jako problem metafizyczny.

Po drugie, słowo *własność* używane jest jako termin z zakresu stosunków prawnych z grubsza rzecz biorąc na tym obszarze komunikacji międzyludzkiej, które wyznaczają kodeksy prawa cywilnego. Marksisci nader często chlubią się tym, iż Marks odkrył, że *własność* to nie stosunek człowiek–przedmiot, lecz człowiek–człowiek. Do kwestii tej przejdę w następnym punkcie. Teraz chciałbym podkreślić, że niezależnie od owego odkrycia Marks i marksisci oczywiście nader często posługują się terminem *własność* w sensie prawnym, tj. takim, który mówi o stosunkach człowiek–rzecz (w przypadku stosunku pan–niewolnik, ten ostatni jest rzeczą). Np. Engelsowskie streszczenie książki Morgana mówi niemal wyłącznie o takiej „prawniczej” *własności*. Gdyby więc marksisci chcieli porządnie myśleć i mówić – co zdarza im się rzadko, i to tylko nielicznym – powinni by twierdzić, że Marks odkrył, iż oprócz prawnego (człowiek–rzecz) możliwe i potrzebne jest inne jeszcze używanie słowa *własność* odnoszące się do stosunków człowiek–człowiek. Ścisłej takich, w których stosunki człowiek–człowiek zmediatyzowane są przez przedmioty.

Po trzecie, słowo *własność* używane bywa, z grubsza rzecz biorąc, w tym właśnie sensie, o którym mowa w poprzednim zdaniu. Przy czym – jak wiadomo – takie użycie słowa *własność* uważane jest za doniosłe odkrycie Marksa. Sam Marks wyrażał w tej materii sądy dla nas niejasne.<sup>1</sup> Aby się o tym przekonać, wystarczy wziąć do ręki... teksty Marksa. I tak w liście do Annienkowa z 28.XII.1846 r. czytamy, że „(...) w świecie realnym podział pracy i wszystkie inne kategorie pana Proudhona są stosunkami społecznymi, których całokształt stanowi to, co obe-

nie nazywamy własnością” (List do P. Annienkova (w:) K. Marks *Nędza filozofii*, Warszawa. 1948, s. 35). Natomiast w liście do redakcji „Sojaldemokrat”, pisany 24.I.1865 r. Marks mówi, że na pytanie, czym jest własność burżuazyjna, można odpowiedzieć „tylko dając krytyczną analizę »ekonomii politycznej«, obejmującej całokształt owych stosunków własności nie w ich wyrazie prawnym jako stosunków woli, ale w ich realnej postaci tzn. jako stosunków produkcji.” (Tamże, s. 46).

Żadne wykręty nie są w stanie zmienić faktu, iż raz własność to, zdaniem Marksa, całokształt stosunków społecznych, innym zaś razem realną postacią własności (burżuazyjnej) są stosunki produkcji. Stwierdziwszy ten fakt, nie będę już powracał do kwestii, którą starałem się wyjaśnić przed chwilą w przypisie. Nie żywiąc żadnych pretensji do Marksa — ale też nie mogąc w danym wypadku korzystać zeń jako ze źródła wyjaśniającego kwestię — zwróćmy się do współczesnych marksistów.

Oskar Lange w rozdziałiku p.t. *Własność środków produkcji — podstawą stosunków produkcji* (*Ekonomia polityczna*, wyd. III, Warszawa 1963, s. 31–32) pisze:

„Aby zorientować się w systemie stosunków społecznych, powstających w procesie produkcji, trzeba wśród nich uchwycić pewne zasadnicze stosunki, które określają charakter całej skomplikowanej sieci stosunków międzyludzkich. Tym podstawowym stosunkiem jest stosunek, między ludźmi, który powstaje na tle posiadania [podkr. R.Z.] środków produkcji. Nie chodzi tu o posiadanie przypadkowe, ale o posiadanie uznane przez członków społeczeństwa, posiadanie, na którego straży stoją uznane w społeczeństwie normy współżycia między ludźmi i ewentualne sankcje za naruszenie tych norm, to jest zwyczaj lub prawo. Takie posiadanie nazywamy własnością.

Własność stosunków produkcji jest stosunkiem społecznym, na którym opiera się cały skomplikowany system stosunków międzyludzkich, zawiązujących się w społecznym procesie produkcji. Własność środków produkcji decyduje bowiem o sposobie ich używania, a tym samym wyznacza możliwości kooperacji i podziału pracy, a zarazem określa ich granice. Ponadto własność środków produkcji przesądza również sprawę własności produktów, a tym samym także podział produktów.

Własność środków produkcji stanowi tedy podstawę niejako i »zasadę organizacyjną«, która decyduje o całokształcie stosunków produkcji, jak również o stosunkach dystrybucji. Wynika

stąd, że stosunki produkcji należy klasyfikować według rodzaju własności środków produkcji. Własność ta mianowicie może być albo społeczna, albo prywatna.”

Cokolwiek by sądzić o politycznych postawach Langego w ostatnim ćwierćwieczu jego życia, nie należał on na pewno do ciemnych i tępagłowych ekonomistów w rodzaju Ostrowitiano-wa czy Pohorillego. Otóż dla postawy rewizjonisty — a Lange był rewizjonistą bez cudzysłowu — charakterystyczne jest właśnie to, że nie chce, nie może, nie potrafi zadawać sobie pytań dotyczących podstaw marksistowskich schematów myślenia. Powiada więc Lange, że własność to stosunek między ludźmi, który powstaje na tle posiadania, a nieco dalej pisze, że tak rozumiana własność stanowi „zasadę organizacyjną”. Nie przychodzi mu na myśl, że „zasada organizacyjna” opierać się może nie na posiadaniu, lecz na faktycznej władzy dysponowania produkcją i dystrybucją. Gdyby mu to bowiem przyszło na myśl, kto wie, czy nie musiałby zrezygnować z tych wszystkich bajdółów, które wypisał w związku z tzw. społeczną własnością środków produkcji, a których już oszczędziłem czytelnikowi. Powiedzieć tu trzeba, że stanowisko Langego spotkało się z krytyką ze strony i Lipińskiego i J. Hochfelda.

Biorąc jednak za punkt wyjścia sformułowania Langego zadajmy następujące pytanie:

— kto posiada na własność środki produkcji, ten decyduje o sposobie ich używania i o podziale produktów...

czy zatem

— kto decyduje o sposobie używania środków produkcji i o podziale produktów, ten jest posiadaczem?

Tu dochodzimy do różnicy między prawniczym a socjologicznym (i socjotechnicznym) rozumieniem własności.

Socjologiczne (i socjotechniczne) rozumienie własności należy do języka, który przynajmniej *de nomine*, stara się opisywać rzeczywistość „taką jaka jest”. Natomiast używając słowa własność w języku prawa mówimy na ogół o tym, jak być powinno. Otóż w rozumieniu socjologicznym ten, kto *de facto* rządzi środkami produkcji i dystrybucją wytworów — ten jest posiadaczem tychże. (Pomijam w tej chwili kwestię, czy skutki jego konkretnych decyzji zgodne są z jego przewidywaniami, bo to kwestia odrębna.)

W języku prawa i publicystyki ten fakt społeczny może być opisany w dwojaki sposób: albo przez nazwanie faktycznego zarządcy właścicielem, albo przez ukrycie tego, iż rzeczywisty



ty zarządca jest właścicielem. W obu wypadkach prawo będzie broniło przede wszystkim faktycznego zarządcy; w pierwszym przez jawną obronę jego stanu posiadania, w drugim starannie ten fakt ukrywając. A zatem w tym drugim przypadku prawo i propaganda tym lepiej będą broniły interesów faktycznych posiadaczy, im bardziej będą ukrywały fakt, że są posiadaczami. Jak tego dowodzi praktyka, z punktu widzenia faktycznych posiadaczy ten drugi sposób jest korzystniejszy.

Ciekawe, że analizowana z tego punktu widzenia Konstytucja PRL jest tekstem nader niejasnym. Na ogólną ilość 91 artykułów tego znakomitego dokumentu, o własności mówi się w artykułach: 3, 7, 8, 10, 11, 12, 13, 58 i 71. Przy czym fragmenty odnośnych artykułów bynajmniej nie tworzą zbornej całości, a raczej przeciwnie. I tak np. artykuł 3, punkty 2, 3 i 4 głoszą co następuje: Polska Rzeczpospolita Ludowa „zapewnia rozwój i nieustanny wzrost sił wytwórczych kraju przez jego uprzemysłowanie [...] organizuje gospodarkę planową, opierając się na przedsiębiorstwach stanowiących własność społeczną, ogranicza, wypiera i likwiduje klasy społeczne żyjące z wyzysku robotników i chłopów”. Pedant i skrupulant mógłby zauważyć, że według tego tekstu najwidoczniej ktoś inny jest właścicielem przedsiębiorstw, a ktoś inny rozwija siły wytwórcze, organizuje gospodarkę planową, a także ogranicza, wypiera i likwiduje. Konstytucja oczywiście nie przewiduje sytuacji, w której ktoś posiadający mógłby być innego zdania od ktosia zapewniającego rozwój, organizującego i wypierającego. Z czysto praktycznego punktu widzenia nie ulega wątpliwości, że ten, kto może rozwijać, organizować, ograniczać i likwidować, bez trudu da sobie radę z tym, kto jedynie posiada. W tej sytuacji posiadanie jest co najmniej iluzoryczne. Kto jest jednak według Konstytucji PRL tym posiadaczem?

Tekst Konstytucji wypowiada się w tej kwestii mętnie i na ogół *en passant*.

A więc art. 7 punkt 1 powiada, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa, opierając się na uspołecznionych środkach produkcji, wymiany, komunikacji i kredytu rozwija życie gospodarcze i kulturalne kraju na podstawie narodowego planu gospodarczego [...]”. Mamy tu analogiczne, mimowiedne przeciwstawienie: środki produkcji są uspołecznione, tzn. należą do społeczeństwa, ale dysponuje nimi „Polska Rzeczpospolita Ludowa”. Natomiast punkt 2 tegoż artykułu jest krótki, jasny i względnie jednoznaczny:

„Państwo posiada monopol handlu zagranicznego”. Tu o społeczeństwie ani słowa, nawet mimochodem.

Artykuł 8 wprowadza nowe pojęcie — „mienie ogólnonarodowe”. Nie jest przy tym jasne, czy mienie to różni się od „uspołecznionych środków produkcji, wymiany i kredytu” tylko co do zakresu, czy też i co do właściwości.

Nie zajmuję się tu językiem Konstytucji PRL ani dla dowcipu, ani z powodu szczególnego szacunku dla tej dziwacznej ustawy zasadniczej. Co się tyczy żartów — to temat jest raczej smutny, jeśli zaś chodzi o brak nadmiernego szacunku dla Konstytucji, to przykład idzie tu z „góry”.

### Własność i socjalizm (III)

Jeśli więc nie dla żartu i nie z nadmiaru szacunku, to dla czego zajmuję się tu kwestią własności w Konstytucji PRL? Istnieje mianowicie pogląd, że jest to znakomita ustawa, tyle tylko, iż nie wcielana w życie. Otóż chciałem pokazać, że w kwestii dość fundamentalnej, jaką jest sprawa własności społecznej środków produkcji, dokument ten jest po pierwsze mętny, po drugie zaś, mętność owa wypływa z zamiaru (nieudanego) ukrycia arcyważnej cechy ustroju socjalistycznego: podziału społeczeństwa na zarządzających i faktycznych właścicieli środków produkcji oraz posiadaczy nominalnych, czyli iluzorycznych.

Przepraszam, jest w Konstytucji PRL jedno miejsce, w którym cała sprawa niemal wyszła na jaw. Dzieje się to mianowicie w słynnym artykule 71 postanawiającym, że PRL „zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji”. Otóż punkt 2 tego artykułu powiada: „Urzeczywistnieniu tej wolności służy o d d a n i e d o u ż y t k u [podkr. R.Z.] ludu pracującego i jego organizacjom [?] drukarni, zasobów papieru, gmachów publicznych i sal, środków łączności oraz innych niezbędnych środków materialnych.”

Stoimy tu wobec zagadki. Oto bowiem ludowi pracującemu, który — zdawałoby się — jest właścicielem drukarni, zasobów papieru etc., ktoś nie nazwany u ż y c z y ł tychże drukarni, zasobów papieru etc. (Skądinąd wiadomo, że i to nie jest prawdą: lud pracujący w państwie socjalistycznym nie ma żadnych własnych organizacji i żaden nie nazwany — choć dobrze znany — właściciel nie użył mu ani na chwilę prasy, radia, telewizji, sali na zebranie etc.)

Tyle o tym, jak Konstytucja PRL reguluje (?) sprawę włas-

ności środków produkcji. Sprawę tę można zresztą potraktować jako znamienne ciekawostkę. Przejdźmy zatem do problemów w tym zakresie zasadniczych. Zaliczyłbym do nich sprawy dość różne, choć wszystkie z owym pojęciem własności związane:

- filozoficzny (metafizyczny) aspekt postulatu wyłączenia wyłączeniowców u Marksa;
- własność środków produkcji a wolność jednostki i społeczeństwa;
- własność socjalistyczna a równość społeczna;
- faktyczni właściciele środków produkcji w ustroju socjalistycznym i granice ich władzy nad produkcją;
- możliwe rozwiązania problemu w ustroju postsocjalistycznym.

Aby jednak wyłożyć swoje poglądy na pierwszą z tych kwestii, trzeba uprzednio zająć się kwestią ogólniejszą: charakterem teorii Marksa i Engelsa, ściślej pewnym mało i źle oświetlonym aspektem tej teorii. Chciałbym tu podkreślić, że mówiąc o marksizmie w następnym rozdziale mam na myśli właśnie poglądy Marksa i Engelsa, a nie ich późniejsze interpretacje i kontynuacje. Zaczynam zaś od tej sprawy między innymi – choć oczywiście nie tylko dlatego – by pokazać, że istotne cechy rzeczywistego socjalizmu tkwią *in nunc* w doktrynie Marksa. Błędem jest, jak to czynią niektórzy radykalni rewizjoniści, wywodzić wszystkie „nieprzyjemne” cechy socjalizmu z leninowskiej dewiacji czy rosyjskiego zacofania. Niektóre z tych „nieprzyjemnych” cech pochodzą wprost od Marksa. Równie błędna jest zresztą teza – zawarta m. in. w artykule Melnickiego–Stalińskiego w majowym numerze „Kultury” paryskiej z 1970 r. – zgodnie z którą wszystkie właściwości socjalizmu mają swe źródło w odwiecznych cechach „duszy rosyjskiej”.

### Markszizm jako utopia

Istnieją, jak wiadomo, różne definicje utopii. Inaczej rzecz ujmują Sorel, a inaczej Mannheim, by wymienić przykłady dla socjologów najpopularniejsze. Poza tymi uczonymi, a jak w przypadku Mannheim’a płodnymi koncepcjami, ludzie mówią „utopia” mają na myśli ideę, której żadną miarą nie da się zrealizować. O marksizmie jako utopii mówi się tu w tym właśnie najprostszym i najpowszechniejszym rozumieniu tego słowa.

O utopijnym charakterze doktryny Marksa pisało i mówiło wielu ludzi. Nie ma potrzeby powtarzania wszystkich tych uwag,

tym bardziej, że nie wszystkie one są jednakowo trafne i mądre. Chciałbym tu zwrócić uwagę na dwie kwestie.

Marksieści, poczynając od Engelsa, podkreślają, iż socjalizm naukowy, tj. teoria Marksa, tym się m. in. różni od socjalizmu utopijnego, że Marks nie budował szczegółowych wizji przyszłości. Jeśli przyjąć, że prawda to tyle, co pewien rodzaj koherencji wypowiedzianych sądów, to pogląd powyższy może uchodzić za prawdziwy: socjalizm utopijny wyróżnia się budowaniem szczegółowych wizji przyszłości; Marks nie budował takowych, ergo doktryna Marksa nie jest socjalizmem utopijnym. Tym, czy utopijność danej doktryny socjalistycznej wyznaczana jest wyłącznie przez owe wizje przyszłości, czy też może przez co innego, ani Engels, ani współcześni marksieści się nie zajmują.

Tymczasem wedle mego rozumienia rzecz wygląda następująco: zarówno tzw. socjaliści utopijni, jak i Marks byli przekonani, że człowiek jako gatunek jest z natury dobry i że owa dobroć ujawni się właśnie w ustroju socjalistycznym. Kautsky, w *Programie erfurckim* pisał wprost, że „naturalna”, tj. odpowiadająca naturze ludzkiej, jest produkcja zbiorowa na własny użytek. Między Marksem a XVIII i XIX wiekami utopistami zachodzą znaczne różnice, np. w dziedzinie rozumienia mechanizmu przemian historycznych etc. Jednakże w tym jednym punkcie marksizm i tzw. socjalizm utopijny są równokształtne. Marksowska idea, Marksowski „pomysł” socjalizmu jako celu, ku któremu ludzkość zmierza nieuchronnie, jest w równym stopniu rezultatem spekulacji czysto filozoficznej, co analogiczne „pomysły” Dom Deschamps’a, Mably’ego czy Fouriera. Filozoficznym jądrem tego pomysłu jest wiara w to, iż człowiek jest z natury dobry. Tok rozumowania jest zaś następujący: warunki społeczne będące rezultatem rozwoju produkcji – a rozwój ten prowadził m. in. do powstania własności prywatnej – sprawiły, iż człowiek poddany został procesowi alienacji, natura ludzka została niejako wyrzucona poza człowieka. Należy znieść warunki rodzące alienację, p r z y w r ó c i ć człowiekowi jego prawdziwą, dobrą naturę (lub też przywrócić człowiekowi jego własnej naturze). Otóż przywrócenie człowiekowi jego prawdziwej natury jest operacją, której nie sposób dokonać inaczej, jak tylko przy pomocy kamienia filozoficznego, i nie może się zrealizować inaczej, jak tylko w postaci edenicznej. Tym kamieniem filozoficznym był dla Marksa proletariatus, rajem zaś socjalizm. Chciałbym tu podkreślić, iż – wedle mego mniemania – póki pozostajemy w sferze czystych idei natury ludzkiej czy alienacji pomysł ten jest również

dobry jak wiele innych. Na pewno jednak nie jest to pomysł na - u k o w y. Zresztą, wydaje mi się, iż siła marksizmu polega właśnie na jego utopijności, która jest „wieczna”, a nie naukowości, która siłą rzeczy jest przemijająca.

Wróćmy do kwestii opisu przyszłości. Marks — powiadają marksiści — był uczonym i politykiem—realistą i dlatego nie chciał dawać żadnych szczegółowych przepisów na przyszłość, czego świadectwem jest m. in. *Krytyka programu gotajskiego*. Czy nie znaczy to jednak przypadkiem, że Marks nie z a s t a n a - w i a ł się nad tym, jakie będą konkretne rezultaty jego filozoficznych pomysłów? Jak wytłumaczyć fakt, że człowiek, który całe lata swego życia poświęcił drobiazgowej analizie funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej, z przerażającą beztróską wypisywał na temat przyszłego ustroju zdania takie, jak: „Gdy rzeczowe warunki produkcji stanowią kolektywną własność samych robotników, to stąd wynika tak samo odmienny od obecnego podział środków spożycia”. Albo: „Wewnątrz społeczeństwa zrzeszonego, opartego na wspólnej własności środków produkcji, wytwórcy nie wymieniają swych produktów [...] praca indywidualna istnieje jako część składowa pracy zbiorowej już nie drogą okólną, lecz bezpośrednio”. Albo: „nie uznaje ono żadnych różnic klasowych [ono tzn. prawo w przyszłym ustroju socjalistyczny na — R.Z.] gdyż każdy jest tylko robotnikiem jak inni.” (*Krytyka programu gotajskiego*, Warszawa, 1948 s. 23, 20 i 21).

Wydaje się, że owa zdumiewająca i przerażająca zarazem beztróška Marksa ma dwa źródła: filozoficzne i gatunkowo—literackie. Filozoficzne — ważniejsze — daje się opisać jako oparta na spekulacji w i a r a w wyzwolenicy dla natury ludzkiej akt wywłaszczenia wywłasczycieli, w i a r a w to, że po zniesieniu prywatnej własności środków produkcji, a zatem po zniesieniu alienacji człowieka, zatryumfuje dobra ludzka natura. Zatryumfuje przede wszystkim w sferze wytwarzania i podziału dóbr materialnych. Stąd beztróška na temat tego, jak by miała realnie wyglądać kolektywna własność środków produkcji i to na dodatek w skali co najmniej europejskiej. Zaiste, ci utopiści, którzy marzyli o gminach, bardziej byli „realni” od Marksa. Marks nie potrzebował się zastanawiać nad tym, jak będzie funkcjonować gospodarka po zniesieniu prywatnej własności środków produkcji, bowiem jako filozof w i e d z i a ł—w i e r z y ł, że będzie funkcjonować znakomicie. Reszta — były to dlań nieważne detale. Z tego punktu widzenia Marks jest również klasykiem komunizmu, mianowicie klasykiem postawy cechującej komunistów

wszelkich odcieni, postawy wiedzy—wiary niezależnej od jakichkolwiek obserwacji, niepodatnej na argumenty.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że owa utopijność, połączona z wiedzą—wiarą, stanowi słaby punkt marksizmu, podczas gdy o jego sile decydują te elementy doktryny, które posiadają charakter naukowy czy też naukokształtny (scientoidalny). Rzecz ma się odwrotnie. Siłą marksizmu jest to, że odwołuje się do głęboko zakorzenionego w naszej kulturze przekonania, iż własność jest źródłem zła. W tym sensie marksizm wyrasta z pewnego dziedzictwa myśli europejskiej, jest naturalnym płodem naszej kultury. Nie jest to bynajmniej pochwała. Kultura nasza wydała w sposób „naturalny” wiele różnych płodów, m.in. hitlerizm. Co się zaś tyczy stosunku do własności, to siła marksizmu opiera się na wulgarnej wersji tej metafizyki, wersji według której naprawę świata dobrze jest zacząć od odebrania tym, którzy mają więcej, a potem się zobaczy...

Oprócz filozoficznej pewności, że socjalizm będzie i musi być lepszy od kapitalizmu, że zatem nie ma potrzeby dawać szczegółowych przepisów na przyszłość, Marks przepisów owych nie opracowywał dlatego, że jego literackie wyobrażenia o doktrynie socjalistycznej kształtowały się w o p o z y c j i do istniejącego piśmiennictwa socjalistycznego. Marks świadomie uprawiał pisanie o socjalizmie i n a c z e j, niż to czynili najbliżsi mu poprzednicy. Na to, o ile wiem, nie zwracał nikt uwagi i choć czynnik ten nie był decydujący, niemniej pomijanie go z u b a - ż a analizę marksizmu.

Wskazane tu utopijne aspekty doktryny Marksa były niejednokrotnie przedmiotem krytyki i analizy. Także niektóre, w zamierzeniu apologetyczne, prace marksistów prezentują rezultaty badań niekoniecznie zgodne z intencjami autorów. Tytułem przykładu wymienić można wydaną w 1962 r. w Warszawie książkę G. Temkina pt. *Karola Marksa obraz gospodarki komunistycznej*. Temkin nie jest postacią świetlaną, a nawet wręcz przeciwnie. O jego liście do redakcji „Kultury” paryskiej zamieszczonym bodaj w numerze majowym tego miesięcznika z roku 1969 powiem jeszcze kilka słów, jako że to dokument—soczewka, dokument—pomnik pewnej postawy, dokument... No, zostawmy rzecz na razie na uboczu. Otóż niezależnie od autora, książka Temkina daje przerażający obraz beztróskiej niekompetencji, z jaką Marks i Engels załatwiali sprawę ekonomiki ustroju socjalistycznego. Powtarzam — niezależnie od autora. Brałem w roku 1964 czy 65 udział w dyskusji nad *Karola Marksa obra-*



zem gospodarki socjalistycznej i z całą odpowiedzialnością stwierdzam, iż to, co wówczas mówił Temkin świadczyło, że po prostu nie rozumiał, jaka książka mu się napisała.

Jeśli materiał zebrany przez Temkina daje, po części mimo-wiednie, świadectwo wyobrażeniom Marksa i Engelsa o produkcji w warunkach socjalizmu, to w pełni wiedną krytykę marksizmu i socjalizmu przeprowadził 70 lat temu Vilfredo Pareto. Mam na myśli *Les systèmes socialistes*, dzieło skądinąd ciężkie mimo kostyczną ironię autora. Nie chcąc tu wdawać się w rozważania dotyczące trafności krytyki marksowskiej ekonomii, której to krytyce wiele uwagi poświęca włoski socjolog i ekonomista – skądinąd nader pozytywnie oceniający teorię walki klas – pozwolę sobie przytoczyć jeden tylko fragment *Les systèmes socialistes*, ten mianowicie, który trafić może do przekonania każdego, nawet laika. „Działania różnych grup – pisze Pareto – z których każda stara się przywłaszczyć sobie dobra wyprodukowane przez innych, przeżyją najpewniej radykalne zmiany w organizacji społeczeństwa, takie jak zniesienie własności prywatnej. Nie trzeba przy tym zapominać, że działania te dojdą nieuchronnie do skutku w momencie konsumpcji. Niezależnie od ewentualnej doskonałości naukowo wypracowanych zasad podziału dóbr konsumpcyjnych, zasady te muszą być realizowane przez istoty ludzkie, zaś działania tych ostatnich zależne są od ich zalet i wad. Jeśli dziś istnieją *proudhommes*, którzy zawsze odmawiają racji jednym z tego względu, iż należą oni do jakiejś klasy, i zawsze zgadzają się z innymi, ponieważ należą oni do innej, to z równym powodzeniem zawsze zdarzyć się mogą »dystrybutorzy«, którzy rozdzielać będą zysk [*la galette*] w ten sposób, że A otrzyma jego część znikomą, zaś B nieporównanie większą.

Jest rzeczą zdumiewającą, że większość reformatorów bynajmniej nie bierze pod uwagę tych możliwości. Zdają się oni zakładać, że proponowane przez nich zasady będą stosowane zawsze bez nadużyć. A tymczasem odrobina obserwacji starczy, by dowiedzieć się, że między teorią i praktycznym zastosowaniem zasad narzuconych przez prawo, moralność lub zwyczaj, zachodzi z reguły znaczna różnica; i nie sposób przystać na to, by różnica ta miała zniknąć w przyszłości, chyba że ktoś nam wyjaśni, jak i dlaczego miałyby to nastąpić.” (*Les systèmes socialistes*, ed. II Paris, 1926 t. I s. 132–133). Słowa te nie były pisane wyłącznie pod adresem marksistów. (Zauważmy na marginesie, iż Pareto zakończył swą książkę na rok przed powstaniem bolszewizmu, tj.

najbardziej złośliwej postaci marksizmu.) Niemniej uwaga jego w pełni pasuje do istniejącego obecnie podziału dóbr w ustroju socjalistycznym. Z tym, że praktyka ustroju socjalistycznego wniosła do przewidywań Pareta dwie istotne poprawki. Po pierwsze więc, nie ma w tym ustroju – poza chwilami tak wyjątkowymi jak jesień 1956 r. na Węgrzech, czy grudzień 1970 r. w Polsce – żadnej walki grup wokół podziału, a klasa rządząca po prostu dokonuje dystrybucji dochodu narodowego wedle swego widzimisię. O ile wiem, w ciągu ponad półwiecznej historii ustroju socjalistycznego raz jeden zapytano społeczeństwo, jak sobie wyobraża przyszły podział. Chodziło o owe 7 miliardów, które robotnicy Wybrzeża przemocą wyrwali z zaciśniętego od strachu gardła ekipy Gierka. Po drugie zaś, w cytowanym fragmencie Pareto zakłada, że socjalistyczny system podziału może być dobry, a tylko w praktyce dojdą do głosu złe strony ludzkiej natury. Otóż w rzeczywistym, istniejącym ustroju socjalistycznym zły, niesprawiedliwy, preferujący bezapelacyjnie interesy jednej klasy, klasy rządzącej i jej radzieckich mocodawców, jest sam system podziału dochodu narodowego. A złe strony ludzkiej natury też oczywiście dochodzą do głosu.

Niemniej przytoczona uwaga Pareto trafiła w sedno, w sam środek utopijności doktryny Marksa. W *Krytyce programu gotajskiego* ani nigdzie indziej Marks nie wyjaśnia, nie dowodzi, dlaczego podział dóbr w obu fazach ma być taki, jak się to jemu widzi. Marks wie – wierzy, że tak będzie. Co więcej, będąc wybitnym, choć zapewne stronnikiem, znawcą kapitalistycznej ekonomiki swego czasu, Marks ani chwili nie zastanawiał się nad tym, jak ma funkcjonować gospodarka w warunkach tego, co nazywał uspołecznieniem środków produkcji. Marks głosił postulat uspołecznienia poprzez ekspropriację, ale ani jednej myśli nie poświęcił temu, jak ma w praktyce egzystować, urzeczywistnić się na co dzień owo uspołecznienie środków wytwarzania. W tym punkcie kluczowym dla jego doktryny – i z punktu widzenia tej doktryny – Marks był dokładnie takim samym utopistą, jak jego francuscy poprzednicy. Ściśle rzecz biorąc można powiedzieć, że Marks był bardziej utopijny niż np. Owen czy inni socjaliści „falansterowcy” z początków XIX w. Tamci bowiem w gruncie rzeczy nie operowali modelem produkcji wielkoprzemysłowej. Mogli więc sobie wyobrażać uspołecznienie jako zrzeszenie różnych społecznych właścicieli. W tej utopii nie było więc miejsca na groźbę Jedynego Pracodawcy. Ale Marks, Marks piszący o koncentracji kapitału, Marks analizujący rynek krajo-



wy i międzynarodowy i zarazem nie dostrzegający tej groźby był w gruncie rzeczy stokroć bardziej zaślepiiony swoją filozoficzną utopią niż którykolwiek z naiwnych saint-simonistów.

Był zresztą Marks nie tylko utopistą, lecz nadto człowiekiem połowy XIX w. — o co trudno mieć doń pretensje, nikt bowiem nie może wyskoczyć ze swego czasu. Jednakże wskutek tego nie zdawał sobie zupełnie sprawy ze znaczenia, jakie może posiadać własność nie środków wytwarzania, lecz środków przekazu, własność informacji. I mimo wszystko, co w *Walkach klasowych we Francji* czy w *18 brumaire'a* pisał o aparacie państwowym, nie doceniał władzy jako samoistnej wartości, której ludzie strzec mogą staranniej niż kopalń, przędzalń i linii kolejowych. Ale to już inna historia, do której trzeba będzie powrócić.

### Własność a metafizyka i socjotechnika

Wróćmy bezpośrednio do kwestii własności w doktrynach socjalistycznych, a w szczególności w marksizmie.

Tzw. przeciętny człowiek w Europie — pono w Stanach jest inaczej, a w Indiach jeszcze inaczej — ma do posiadania stosunek ambiwalentny. W gruncie rzeczy ogromna większość doktryn etycznych składających się na naszą kulturę nie uważa posiadania bogactw za coś, o co szczególnie należałoby zabiegać. Nawet najbardziej wulgarne wersje etyki „manchesterskiej” głosić będą, że bogactwo jest tylko nagrodą za inne cnoty, takie jak pracowitość, pomysłowość etc. Etyka protestancka, tak jak ją opisał Max Weber, każe cenić bogactwo nie z uwagi na jego samoistną wartość, lecz jako znak przychylności Pańskiej. Główne nurty w judaizmie i w chrześcijaństwie potępiać będą nadmierne przywiązanie do posiadania rzeczy i zawsze wyżej każą cenić sprawiedliwe życie niż bogactwo. Zarazem na marginesach judeo-chrześcijaństwa nader często pojawiają się szkoły głoszące konieczność całkowitego wyzbycia się wszelkiej własności, która jest źródłem grzechu. W etyce Greków ten nurt był nawet wyjątkowo silny, mimo iż motywacje, które nakazywały np. cynikom potępiać własność, były zapewne inne od tych, do których jesteśmy przyzwyczajeni.

W gruncie rzeczy filozoficzne aspekty problemu własności występują w trojakich uwikłaniach.

Po pierwsze więc mamy w naszej kulturze do czynienia z poglądami, wedle których posiadanie, a nawet wszelkie posia-

danie rzeczy, jest zasadniczo złe i nie może być niczym usprawiedliwione.

Po drugie, za złe uważać się będzie nie samo posiadanie rzeczy, lecz nadmierne do nich przywiązanie.

Po trzecie zaś źródła [zła] upatrywać się będzie nie w posiadaniu lub w przywiązaniu do własności, lecz w nierównym podziale posiadanych rzeczy.

O ile pierwsze dwa nurty niezależnie od rodzaju motywacji wprost wiążą się z myśleniem o świecie i człowieku w kategoriach filozoficznych, o tyle nurt trzeci posiadać może dwa oblicza. Filozoficzne wówczas, gdy jako motywację wysuwać będzie argument, iż nierówność jest zła sama w sobie, lub socjotechniczny, gdy dowodzić się będzie, że rozpiętość posiadania rodzi zbędne konflikty społeczne.

Bez trudu zauważyć można, iż myśl socjalistyczna nawiązywała i nawiązuje do pierwszego i trzeciego z wymienionych tu sposobów krytyki własności. Z tym, że marksizm wywodząc zło ustrojów klasowych właśnie ze stosunków własnościowych, rysował wizję przyszłego społeczeństwa jako społeczeństwa dobrobytu, w którym rzeczy będzie tak wiele, ludzie zaś tak doskonalili, że nikomu nie będzie groziło owo nadmierne przywiązanie — rezultat ponurej reifikacji, natomiast XX-wieczny reformizm kłaść będzie nacisk na ograniczenie rozpiętości posiadania, motywacje zaś jego będą w znacznej mierze socjotechniczne. Różnica ta jest nader istotna z wielu względów, a m. in. dlatego, że dotyczy ostatecznych celów przekształcania społeczeństwa.

Kładę tu nacisk na owe metafizyczne, utopijne, filozoficzne aspekty doktryny Marksa nie iżbym je uważał za je d y n i e ważne, lecz — jak już o tym pisałem — z trzech względów.

Po pierwsze, dlatego że są one na ogół pomijane milczeniem, wielu ludzi uważa bowiem marksizm za doktrynę — dobrą lub złą — ale *stricte* racjonalistyczną. Wynika to z przekonania, iż podstawą tej doktryny jest ekonomia, że ekonomiczna wizja świata, owo darwinowskie odkrycie praw rządzących społeczeństwem, leży u podstaw całej koncepcji. Pogląd ten wydaje mi się być arcy-jednostronny, jeśli nie z gruntu niesłuszny.

Po drugie, a wynika to z poprzedniego, nie docenia się tej siły marksizmu, która odwołuje się właśnie do pewnych metafizycznych potrzeb człowieka; stąd niezrozumienie parareligijnych funkcji, jakie może pełnić ta doktryna.

Po trzecie wreszcie, te właśnie metafizyczne aspekty socjalizmu dochodzą współcześnie do głosu w ruchach kontestators-

kich. I aczkolwiek bez trudu można by „dowieść”, że Marks nie zostawiłby suchej nitki na jakimś Geismarze, Régisie Debray czy Marcusem, to metafizyczna podstawa tych kierunków jest wspólna.

Rzecz w tym, iż wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu ekonomia *n i e j e s t* podstawą marksizmu, ani — mówiąc językiem heglowskim — logicznie, ani historycznie. „Logicznie” — zadanie, jakie rozwiązywał Marks, było takie: jak wyzwolić człowieka od deprawującego go wyobcowania, urzeczowienia wartości i stosunków międzyludzkich, jak przywrócić człowiekowi jego prawdziwą dobrą naturę i to raz na zawsze. W logice systemu Marksa ekonomia jest służką historiozofii, ma uzasadnić to, co Marks już wiedział, że mianowicie możliwe jest przywrócenie człowiekowi jego prawdziwej dobrej natury. „Historycznie” rzecz biorąc Marks, najpierw sformułował komunistyczny cel swoich dążeń, a potem zajął się ekonomią. Uczeń klasycznej filozofii niemieckiej najpierw zajął się metafizyką własności (i wolności), a dopiero mając już w tej kluczowej materii wyrobiony pogląd podjął ekonomiczną stronę problemu.

To, że ustrój socjalistyczny *j e s t* realizacją utopii, że *j e s t* praktycznym rozwiązaniem problemów metafizycznych, stanowi o jego istotnych cechach. Jako zrealizowana utopia jawi się on ludziom w postaci jawnie przeczącej temu, co miało być. Jako urzeczywistnione zniesienie wyobcowania człowieka, urzeczowienia wartości, jako powrót do dobrej natury człowieka jest spotęgowaną alienacją, zwielokrotnioną reifikacją, pogniębieniem takich wartości, jak wierność, lojalność, rzetelność, jednostka ludzka. Realizacja królestwa *r o z u m n e j w o l i* ujawniła się jako panowanie tępoty upostaciowanej przez Kępów, Żiwkowów, Sztrougali *e tutti quanti*. Nie jest to po prostu parafraza znanego fragmentu Engelsa, nie o dowcip tu chodzi. Socjalizm taki, jaki istnieje — a innego nie znamy — stanowi realizację jednej z możliwości tkwiących od samego początku w marksizmie. Możliwością drugą jest reformizm, ale wydaje się, że bolszewicy byli wierniejszymi uczniami Marksa niż ich wrogowie, „socjal-zdrajcy”. Ponieważ zaś bolszewizm i socjalizm są realizacją utopii i rozwiązaniem metafizyki, przeto nie mogło być inaczej. Ustrój, który miał być rezultatem zwycięstwa robotników w krajach wysoko uprzemysłowionych, stał się rezultatem wojny chłopskiej w krajach zacofanych (Rosja, Chiny, Kuba) i mniej lub bardziej bezcelnej aneksji.....być nie mogło. Lub formułując poprawniej: było inaczej wówczas, gdy socjaliści prze-

stali traktować zagadnienie własności jako problem metafizyczny, i to na dodatek taki, który można rozwiązać ostatecznie. Wówczas — jak to miało miejsce w Anglii i w Skandynawii — własność zaczyna być ujmowana jako zagadnienie socjotechniczne. Wywłaszczenie przestaje być celem samoistnym, a staje się częścią lepszej lub gorszej polityki gospodarczej i społecznej. Powstaje możliwość manewru społecznego, pojawia się miejsce na margines błędu. Za punkt wyjścia bierze się nie przywrócenie człowiekowi jego własnej „prawdziwej” naturze, lecz realną sytuację społeczną i ekonomiczną. Myśli się więc nie o eschatologii — i nie o doraźnym fajerwerku społecznym — jak to się dzieje obecnie w niektórych krajach Trzeciego Świata — lecz o dającej się w miarę dokładnie wyliczyć przyszłości, tj. na skalę maksimum ćwierćwiecza.

#### **Własność środków produkcji a wolność jednostki i społeczeństwa**

Wywłaszczenie wywłaszczycieli miało być zasadniczym skokiem „z królestwa konieczności do królestwa wolności”. Okazało się jednak, że upaństwowienie środków wytwarzania stało się źródłem nowego typu niewoli, typu łączącego w sobie najgorsze elementy XIX-wiecznego kapitalizmu z najgorszymi cechami feudalizmu: brutalny przymus ekonomiczny z mniej lub bardziej usankcjonowanym przymusem pozaekonomicznym.

Przymus ekonomiczny polega przede wszystkim na tym, że w socjalistycznym ustroju istnieje *j e d e n i t y l k o j e d e n p r a c o d a w c a*. Tym pracodawcą jest po prostu Sekretariat i Biuro Polityczne partii komunistycznej. Powie ktoś, że to przesada, że należałoby powiedzieć ostrożniej: nie Biuro Polityczne, lecz państwo. Bzdury. Bo co to jest państwo? Kto rządzi tym niewidzialnym i bezosobowym państwem socjalistycznym? Przecież nie parlament i nie rząd, którego ministrowie są *d e f a c t o* chłopcami na posyłki, sterowanymi na co dzień przez instruktorów KC. Minister może się oczywiście sprzeciwić instruktorowi, ale robi to bardzo rzadko. Minister prawie nigdy nie sprzeciwia się swemu resortowemu zwierzchnikowi, tj. kierownikowi odpowiedniego wydziału KC. A gdy dochodzi do takiego sporu, to i tak sprawa opiera się o sekretarza KC, który jako osoba jest *z a r a z e m i n s t a n c j ą*.

Wróćmy jednak do własności i wolności.

Wyobraźmy sobie, że w powiecie iks, z fabryki ygrek z pracy

zostaje wyrzucony robotnik, nazwijmy go Maliniak. W 99 wypadkach na 100 Maliniak ma to wszystko w nosie i po prostu idzie do innej fabryki w tym samym lub w sąsiednim powiecie. Tych 99 robotników nie dochodzi swoich praw, ponieważ każdy z nich świadomie lub podświadomie wie, iż żadnych praw *de facto* nie posiada. Dla nich ważne jest jedynie to, czy szukając pracy mogą po kraju poruszać się swobodnie czy nie. To znaczy ważny jest przymus pozaekonomiczny, który w różnych krajach socjalistycznych i w różnych okresach przybiera różne rozmiary: od ordynarnego zakazu opuszczania miejsca zamieszkania do skomplikowanych przepisów meldunkowych, które oczywiście można „obejść”, o ile ma się „chody”, na ogół niedostępne dla robotnika z powiatu iks. Wyobraźmy sobie jednak Maliniaka dochodzącego swoich praw, swojej słuszności.

Po pierwsze, nie zna on prawa pracy obowiązującego w danym kraju socjalistycznym, po drugie, gdy je nawet pozna, to i tak nie na wiele mu się to przyda, ważne jest bowiem nie prawo, lecz to, jakie plany w komitecie powiatowym partii mają ludzie, którzy go wyrzucili z pracy. O ile tylko mają oni dobre opinie i dobre znajomości w KP, wówczas zaczyna się tzw. gehenna. Maliniak kołacze do wielu instytucji: miejscowa rada zw. zaw., Komitet Powiatowy, potem sprawa przechodzi na szczebel województwa do zarządu danego związku, do WRZZ, do KW. Do tego dochodzi prasa związkowa i partyjna, tzw. czytelnikowska, no i prokurator, który powinien stać na straży prawa. Zdawałoby się, że ilość organizacji, których obowiązkiem jest obrona jednego skrzywdzonego robotnika, jest ogromna. Rzecz jednak w tym, że wszyscy ludzie zatrudnieni w tych organizacjach, pomijając już fakt, iż pracują źle, niewydajnie, byle jak — bo to jest immanentna cecha ustroju — opłacani są przez tego samego pracodawcę, który wyrzucił Maliniaka. Toteż każdy z tych ludzi gotów będzie starać się o naprawienie krzywdy Maliniaka o tyle i tylko o tyle, o ile nie będzie go to narażało na konflikt z Jedynym Pracodawcą, tj. z „państwem”, tj. z rządzącą warstwą partyjnej oligarchii. W okresach względnego spokoju — np. w Polsce w 1953 r. lub 1963 r. — do takich konfliktów nie musi dojść. Sprawę udaje się jakoś załatwić i w prasie czyta się artykuły zrobione według jednej z dwu recept. A więc albo:

— o tym, że do redakcji przyszedł znękany Maliniak i opowiedział swoją historię, która jednak dzięki interwencji gazety zakończyła się dobrze (o odszkodowaniu ani słowa) — albo o tym, że działacz Pumpilski, który np. pełni funkcję przewodni-

ącego jakiegoś związku w danym województwie, to jest takim kryształowym komunistą, iż nie dojadł, nie dosypiał, a sprawę niesłusznie usuniętego z pracy Maliniaka załatwił (o odszkodowaniu ani słowa, bo Jedyny Pracodawca nie uznaje odszkodowań).

W artykułach takich wyczytać można niekiedy sporo drastycznych szczegółów, ich autorzy jednak nigdy nie zastanawiają się nad zasadą, nad istotą sprawy, toteż nigdy nie znajdziecie tam cienia aluzji do problemu Jedynego Pracodawcy.

Natomiast w okresie mniejszego lub większego polowania na czarownice — np. w Polsce w 1949 r. lub w 1968 r. — o ile Maliniakowi przyczepiona zostanie etykieta „katolika”, „syjonisty” lub coś w tym rodzaju, to sprawa jego robi się absolutnie beznadziejna. W takich okresach Maliniak winien być szczęśliwy, że nie dostał się do więzienia, a bardzo szczęśliwy, o ile trafi gdzieś na personalnego, który będzie tak heroiczny, że przyjmie Maliniaka do pracy — rzecz jasna jak najgorszej — przymykając oczy na to, że jest on „katolikiem”, „syjonistycznym pacholkiem”, czy jeszcze czymś tam równie sensownym.

Jedyny Pracodawca przez sam fakt swego istnienia rodzi strach. Ten strach, który na co dzień reguluje postępowanie setek tysięcy ludzi, reguluje tak doskonale, że ludzie ci nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że hasła „śmierć frajerom”, „nie ma mocnych”, „nie wychylać się” to dyrektywy, za którymi ukrywa się wiedza o ustroju socjalistycznym i uczucie strachu paraliżujące zdrowy rozsądek, normalne odruchy ludzkiej solidarności, elementarną uczciwość. W Związku Radzieckim w 1937 r., w Polsce w 1950 r., w Czechosłowacji w 1951 r. ludzie bali się więzienia, ale poza tymi „ostrymi” okresami ludzie boją się Jedynego Pracodawcy, który może obciąć miesięczną premię, nie dać trzynastej pensji. Uważam, że mówiąc o strachu w ustroju socjalistycznym na ogół przecenia się strach przed policją polityczną, zaś nie docenia się strachu, który ma swe źródło w upaństwowieniu środków produkcji, w fakcie istnienia Jedynego Pracodawcy. Optyka ta pochodzi stąd, że według niepisanej hierarchii wartości, strach przed więzieniem jest mniej uwłaczający niż strach przed utratą posady. W rzeczywistości jednak ludzie boją się nie bezpieczeństwa, która wcale nie jest wszechobecna, lecz Jedynego Pracodawcy, który siłą rzeczy jest wszechobecny.

Powie ktoś, że w intencjach Gierka, Gomułki, Bieruta, Zambrowskiego czy Minca nie leżało i nie leży pozbawianie ludzi należnych im premii pieniężnych czy szantażowanie ich utra-



tą możliwości zarobkowania. Nie chodzi tu jednak o intencje komunistów, lecz o rzeczywisty mechanizm społeczny. W ustroju kapitalistycznym robotnik zależny był od właściciela fabryki i to ograniczało jego wolność. Ale po pierwsze, właściciele było wielu, po drugie zaś, w niektórych przynajmniej krajach robotnicy potrafili stworzyć organizacje lepiej lub gorzej broniące ich interesów. Wielość właścicieli stwarzała dla robotnika pewną szansę. W pewnym choćby minimalnym stopniu zabezpieczała jego wolność. Klasa poszczególnych właścicieli nigdy nie działała w sposób całkowicie zborny, chociażby dlatego, że konkretnych posiadaczy dzieliły interesy. Nawet w krajach faszystowskich, takich jak Włochy, Hiszpania czy Paragwaj, rządząca partia nie mogła (czy nie może) regulować postępowania każdego kapitalisty czy posiadacza ziemskiego. Toteż powiedzenie, iż w warunkach prywatnego posiadania środków produkcji nie można w pełni zrealizować ustroju faszystowskiego, jest prawdziwe.

Socjaliści wyobrażali i wyobrażają sobie, że wywłaszczenie wywłasczycieli stwarza podstawy wolności jednostki. Jak wielu utopistów brak im czegoś, co można nazwać realistyczną wyobraźnią. Nie byli i nie są w stanie wyobrazić sobie rzeczywistego niebezpieczeństwa tkwiącego w operacji wywłaszczania – tego mianowicie, że miast wielu pojawi się Jedyne Pracodawca, a zarazem Jedyne Dystrybutor Przedmiotów, moloch, wobec którego potęgi (w stosunku do każdego poszczególnego robotnika) General Motors jest płotką. Toteż dyskusje na temat intencji komunistów są absolutną stratą czasu – czas zaś można tracić o wiele przyjemniej – ponieważ nie chodzi o to, co się w duszy gra panu Kirylence, Fokowi czy Szyrowi, lecz o realną sytuację społeczną, o istotne zagrożenie wolności powstające w momencie przejścia przez państwo – tj. przez komunistyczną oligarchię – środków produkcji.

Sprawa nie ogranicza się do jednostek. Jeśli bowiem 80 do 90 % jednostek składających się na dane społeczeństwo zniewolone jest przez Jedyne Pracodawcę, to społeczeństwo jako całość jest również pozbawione wolności. Skomplikowany mechanizm życia społecznego, wielostronność i wielokierunkowość relacji jednostka–społeczeństwo sprawia, iż mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju układu wzmagającego niewolę. Toteż teza komunistów: przeprowadzamy wywłaszczenie wywłasczycieli po to, by wyzwolić jednostkę i społeczeństwo z wyjątkiem posiadaczy, jest totalnie nieprawdziwa. Wywłaszczenie podstawowych środków produkcji w skali państwowej było dotychczas

zawsze, za każdym razem równoznaczne z pozbawieniem wolności jednostek i społeczeństwa danego kraju. Teoretycznie rzecz biorąc mogą zająć okoliczności, w których na rzecz wywłaszczenia przemawiać będą jakieś ważne argumenty. Jednakże ludzie, którzy takie wywłaszczenie będą przeprowadzać i ci, którzy będą ich popierali, choćby tylko milcząc, winni sobie zdawać sprawę z tego, że dla jakichś ważnych powodów decydują się zarazem na nader drastyczne ograniczenie wolności. Jeśli ludzie ci nie cenią wolności jednostki i społeczeństwa, to oczywiście nie powinni mieć z tego tytułu żadnych kłopotów. Rzecz jednak w tym, że generalnego wywłaszczenia domagają się na ogół ludzie głoszący, iż walczą o wolność. Inaczej mówiąc ludzie dążący do wyzwolenia całych narodów – a w perspektywie całej ludzkości – zaczynają od utworzenia Jedyne Pracodawcy i Dystrybutora, tj. od zasadniczego zniewolenia danego społeczeństwa. Jest to, delikatnie mówiąc, nadmiar dialektyki.

Rewizjoniści nie rozumieją całej sprawy, o której tu piszę. Ci, którzy żyją w „obozie”, zgadzają się z tym, że w krajach socjalistycznych nie ma wolności, czy też różnych wolności. W tym jednak wypadku, jak i we wszystkich innych, mówią oni „w tzw. krajach socjalistycznych”, co oznaczać ma, że tu – od Chin po środek Europy plus Kuba (od niedawna kraj ten bowiem przestał być ucieleśnieniem marzeń guevarystów z Żoliborza). Na pytanie o ów brak wolności rewizjoniści udzielają różnych mniej lub bardziej trafnych odpowiedzi, na ogół krążących albo wokół głupoty „kierownictwa” (to głupi rewizjoniści), albo wokół problemu monopartyjności. Bardzo radykalni rewizjoniści będą mówili o tym, że powstała w krajach obozu klasa wyzyskiwaczy, którą należy wywłaszczyć, tworząc w ten sposób autentycznie społeczną własność środków produkcji. Nigdy jednak żadnemu rewizjonście nie przyjdzie na myśl, że niebezpieczeństwo może tkwić w samym uspołecznieniu środków produkcji i handlu na skalę całego kraju. To bowiem – tzn. wywłaszczenie i uspołecznienie – jest dla rewizjonisty tym, czym hostia dla katolików. W rezultacie rewizjonista zdaje się mniemać, iż całe ponad pół-wiekowe doświadczenie socjalizmu jest jakimś przykrym nieporozumieniem, które nie wiadomo jak się pojawiło, ale żadną miarą nie może świadczyć o cudownej szlachetności i precyzyjnej naukowości „prawdziwego” socjalizmu. Pytanie, dlaczego za każdym razem socjalizm realizuje się jako „nieprawdziwy”, rewizjonista kwituje tak zażenowanym milczeniem, jak gdyby to



pytający popełnił jakiś horrendalny nietakt w rodzaju zdjęcia spodni na bankiecie w pałacu buckinghamskim.

Trudno, jeśli nie jest [się] zwolennikiem myślenia ułatwionego, to trzeba czasem zadawać nietaktowne pytania w zakresie teorii.

### Własność socjalistyczna a równość społeczna

Zacznijmy od tezy dziś chyba banalnej, że wolność i równość nie są wartościami zgodnie się uzupełniającymi, lecz konfliktowymi. [...]

Wielu lewicowców na Zachodzie uważa, iż w krajach „obozu” niewiele jest wprawdzie wolności, ale za to panuje u nas równość społeczna. Wielu kontestatorów uważa nadto, że wolność w ogóle nie jest wartością, którą należałoby cenić, równość natomiast uznają za wartość najważniejszą.

I jednych, i drugich muszę rozczarować. W państwach takich jak PRL, Kuba, Algieria czy Węgry wprawdzie rzeczywiście nie ma wolności, ale „za to” nie ma też i równości społecznej.

To prawda, że rozpiętość stanu posiadania rzeczy między sprzątaczką pracującą w warszawskim biurze projektowym a sekretarzem Komitetu Warszawskiego partii komunistycznej jest mniejsza niż analogiczna różnica między sprzątaczką amerykańską i Rockefellerem, żeby pozostać przy krajach uprzemysłowionych. To prawda, że w porównaniu z majątkiem osobistym tegoż Rockefellera majątek osobisty Titkova, Kociołka, Kępy czy Łukasiewicza przedstawia się wręcz śmiesznie. Nadto zaś Rockefellerowi nikt nie może odebrać posiadanych przezeń bogactw, natomiast Kępę czy Łukasiewicza znacznie łatwiej jest zdegradować do poziomu majątkowego zwykłego urzędnika, a nawet wsadzić do więzienia [(nie za to, za co słusznie należałoby, lecz np. pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Kanady lub osobistego handlu walutami); przeciw takim możliwościom wymierzony był bunt Chruszczowa, o czym napiszę oddzielnie]. W sferze zatem posiadania rzeczy lub symboli rzeczy socjalizm wygląda na ustrój znacznie bardziej egalitarny niż tzw. zachodnie demokracje, nie mówiąc już o krajach takich, jak Syjam czy Brazylia. I na tej konstatacji wszyscy zachodnioeuropejscy lewicarze opierają swoje spokojne sumienie, swoje wybory, wedle których nie można jeździć na wakacje do Grecji, bo tam jest faszyzm, ale można do Bułgarii, bo tam wprawdzie jest mniej wolności niż we Francji, ale za to więcej równości. *Merde!*

Konstatacja powyższa jest niezwykle powierzchowna. Po pierwsze bowiem nierówność posiadania w ustroju socjalistycznym dotyczy spraw znacznie ważniejszych dla egzystencji niż wile w Biarritz czy St. Moritz. Rzecz w tym, że aparatczyk partyjny na szczeblu wojewódzkim i – częściowo – powiatowym ma zawsze masło, mięso, wędliny, a często – szczególnie na szczeblu powiatowym – ma je po cenie zaniżonej. W warunkach permanentnych „przejściowych” trudności na rynku jest to nierówność nader zasadnicza, choć ukryta. Kostka masła w okresie gdy masła nie ma w sklepach, jest warta bez porównania więcej niż 18 zł. Ale aparatczyk i jego rodzina nie tylko odżywiają się lepiej niż robotnicy czy niżsi i średni urzędnicy. Żona aparatczyka nigdy nie stoi w kolejce, on sam nie czeka godzinami na „numerek” do lekarza, w jego rodzinie nikt nie denerwuje się z powodu skierowania na wczasy, nie mówiąc już o tym, że jedzenie i opieka lekarska na wczasach dla aparatczyków są zupełnie inne niż na wczasach dla normalnych ludzi. W zakresie posiadania rzeczy niezbędnych do życia dla danej sfery kulturowej, w ustrojach socjalistycznych panuje *z a s a d - n i c z a n i e r ó w n o ś ć*.

### PRZYPIS

I W XX w. najobszerniejszy problem „niejasności” czy też „aforystyczności” Marksa podjęli neopozytywiści, pisali o tym również Ossowski, Gurvitch, Aron. Gdy mówimy, że *X* wyraża się niejasno, to – w odróżnieniu od sądu „tekst *X-a* jest niezborny” – mamy zazwyczaj na myśli, że w danym czasie, na danym obszarze komunikacji tekst *X-a* jest nieprecyzyjny, a więc, w najlepszym wypadku, wielointerpretowalny. Dodać tu jednak trzeba, że wywiedziona z pewnych sfer ludzkiej aktywności umysłowej niejasność, a więc wielointerpretowalność zdaje się być przyrodzona. Do dziedzin tych niewątpliwie należą: filozofia, socjologia i ekonomia. Kiedy więc mówimy, że *X*, który jest socjologiem, wyraża się niejasno, wypada zapytać: niejasno dla jakiego okresu i jakiego obszaru komunikacji. Gdybyśmy powiedzieli, że jak na połowę XIX w. w Europie i na tle reguł ówczesnej komunikacji na obszarze filozofii, socjologii i ekonomii Marks wyrażał się niejasno – byłaby to chyba nieprawda. Wątpliwe jest, by Marks był mniej jasny od Feuerbacha, de Tocqueville’a czy Sismondiego. A w każdym razie należałoby tego dowieść. Faktem natomiast jest, że dla nas dziś, na obszarze socjologii i ekonomii – z filozofią zawsze sprawa ma się nieco

inaczej – Marks jest nieprecyzyjny, niejasny, przeczy sam sobie. To ostatnie wymaga wyjaśnienia. Tezy A i B nie mogą być sprzeczne w 1970 r. i niesprzeczne w 1860 r. Marksowskie opinie na temat tego co to jest klasa były z a w s z e sprzeczne. Lecz sto-kilkadziesiąt lat temu, w ówczesnej *epistemé* sprzeczności owe nie były tak rażące.

## NOTY

30.VI.69

Wczoraj Helena powiedziała mi, że wyjeżdża; mniejsza o to w jaki sposób.

Wczoraj zacząłem pisać *Materiał Dowodowy*. Te notatki mają być czymś w rodzaju strony osobistej *Materiału*. O ile jednak wiem, co będzie w tamtej książce, tj. w *Materiale Dowodowym*, o tyle nie mam żadnych planów dotyczących tych notatek. Z wyjątkiem zakończenia, które napiszę wówczas, gdy skończę książkę. Nie jestem jednak pewien, czy zakończenie to włączę do notatek, czy też potraktuję jako tekst oddzielny. Zresztą nie jest to takie ważne. Mam nadzieję, że notatki nie będą zbyt obszerne. Przez stronę osobistą nie rozumiem tu wyznań dotyczących spraw prywatnych, lecz jedynie bardziej osobiste aspekty pisania *Materiału*. Bardziej osobiste – przekonam się, co to znaczy. Znając swój sposób pisania, „styl”, mogę z góry założyć, że i w *Materiale* ta osobniczość, osobistość, osobowość będzie dostatecznie wyraźna.

*Materiał Dowodowy* postanowiłem napisać dość dawno. Chyba we Francji jesienią 1967 r. Wówczas jednak doszedłem do wniosku, że potraktuję ten pobyt jako małe wakacje. Małe, bo jednak pracowałem w Bibl. Nat., bo miałem mało pieniędzy, bo miałem świadomość, że nieprędko – jeśli w ogóle – nadarzy mi się okazja do takich wakacji. Inna sprawa, że teksty, o których myślałem w Paryżu, i *Materiał* różnią się od siebie.

1.VII.

Wczoraj spotkałem Samka S. Zapytał mnie, co słyhać i czy już wiem... Powiedziałem, że tak. Samek był promieniejący. Wyzwolony. Rozmowa nie kleiła się. Byliśmy w zbyt różnych nastrojach. Czy miałem mu powiedzieć, że tracę córkę, której naj-

pewniej nigdy nie zobaczę i że mierzi mnie i zobowiązuje do czegoś względem tego społeczeństwa fakt, iż byłem 12 lat członkiem partii, że tym samym jestem odpowiedzialny. A z niego spłynęło: i to, że był oficerem UB, i to, że był sekretarzem naukowym Instytutu w tzw. najgorszym okresie, i to, że siedział w partii do ostatniej chwili. Szczęśliwy człowiek. A przecież Samek nie jest i chyba nigdy nie był najgorszym z komunistów. Aby było jasne: nie był najgorszym, biorąc pod uwagę jak źli, zbrodniczy bywają i mogą być komuniści.

Nie postanawiałem zostać. Po prostu inaczej nie mogłem. Nie są to sprawy polskości etc. Można w nich tkwić po uszy mieszkając w Sydney. To wyłącznie kwestia odpowiedzialności za swój udział w budowaniu socjalizmu. Wiedziałem jaką cenę płacę za zostanie. Askoro tracę córkę, to te ileś tam lat więzienia wydają mi się być nie tak ważne. A skoro zostaję, skoro tracę córkę, to niechaj mam przynajmniej tę jedną satysfakcję, że powiem, co o tym wszystkim myślę. To zaś, że powiem tu, a nie siedząc w Paryżu, Londynie czy Sztokholmie, może mieć znaczenie. Chciałbym, aby je miało.

#### 13.VII

Śmieszne: to najlepiej daje się porównać z katarem. Przychodzi falami, zatyka oddech, zatrzymuje życie. Fala mija i wszystko wraca niemal do normy. Mogę dyskutować, śmiać się, żartować. Potem znowu fala nachodzi. A przecież będzie gorzej.

O wyjeździe Kosi powiedziałem dotychczas jednemu człowiekowi – Ani W. Pytała mnie w ubiegły czwartek, co sądzę o emigracji. Staralem się odpowiedzieć rzeczowo i spokojnie. Potem pomyślałem sobie, że byłoby nieuczciwe i kabotyńskie, gdybym nie powiedział teraz o córce. Zmusiłem się do tego. Ale poza tym nie jestem w stanie powiedzieć o tym nikomu.

#### 27.VII

Kilka dni temu dowiedziałem się, że S. S. tak m. in. argumentuje decyzję wyjazdu: rozumiem – powiada – że mają pretensje do Baczki i Zimanda, bo Baczko napisał książkę o Kotarbińskim, a Zimand – wiadomo – był gorliwym stalinowcem. Ale ja – powiada S. S. – byłem krytykowany, moja książka o Sienkiewiczu miała negatywne recenzje.

To naprawdę godne zazdrości.

Prawdę mówiąc nic mnie to nie obchodzi. Niewiele obchodzi mnie w ogóle. Jeśli tylko nie pracuję, myślę o jednym – o córce.

Może jestem głupcem. Uganiam się za chimerami. Może

powiniennem wyjechać: być razem z dzieckiem. Czy może być coś ważniejszego?

A jednak nie umiem inaczej. I mimo wszystko, co już przeżyłem i co, domyślam się, będę czuł przez tygodnie, miesiące, lata – nie wiem, czy chciałbym inaczej umieć.

Właściwie ważne jest tylko jedno: żeby Kasia – po latach, zrozumiała moje postępowanie. Ona jedna jest (będzie) trybunałem mającym absolutne prawo potępienia.

#### 5.VIII

Dziś rozmawiałem – krótko zresztą – z Heleną. Rozmowa ta przebiegała tak (z zawodną dokładnością pamięci):

H.: – Co, Jana wyjeżdża.

Ja: – Nie wiem. Kiedy z nią rozmawiałem ostatni raz, powiedziała mi, że Ignacy zgodził się dać jej zgodę na wyjazd dzieci, ale ja wątpię...

H.: – To znaczy, że on tu kogoś ma.

Ja: – Nie. Dlaczego zakładasz, że tylko takie mogą być przesłanki

H.: – To znaczy, że kogoś tu ma i nie chce z nią być.

Ja: – Dlaczego myślisz, że ludzie kierują się tylko materialnymi korzyściami?

H.: – Jak możesz mi mówić coś takiego. To znaczy, że ja kierowałam się tylko myślą o korzyściach... (To była dłuższa wypowiedź.)

Ja: – Nie mówiłem o Tobie. Mówiłem o tym jak oceniasz motywy postępowania innych. Nie wierzysz, by ludzie mogli się kierować innymi względami niż korzyści materialne. Kiedy Ignacy wystąpił z partii, mówiłaś, że to dlatego, iż on chce wyjechać. Nie wierzyłaś mi, kiedy starałem Ci się wyjaśnić, że nie. Teraz nie chcesz zrozumieć, że jego postawę można tłumaczyć inaczej.

H.: – A jak to można wytłumaczyć.

Ja: – Na przykład, ktoś chce być wierny swojej biografii.

H.: – Co to znaczy. To nic nie znaczy. To znaczy, że ktoś rezygnuje z pewnych wartości.

Ja: – Masz rację. To jest wybór między wartościami. To bywa wybór, wybacz, tragiczny.

H.: – Tragiczni są tylko ci, którzy wyjeżdżają. Ci, którzy zostają, będą śmieszni. Najłatwiej jest teraz zostać. Nie ma nic łatwiejszego jak zostać. Ci, co zostają, są śmieszni. Nie znoszą cierpiętnictwa.

Nie odezwałem się więcej. Helena bez trudu wypowiada sądy wyraźnie sprzeczne.

To od niej przede wszystkim i niemal wyłącznie od niej będzie zależało to, co Kośka będzie sądziła o mnie.

7.VIII.

Pojawiają się, niezależnie od siebie, jakieś cienie pogłosek, że ludzie zaczynają pisać do szuflady lub że o tym myślą. To jedyna jaśniejsza wiadomość.

Poza tym wciąż i wciąż rozmowy o wyjazdach, o sprawie żydowskiej. Po prostu nie mam już sił. Co po części spowodowane jest upałem. Wczoraj w taksówce szofer namawiał swego kolegę, by wyemigrował. Wahał się ten mający możliwość wyjazdu, ten drugi nie miał żadnych wątpliwości.

Zdawałoby się, że z dwóch tekstów, które piszę – *M. D.* i tego o fabule – *M. D.* powinien mnie ciągnąć ku sobie niepowstrzymanie, zaś szkic o pojęciu fabuły odpychać. Tym bardziej, że nigdy jeszcze nic nie szło mi z takim trudem, jak to o fabule: od listopada u. r. (a może nawet od października) napisałem niewiele ponad 50 stron. W tzw. męczarniach. *M. D.* pisze mi się lekko, podejrzenie lekko. Inna sprawa, że to, co tam piszę, przemyślałem tam i z powrotem wielokrotnie.

I oto w tym tygodniu nie mogę się zabrać do *M. D.*, tj. do tekstu wyhołubionego, zaś ciągnie mnie – co prawda nie za bardzo – tekst znienawidzony, tekst, w który wątpię tj. do pojęcia fabuły. Czyżbym był rzeczywiście pracownikiem naukowym? Nigdy się o to nie starałem, ani nie wierzyłem.

Za trzy dni będę u Kosi.

13.VIII.

Wczoraj byłem z Kosią w Międzyzdrojach na plaży. Chwilami, kiedy gubiłem świadomość jej przyszłego wyjazdu, byłem zupełnie szczęśliwy. Być z dzieckiem na prawie pustej plaży, oddychać ostrym, bałtyckim powietrzem, pilnować nieporadnego pływania córki, samemu pływać w zimnym morzu przy dość dużej fali.

14.VIII.

Dwudniowy pobyt u córki nad morzem pogorszył mój stan. Świadomość, że za kilka tygodni nie będzie jej, zrobiła się jeszcze bardziej męcząca.

Wymyśliłem jeszcze jeden „argument”, wątek, problem do *Fabuły*. Właściwie nie wymyśliłem, a wpadł mi do głowy w czasie lektury Blumenkranza (*Juifs et Chrétiens*).

4.VIII.

Przedwczoraj wieczorem wróciłem z Kosią po tygodniu pobytu w Tatrach. Mieszkaliśmy na Chocholowskiej, w Roztoce, w Pięciu Stawach i na Gąsienicowej. Była z nami Barbara S. z synem – rówieśnikiem Kosi. Byliśmy na Bobrowcu, na Trzydniowiańskim, nad Czarnym Stawem pod Rysami, szliśmy przez Świstówkę do Pięciu, bobrowaliśmy po całej Pustej Dolince, przeszliśmy przez Zawrat na Gąsienicową. Myślę, że nauczylbym Kosię dobrze chodzić po górach. Chodzi równo, tylko na początku drogi zawsze trochę kwęka. Przy wszystkich przejściach z plecakami, swój nosiła cały czas i tylko po przejściu i zejściu z Zawratu wzięłam go na dziesięć minut. To, że nie leci naprzód, sprawia, iż do schroniska wraca w dobrej formie. Zmęczyło ją jedynie myszkowanie po głazach w Pustej. Pogodę mieliśmy znośną: dwa dni pełnego słońca (trzy – licząc zejście do Zakop.), jeden dzień zatłoczony przez ulewę, reszta taka sobie.

Zawsze po powrocie z gór mam to głupie, nonsensowne uczucie: tu (na dole) nie można żyć – żyć można tylko w górach. Ale tym razem dominuje co innego: Kosią, wyjazd Kosi.

Nie umiem o tym z nikim rozmawiać, to powoduje, że bez trudu w towarzystwie innych ludzi jestem normalny, a – rzadkie na szczęście – pytania zbywam byle jak i byle czym. Przez większość „dnia”, tzn. od 8–9 rano do 1–2 w nocy jestem jednak sam i o niczym innym nie umiem myśleć.

Przedwczoraj Krzysztof P. powiedział mi, że Lena Eilstein wyjeżdża. To jeden z dwóch wyjazdów, które odczułem osobiście (drugi to wyjazd „prześwietnej L.” – Lilianny Baczewskiej).

8.IX.

W ubiegły piątek byłem po raz pierwszy na Dworcu Gdańskim: zegnałem Alę E. Było za wesoło. Pociąg ruszył niespodzianie i cała wesołość opadła. Moje dominujące uczucie: Boże, jakie to łatwe: wsiąść do tego wagonu i po 20 godzinach ma człowiek wszystko z głowy! Przypomniało mi się to, co pisałem o sprawie Czarowic–Pirata w studium o *Róży*. Za ile tygodni pójde zegnać Kosię? Trzy? Sześć? *Pierśd smiertiu nie nadszyszisia*.

Bodajże dziś pojawiła się w księgarniach *Myśl nieoswojona* Lévi–Straussa (fatalny przekład tytułu) oraz *Spoleczne ramy pamięci* Halbwachsa. Na Lévi–Straussa rzuci się stado durniów i będą durnić na wsze strony. Jeśli ukaza się trzy rozsądne artykuły – to dużo. No i zalew cytatów, powołań się, „błyśnięć”. Chyba z pięć lat temu zauważyłem, że nawet pracownicy nauko-



wi znający języki obce z lubością cytują świeżo przetłumaczone pozycje. Najwyraźniej chyba uwidoczniło się to na przykładzie Fromma. Najlepszej jego książki, *Escape from freedom* nie cytuje nikt – sentymentalno-religijne dywagacje, kto żyw.

Od powrotu Kosi z kolonii nie zawsze udaje mi się realizować postanowienie, by poniedziałki i wtorki poświęcać na pisanie *Materiału Dowodowego*.

9.X.

Miesiąc przerwy. Nie pisałem *Fabuły*, do *Materiału Dowodowego* studiowałem jedynie – i to nie za często – Roczniki Statystyczne. Tkwią w całej „technice” wyjazdowej. Nie tylko pomagając konkretnie Helenie, ale wysłuchując jej nerwów. Wszystko to jest w istocie arcynieprzyjemna latanina, choć moim zdaniem, jeśli potraktować całość tych nerwowych zabiegów za 100 – to nie więcej niż 30 % przypada na chęć dokuczenia, obrażenia, poniżenia emigrantów (a może nawet mniej). Reszta wynika z systemu, z tego, że każdy petent, klient, podanióska jest w ustroju socjalistycznym poniżany i obrażany, że mu się dokucza i wyszarpuje nerwy po kawałku.

Kosia zrobiła się nerwowa i płacziwa – nic dziwnego w tej atmosferze. A jednak odrabia porządnie lekcje, uczy się francuskiego. Czyżby odziedziczyła po mnie umiejętność pracy w tzw. trudnych okresach? Bardzo bym się cieszył z tego. Ja bowiem, jeśli w ciągu ostatniego miesiąca zrobiłem niewiele, to nie z przyczyn „metafizycznych”, lecz czysto „technicznych”. Wczoraj w czasie, gdy odrabiała rachunki, doszło między nami do scysji: chodziło o to, by – w zgodzie z zaleceniem z książki – wykonywała działania w pamięci, a nie na kartce. Jej bunt i upór, które w normalnych warunkach miałyby za podłoże zwykłe lenistwo i wygodnictwo, tym razem robiły takie wrażenie, jak gdyby wyrastały z jakichś urazów. Nie udało mi się do nich dotrzeć – jeśli są – bo nigdy nie podważałem jej praw do bycia obrażoną, gniewną etc. W końcu wziąłem ją na kolana i kołysząc zwróciłem uwagę w inną stronę. Potem jedno zadanie złoścąc się przez śmiech, czy też śmiejąc się przez złość, wykonała w pamięci, a drugie na kartce.

W niedzielę, 5-go b.m. w czasie rozmowy na tematy religijne – przechodziliśmy koło kościoła na Lesznie, tuż po sumie – okazało się, iż uważa wyznanie mojżeszowe za jedno z wyznań chrześcijańskich.

Wciąż myślę: gdyby wyjeżdżała mając lat 14–15, zdążyłbym jej wytłumaczyć, przekazać, może wpoić tyle ważnych rzeczy, na

które jest jeszcze zbyt mała. Tłumaczę sam sobie, że gdyby wyjeżdżała mając lat 14, to myślałbym analogicznie.

6-go wyjechała moja rodzina z Zabrza, jedyna rodzina, jaką miałem po wojnie. Byłem na dworcu w Katowicach. Bratowa, tj. wdowa po moim bracie, a po wojnie żona stryjecznego brata, otoczona starszymi ludźmi przeważnie „pochodzeniowcami” płakała niemal bez przerwy i była w pół przytomna. Kuzyn kręcił się wśród walizek udając, że coś załatwia. Nieco na uboczu ich córka w gronie odprowadzających koleżanek i kolegów z Politechniki (wszyscy chyba – przepraszam – aryjczycy): śmiechy, żarty – cudowne psychiczne zdrowie, normalność, jedyny jasny punkt tego ponurego obrzędu.

Muszę w końcu podjąć decyzję co do zakresu statystyki w *Materiale Dowodowym*. Muszę się zabrać do referatu o socjologii literatury. Bezboleśnie, bez gestów, bez narażania kogokolwiek „wybyć” z komisji do badań nad literaturę współczesną, czy jak to się tam nazywa.

21.X.

Kosia śpi obok, na moim tapczanie. Mieszka u mnie od soboty. Dwa dni temu w niedzielę przed południem rozmawiałem z nią o wyjeździe. Jest przekonana, że będę do niej przyjeżdżał. Zapewne tak, jak zawsze przyjeżdżałem na kolonie, czy do Zawoji, gdy spędzała tam lato z nianią. Ile pozostanie w niej z tego, co mówiłem o kraju rodzinnym? języku ojczystym? Prosiłem, by nigdy nie mówiła o żadnych narodach w ten sposób, że „wszyscy Anglicy są tacy” albo „wszyscy Polacy tacy”, by pamiętała, że wszędzie są ludzie źli i dobrzy. Gdybym mógł z nią być choćby jeszcze trzy, cztery lata.

W sobotę byliśmy na *Ślubach panińskich*. Był również Marcinek z rodzicami.

Czyta teraz *Starożytność bajeczną* Zielińskiego. Swoją drogą ta świetna książka jest „metodologicznie” przestarzała. Przed wszystkim dlatego, że usiłuje prezentować jako historyczne to, co historyczne nie jest. Ale kto potrafiłby równie dobrze przekazać starszym dzieciom mitologię grecką we współczesny nie-pozytywistyczny sposób? W końcu to, co z tej lektury może sobie przyswoić 11-letnia dziewczynka, to na pewno nie „metodologia”.

Jestem zmęczony. Chwilami po prostu bardzo zmęczony.

22.X.

W gruncie rzeczy *Noty* niewiele mają wspólnego z *Materia-*

tem Dowodowym. Pisane w tym samym czasie stanowią jakąś tam komponentę całości, którą jestem, czy też którą się staję. Zapewne dotyczą przede wszystkim tego, co najważniejsze – córki, ale to, co najważniejsze, istnieje, jako takie, jedynie dlatego, że istnieją inne sprawy. Mniej ważne. I tych jest, oczywiście, więcej. Prowadzenie dziennika nudzi mnie. Zapisywanie różnego rodzaju refleksji intelektualnych ma w sobie coś z kabotynerii. Np. wczoraj wieczorem po napisaniu dwóch ostatnich zdań przyszło mi do głowy, że monolog Hamleta można by odczytać jako monolog śmiertelnie zmęczonego człowieka. I stąd różne snucia. Nie zapisałem tego, bom się wstydił: pomyślałem sobie, że bylewał prowadzący „dziennik duszy” będzie się popisywał Hamletem. Istnieje pewien rodzaj kulturalnych rozmów czy monologów, których nie trawię. Zdaje się że Heidegger nazywa to „paplaniną”. Świetnie to pokazał Fellini w *Dolce vita* w sekwencji salonu Steigera (?). Takiej paplaniny jest dla mnie sporo w esejach T. Eliota: ach, Dante! ach, Kultura! ach jakie to głębokie! Istnieje również polska pseudo-narodowa odmiana tej zabawy: ach, Lenartowicz! ach, fujarka! ach, bądźmy siemiężni!

26.I.1970 r.

Po trzech miesiącach przerwy wróciłem do pisania *Materiału Dowodowego*. Za cztery dni minie trzy miesiące od wyjazdu Kosi. Nie umiem żyć, choć, zdaje się, że świetnie umiem udawać, iż żyję.

Na mojej rozprawie, jeśli do niej dojdzie, ktoś będzie mógł powiedzieć: *Materiał Dowodowy* to dzieło człowieka, który przeżył tzw. tragedię osobistą; czy można poważnie traktować myśli i uczynki ojca, któremu zabrano jedyne dziecko; może to smutne, ale na pewno niepoważne.

Ktoś inny powie: to sprawa psychiki, osobowości – buntują się tylko źle przystosowani, nie zakorzenieni.

27.I.1970 r.

Mój Ty Boże, a co robią przystosowani i zakorzenieni? Widocznie godzą się z niewolą, przyklaskują infamii, chwają bezprawie.

Rozważania o zakorzenieniu i niezakorzenieniu (pomijam ich rasistowski wariant, bo ten jest jasny sam przez się) mają jedną wadę: błędną kolistość. Dlaczego Iks się buntuje – bo jest niezakorzeniony; skąd wiemy, że Iks jest niezakorzeniony – bo się buntuje.

Jutro będę telefonował do córki.

20.IV.

Matka moja przeniosła się, czy też została przeniesiona, z pensjonatu dla starszych pań do domu starców? szpitala? sanatorium?

Rodzina – ojciec zmarł w 1940 czy 1941 r. w kijowskim więzieniu, matka umrze gdzieś w Tel-Awivie lub pod. Zygmunt w Anglii, Kosią we Francji, ja tu. Jeden Dziunek zginął w stornach, w których się urodził. A przecież każde z nas wybierało swój los; z wyjątkiem Kosi. Ojciec, gdy w 1939 r. nie chciał wyjechać do Rumunii, matka, gdy w 1949/50 nie chciała mieszkać w kraju socjalistycznym, Dziunek, gdy odmówił przyjęcia schronienia po „aryjskiej stronie”, ja, gdy nie złożyłem papierów na „krowi dokument”. Nawet Zygmunt coś tam chyba wybierał. Jeden Dziunek wiedział dokładnie, jaka będzie jego przyszłość: następnego dnia o świcie miała się zacząć – i zaczęła się – ostateczna likwidacja żółkiewskiego getta.

11.V.

W krótkim odstępie czasu, dwukrotnie w ciągu godziny musiałem przejść obok domu, w którym mieszkała Kosią. Byłem tam nie po raz pierwszy od czasu jej wyjazdu. Ale właśnie tym razem, tj. za drugim przejściem przez Belwederską, gdy wysiadłem z tramwaju przyszło mi do głowy:

a gdybym zaczął się zachowywać tak, jak gdyby Kosią nie wyjechała (nie wiem dlaczego, skonkretyzowało mi się w głowie w postaci dwóch „obrazów”: wiozę Kosię w wózku do Łazienek, idę z nią do Łazienek trzymając ją za rączkę).

Byłby to, chyba, typowy przypadek schizofrenii. Czy byłbym w tych momentach „w mówień-w-siebie” szczęśliwy? Potem, zaraz potem refleksja: w gruncie rzeczy „raj szaleńców”, w którym żyłem będąc stalinistą, daje się jakoś porównać z tym pomysłem. Tyle tylko, że było to „w mówień-w-siebie” na wielką skalę. Oczywiście nie oddaje to w pełni sytuacji wierzącego intelektualisty w partii.

18.VIII.

Bezsensowne lato spędzone nad przekładem głupiej książki. Obym chociaż wybrnął dzięki temu z długów: na dziś 5500 plus 6000 z kasy zapomogowo-pożyczkowej. Od tygodni nie piszę *Materiału*. W przyszły poniedziałek wracam do tej pracy, żeby grzmiało i huczało.

Przez całe lato prawie żadnych wiadomości od Kosi. „Nie wierzę” w listy. Jako namiastka są nawet denerwujące, podobnie

jak pamiątki, fotografie itp. Ale kiedy nie przychodzą, jest jeszcze gorzej.

Wczoraj ktoś mi powiedział, że Baczek przedłużył kontrakt na dwa lata.

9.IX.

Dziś, tj. w dniu wyjazdu, zawiadomiono Instytut, że nie dostałem paszportu do Czechosłowacji. Miałem jechać do Nitry, służbowo: konferencja poświęcona terminologii literackiej. W gruncie rzeczy głównie mnie to obchodzi. Ważne jest jedno: może to, choć wcale nie musi, pogorszyć moje i tak znikome szanse na wyjazd do Francji, tj. na zobaczenie Kosi. W związku z tym dyspozycje dot. tego jak ew. wygląda ta sprawa:

a) wydaje się nie ulegać wątpliwości, że Instytut był zawiadomiony, że przyznano mi paszport;

b) tak też do wczoraj sądziła facetka – nie wiem kto – w Wyd. Zagr. PAN, która załatwiała tę sprawę.

Pytanie pierwsze: czy istotnie była taka decyzja, czy też ta pani uważała sprawę za oczywistą i stąd jej zachowanie tak, jakby decyzja była. W tym drugim przypadku sprawa jest jasna: była tylko jedna decyzja – odmowna, tyle tylko, że w ostatniej chwili. Tzw. intuicja mówi mi jednak, że zachodzi pierwsza ewentualność, tj. były dwie decyzje – najpierw pozytywna, potem negatywna. W tym przypadku możliwe są takie hipotezy:

a) Słowacka bezpieka w ostatniej chwili cofnęła zgodę (lub w ogóle jej przedtem nie dawała);

b) ktoś przypadkiem dowiedział się o decyzji i albo sam był władny ją odwołać, albo polecił ze skargą;

c) inny wariant „b” – urzędnik załatwiający sprawę postanowił się zaasekurować i zapytał jeszcze, dodatkowo, towarzysza Ygrek.

Z punktu widzenia zobaczenia się z Kosią najprzychylniejsza dla mnie jest hipoteza „a” – ale też najmniej prawdopodobna. Gdyby nie Kosią wszystko to razem nie byłoby warte funta kłaków. Pieprzę wyjazd do Czechosłowacji, a jeszcze bardziej pieprzę humory tej władzy. Dopóki nie siedzę w więzieniu, są mi one doskonale obojętne.

28.IX.

10.IX. tuż przed 16.00 zawiadomiono mnie telefonicznie, że dostałem paszport do Czechosłowacji. Byłem na Słowacji cztery dni: Nitra, Koszyce, Preszow, Bratysława. Bardzo piękny kraj. Wniosek – może pochopny – Rosjanom inwazja nie była

potrzebna; socjotechnik klasy Stalina załatwiłby „praską wiosnę” i „socjalizm o ludzkiej twarzy” przy pomocy antagonizmu Czechów i Słowaków.

W zeszłym tygodniu byłem dwa dni w Zachodnich Tatrach. Było zimno, powyżej 1800 m. leżała śnieg i miejscami lód. Na obu spacerach (Starorobociański i Wołowiec) niemal cały czas rozmawiałem z Kosią. To była chyba główna przyczyna, dla której trzeciego dnia wróciłem do Warszawy.

Bardzo smutny list od Leny.

26.X.

W tym tygodniu pierwsza rocznica wyjazdu Kosi. Mało zrobiłem w ciągu tego roku. Za mało *M. D.* W ogóle nie ruszyłem książki o fabule. Przekład idiotyzmów Orłowa – to wykręt. Że niby coś robię. No i rzeczywiście, niby robię. Nie mogę sobie wyobrazić, jak Kosią wygląda. Tu czas stanął. Najczęstsze uczucie to tęsknota za jej rączką w mojej ręce na spacerze. Kontakt listowy z Heleną dobry.

3.XI.

Tydzień był wyjątkowo obrzydliwy. Przeczytałem to jako tako głównie dzięki temu, że redagowałem przekład. Szkoda, że się ta bezdennie głupia, lecz zajmująca czas i głowę robota skończyła. W drugiej połowie miesiąca trzeba powziąć decyzję w sprawie pisania fabuły. Nie mam ochoty na kontynuowanie tej pracy. Wolałbym pisać o *Oziminie* lub – do szuflady – o ostatnim filmie *Wajdy*. A może w drugiej połowie listopada ruszy sprawa wyjazdu. Wtedy trzeba będzie pisać wykłady. W gruncie rzeczy nie wiem ile i dla jakiego audytorium, tj. na jakim seminarium mam je wygłaszać.

Zacząłem prowadzić rachunki. Nie zmieni to dziur w mojej kase, ale mam ogląd całości. Nie mam i nigdy nie będę miał pieniędzy.

Zdawało mi się, że jestem niewrażliwy na rocznice. W końcu, co za różnica czy nie widziałem Kosi od 365 czy od 323 czy od 417 dni. A jednak tydzień był gorszy niż „normalka”. Znacznie gorszy. Prawie nie śpiam. Tzn. 3–4 g. na dobę.

*M. D.* jest zbyt pstry stylistycznie. Ważne jednak jest, by pisać dalej.

9.XI.

Szum wokół scysji między Leszkiem a Dobrosielskim w Oxfordzie.

Pytanie 1-sze: czy relacja WE jest prawdziwa? (Wydaje się, że tak.)

Pytanie 2-gie: czy „biały dom” i „Rakowiecka” wyciągną z tego „wnioski”? (Przypuszczam, że nie.)

Generalnie rzecz biorąc, Leszek, wyjeżdżając, mógł zachować się w trojaki sposób:

– poprosić o azyl niedługo po przybyciu do Kanady, w konsekwencji zostać Lelewelem XX-wiecznej emigracji, tj. wybitnym uczonym uprawiającym na marginesie działalności naukowej politykę, a ściślej – ideologię, i cieszącym się autorytetem naukowym i moralnym w kraju oraz tam;

– wrócić latem 1969 r.

– siedzieć praktycznie w nieskończoność za granicą, bać się narażać Gomułce i jego ew. następcom i w rezultacie nie robić nic w polityce czy raczej ideologii (lub wykonywać niejasne gesty denerwujące wszystkich) i – o co wolno się obawiać – wskutek konfliktów z samym sobą, nie robić nic w nauce.

Na kilka dni przed wyjazdem Leszka wyłożyłem ten pogląd w rozmowie z A. C. i powiedziałem: wybierze tę trzecią możliwość.

Prognoza ta wynikała nie z mojej koncepcji Leszka, lecz z mojej wizji świata, wg której zawsze istnieje prawdopodobieństwo rozwiązań najgłupszych i najmniej sensownych.

Co więcej: wybierając trzecie rozwiązanie, Leszek – teoretycznie – miał jeszcze jedną szansę. Mógł mianowicie jakimś gestem dać do zrozumienia, że oto przestał się programowo zajmować ideologią i polityką, że „od dziś” jest uczonym – i tylko uczonym. Byłoby to przynajmniej konsekwentne. Praktycznie, podejrzewam, możliwości takiej nie miał, zbyt go bowiem ciągnie natura do tego co musiałby uznać za owoc, dla siebie, zakazany. Stąd np. recenzja z Merleau-Ponty’ego. Kto wie, czy Leszek nie byłby najszczęśliwszy, gdyby mógł tę recenzję opublikować w Polsce. Tu „wszyscy” by rozumieli, że powiedział maksimum tego, na co mu cenzura, ta z Mysiej, pozwala, „wszyscy” by wiedzieli, że ma do powiedzenia znacznie więcej. A w „The New York Review of Book” – mój Ty Boże.

W rezultacie (pomijając inne ważniejsze sprawy) Leszek utwierdzał opinię 25-cio i 30-to latków o naszym pokoleniu: że jest ono chronicznie i beznadziejnie do niczego, bowiem udział w stalinizmie zniszczył nas do szczętu. W ich oczach dzielimy się na zwykłych mieszcuchów, trzęsących się ze strachu o meble, wyjazd do Bułgarii i przyszłość dzieci, które będą nami pogardzały; partyjno-ubeckich skurwysynów; garstkę liberalnych czy

tam egalitarnych czy jeszcze jakichś pięknoduchów niezdolnych do żadnego czynu, bo sparaliżowanych przez własną przeszłość.

Pierwszym, który przy mnie wypowiedział ten pogląd, bodaj w 1962 lub 1963 r. był Karol. Po 1968 r. słyszałem go wielokrotnie, a nie dalej jak dwa tygodnie temu padł on z ust B. już wręcz *à propos* Leszka.

Scysja w Oxfordzie była nonsensowną konsekwencją nonsensownej sytuacji. Oto intelektualista najwyższej klasy przez dwa lata stara się za wysoką cenę uniknąć konfliktu z tą władzą i wreszcie naraża się jej. W jaki sposób? Wdając się w dyskusję z gnojem i policjantem na temat tego, czy był stalinistą. Na domiar wszystkiego w tym niewysokim sporze racja jest po stronie gnoja i policjanta, bo Leszek był stalinistą. A przecież *na chudoj koniec* była prosta odpowiedź: obaj byliśmy stalinistami, tylko że ja zostałem wyrzucony z partii i z Uniwersytetu, byłem miesiącami pod ścisłym nadzorem policji, a pan współorganizując to wszystko został ambasadorem; ja byłem stalinistą i nie jestem – pan był i pozostał.

Broniek, który kilkakrotnie widział się z Kosią i Heleną, twierdzi, że Kosia mówi po francusku jak mała paryżanka, bez śladu słowiańskiego akcentu. Helena, co zresztą wynika z jej listów, żyje w polskim getcie.

16.XI.

Nie było ani listu ani telefonu od Kosi.

Negressa Baudelaire’a.

30.XI.

Starania o trzymiesięczny urlop bezpłatny w Akademii – bez tego nie mogę wyjechać do Paryża. Beznadziejne, bezsensowne. Chwilami myślę, że najlepiej byłoby, gdyby mnie wyrzucili z Instytutu. Kiedy indziej znów, że to właściwie dobrze, iż mam tak małe możliwości szukania protekcji; skoro bowiem przy tych znikomych możliwościach sprawa jest tak\* (nie znam słowa, które oddawałoby to uczucie zmęczenia, zniechęcenia, beznadziei, poniżenia, bzdurności tych zabiegów, tego że najważniejsza sprawa mego życia, zobaczenie córki, zależy od bandy durniów, łajdaków, karierowiczów, którzy na dodatek uważają że t o jest polityka) – otóż skoro przy tak ograniczonych możliwościach uczucie to jest tak silne, to cóż by było gdybym mógł latać od Annasza do Kaifasza...

\* w tym miejscu jest słowo przekreślone



Bezsens. Bezsens pisania *M. D.* Nic ta książka nie zmieni, a ja, jeśli pójdę do więzienia, będę przeklinał własną głupotę... A jednak się kręci.

Bezsens. W ubiegłym tygodniu rozmawiałem przez sporą część nocy z Anną-Marią. Jedna z najsmutniejszych rozmów w ciągu ostatnich lat. Może jedna z najsmutniejszych w całym moim życiu.

Bezsens. W ubiegłym tygodniu rozstałem się z dziewczyną, z którą byłem prawie siedem lat. Kochałem ją bardzo, a i dziś chyba – choć inaczej – kocham. Jest to na pewno najbliższy mi człowiek, do którego mam absolutne zaufanie i którego niezmiernie szanuję. Od lat uważam, że zamykam jej drogę do normalnego życia i że powinienem odejść. Bóg mi świadkiem, nie wiem dlaczego zrobiłem to właśnie w tę sobotę. Ze zmęczenia, z totalnego zniechęcenia. Chyba ją nadal kocham. Mam nadzieję, że nie wrócimy do siebie. Dość tych wyznań!

Myślałem, że od dziś siądę do pisania „fabuły”. Nic z tego. Jeszcze tydzień zwłoki przez sesję Witkacego i poprawki do Orłowa.

29.XII.

Dokładnie miesiąc nic nie robiłem przy *M. D.* i w ogóle robiłem niewiele. Nawet mało czytałem. Trzeba będzie przerobić co najmniej dwa fragmenty *M. D.* – ten o plotce i ten o własności. Okres od ogłoszenia podwyżki i właściwie do dziś był chyba jednym z najgorszych; gorszy niż „marzec”. Stała chęć „zrobienia czegoś” i przekonanie, że w tej sytuacji nie należy nic robić. Obrzydliwie zaferowana codziennością warszawska ulica. Wielki tryumf niezmówionej codzienności.

Gdzieś przed wypadkami rozmowa z A. na temat jego ew. wyjazdu na 3–5 lat. W tych notach używam tego samego systemu kryptonimów co w *M. D.*

17.II.1971

Dziś dostałem od Heleny list z wiadomością o śmierci Matki. Od lat już jest mi wstyd przed samym sobą za to, że byłem złym synem.

16.III.1971

W piątek po powrocie z Tatr rozmawiałem z Kosią. Była to pierwsza rozmowa od chwili jej wyjazdu świadcząca o zerwaniu kontaktu. W pewnym sensie „nie mieliśmy o czym rozmawiać”. Zarazem była to pierwsza rozmowa, w której Kosi dwa razy zabrakło polskich słów. Niby to wszystko wiedziałem, wiedziałem, że tak

się stanie. A jednak. Do tego, w tenże piątek, zastałem w Instytucie pismo z 5.III. zawiadamiające mnie o tym, że „Komisja przy PAN” nie udziela mi urlopu na wyjazd do Francji. Ale powrót z gór.

23.III.

Bardzo często myślę o K. (patrz zapis z 30.XI.u.r.). Rozejście się z nią jest, przypuszczam, drugim największym głupstwem moich lat dojrzałych. Jeśli jednak pozostanie w kraju, tzn. rezygnacja z córki, ma jakieś motywacje, to rozejście się z K. jest rezultatem działania czystego instynktu niszczenia. Nie Eros i Thanatos, lecz eros i entropia.

20.IV.

Dziś ok. 17.00 zatelefonował do mnie facet z wydziału nauki KC i zawiadomił mnie, iż wydział poinformował Akademię, że nie sprzeciwia się udzieleniu mi 3-miesięcznego urlopu na wyjazd do Francji. Jest to rezultat mojej rozmowy z Z. Wróblewskim w ostatnich dniach lutego. Od tygodnia coś już się w tej sprawie „ruszało”, a dziś przed południem zatelefonowała M. J. w sprawie opinii, jaką ma wydać na temat tego urlopu. Podanie o urlop złożyłem 14 maja u.r., odpowiedź negatywną otrzymałem 5.III.b.r.

Nie mogę sobie znaleźć miejsca.

14.VI.

Byłem w Puławach. Niedziela wieczór. Wyjechałem w poniedziałek rano. Oglądałem Fredrę i Czechowa. Jeden z przyjemniejszych wieczorów. Sympatyczne rozmowy bez nadęcia, miły spacer nocny. Prawie nic alkoholu.

22.VI.

Wczoraj WE nadawała streszczenie artykułu Leszka z 6 nr „Kultury”. Nie jest dla mnie jasne, jak się ma cz. II do cz. I – ale może to wina streszczającego. W cz. I – pkt 2 – niepotrzebny i nieprawdziwy; pkt 3 jest po prostu szczegółowym wyrazem sytuacji opisanej w pkt 1; pkt 6 (a może 7, że aparat nie może poprawiać, bo boi się luzu) należałoby ująć inaczej. W sumie prawdy oczywiste. Wszystko, co w *M. D.* napisałem i co jeszcze napiszę o własności, zostanie uznane za p o w t ó r - k ę. Gównie mnie to obchodzi. Pisałem to dawno. I ja, i Leszek wyrażamy w końcu o b i e g o w e prawdy o komunizmie. Raz lepiej, raz gorzej! Co się tyczy cz. II wg tego streszczenia, to miałbym sporo uwag, ale może to znów wina streszczającego.

## SPIS RZECZY

Przedmowa . . . . .	7
O NARODACH	
Trzy dylematy zasady narodowej . . . . .	13
Piołun i popiół . . . . .	25
Uwagi o teorii narodu . . . . .	71
PODRÓŻ I O PODRÓŻY	
„Zaproszenie” – pożegnanie . . . . .	125
Gatunek: podróż . . . . .	189
MATERIAŁ DOWODOWY	
Materiał Dowodowy . . . . .	225
Noty . . . . .	297

ROMAN ZIMAND — MATERIAŁ DOWODOWY